



Hannibal
Smoke

Emplarium



EMPLARIUM

HANNIBAL SMOKE

Spis treści

- [Motto](#)
- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [14.](#)
- [15.](#)
- [16.](#)

- [17.](#)
- [18.](#)
- [19.](#)
- [20.](#)
- [21.](#)
- [22.](#)
- [23.](#)
- [24.](#)
- [25.](#)
- [26.](#)
- [27.](#)
- [28.](#)
- [29.](#)
- [30.](#)
- [31.](#)
- [32.](#)
- [33.](#)
- [34.](#)
- [35.](#)
- [36.](#)
- [37.](#)
- [38.](#)
- [39.](#)
- [40.](#)
- [41.](#)

- [42.](#)
- [43.](#)
- [44.](#)
- [45.](#)
- [46.](#)
- [47.](#)
- [48.](#)
- [49.](#)
- [50.](#)
- [51.](#)
- [52.](#)
- [53.](#)
- [54.](#)
- [55.](#)
- [56.](#)
- [57.](#)
- [58.](#)
- [59.](#)
- [60.](#)
- [61.](#)
- [62.](#)
- [63.](#)
- [64.](#)
- [65.](#)
- [66.](#)

- [67.](#)
- [68.](#)
- [69.](#)
- [70.](#)
- [71.](#)
- [72.](#)
- [73.](#)
- [74.](#)
- [75.](#)
- [76.](#)
- [77.](#)
- [78.](#)
- [79.](#)
- [80.](#)
- [81.](#)
- [82.](#)
- [83.](#)
- [84.](#)
- [85.](#)
- [86.](#)
- [87.](#)
- [88.](#)
- [89.](#)
- [90.](#)
- [91.](#)

- [92.](#)
- [93.](#)
- [94.](#)
- [95.](#)
- [96.](#)
- [97.](#)
- [98.](#)
- [99.](#)
- [EPILOG](#)

Hannibal Smoke
E M P L A R I U M

©Copyright 2011 by Hannibal Smoke
Opracowanie graficzne: Hannibal Smoke
Korekta: Dobry Duch Jadwiga Niwińska

Wydanie II 2014
ISBN: 978-83-938861-1-1

Wydawca: Andrzej Rąkowski
Wszelkie prawa zastrzeżone
Kopiowanie, rozpowszechnianie części
lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Skład wersji elektronicznej:
[Virtualo Sp. z o.o.](#)



Tęsknisz?

1.

Rozwód nie obszedł mnie ani trochę. Sędzia wymamrotał swoje, półgębkiem zdmuchując muchę spacerującą po todze. Zabębnił palcami w stół i było po wszystkim.

Zastanawiałem się, czy podejść do byłej żony i na pożegnanie wygłosić jakąś pojednawczą formułkę. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc bąknąłem „do widzenia”, na co odparła „niekoniecznie” i obróciła się na pięcie. Zrobiła to prędko, abym nie zdążył się zrewanżować, ale nie miałem nastroju do uszczypliwości. Nic mi się nie chciało.

Od rana byłem na urlopie, z którym teraz nie wiedziałem, co począć. Na zalanej słońcem ulicy nie zauważyłem nikogo, kto miałby podobny problem. Wszyscy gnali w konkretnym kierunku, zapatrzeni pod własne nogi, jakby z obawy, że zaraz się w te nogi zaplączą i poprzewracają. Ale i tak nie miałem ochoty spoufalać się z kimkolwiek, witać z dawno niewidzianym znajomym albo zagadywać ulicznych kramarzy. Z auta wziąłem aparat fotograficzny, zapaliłem papierosa i szedłem ulicą z ręką w kieszeni. Po jakimś czasie zacząłem obmyślać cel tej wędrówki, ale najłatwiej było ustalić, dokąd nie pójdę.

Minąłem klub dziennikarza, bo w południe można tam było spotkać tylko zramolałych kolegów po fachu, którzy mają dużo do powiedzenia, za to już nic do napisania. Ostatecznie mogłem się z nimi napić, ale marny był ze mnie kompan, za trzeźwy i za czujny, zbyt skoncentrowany. Ci mniej

trzeźwi takich nie lubią. Choć mniej czujni, szybko zaczynają wyczuwać dystans, uważać się za bacznie obserwowany podgatunek. Ojciec mnie nauczył uważnego przyglądania się ludziom, tylko że on patrzył jak pogodny adwokat, ja wolałem pozycję prokuratora. On widział w ludziach kolorowe ptaki, które różni wysokość lotu, ja raczej pełzające robaki. Za bardzo nie przesadzam.

Żołądek przypomniiał mi, że od rana nic nie jadłem. Kupiłem kilka gazet i poszedłem do restauracji z dużym tarasem na skraju parku. Siedząc przy stoliku z widokiem na skrzyżowanie, próbowałem zająć się lekturą, ale z lenistwa zacząłem gapić się na ulicę. Nikt nie nadjeżdżał, nie przechodził, nic się nie działo. Pochłonięty bezmyślnym nieróbstwem po jakimś czasie już nie widziałem niczego poza rozmytą plamą zieleni po drugiej stronie ulicy. Nieruchomy jak kołek siedziałem przez dłuższą chwilę bez żadnej sensownej myśli w głowie. Rozbolał mnie kark i zacząłem budzić się z odrętwienia, na co przyszła kelnerka. Dygnęła w przedwojennym stylu i zapytała „co podać”. Odpowiedziałem „schabowego”. Poszła.

Do skrzyżowania podjechało auto z rozwrzeszczanymi towarkami. Szkielety z ramionami grubości frytek wsparte na opuszczonym dachu chichotały i stroiły do mnie głupie miny. Kiedy wziąłem do ręki aparat, udawały, że chcą się rozebrać. Skrzywiłem się nieprofesjonalnie, ale pyknąłem im parę fotek. Potem babie na rowerze z główką kapusty w koszyku, zgrzanym ponurakom w autobusie i kilku innym ludziom, którzy zatrzymywali auta na czerwonym świetle. Ktoś odwrócił głowę, ktoś na mnie wrzasnął. Miałem to gdzieś.

Nie pamiętam, czy obiad był dobry. Po prostu go zjadłem, czytając gazetę. Czarnowłosa kelnerka stanęła w lekkim rozkroku nad porażką Manchesteru z Milanem. Spojrzałem jej w twarz, uprzytomniłem sobie, że ma na imię Rozalia i już widziałem ten uśmiech, który nie zdradzał żadnych

rozterek. Dotarło do mnie, że jest atrakcyjna. Spytała, czy czegoś się napiję. Odparłem, że chętnie, ale nie tutaj. Odpowiedziała „dobrze, zaraz kończę”.

2.

Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka. Obudziłem się o czwartej rano, na próżno poszukując w pamięci, kto i kiedy to powiedział. Zapaliłem papierosa i wyszedłem na balkon. Mieszkałem na ósmym piętrze, budynek stał na wzgórzu, więc u stóp miałem całe Val. O tej porze hałas jeszcze nie dokuczał, można było nasłuchiwać ciszy, bo za dnia karetki i policyjne koguty wyły niemal bez przerwy. Szarzyzną znikającej nocy słabo rozjaśniało blade monotonne światło latarni i myszkujących w szpalerach ulic pojedynczych samochodów. Płaskie dachy najeżone kikutami anten ciągnęły się po horyzont. Nie licząc wieżowców w centrum, widok we wszystkich kierunkach był taki sam, a mimo to wszyscy mi go zazdrościli. Jakoś nie potrafiłem znaleźć logicznego związku między tą znikomością wymagań estetycznych i najwyższą w kraju statystyką samobójstw. Zresztą ja też lubiłem Val. Miasto było tak nudne i obrzydliwe, że polubiłem je z litości.

Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka. Dziwne. Wróciłem do łóżka. Nie mogłem zasnąć. Nastawiłem melancholijną muzykę, żeby się w tym leżeniu jakoś zahipnotyzować, nie pomogło. Zamknąłem oczy i postanowiłem poważnie się zastanowić nad własnym życiem. Nie szło mi. Co w tym życiu było ważne? Na myśl o małżeństwie natychmiast zasnąłem. Żeby nie było mi zbyt dobrze, przyśnił mi się stary babsztyl, do

którego przychodziłem spać za pieniądze. Pewnie bym go nie pamiętał, gdyby nie Joanna.

3.

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat, studiowałem i chciałem wszystko wiedzieć. Chciałem wiedzieć tak dużo, że miałem problem, od czego zacząć. Czytałem kilka, czasem kilkanaście książek naraz, wychodziłem w połowie spektaklu, żeby zdążyć na inny i biegłem do wypadku, bo nigdy nie widziałem człowieka poćwiartowanego przez koła tramwaju. Kiedy doszło do zamieszek i ogłoszono godzinę policyjną, akurat wtedy wychodziłem z domu, żeby mnie zamknęli. Byłem ciekaw, jak to jest.

Joanna nie była ciekawa, po prostu zawsze i wszędzie się spóźniała. Miała takie powiedzonko: *Tak się spieszyłam, bo już się spóźniłam*. Po raz pierwszy usłyszałem je pod dworcem. Tam nas policjanci drapnęli, wylegitymowali i zaprowadzili do brudnego pomieszczenia bez kłamki. Joanna była przerażona, ja zawiedziony nijakością zatrzymania. Potem mnie rozśmieszyła. Łomotała w drzwi i krzyczała: „Jeszcze zobaczycie, mój ojciec was załatwi!”. Okazali zainteresowanie, ale kiedy zapytali, co to za szycha, nie wiedziała, co powiedzieć. Jak się później okazało, miał sklep ze ślubnym ekwipunkiem.

Wyglądała jak Julie Christie zapatrzona w doktora Żywago. Miała te same anielskie błyszczące oczy, wypieszczone jasne włosy i brzoskwiniową cerę, jakby w lodowaty zimowy wieczór wyszła prosto z solarium. Już wtedy to mną zawładnęło, patrzyłem na idealny świetlisty pejzaż, którego nigdy nie było. Jak Van Gogh oczarowany słońcem Prowansji.

Policjanci dali nam jakieś zaświadczenia i puścili po paru godzinach. Powiedzieli, żeby iść prosto do domu. Po drodze spotkaliśmy kilka patroli. Joanna paplała bez przerwy i wymachiwała zaświadczeniem, jak przepustką od komendanta głównego. Bez sensu, ale wydawało mi się, że policjanci lekko sztywnieją. Odprowadziłem ją do domu, otworzyłem bramę i zatrzymaliśmy się na krótką chwilę. Dopiero wtedy przestała się zajmować swoimi emocjami i uważnie na mnie spojrzała. Powiedziała: „Zobaczymy się jutro?”. I pobiegła po schodach na górę. Nigdy nie dowiedziałem się, czym pachnie. Nie widziałem jej od lat, ale nadal nie mogę pozbyć się tego zapachu. Wciąż gdzieś go rozpoznaję, jestem trochę pobudzony, rozglądam się...

4.

Czasem myślę, że to moje najlepsze wspomnienie z tych wszystkich, kiedy coś się dobrze zaczyna, choć jak zawsze kończy się źle. Wtedy moje życie się zaczynało, życie kobiety, która płaciła mi, żebym przychodził do niej na noc, właściwie dobiegało końca.

Parę miesięcy po spotkaniu Joanny zacząłem się wynajmować do sprzątania mieszkań ludzi na tyle zamożnych, żeby opłacić pomocnika, ale za skąpych na stałe zatrudnienie gosposi. Przeważnie myłem okna i ostro się targowałem. Nie miałem wygórowanych potrzeb finansowych, ale chciałem zobaczyć, jak to jest. Ta ciekawość towarzyszyła mi bez przerwy, więc sam przed sobą tak to tłumaczyłem. Właśnie wtedy miałem tę przygodę, która utkwiała mi w pamięci.

Jedna z moich klientek mieszkała w starej kamienicy po gruntownym remoncie. Była schorowana, rozmamłana, ciągle w szlafroku i kapciach. Ledwie trzymała się na nogach, więc miałem nawet jakieś poczucie misji w usuwaniu bałaganu po murarzach i malarzach. Rozkładałem dywany, myłem okna, otwierałem pakunki z książkami i bibelotami. Cokolwiek skończyłem, kobieta płaciła i wymyślała coś nowego. Z pudełek po czekoladkach wycinałem niezliczoną ilość kociaków, umieszczałem je w ramkach i wieszałem na gwoździach, masakrując nimi ściany. Zajmowałem się tym dwa dni i już mi się znudziło. Chciałem podziękować

i iść, ale nalegała, żebym przyszedł na noc. Obiecywała podwójną zapłatę. Bała się, że syn ją zabije. Chyba to mnie przekonało.

Potencjalny zabójca był psychicznie chory. Naprawdę groził, że matkę udusi, więc przyszedłem przed nocą, po krótkiej rozmowie położyłem się na łóżku i próbowałem czytać. Ale kobieta przysiadła się na fotelu obok i uraczyła mnie opowieścią z poprzedniej epoki geologicznej, kiedy była młoda i piękna. Głędziła. Z tego wieczoru zapamiętałem tylko jej przywidłą twarz, przetłuszczone kudły i mdły odór lekarstw, jakby się nimi perfumowała. Jej syn tłukł się w pokoju obok i straszliwie bluzgał przez całą noc, dopiero rano zasnął. Był jakiś krzywy, połamany. Dorosły facet, ale w wieku trudnym do określenia. Tak to często bywa z wariatami, którym choroba odbiera rówieśników i nie pozwala starzeć się stosownie do wieku. Już następnego dnia zorientowałem się, że jest zupełnie niegroźny. Huknąłem na niego i przerażony wczołgał się pod łóżko. Ale kobieta twierdziła, że zna go lepiej, a ja nie wiem, do czego jest zdolny.

Kolejnej nocy zagroziłem wariatowi, że mu łeb rozwalę. Czytałem książkę i nasłuchiwałem, siedział cicho. Stara chyba przestraszyła się, że to mnie skłoni do odejścia, więc przykuśtykała z ciasteczkami i dziwnie zalatującą herbatą. Ciacha była niedobre, ale herbata mnie rozleniwiła. Byłem głuchy na opowieści o byłych mężach. Kiedy rozmarzyła się na wspomnienie dawnego powodzenia u mężczyzn, po prostu obróciłem się na drugi bok i zasnąłem. Następnego ranka obudziło mnie jej chrapanie. Leżała obok jak zwłoki, przez które maszyna miarowo tłoczy powietrze. Zrobiło mi się niedobrze. W drzwiach pojawił się wariat i patrzył to na mnie, to na matkę w taki sposób, jakby dobrze wiedział, co się dzieje. Zamierzałem po prostu wyjść, trzaskając drzwiami, wtedy obudziła się i poprosiła, żebym pomógł jej wstać. Podejrzliwe myśli kłębiły mi się w głowie, ale uspokoiły mnie jęki i tłumaczenia starej. Ponoć wieczorem

tak rozbolał ją kręgosłup, że mogła tylko dowlec się do łóżka i położyć obok. Mimo to nie obudziła we mnie współczucia i nie skorzystałem z zaproszenia na śniadanie.

Nigdy bym tam nie wrócił, gdyby Joanna nie potrzebowała pieniędzy dla chorej matki. Miała też dziwne kalkulacje, na które początkowo nie zwróciłem uwagi. Dopiero potem uprzytomniłem sobie, co wymyśliła. Miało być tak, że jak schorowane babsko mnie polubi i zaprzyjaźni się ze mną na dobre, zechce mi zapisać własne mieszkanie i rychło umrze. To był dziecinnie naiwny pomysł, ale w tym swoim zakochaniu chyba nawet nie pomyślałem, że okrutny.

Ten ostatni raz zamierzałem po prostu odfajkować. Rozdrażniony i zły przyszedłem bardzo późno, pogoniłem stukniętego pod łóżko i zabroniłem mu stamtąd wychodzić. Starej dałem do zrozumienia, że przyszedłem jej tylko popilnować, mam w dupie jej byłych mężów i kochanków, a miłosne perypetie uważam za idiotyczne wymysły. Zamiast się rozzłościć, zarechotała i zapłacała mi z góry. Myślałem, że potrafi tylko stękać, więc mimo wszystko była to przyjemna odmiana. Na dodatek założyła jakiś ludzki ciuch i pomalowała usta. Krótko mówiąc, stara małpa przebrała się za kobietę i poprosiła, żebym wyjął nalewkę z kredensu. Bardzo dobrą. Nie było kwękania i zawodzenia o romantycznej przeszłości. Babsko uprzejmym ludzkim głosem dopytywało o studia, o Joannę. Najpierw odpowiadałem zdawkowo, ale nalewka rozplątała mi język. Po raz pierwszy i ostatni przeholowałem z alkoholem. O świcie obudziłem się z rozpiętym ubraniem, śmierdzący odorem jej lekarstw i uświniony szminką. Pobiegłem do toalety i zwymiotowałem do umywalki. Kiedy zobaczyłem własnego trupa w lustrze, uświadomiłem sobie, że ona leżała obok mnie, rozebrana, odrażająca jak zużyta prostytutka, gotowa spółkować w bramie za ćwiartkę wódki. Poczuję się jeszcze gorzej, kiedy całkiem żwawo ruszyła za mną

na klatkę schodową. Zdawało mi się, że mnie goni pomarszczony gnijący upiór. Może troszkę przesadzam, ale wtedy przesadzałem bardziej. Cóż, miałem dopiero dwadzieścia jeden lat. I chciałem wszystko wiedzieć.

5.

Wieczorem byłem umówiony z Joanną na proszoną kolację do jej ojca. Znałem go przelotnie, ale tym razem chciała mnie przedstawić jako oficjalnego narzeczonego. Był wysoki i przystojny, bardzo zasadniczy, zdystansowany wobec mnie i miękki jak воск, zupełnie nieodporny na wdzięki córki. Szczebotała bez ustanku. Przepraszała, że się spóźniła, że dawno nie odwiedzała, ale pamiętała, tęskniła itd. Na koniec tego wątku wręczyła ojcu jakiś drobiazg, z którym ja nie wiedziałbym, co zrobić, ale on był szczerze wzruszony. Potem się obejmowali, całowali i zapewniali o dozgonnych uczuciach. Wreszcie ojciec w rewanżu za ofiarowany duperel wyjął portfel i dał Joannie mniej więcej tyle pieniędzy, ile ja zarobiłbym przez miesiąc, pilnując upiora przed wariatem.

Powinienem się połapać, że to stały rytuał, niemal transakcja, ale byłem zajęty własnymi myślami. Joanna to zauważyła i w pojedynkę robiła mi *public relations*. Opowiadała, jaki byłem dzielny podczas zatrzymania, na co ojciec ze zrozumieniem kiwał głową, chyba musiał już to słyszeć. Ciągnęła, jaki to ze mnie dobry student, jaki jestem przedsiębiorczy i ciężko pracuję, myślę o przyszłości. To mu się spodobało, z kształtu ust mogłem wyczytać, że zaczyna mnie brać pod uwagę jako przyszłego zięcia. Zresztą werbalnie też się wysilił i nawet rozwinął jakąś mętną myśl o odpowiedzialności. Dopiero wtedy pomyślałem trzeźwo o jego porzuconej żonie, chudej jak wiór kasłającej kobiecie zamkniętej wraz

z córką w mieszkaniu tak ciasnym, że po rozłożeniu kanapy nie dało się wejść do kuchni. Dla niej to ja byłem bogaczem z tymi swoimi pieniędzmi za pilnowanie upiora przed wariatem. I niemal przez rok mogła na mnie liczyć. Ekspert od odpowiedzialności olał ją bezpowrotnie zaraz po ślubie.

Kiedy mnie zapytał, co będę robił po studiach, odpowiedziałem, że jestem bardzo zajęty i muszę już iść. Na obojgu wywarłem fatalne wrażenie. Należało mi się. Tak to wyglądało, jakbym miał gdzieś spontaniczne exposé Joanny i uroczystą łaskawość jej ojca. Ale nie chciałem nigdzie iść ani tam zostać, nie wiedziałem, co robić. Było mi gorąco, od kłębowiska myśli pękała mi głowa. Joanna przeprasząco zamrugała do ojca i wyszła razem ze mną.

Szliśmy w milczeniu w ciemną zimową noc, taką jak wtedy, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem. Coś wisiało w powietrzu.

– Nie lubię twojego ojca – powiedziałem.

– Nie ty jeden – odparła. – Nienawidzę płaszczyć się przed nim, ale nie mam innego wyjścia.

Po raz pierwszy melodia głosu Joanny mnie nie zachwycała. Po prostu jej nie uwierzyłem. Dałem jej zarobione pieniądze. Uradowana schowała je do kieszeni, pocałowała mnie i mocno wzięła pod rękę.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – powiedziała.

Opowiedziałem, co się wydarzyło.

– Boże... – jęknęła na koniec.

Nie wiem, co sobie wyobrażałem. Może spodziewałem się potoku tej gniewnej, pełnej wdzięku paplaniny, którą tak dobrze znałem, jakiegoś wybuchu oburzenia albo żalu, bo przecież namawiała mnie do tej pracy. To zdawkowe „Boże” okazało się wszystkim, na co było ją stać. Jak nigdy włączyło się we mnie jakieś precyzyjne urządzenie pomiarowe. „Boże” było za krótkie, jak tyknięcie zegarka, deklasujące, bez szansy na

dogrywkę. Nigdy żadne ukłucie w sercu tak mną nie zachwiało, bo podobnych doświadczeń już nie byłem ciekaw.

6.

Przeżniłem w łóżku do południa i postanowiłem, że nie będę robił tego wszystkiego, co robię zawsze. Wykluczyłem komputer, czytanie gazet, analizowanie, zapisywanie, zapamiętywanie. Precz. Rozsiadłem się w fotelu i włączyłem telewizor. Po chwili Julianne Moore powiedziała: *Małżeństwo to skomplikowany labirynt emocji między dwojgiem ludzi*. I już miałem dość. Z irytacją rozejrzałem się po mieszkaniu, natykając się na surowe spojrzenie teścia. Aha...

Regały z książkami zasłaniały wszystkie ściany z wyjątkiem jednej wnęki wywalczonej przez żonę. Właśnie tam umieściła portret tatusia. Z twarzą skupioną i głową majestatycznie opartą na dłoni sprawiał wrażenie wynalazcy bomby wodorowej. W rzeczywistości był żwawym chuchrem z oczkami rozbieganymi za wódką. Jego wynalazki to ośmioro dzieci, z czego połowa puszczała bąki przy jedzeniu. Mimo to żona uważała, że nie ma nic lepszego niż obiad w gronie rodzinnym. Jako jedynak, byłem w jej pojęciu kaleką.

Po szurniętym za szafę tatusiu pozostała rama i bolesna familijna wyrwa na ścianie, którą należało czymś godnie zastąpić. Pomyślałem złośliwie o szmacie wyczekującej w wiadrze na przetarcie podłogi, potem o zdjęciach. Na płytach skatalogowałem dziesiątki tysięcy, ale uparłem się dotrzymać postanowienia i nie włączać komputera. Został aparat z fotoreportażem z sądu i przypadkowym pstrykaniem z restauracji na

skraju parku. Ścianę mogłem sobie przyozdobić ryjami bandziorów z wyrokiem skazującym lub paradą damskich szkieletów z ramionami grubości frytek. W poczuciu klęski rzuciłem jeszcze okiem na zbieraninę zatrzymującą się na światłach przed skrzyżowaniem.

Spojrzałem z niechęcią na babę na rowerze obtłukującą o ramę kapustę w siatce, na pasażerów w autobusie, nerwusów szarpiących się jak gówno na sznurku z powodu mojego aparatu. Była tam jeszcze jakaś kobieta, nie wiadomo po co wyglądająca z okna samochodu, zagadani motocykliści i zamyślony kierowca lekkiej ciężarówki, z której dobiegało końskie rżenie. Duperele, więc placek na ścianie pozostał pusty.

Postanowiłem ruszyć tyłek, pójść do księgarni i poczytać na wygodnej kanapie.

7.

Z przyzwyczajenia zaglądam na piąte piętro galerii Snegoff. Lubię tutejszą księgarnię urządzoną w stylu dawnego, zapuszczonego antykwariatu i trzeszczące sprężyny starej kanapy. Zwykle rozwalam się na niej jak pijak i podczytuję. Wynajduję fragmenty, inspirujące szczegóły, dziwne zdarzenia, niepokojące myśli. Kupuję tylko te książki, w których chciałbym coś zaznaczyć albo skreślić, pokłócić się z autorem. Dla pieniędzy napisałem kilka powieści. Kiedy już zabieram się za coś większego, to przeważnie po to, by nastraszyć lub rozśmieszyć, dla draki wplątując w to wszystko jakąś myśl pogłębioną i drętwą, żeby potrząsnąć ludzkością. Naturalnie bez sensu, bo ludzkości potrzebne są tylko zastrzyki łagodzące drgawki.

Moja ulubiona kanapa była zajęta. Na stoisku z bestsellerami zobaczyłem nowiutkie wydanie dzieł zebranych ojca i jakoś wyprawa do księgarni wydała mi się niewypałem.

Zjechałem na parter, zrobiłem zakupy i poszedłem do knajpy na obiad. W lokalu było ciasno, kelnerki umiejętnie brały zakręty między stolikami, aż w końcu ktoś kogoś potrącił, na podłogę spadły sztucce i z nadmiaru uprzejmości jacyś ludzie nabili sobie guza. Gdyby ojciec to zobaczył, w głowie zakiełkowałaby mu opowieść o dwojgu, którzy dzięki tym siniakom poznają się pod stołem.

Najpierw wzajemnie opieprzyliby się i rozstali w gniewie, potem w tej samej chwili przed lustrem oglądali nabite guzy i rychło doszli do wniosku, że żyć bez siebie nie mogą. Naturalnie zaczęliby się szukać, nieporadnie i pechowo, mijać się i widywać jedynie z daleka, a to pełni rozterek, to znów rosnących wzajemnych oczekiwań. On majątny wdowiec, ojciec dwóch czarujących córek, którym brakuje matczynej ręki. Ona malarka i szefowa galerii z abstrakcyjnymi maziajami, która po miłosnym rozczarowaniu postanowiła nie wychodzić za mąż. Nim interesuje się jakaś atrakcyjna, ale pazerna małpa, której córki nie lubią, nią rozwiąży aktor otoczony wianuszkami wielbicielek. Więc kiedy dochodzi do spotkania, to z udziałem małpy i aktora, żeby wdowiec mógł pomyśleć, że z aktorem nie ma szans, a malarka, że ma mniejsze cycki od małpy. Ich sprzymierzeńcem mogły się okazać przypadkiem podsłuchane rozmowy podczas wernisażu w galerii malarki. Jednak ani ona, wiedząc, że małpa jest pazerna, ani on, wiedząc, że aktor to dziwkarz, nie czują się uprawnieni do ingerowania w czyjeś życie. Kiedy uporają się ze swymi durnowatymi związkami i zdecydują na samotność, rolę dalmatyńczyków odegrają córki wdowca, którym malarka narysuje portrety podczas przypadkowego spotkania w parku. On zechce zapłacić, pójdzie do galerii, znowu zderzą się głowami, no i tramtatramta. Bite sześćset stron, z tego trzysta na mdłe analizy nieprzytomnych spojrzeń i melancholijnych skojarzeń, ze dwadzieścia na opis siniaków, i na koniec pewna półka z bestsellerami. Najlepiej w dobrym impregnacie odpornym na morze łez wylanych nad tym gniotem przez zidiociałe fanki.

8.

Jego książki czytywałem w szkole średniej, potem już tylko fragmenty, aż w końcu przestałem. Potem pokłóciliśmy się o moją pracę w sensacyjnym tabloidzie. Nie miał o niej najlepszego mniemania. W rewanżu dałem mu odczuć, co myślę o jego książkach. Jeśli już musiałem mu dokładać, że kiczowate, nieznośnie schematyczne i psychologicznie absurdałne, to jednak mogłem okazać trochę wdzięczności, bo ta szmira dawała naszej rodzinie całkiem niezłe źródło utrzymania. Okazja pojawiła się trochę za późno. Zadzwoził z jakąś pojednawczą nawijką, nawet pożartowaliśmy, a potem się zabił.

Czasem spotykam się z zazdrością, jakie to ja niby mam lekkie pióro. Naturalnie po ojcu. Ludziom się wydaje, że skoro z zaciekawieniem i bez trudu przeczytali tekst, autor przelał go na papier z lekkością baletnicy. Bzdury. Zawsze mam poczucie mozołu przy budowaniu zdań i obowiązku zastosowania wielu wariantów, zanim wybiorę najlepszy. W przeciwieństwie do tego ojciec obijał się całymi dniami, ale jak już siadał do klawiatury, w jedną noc produkował kilkanaście, bywało, że nawet kilkadziesiąt stron. Opasłe tomisko potrafił natłuc w ciągu miesiąca. Choćby z tego powodu nie mogło to być warte funta kłaków.

Ja wyciągałem informacje podstępem lub groźbą. Do niego przyłaziły same w postaci egzaltowanych damulek nasłuchujących sentymentalnych pierdół. Potrafię uwodzić kobiety, ale szybko mnie irytują i nudzą, jak duży

instrument dmuchany, na którym można czasem zagrać, ale w końcu brakuje sił, żeby go tachać. Ojciec umiejętnie podtrzymywał zainteresowanie wielu bab, choć sprawiał wrażenie faceta, który ma je w nosie. Szczerze mówiąc, zawsze mnie to intrygowało. Przeważnie był uprzejmy, ale potrafił powiedzieć kobiecie, że jej nie lubi, a ta wcale nie czuła się urażona. Albo ta jego stała gadka: *No, już starczy tego brzęczenia*. I przestawała brzęczeć, czekała, aż pozwoli jej się odezwać. Miał tę szczególną właściwość wypowiedzania słów lekceważących lub obraźliwych, które w jego ustach stawały się czymś w rodzaju ekscentrycznego komplementu, hasłem dopuszczającym do pożądanej wzajemnej poufałości. Zapewne książki miały walny wpływ na jego reputację eksperta i powiernika namiętności, ale to było coś więcej. Jakby kobiety posiadały o nim jakąś potajemną wiedzę, która każe odgadywać, że jest gotów na szalony romans z każdą i daje nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

Jego wieczory autorskie polegały na opowiadaniu nonsensów, których jeszcze nie napisał. Uporczywie wpatrywał się w najbardziej pokracznego babsztyla na sali, obezwładniał potwora tym swoim sugestywnym spojrzeniem i wstawiał głodne kawałki pośród westchnień, wzruszeń i kretyńskich uniesień. Wyróżniona kobieta zdawała się odkrywać własne urojone piękno, a ojcu dogadzało, że żaden kuszący biust nie zakłóca jego koncentracji. To wiedziałem od niego, ale patrząc, jak on patrzy, widziałem, jaką satysfakcję daje mu decydowanie o czymś samopoczuciu. Niekiedy w takim stopniu, jakby jakaś kobieta zaraz miała się zabić lub urodzić na nowo.

Matka знаła ojca na wylot i patrzyła na to wszystko z życzliwym dystansem. Trzeba przyznać, że byli fajnym małżeństwem, w którym nigdy nie wygasła młodzięcza, spontaniczna nuta radosnego uczucia.

9.

Kierując się do wyjścia, z nawyku zahaczyłem o salon prasowy. Uparłem się, żeby nie czytać gazet, więc tylko rzuciłem okiem na czołówki. Nie powinno to mieć najmniejszego znaczenia, bo zwykle przeglądam kilkanaście tytułów dziennie. Jednak miało do tego stopnia, że w windzie pomyliłem piętra i do mieszkania schodziłem po schodach. Pochłonięty niejasnymi skojarzeniami potknąłem się i uderzyłem łokciem w poręcz. Przeszedł mnie prąd.

Niepostrzeżenie poszły w kąt wszystkie postanowienia. Kopałem w przeczytanych gazetach tak długo, aż dotarłem do porażki Manchesteru z Milanem i tego wszystkiego, co kupiłem po rozwodzie. Usiadłem przy stole, rozłożyłem przed sobą relację z meczu i wyobraziłem sobie, że nic mi się nie chce i znów czekam na obiad w restauracji na skraju parku. Najlepiej zapamiętałem kelnerkę, która nadeszła zapytać, czego się napiję. Zwłaszcza że potem w innych okolicznościach mogłem sobie jej widok bardzo dobrze utrwalić.

Czasem się zastanawiam, czy to, co wyprawiam, to jeszcze intuicja czy już pierwsze objawy zwykłego wariactwa. Może okazać się któregoś dnia, że mrówcza robota poszukiwawcza to tylko pracowite nieróbstwo, bezużyteczna biegania za czymś, co nie istnieje, chorobliwa obsesja, na końcu której jest już tylko obłąd. Jak już się pojawi, nie będę o tym wiedział.

Więc co z tym Milanem? Nic, wygrał, co ulica w sąsiedztwie parkowej restauracji potraktowała z całkowitą obojętnością. Gapiłem się na rozłożone gazety i przekładałem je na różne sposoby. Miały leżeć tak, jak wtedy. Ludzie z trudem przypominają sobie odległe wydarzenia, chyba że towarzyszyły temu większe emocje. W tym przypadku najlepszą pamięć mają bandyci, jeśli akurat wtedy brali udział w jakiejś rozróbce. Niestety, mnie towarzyszyło beznadziejne roztargnienie i tępota. Do tego problem nie dotyczył rozróby tylko całkowitego próżniactwa. Musiałem więc zastanowić się, jak ja to robię, kiedy mam przed sobą kilka gazet. Za którą zabieram się najpierw – to akurat było proste dzięki Milanowi. I co robię z pozostałymi, zanim nie zacznę ich przeglądać. Doszedłem do wniosku, że odkładam je możliwie daleko, w czym kryła się obawa przed brakiem właściwej koncentracji, gdybym w zasięgu wzroku miał za dużo do przeczytania. Mało tego, kładłem gazety jedna na drugiej w określonej kolejności, stronami tytułowymi na dół i najchętniej w taki sposób, że zaginały się na blacie i zwisały ze stołu. Dziwak ze mnie. Ale dzięki temu nawykowi wiedziałem na pewno, jak gazety leżały i czego nie mogłem zobaczyć, a mogła zobaczyć ulica. Na niewidocznej dla mnie części ostatniej kolumny była tandetna, utrzymana w różowej kolorystyce reklama dzieł zebranych ojca. Jeszcze pokombinowałem dla pewności, czy się mylę, ale to nic nie pomogło. Przypadkowo sfotografowana kobieta bez wątpienia patrzyła na tę reklamę. Byłem zawiedziony, ale dziwny niepokój nie minął.

10.

Przez głowę przemknęła mi myśl o urlopie nad morzem południowym. Na próżno. Byłem za leniwy, żeby samemu podjąć decyzję. Do tej pory mogłem polegać na żonie. Kwękała od poprzednich wakacji, że chce jechać na następne. Kompromis osiągnęliśmy natychmiast. Ona wybierała plażę, ja pejzaże i od razu było wiadomo, że polecimy do Afryki, Indochin albo gdzieś tam. Mimo to kwękała nadal, że to dopiero za rok. Kiedy już lądowaliśmy na miejscu, bez przerwy powtarzała, jak jej dobrze.

Babskie gadanie jest gorsze niż trzęsienie ziemi. Więc wymyślałem się każdego ranka, jeździłem po okolicy i fotografowałem, czasem nawinęło się jakieś sympatyczne towarzystwo. W tym czasie żona smażyła się na plaży. *Jak mi dobrze, jak mi dobrze*. Wieczorem otoczona wianuszkami wielbicieli była duszą towarzystwa podczas kolacji. Potakiewicze z otwartymi gębami słuchali tego durnego *Jak mi dobrze* i zajadali ryby w panierce. Kiedy mówiła *Proszę ja ciebie*, było pewne, że nawija o swojej pracy w firmie ubezpieczeniowej. Była menedżerem, ponoć utalentowanym, ale z obrzydzenia do tego *Proszę ja ciebie*, nigdy nie ubezpieczyłem niczego poza samochodem.

Na urlopie lubiła zmieniać plaże, knajpy i adoratorów. Niemal każdego wieczora przy kolacji trajkotała jak maszyna włókiennicza. Regularnie obleżona przez facetów, którzy słuchali i słuchali, gapiąc się w jej cycki. Niektórzy przychodzili z żonami. Patrzyły na to z rosnącym napięciem do

momentu, kiedy się dosiadałem. Przeważnie spóźniony, ale po prysznicu, zrelaksowany i w dobrym nastroju. Żonie dogadzało powodzenie wśród mężczyzn, mimo to uporczywie wydzwaniała. Mną też chciała się otaczać i koniecznie chwalić. *Mój mąż, dziennikarz śledczy*. Była w tym nuta nadętej megalomanii i apetyt na odrobinę emocji, jakbym miał zazdrośnie tropić i zastrzelić każdego, kto ją poderwie. Udawałem, że mnie to bawi. Facetów nie bawiło. Cały dzień gapili się na kuszącą babkę, wyobrażali sobie, że jest samotna i do wyrwania. Nieoczekiwany rywal działał im na nerwy. Za to kobiety miały okazję do rewanżu, więc nadskakiwały mi, zadając kretyńskie pytania dotyczące pisania. Nie jestem przesadnie towarzyski, ale umiem się dopasować do poziomu rozmówcy i okazać mu życzliwe zainteresowanie. To zawsze działa, tak samo na drwali, jak na księżniczki. Dowiaduję się potem, że jestem sympatyczny. Gówno prawda, nie jestem.

Żona wiedziała o tym doskonale, choć nieco przesadzała, że wszystko robię naumyślnie. Czasem robię. Zwłaszcza gdy wypatrzę sobie człowieka i zaczynam o nim wiedzieć więcej, niż by sobie tego życzył. Dostaje dupowstrząsu tylko dlatego, że patrzę. Rozgląda się nerwowo, pocą mu się ręce, nie ma dość sił, żeby odejść. Nie wiem jak, ale mogę tak z ludźmi pogrywać. Czytam z rozszerzonych źrenic, oblizywanych ust, pomarszczonego czoła. Wystarczy zapytać gościa, czy lubi szatynki i wariuje ze strachu, bo słusznie domyśla się, że ja wiem o molestowaniu jego córki. Ale to raczej zajęcie zawodowe, trochę sadystyczne, na wakacjach wolałem wypatrzeć jakieś pomniejsze grzeszki. I tak facet robił w galoty.

Żona nie lubiła tych sztuczek, za każdym razem się dąsała, ja przeproszałem i szliśmy do łóżka. Tylko wtedy było naprawdę dobrze. A rano już tylko *Jak mi dobrze*. Ma na imię Krystyna, co po latach budzi we

mnie skojarzenie już tylko z wygodnym meblem w agresywne kwieciste wzory. Takim, który warto wypróbować, niekoniecznie kupić.

11.

O poranku sen miałem płytki i czujny. Dobiegały mnie odgłosy zza ściany: przesuwanie krzeseł, spuszczenie wody w toalecie, poranne audycje radiowe, ujadanie psa. Zadzwoiła Joanna.

– Słucham.

– To ja...

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Za ścianą i w słuchawce. Przyjemna. Czasem to jej zupełnie wystarczało. Dzwoniła raz do roku, może rzadziej. Chciała chwilę ze mną побыć, jak dziewczynka, którą rozczulił znaleziony na strychu pluszowy miś.

– Jesteś?

– Tak.

Westchnęła.

– Mam ochotę zobaczyć się z tobą...

– Kolacja?

– Przyleć. W Buenos Aires jest po północy.

Nie byłem zdziwiony. Przedtem Joanna dzwoniła z Londynu, Nowego Jorku i Sydney. Wszędzie urzędzona, zadomowiona, pełna optymizmu, gotowa na deklarację, że zostanie tam na zawsze. Ale to wiedziałem od jej znajomych. Ze mną rozmawiała niemal szeptem, bez ekscytacji. Niczego nie opowiadała, bo nie byłem ciekaw. W jej głosie pobrzmiwała jakaś

melancholijna kołysanka, choć gdzieś w oddali dało się słyszeć stłumione rozmowy i dźwięki muzyki.

– Przyjęcie?

– Tak.

Miałem przeczucie, że teraz spojrzy na mężczyznę śpiącego nieopodal telefonu. Wiedziała, że mogę się tego domyślić.

– Zgadnij, kim jest.

– Polityk?

– Ambasador. A co u ciebie?

– Nic specjalnego.

– Czytałam twoją książkę.

– To miłe.

– Pozdrowisz Krysię?

– Dobrze.

– Hannibal...

– Słucham.

– Mógłbyś chociaż zapytać o mój numer telefonu.

Nie zapytałem.

12.

Krystyna i Joanna znały się. Nigdy nie były rywalkami, ani razu się nie poróżniły, ale nie przepadały za sobą. Czasem album otwarty na niewłaściwym zdjęciu albo przypadkowa uwaga znajomego o Joannie pogarszały Krystynie nastrój. Nie rozmawialiśmy o tym, ale pomimo upływu lat jeszcze przed rozwodem rzuciła w trakcie kłótni: „Ona zrobiłaby to lepiej?” Zresztą „Pozdrowisz Krysię?” w wykonaniu Joanny też było pozbawione cienia życzliwości, choć grzeczne i niewymuszone. Miałem wrażenie, że specjalnie chce jej o sobie przypomnieć. Naturalnie z braku ochoty i okazji nie przekazałem Krystynie żadnych pozdrowień. Zresztą wcześniej nie robiłem niczego, co miałoby wpływ na ich wzajemne relacje. Czułem się nieobecny w tym dyskretnym konflikcie. Pomyślałem, że wraz z rozwodem zniknie całkowicie. Akurat miałem sposobność, żeby Joannie napomknąć o rozwodzie. Tylko po co?

O jej ślubie dowiedziałem się z gazety, którą przykryto nieboszczyka. Chłopak wdrapał się na szyb windy wysokiego budynku, w którym mieszkał. Ponoć stał tam przez dłuższą chwilę, wyglądał na kogoś, kto w piękny słoneczny dzień chce się nasycić panoramą miasta. Jeszcze pomachał steranym robotnikom, którzy smołowali dach, zamknął oczy, zaczerpnął tchu i skoczył. Złożył się jak do skoku z trampoliny, z rękami wyciągniętymi do przodu. Mówiono potem, że była w tym jakaś staranność i elegancja, nawet poezja lotu po śmierć. Ale to zobaczyły tylko dwie

osoby. Kilkanaście innych nie mogło wyjść ze zdumienia dla nagłych nieoczekiwanych okaleczeń odłamkami roztrzaskanej czaszki. Tępy odgłos zderzenia ciała i betonu sprowadził na ulicę bezruch i ciszę. Potem wybuchły wrzaski i lament.

Usłyszałem je, załatwiając jakieś sprawy w banku. Kiedy wszyscy rzucili się do okien, wyszedłem na ulicę. Jeszcze nie pojawiła się policja ani pogotowie. Błyskawicznie zagęszczał się tłum. Widok szczątków głowy był odrażający, długo nikt nie odważył się podejść. W końcu przez zbiegowisko przedarła się blada jak kreda kobieta i rozpostarła gazetę. Zrobiłem serię zdjęć, nasłuchując wrogich komentarzy. Dogadywano mi od bezdusznych pismaków i padlinożerców. Kiedy zacząłem fotografować gapiów, odwracali głowy jak oskarżeni. Tylko ta blada kobieta patrzyła nieruchomo na trupa. Z ruchu jej warg zgadywałem, co powtarza. *To nie jej wina, nie jej.* Co mnie obchodził jakiś ślub?

Obwieszczając, że ma kochanka, Krystyna chciała mi dopiec. Poczułem ulgę. Spróbowała jeszcze raz. Tym kochankiem miał być znajomy z branży. Czekała aż zapytam, co to za jeden. Nie byłem ciekaw, nad kim mam się litować.

13.

Urlop nad morzem południowym zastąpiłem wyprawą do myjni samochodowej i odwiedzinami u matki. Jednak najpierw spróbowałem oswoić niejasny niepokój związany z kobietą ciekawą prasowej reklamy dzieł ojca. Powiększone zdjęcie wypuściłem z drukarki i umieściłem na ścianie w zastępstwie byłego teścia. Staranna oprawa nie pomogła. Zdjęcie było tragicznym gniotem.

Kobieta pstryknięta przypadkiem na światłach tuż za parą rozgadanych motocyklistów podjechała czarnym, być może grafitowym samochodem. Zdjęcie było nieostre, poruszone, zrobione w jaskrawym świetle. Cienie padały głęboko, więc rysopis kobiety był niejednoznaczny. Uchwyciłem tylko nadzwyczajną ciekawość kogoś, kto wychyla się zza opuszczonej szyby i patrzy. Zgadywałem, że mruży oczy i próbuje szybko coś odczytać, zanim nie zapali się zielone światło. I jeszcze ten gest dłoni niemal opartej o skroń. Wyczuwałem poczucie zawodu, że akurat jest bez okularów, a nawet bólu od nadmiernego skupienia. Odległość była zbyt duża, aby mogła cokolwiek przeczytać w gazecie na restauracyjnym stoliku. Jednak okładki książek ojca od wielu lat projektował ten sam grafik, stosujący te same logotypy i takie tam esy floresy. Nie mogło ująć uwadze napalonej fanki, że na rynku wydawniczym pojawiła się kolejna pozycja jej idola. Cóż, zawisła zamiast teścia. Na pewno nie była głupsza od niego.

Mój stary wysłużony nissan był jeszcze ubłocony dzielnicą, w której pewni młodzi ludzie chcieli mnie zadźgać dla rozrywki. Wycelowałem w nich dwoma palcami, jak to robiła Whoopi Goldberg w „Kolorze purpury”. Chyba oglądali, może nawet wystraszyli się jakiejś murzyńskiej klątwy, bo nagle stracili zapał do niegodziwości.

Mam dość dobre stosunki z bandytami. Nieznajomych zwykle zaskakuje, że ich złe zamiary po prostu ignoruję, nie trzęsę się ze strachu. Najpierw rozmawiam, jakbym pytał w roztargnieniu o rozkład jazdy na dworcu kolejowym. Może to głupota, ale nieuzasadnione przekonanie o własnej nietykalności robi skuteczne wrażenie. Potem patrzę na nich jak wędkarz na robaki wijące się na końcu haczyka. Pewnie kalkulują, że jak gość jest pewny siebie, ma ku temu istotne powody, przewagę, może nawet dyryguje takimi jak oni rzezimieszkami. Kiedy zagaduję bardziej pojednawczo, częstuję papierosami, nabierają ochoty żeby być po mojej stronie, niektórzy stają się informatorami. Wielu od dawna snobuje się na znajomość ze mną, dzwonią z czymś, co mogłoby mnie zainteresować. I czytają. To mój wkład w edukację społeczeństwa, być może jedyne wartościowe osiągnięcie.

Podbudowany tym wyczynem kręciłem się po Val, raz po raz utykając w korku. Teoretycznie szukałem stacji benzynowej z myjnią, praktycznie mijałem jedną za drugą. Jazda autem sprawiała mi przyjemność. Opuściłem szyby, założyłem ciemne okulary i marnowałem czas. Było ciepło, wiatr podwiewał dziewczynom sukienki, a okutanym babciom nie pozwalał zapocić się na śmierć. Zatrzymałem się przy stacji z myjnią i budką, gdzie sprzedawano lody. Oprócz obsługi nie było nikogo. Wszedł do mnie chłopak w uniformie zalatującym proszkiem do prania. Rzuciłem mu kluczyki, kazałem auto wypucować, a potem z ogromną porcją lodów wybrałem się na przechadzkę wzdłuż kilkupasmovej jezdni. W spalinach warczących ciężarówek i dudniących motocykli średnio mi te lody

smakowały. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zboczyłem do parku. Ludzie już się przyzwyczaili do wysokich temperatur, było tam pełno matek popychających wózki, dzieciaków uganiających się za piłką i parcających się na trawie. Odniosłem wrażenie, że powinienem robić coś adekwatnego, jeździć na wrotkach albo puszczać latawca. Z topniejącym lodem sam sobie wydałem się piątym kołem u wozu. Jednak nie znalazłem się tu przypadkiem. Nagle zdałem sobie sprawę, że musiałem tu przyjść.

Do knajpy na skraju parku poszedłem od strony ulicy i zatrzymałem się obok pasów. Przy stoliku z widokiem na skrzyżowanie siedział mężczyzna. Znieruchomiałem, gapiąc się na niego. W pierwszym odruchu chciałem się roześmiać, ale tylko przełknąłem ślinę. Siedział nad gazetami, jedną czytał, reszta leżała na krawędzi stołu. Był ubrany dokładnie tak jak ja: w marynarkę, t-shirt, dżinsy i skórzane buty – wszystko w czerni. I był do mnie podobny do tego stopnia, że niemal uległem złudzeniu, że to ja tam siedzę.

Uspokoilem się, kiedy podniósł głowę.

14.

Po śmierci ojca matka wpadła w depresję. Ilekroć usiadła do wiolonczeli i przejechała smyczkiem po strunach, bolesciwe dźwięki instrumentu przywodziły ją do płaczu. Nie była wybitnie muzykalna, publiczność bardziej poruszało, jak z pietyzmem obejmowała pudło rezonansowe. Kiedy umieszczała je między nogami, przytulała do obfitej piersi i opuszczała powieki, było w tym coś z doznania erotycznego. Faceci słuchali i gapili się. Na tę obfitą pierś, na rozchylone uda, na gęste jasne włosy w czarującym nieładzie, jakby cały czas układane przez zmienne podmuchy. Dyrygent też gapił się na nią częściej niż to konieczne, choć za olśniewającą piękność nikt jej nie uważał. Czasem bywa tak, że natura nie osiąga szczytów możliwości, gdy chodzi o urodę, by wynagrodzić to wdziękiem i tą szczególną właściwością, która budzi odruchową sympatię i pragnienie nawiązania życzliwej znajomości. Tego matka miała w nadmiarze, tak jak przyjaciół gotowych na każdą uprzejmość. Po śmierci ojca okazali się dla niej nieocenioną podporą. Nie minął rok, a po depresji nie było śladu. Tak jak po zamiłowaniu do muzyki. Zdobyła się na jeden wysiłek. Zagrała „Koncert wiolonczelowy” Lutosławskiego z maestrią godną Rostropowicza i kiedy zaczęto ją porównywać z tym geniuszem, dała wzmiankę w prasie, że wszystkim dziękuje, ale już grać w filharmonii nie będzie. Żadnych uroczystych pożegnań, wywiadów i wspomnień, odstawiła instrument do kąta i kupiła zakład ogrodniczy. Zamiast melancholii

smyczka wolała szczęk sekatora do formowania żywopłotów. Nawet Rostropowicz by zrozumiał, gdyby choć ten jeden zobaczył.

Dom na cichych przedmieściach Val otaczała wysoka kunsztownie przycięta fala żywopłotu. Na szczycie przypominała gonitwę zwierząt z fikuśnymi odstającymi uszami. Nie sposób było nie podążać wzrokiem za tym ruchliwym stadem przedziurawionym ciasnym otworem na furtkę. Złudzenie ruchu dawały również gęste pnącza spiralnie oplatające budynek. Tylko dachówki oparły się pokusie i nie fruwały wokół komina.

Furtka była uchylona, dzwonek przy drzwiach frontowych zepsuty. Zaszedłem dom od ogrodu, przeciskając się między wytworami sekatora, dziewczynami w bufiastych sukienkach i nazbyt chudymi chłopaczkami w cylindrach. Popchnąłem przeszkłone drzwi wychodzące na taras, starannie wytarłem buty i wszedłem do salonu. Jak zwykle panował tu wzorowy porządek. Przesuwając cokolwiek, czułem się jak zamachowiec, którego obecność niezwłocznie zostanie zauważona. Zamierzałem bezpiecznie pobyczyć się na skórzanej kanapie z widokiem na kominek i niezliczone obrazki z rodzicami, ale zapachy przypomniały mi o cieście. Poszedłem do kuchni. Cofnąłem się o krok na skrzypienie pokrywy piekarnika.

Facet, który wyjmował sernik, bardziej ode mnie delektował się jego zapachem. Był w moim wieku, w dżinsach i koszulce polo. Gdyby nie kaptcie, pomyślałbym, że to pewny siebie złodziej. Poruszał się w kuchni jak domownik zaznajomiony z obyczajami matki. Blachę położył na desce do krojenia, bez namysłu sięgnął do właściwej szafki i wyjął półmiski. Elektryczny czajnik zaczął bulgotać, zalał dwie filiżanki kawy.

– Proszę o jeszcze jedną – powiedziałem.

Spodziewałem się gwałtownej reakcji, ale nie drgnął. Odniosłem wrażenie, że się namyśla, czy w niego celuję. Jednak obrócił się

z ciekawością dla dawno niewidzianego znajomego.

– To pan... – Uśmiechnął się, podszedł i uścisnął mi dłoń. – Dzień dobry. Jestem Robert.

– Hannibal.

– Beata jest jeszcze w ogrodzie, zaraz przyjdzie. Czarna ze śmietanką? Cukier... Dwie łyżeczki?

Coś o mnie wiedział. Skinąłem głową.

– Pracuję w zakładzie u Beaty. Czasem wyręczam ją w domu. Jak widzisz, nie tylko w machaniu łopata. Pomożesz?

Na tacy zmieściły się tylko filiżanki i jeden półmisek, wziąłem pozostałe i poszliśmy do salonu. Robert krzyknął w głąb ogrodu, że kawa na stole i usiedliśmy naprzeciwko siebie. Zacząłem od sernika, on od kawy. Mieszał ją flegmatycznie, gapiąc mi się prosto w oczy. Miał starannie spiłowane paznokcie i zadziwiająco równy przedziałek w czarnych gęstych włosach.

– Pisziesz coś? – zabrzmiało to niemal protekcjonalnie.

Zrewanżowałem się chłodnym spojrzeniem.

– Coś ty za jeden...

– Już powiedziałem – spłoszył się.

– ...że chodzisz w moich kapciach?

– Przepraszam... Beata... – Plątał się. – Chcesz...

Rozśmieszył mnie.

– Żartowałem, to nie moje kapcie – powiedziałem pojednawczo.

– Cześć, synku! – Matka weszła z ogrodu ucieszona i zmęczona. Objęła mnie w pól, trzymając dłonie z dala od marynarki. – Jaka miła niespodzianka. Tylko się umyję i zaraz wracam. – Posłała mi całusa i rzuciła do Roberta: – Och, nie gniewaj się, później dopijesz kawę, a teraz dokończysz pracę przy różach, dobrze?

Bez słowa wyszedł na taras, przeskoczył z kapci w kalosze i zniknął za dziewczyną w bufiastej sukience. Dokończyłem sernik, nałożyłem sobie jeszcze jedną porcję i zacząłem się pętać po domu. Znając nawyki higieniczne matki, miałem sporo czasu. Od śmierci ojca niewiele się zmieniło. Na wieszaku nadal wisiał jego rozpinany sweter, który zakładał, wychodząc po papierosy. Pod nim matka równo ustawiła buty, te same, w których go wyciągnięto z rozbitego samochodu. Już nie musiała go łajać, żeby je wyczyścić, ani dokuczać, że ma taki bałagan na biurku. Jego pokój był urządzony jak kiedyś, ale pedantycznie wysprzątany. Pootwierane książki i czasopisma wróciły na regały. Fruwające papiery zostały umieszczone w piętrowych kuwetkach, przybory do pisania w czyściutkich kubeczkach, do których ojcu zdarzało się strzepywać popiół z papierosa. Na komputerze i drukarce nie było śladu po tytoniowym osadzie. Nawet ołówek, który gryzł, kiedy nie szło mu pisanie, został skrócony o ślady zębów i ładnie zatemperowany.

Gdyby ojciec to zobaczył i się nie porzygał, w tak sterylnych warunkach nie byłby w stanie napisać słowa. Ale nie żył, niechlujne sanktuarium tworzenia zamieniło się w muzeum. Poczułem się niezręcznie bez filcowych kapci i pomyślałem złośliwie, że ten przybytek nie oddaje charakteru twórcy, lecz sumiennej sprzątaczkii. Jednak zajrzałem do szuflad, gdzie matka pilnie zgromadziła rękopisy i maszynopisy, połamane pióra, porysowane płyty, a nawet opakowania po miętówkach i każdy zwitek papieru, który ojciec sam by wyrzucił. Te wszystkie rysowane przez niego gwiazdki i wzorki były dla niej cennym dokumentem pisarskiej konsternacji i zamyślenia, każda dotknięta przez niego rzecz niemal relikwią, którą na swój sposób otaczała szacunkiem.

Lubiłem matkę. Potrafiła kochać szczerze i mocno, ale w granicach rozsądku. Bałem się, że z żalu zostanie zgorzkniałą wdową, która żyje tylko

wspomnieniami o nieboszczyku mężu i co dnia człapie na cmentarz, wyszorować marmurowy pomnik. Tymczasem myśl o ojcu rozpromieniała ją, popychała do działania, jakby chciała go w czymś prześcignąć. I nadal pomimo wieku była bardzo pociągająca. Pewnie dlatego patrzyłem na Roberta z dystansem, jakby już robił podchody do mojego błogosławieństwa.

Miałem poczucie rzadkiej wspólnoty, szczególnej więzi z ojcem, kiedy patrzyłem na zgromadzone przez niego książki. Nie dbał o jakość wydania, wyrzucał obwoluty, bo przeszkadzały w czytaniu, zaginał kartki, bazgrał na marginesach, podkreślał zdania, które go zaciekały. Interesował się praktycznie wszystkim. Nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego tę wiedzę sprowadzał do tandetnych miłosnych fabulek. Na dodatek katował się tymi mydlinami, rozwieszając na ścianach kiczowate grafiki żywcem ściągnięte z okładek książek. A to namiętny buziak, a to namiętny uścisk, a to namiętne spojrzenie, słodkie pierdzenie. Wytchnieniem dla oczu był tylko mały obrazeczek w gustownej drewnianej ramce. Zdjęcie zielonej polany, z której rozciągał się rozległy widok na wstęgę lasu i ledwie widoczne zarysy miasta. Wisiał tu od dawna, ale jakoś nigdy nie zwracał mojej uwagi. Wpatrzony w pejzaż czułem, że odpoczywam.

– Odpoczywał, kiedy na to patrzył – zza moich pleców powiedziała matka. Przebrała się w dżinsy i bawełnianą białą bluzkę, ładnie pachniała.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem, ktoś mu to dał w wydawnictwie. Poszedł na jakąś uroczystość, przesadził z alkoholem i co chwilę chodził do toalety. Był w złym humorze. Obrazek szurnął do kąta. Ja go tu powiesiłam, bo przecież ładny. Odgrzeję obiad. Zjesz, prawda?

15.

Przy pomidorowej i mielonych rozmawialiśmy o ogrodnictwie. Bardzo mnie to pasjonuje, gdybym nie jadł, to bym spał. Najpierw słuchałem uważnie, nawet zadawałem pytania, co matkę przyjemnie zaskoczyło. Potem się wyłączyłem, rytmicznie potakując. Dostosowała do tego tempo swoich wywodów, poszturchiwała mnie i śmiała się. Znała mnie. Zapamiętałem, że interes idzie doskonale, matka zainwestowała w hektary sadzonek, rozbudowała sieć dystrybucji, otrzymała złoty medal na targach agricośćam i na imieniny kupiła sobie biuro projektowania ogrodów. Innymi słowy kwitła. I śmiała się bez przerwy.

– Nie mogłeś zabrać ze sobą Krysi? – Późno sobie o niej przypomniała i wpadła w lekkie zakłopotanie. Zawsze była dla niej miła, ale wyczuwałem rezerwę wykluczającą przyjacielską zażyłość.

– Jesteśmy po rozwodzie – powiedziałem.

– Hanni, coś ty? Kiedy? – Przyglądała mi się uważnie. Przez chwilę podejrzewała, że żartuję.

– Niedawno.

– Nic nie mówiłeś. – Była zdumiona. – Tak jest lepiej... dla was obojga?

– Tak.

Nie wiedziała, jak zareagować.

– Dla ciebie to też lepiej, prawda? – zapytałem.

– No... Chyba jakoś dam sobie radę, nie?

Ja zaśmiałem się pierwszy. Potem matka, ale z wyrazem twarzy znamionującym wyrzuty sumienia. Mimo to w niezłych nastrojach poszliśmy do kuchni, pobuszować w lodówce. W domu zawsze były lody, nabrałem na nie ochoty. Miałem złudną nadzieję, że uda mi się uniknąć opowieści o rozkładzie pożycia, ale dostałem kopiatą porcję lodów waniliowych i tak długą serię pytań, że znów ogarnęła mnie senność.

Robert chyba nie chciał, żeby go posądzono o podsłuchiwanie. Pochrząkiwaniem zaznaczył swoją obecność, umył się i przebrał w toalecie. Po chwili tylko zajrzał do kuchni, żeby pomachać na pożegnanie. Zaskoczyły mnie jego sweter i buty. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, zapytałem:

– Dałaś mu rzeczy ojca?

– No coś ty, wszystkie ubrania taty są w szafie. No wiesz... – Była nieprzyjemnie zaskoczona.

– Nie gniewaj się – powiedziałem. – Sweter i buty są ładząco podobne...

– Rzeczywiście... Chyba nie pomyślałeś... Hanni... Pomyślałeś, wstydz się!

Spuściłem głowę, udając zawstydzenie.

– Mam na pęczki taki chłopaków – zaśmiała się. – Pracuje dla mnie tuzin mężczyzn i co drugi wdzięczy się, zaleca.

– Trudno się dziwić, pierwszorzędny z ciebie towarek.

– Ty draniu – zachichotała. – Za coś takiego nawet ciebie wyrzuciłabym z pracy.

– Roberta też? Gdzie znajdziesz taką dobrą gosposię?

– Trochę go nastraszyłeś, co? Niepotrzebnie. To dobry ogrodnik, bardzo pracowity, fajny chłopak. Można na nim polegać.

– Zdawało mi się, że jest odcytany – powiedziałem z przekąsem.

– Żebyś wiedział, kupił wszystkie książki taty. Czyta jedną po drugiej i pozwala się pytać na wrywki. A swoją drogą też mógłbyś się troszkę postarać dla taty.

– Co masz na myśli?

– Wkrótce jego trzecia rocznica śmierci. Wydawnictwo zaprosiło czytelników. Gdybyś przygotował parę słów...

– Hala widowiskowa, jakaś ekranizacja książki, milion ludzi?

– Coś w tym rodzaju.

– Spodziewasz się, że powiem coś cywilizowanego pod presją takiej tłuszczy...

– Mógłbyś chociaż raz...

– Nie myślałem o występach, raczej o książce.

Matka spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Ty, książka o tacie?

– Pozytywna, życzliwa, nie martw się.

– I nie przyplącze ci się jakaś rzeźnia?

– Dlaczego? Na próbę mogę napisać reportaż z twojej szkółki leśnej.

– Oczywiście, pod warunkiem, że cyprysy zaczną się mordować tępym narzędziem.

Spróbowałem dodać powagi swojej propozycji.

– Przydałaby mi się lista jego znajomych, tych najlepszych, którzy mają wyraziste wspomnienia, wyrobioną opinię, potrafią opowiedzieć anegdotę.

– Wydawnictwo już znalazło takich ludzi.

– Mnie nie znalazło. Pewnie mają takich, którzy swoje kwestie już wykuli na pamięć. Jakoś mnie ten spektakl nie interesuje.

Westchnęła.

– Wielu kolegów taty nie znam. Pilnował naszej prywatności, w sprawach zawodowych z nikim nie spotykał się w domu. Przychodzili do

nas tylko moi znajomi. Tacie odpowiadało, że nie czytali jego książek i nie zadawali głupich pytań. Rozmawialiśmy o orkiestrze, malowaniu płotu, zakładaniu skalniaka, wygłupialiśmy się.

– Chętnie z nimi porozmawiam.

– Na pewno będzie okazja. Aha... Mam! Dam ci telefon taty, znajdziesz tam numery setek ludzi, z którymi zamienił więcej niż dwa zdania. Uważał, że każda znajomość jest użyteczna.

Poszliśmy do muzeum. Matka umieściła telefon między skanerem i modemem, dokładanie tam, gdzie kładł go ojciec. – Daj słowo, że oddasz.

– Przysięgam na oczy mojej matki – powiedziałem.

– Cały ty... Ładowarka...

Spojrzałem na kontakt obok biurka – była, jak zawsze.

– Znasz PIN? – zapytałem.

– Rok moich urodzin. Niestety...

Poszliśmy jeszcze do ogrodu. Matka koniecznie musiała mi pokazać rośliny sprowadzone z Urugwaju. Bardzo ładne. I jeszcze areał wypieszczony przez Roberta. Czarujący. Znowu nawijała non stop. Potakiwałem do momentu, kiedy zaprosiła mnie na kolację. Nie skorzystałem.

Wyściskaliśmy się i obiecałem, że wpadnę za kilka dni. Zamknęła za mną drzwi, ale nie przekręciła zamka.

Zawróciłem i krzyknąłem w głąb domu:

– Matka, zamknij się!

– Dobrze, synku – odkrzyknęła z kuchni i zaśmiała się.

Powoli nadchodził zmierzch, zza granatowej chmury wymknęła się pierwsza gwiazda. W oddali usłyszałem stukot jadącego pociągu i ostre hamowanie auta. Znowu poczułem nagły niepokój.

16.

Przeklinałem się za spontaniczny pomysł napisania wspomnień o ojcu. Był bezgranicznie głupi. Roztoczyłem przed sobą morderczą perspektywę pogawędek z babami, które ceniły jego twórczość i sam siebie nie mogłem zrozumieć. Co druga to idiotka z przyozdobionym kokardką pieskiem na rękach. Dla ojca takie indywidua były chlebem powszednim, ale i on musiał od czasu do czasu odreagować, samotnie wypuszczając się na kilkudniowe grzybobranie albo na ryby.

Gdybym nie przekonał matki, nie byłoby o czym mówić. Ale przekonałem i miałem obawy, czy nie będzie mi teraz wiercić dziury w brzuchu. Coś takiego na własne życzenie... Jak to odkręcić? Na dodatek przyplątało mi się to: *Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka*. Zakląłem pod drzwiami własnego mieszkania.

Celując kluczem w zamek, zagłuszyłem te swoje piękne myśli i zacząłem nasłuchiwać. Skrzypienie kroków w przedpokoju było najzupełniej niespodziewane. Oddalało się i przybliżało. Odniosłem wrażenie, że złodziej raz po raz podchodzi do drzwi i w jednym miejscu układa łupy do wyniesienia. Kiedy skrzypienie ustało tuż przed moim nosem, odsunąłem się od wizjera, przekręciłem klucz w zamku i natarłem ramieniem na drzwi.

Popchnięta gosposia skoczyła jak zając, a potem pobiegła truchcikiem, zatrzymując się na regale z książkami.

– A niech to cholera! – Nie mogła złapać tchu. – Bardzo pana przepraszam...

– To ja przepraszam – powiedziałem. – Myślałem, że ktoś mnie okrada. Tyłeczek ocalał?

– Taaak. Ale mnie pan wystraszył. – Jeszcze zipała. – Wiem, wiem, miałam przyjść rano, ale siostra zachorowała i jakoś tak zleciało do wieczora. Gdzieś posiałam numer telefonu do pana, więc po prostu przysłałam. Bardzo pan pogniewany?

– Już pani skończyła?

– Tak, tylko zostały worki ze śmieciami, akurat je składałam pod drzwiami do wyniesienia. Zaraz pójdę.

– Chwileczkę...

Usiadłem przy biurku i przyjrzałem się jej. Chyba pierwszy raz, choć sprzątała od kilku tygodni. Patrzyła na mnie wyczekująco. Nie była ciekawa, tylko czekała na prosty komunikat. Pomyślałem, że ma pięćdziesiąt pięć lat, że dawno temu na jej ziemistej twarzy pojawiło się zmęczenie i tak już zostało. W niebieskim fartuchu roboczym nie miała kształtów. Demaskował ją głos: kiedyś była kobietą. Postanowiłem sprawdzić, czy w jakimś stopniu jest nią nadal.

– Ile ma pani lat?

– Pięćdziesiąt jeden, proszę pana.

– Odjęła pani sobie cztery lata, prawda?

Zaczerwieniła się.

– A teraz szczerze. Za panią na ścianie wisi zdjęcie kobiety wyglądającej z samochodu. Proszę powiedzieć bez namysłu, co pani pomyślała, przyglądając się jej?

– Żeee... – Przyłapaną na kłamstwie nie mogła zebrać myśli. Nie chciałem, żeby się odwracała, zabroniłem jej palcem. – ...to elegancka

wykształcona kobieta, chyba bardzo ładna, zgrabna...

– Ile może mieć lat?

– Jest taka zadbana... Wygląda młodo.

– Proszę się odwrócić. I co pani widzi?

Rozdziawiła gębę.

– Wie pan... Tu prawie... nic nie widać.

– To skąd ta ładna, wykształcona, zgrabna...

– Nie wiem. Jak pan tak każe na zapalenie płuc, to jakoś tak samo przychodzi...

– Daleko ma pani do domu?

– Blisko, bardzo blisko, dwie ulice i już. – Chyba przeraziła ją myśl, że mógłbym ją odprowadzić. Szybko się pożegnała i potykając się o wagę pokojową, potaszczyła za drzwi dwa worki śmieci.

Po kolacji wyciągnąłem się na kanapie, włączyłem telewizor i z książką w ręce zacząłem zasypiać, trawiąc tę ładną, wykształconą i zgrabną. Skąd gosposi to wszystko przyszło do głowy, skoro na poruszonym zdjęciu tylko płeć nie budziła wątpliwości? A cóż innego miała powiedzieć? Facet oprawia zdjęcie, wiesza na ścianie. Nie pomyślała, że przedstawia kogoś nieznanego. Uważała, że ta kobieta jest mi bliska i na wszelki wypadek postanowiła ją skomplementować. Ot i cała historia.

Spałem już na dobre, kiedy zadzwoniła matka.

– Kostnica, słucham.

– Synuś, tylko mi nie mów, że już spałeś.

– Po rozwodzie stanowczo postawiłem na zdrowy tryb życia – odparłem.

– Coś takiego... Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś doładował telefon.

– Co?

– Telefon taty, jest sprawny. Teraz już bardzo rzadko ktoś dzwoni. Nie uwierzysz, ale są jeszcze ludzie, którzy myślą, że tato wciąż żyje.

- Eskimosi? Jak ty z nimi rozmawiasz?
- Hanni... Przeważnie to jacyś dziwacy oderwani od rzeczywistości, ale sympatyczni ludzie.
- Jak już się dowiedzą, że nie żyje, to może wyrzucają telewizory przez okna albo łapią za pogrzebacz, żeby zabić sąsiadkę.
- Oj, synku, w kogo ty się wdałeś... Tato nie rozstawał się z telefonem, byłby zadowolony, że wciąż działa.
- Zrozumiano: doładować.
- Pa. – Odłożyła słuchawkę. Chyba ją trochę wkurzyłem.

17.

Telefon wybił mnie ze snu. Wziąłem gorący prysznic, ubrałem pidżamę i położyłem się do łóżka. W telewizji szukałem jakiegoś programu przyrodniczego. Nic mnie tak nie uspokaja, jak jakieś ruchliwe robale toczące gównianą kulkę lub coś w tym rodzaju. A tu niemal na każdym kanale porno i porno. Senność dopadła mnie dopiero przy krajobrazach filmowanych z lotu ptaka. Islandia, Norwegia, Nowa Zelandia, najpiękniejsze kraje świata... Ziewałem do łez. Urzeczony tymi pejzażami wyłączyłem telewizor i ułożyłem się na boku. Fruwałem jeszcze nad odległymi rzekami i dolinami jak pijany paralotniarz, któremu tak samo miłe chmury i góry. Sen nadchodził nieuchronnie, pejzaże zwolna nikły w oparach mgieł pochłanianych przez mrok. Kiedy ten mrok przebiły kontury dwóch wież kościołów, wstałem, zapaliłem lampkę na biurku i włączyłem komputer.

Nie lubię korzystać z szuflad, zwykle zapominam, co w nich jest. Pewnie dlatego w zakamarkach biurka umieściłem płyty ze zdjęciami, które kiedyś robiłem dla przyjemności, a których oglądanie od dawna przyjemności mi nie sprawiało. Zdjęć z Val i okolic było mnóstwo. Co do jednego nic specjalnego. A mimo to ich nie wyrzuciłem. Dla ojca każda znajomość była cenna. Dla mnie każdy szpargał, który nie miał znaczenia, dopóki nie zaczynał przewracać wszystkiego do góry nogami.

Najpierw przeglądałem zdjęcia w opcji full screen, ale zdawało mi się, że nie posuwam się ani o krok, zwłaszcza że Val to setki podobnych do siebie ulic z czarnym asfaltem i jasnymi budynkami w kształcie klocków. Wiele lat temu centrum miasta wyniosło się ze starówki zaniedbanej do tego stopnia, że nadal z powodzeniem kręcono tam filmy wojenne. Kiedyś lubiłem fotografować te ciasne śmierzące zaułki, walące się kamienice wznoszone niegdyś przez arystokratów i bogatych kupców, którzy dziś kołysali się w centrum powyżej pięćdziesiątego piętra, a nocą zasypiali za miastem. Na starówce zastąpili ich alkoholicy, złodzieje i rzezimieszki od mokrej roboty. Na każdej ulicy można było odnieść wrażenie, że wszyscy żywią się tynkiem.

Przeglądając miniatury, przeskakiwałem dziesiątki zdjęć dokumentujących odrażające podwórka, przewracane pojemniki na śmieci i szczerbate babiny zajęte pilnowaniem wnucząt budujących w piaskownicach babki z psich odchodów. Byłem senny na potęgę, ale musiałem przejrzeć wszystko. Zaparzyłem kawę, zapaliłem papierosa i nie mogłem dostrzec czegoś, co na ułamek sekundy zamigotało mi w głowie. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy naprawdę zamigotało. Dwie wieże kościołów gdzieś w Skandynawii obudziły we mnie przekonanie, że bardzo podobne obiekty istnieją w okolicy Val. Nie pamiętałem ich, co mogło oznaczać, że przelotnie widziałem je tylko raz i nie wywarły na mnie żadnego wrażenia. Po prostu miałem dziwne przeczucie i żadnego pomysłu, co zrobić z tymi kościołami, gdyby się znalazły.

Val było otoczone niezliczonymi pagórkami, między nimi ulokowały się niewielkie wioski. Niektóre zostały rozjechane przez wielopasmowe magistrale drogowe i zamieniły się w rzędy bezbarwnych hurtowni, magazynów i zakładów usługowych. Resztę wykupili bogacze, równając z ziemią pasterskie chałupiny i budując wystawne wille. Tylko kościoły

zanadto się nie zmieniły. Przed wiekami, jeśli zachodziła taka potrzeba, budowano po dwa, dla katolików i ewangelików. Właśnie takich wypatrywałem.

Poszczyściło mi się o czwartej nad ranem. Znalazłem sześć miejscowości, gdzie kościoły znajdowały się obok siebie. Ale tylko w jednej za wstęgą lasu, przed zamglonym nierozpoznawalnym konturem zabudowań Val. Fragment zdjęcia, który mnie tak zelektryzował, był nie większy niż czubek palca. Poza nim, oprócz nieba i zielska porastającego pobocze szosy, próżno było szukać polany, na którą codziennie ojciec patrzył i odpoczywał. Zdjęcie było kiepskie, zrobione przez okno samochodu z perspektywy pasażera. Nie mogłem sobie przypomnieć, kto to mógł być.

Dałem sobie kilka godzin snu. Na dźwięk budzika zrobiłem śniadanie i wziąłem prysznic. Jeszcze wydrukowałem zdjęcie kobiety wyglądającej z samochodu, opróżniłem skrzynkę na listy i wybrałem się na przejażdżkę do Isy.

18.

Kiedy utknąłem w korku przy wjeździe na autostradę, przejrzałem pocztę. Oprócz rachunków i reklamówek była tam utrzymana w uprzejmym tonie oferta pracy z oddalonego o sto kilometrów Ost. Miałem stamtąd kilka stałych propozycji. Nie skorzystałem akurat dlatego, że każdy na moim miejscu takiej okazji by nie odrzucił. Jednak jadąc w tamtym kierunku, zawsze zastanawiałem się, jak długo wytrwam w tym uporze.

Val było młodszą i brzydszą siostrą Ost. Kiedy zaczynało się rozmnażać o kolejne huty i fabryki, Ost już niemal bez reszty zawładnęło kulturą, stylem i rozmachem. Tam jechało się dla przyjemności i kariery, do Val przeważnie z braku innego wyjścia. Wyjątki tylko potwierdzały regułę. W Val było zaledwie kilku powszechnie znanych ludzi, w Ost paparazzi pracowali na trzy zmiany. Tam za cnotę uważano popularność, tu anonimowość, półmrok, ubocze.

Isy było opłotkami tego ubocza. Nie lokowano tam nawet dziupli do demontażu kradzionych aut. Pewnie dlatego, że po zjeździe z autostrady do Isy prowadziła zaniedbana droga wiodąca ostro pod górę, coraz węższa i na koniec zanikająca wśród kamienistych nieużytków. Nieliczne domy pokryte omszałą dachówką położone były z dala od siebie, wciśnięte w obniżenia między pagórkami, niewidoczne do połowy okien. Można było odnieść wrażenie, że tu każdy chce widzieć, ale nie chce być dostrzeżony.

Kiedy przyhamowałem na poboczu drogi, nawet pies nie zaszczekał. Żadnego powiewu, odgłosu, ruchu. Tylko kurz opadł szybko jak w niemym filmie, odsłaniając rozgrzaną słońcem okolicę, którą chciałem widzieć nad biurkiem ojca. Ale wszystko było nie tak. Kontury Val zasnuła rozedrgana warstwa smogu. Poniżej przydrożnych krzaków nie było żadnej polany. Zamiast zwartej wstęgi lasu zobaczyłem gigantyczną bryłę hali fabrycznej. Na niebieskim tle wymalowano cztery nałożone na siebie płytki podłogowe, każda wielkości boiska do siatkówki. Nie od razu zauważyłem kościoły. Na tle fabryki wyglądały jak litery niewprawną ręką dopisane do nazwy RDAAX. Nie było w nich okien ani drzwi, z blaszanych dachów pozostała tylko więźba.

Wyszukałem w głowie obrazek z pokoju ojca i zwątpiłem. Zwłaszcza w tę głowę, która zmuszała mnie do uległości wobec niejasnej obsesji. Oparłem się plecami o auto i zaczerpnąłem powietrza, którego nawet w Isy zaczynało brakować.

– Jakoś duszno dzisiaj – powiedział mężczyzna w podkoszulku, wyłaniając się z krzaków poniżej drogi. Miał owłosione ramiona i grabie w ręku. – Podziwia pan okolicę?

Podąłem mu rękę.

– Raczej jestem zaskoczony.

– Nie dziwię się. Na emeryturze człowiek szuka pięknej okolicy, wytchnienia dla oczu. Odnajduje tę ostatnią przystań, zachwyca się, a potem...

– ...dostaje coś takiego.

Oparł się o grabie, jakby nie mógł stać o własnych siłach i z obrzydzeniem gapił się na fabrykę.

– Ile ja się najeździłem, żeby znaleźć Isy. Byłem gliną w Ost, ale tamte okolice są dla mnie za drogie, więc jeździłem coraz dalej. Jak zobaczyłem

te wzgórza, z miejsca byłem zakochany. Mieszkam tam. – Pokazał grabiami dom, którego wcześniej nie zauważyłem. Był podobny do pozostałych, ale po remoncie, z nową elewacją i modnym trzciniowym dachem.

– Uroczy domek, ziemia dookoła też jest pańska?

– Dziesięć hektarów za grosze, tak mi się wtedy wydawało. A teraz przez to cholerne RDAAX za darmo nikt by tego nie wziął. Najgorsze, że w nocy kombinat kopci jak cholera. Kiedyś tu ściągnąłem ochronę środowiska, ale nie kiwnęli palcem.

– Chciał pan wygrać z bratem burmistrza.

Spojrzał na mnie jak na znajomego.

– Obcemu nikt nie powiedział, że z Arturem Kraftem lepiej nie zaczynać.

– Nikt?

Uczynił ruch ręką, jakby chciał dotknąć paskudnej blizny na czole.

– W końcu ktoś mi to wytłumaczył... Na szczęście jestem dość stary, żeby nie dać się wykończyć dla zasad. I pomyśleć, że na początku Kraft wydał mi się całkiem sympatyczny.

– Był tu?

– Przyjechali trzema czarnymi samochodami, wielkie anteny, obstawa, ciemne okulary, rozpylacze. Ale dla mnie to nic takiego. Pogadaliśmy, pożartowaliśmy, żona przyniosła z domu zimne piwo. Myślałem, że Kraft kogoś tu zna i przy okazji chce zobaczyć widoki, a on właśnie kombinował, jak te widoki oszpecić. Bydlak.

Znów spojrzał na mnie, jakby sobie coś przypominał.

– Pana tu też kiedyś widziałem...

Zaskoczył mnie.

– Dawno mnie tu nie było...

– No, ostatni raz widziałem tu pana ze trzy, może cztery lata temu. Miał pan wtedy takiego niebieskiego bmw. Widywałem go z daleka, ale

pracowałem w drogówce i mam oko do samochodów. Stary, udany model, dlatego zapamiętałem.

– Zgadza się – odpowiedziałem. – Gdzieś tu w okolicy była taka piękna polana, wspaniały punkt widokowy.

– Ma pan jednak krótką pamięć. Chodźmy. – Mężczyzna odstawił grabie pod drzewo i ruszył przodem.

Poprowadził mnie poboczem drogi i skręcił w zarośniętą polną ścieżkę wśród łąk obsypanych dzikimi kwiatami. Najpierw wiodła w dół, skracając horyzont, potem w górę na skraj stromego urwiska. Na trawiastym cyplu nie było widać Isy, za to wokół roztaczał się widok na długą dolinę z malowniczą krętą rzeką tworzącą niewielkie wodospady. Na zboczach rosły rozchwiane sosnowe lasy, ponad nimi kępy kosodrzewiny u podnóża form skalnych przypominających zajęte dyskusją ludzkie postaci. W oddali były już tylko wierzchołki gór ciągnących się dziesiątkami kilometrów. Powbijane w chmury czuby zbudowane z popękanych skał i osuwających się głazów. Kiedy nie patrzyłem pod nogi, ulegałem złudzeniu, że unoszę się w powietrzu.

– Pejzaż bez skazy, prawda? – Mężczyzna zdawał się być dumnym posiadaczem wszystkiego, co mógł objąć wzrokiem. – Gdyby nie ten syf. – Stanął tyłem do fabryki, jakby chciał jej dokuczyć.

– Kiedy zbudowano zakład?

– Postawili to pudło w jeden rok, straszy od jesieni.

Cofnąłem się o kilka kroków i wyobraziłem sobie okolicę bez fabryki i z kościołami w dobrym stanie. Nie mogłem się pomylić, to było to. Zastanowiło mnie, dlaczego autor zdjęcia, które zdobiło ścianę nad biurkiem ojca, wycelował obiektywem akurat w to miejsce. Miał nadzwyczajny wybór – to, z fabryką czy bez, było najmniej ciekawe.

W dolinie wzdłuż rzeki biegła piaszczysta droga, za nią nieopodal kościołów stała drewniana wiata z ławeczkami.

– Tam na dole jest jakiś szlak turystyczny?

– Był, nawet można tam było dojechać samochodem, zrobić sobie piknik. Już nie można. Odkąd stoi fabryka, droga została zagrodzona płotem z drutem kolczastym. Szlak został wytyczony gdzie indziej. Wie pan... – Zawahał się

– Tak?

– Znam się trochę na ludziach, ale nie chcę być wścibski. Nie musi mi pan mówić, ale czego właściwie pan tu szuka?

Wyjąłem zdjęcie z kieszeni marynarki.

– Tej kobiety.

Dostrzegłem błysk ironii, gdy na nią patrzył.

– Pan wybaczy, ale na tej podstawie dość trudno o rysopis... Zaginęła?

– Powiedzmy, że jej szukam.

– No tak... Nie założyłbym się, ale to chyba honda accord. Czarna... Tysiące takich jeździ...

– Była tu?

– Kobieta? Może to ta... – Wzruszył ramionami. – Raz czy dwa ją widziałem. Samochodu nie pamiętam, ale przecież na piechotę tu nie przyszła. Wie pan, ja się stąd prawie nie ruszam, trudno tu kogoś pominąć, nie zauważyć, ale bez przerwy w oknie nie siedzę, nie lecę do każdego, żeby się przywitać. To nie jest tak, że jak ktoś przyjeżdża do Isy, to zaraz robi się zbiegowisko. Tu każdy pilnuje swojego nosa, a mnie nigdy nie przeszkadzało, że ktoś idzie na urwisko i robi zdjęcia. Na początku sam robiłem, w dzień i w nocy, o świcie, o zmierzchu. Przecież sam pan widzi, że to czarodziejskie miejsce.

– Robiła zdjęcia?

– Może robiła, może patrzyła przez lornetkę, nie wiem. Nie wiem, czy pan tę kobietę chce udusić czy uratować, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć tylko tyle, że widziałem tu podobną kobietę. Nie wiem, czy to ta sama i nie będę przysięgał, że na zdjęciu widzę hondę. – Rozłożył ręce. – Nic nie poradzę.

– Jak wyglądała?

– Słowo daję, nie wiem. Nie rozmawiałem z nią, widziałem z daleka. To było tak dawno... Nie chcę zmyślać.

– Mimo to bardzo dziękuję.

– Proszę bardzo.

– Jak dotrzeć do wiaty na rzeką?

– Dziwne ma pan zachcianki... Koło mojego domu jest ścieżka, zejście jest bardzo łagodne. Proszę nie iść do pierwszego mostka, tylko skręcić w prawo. Zobacz pan drugi i tam przejdzie przez rzekę. Las jest gęsty, strażnicy z fabryki pana nie zobaczą.

19.

Zostawiłem marynarkę w aucie, zapaliłem papierosa i bez pośpiechu udałem się na wycieczkę. Zejście rzeczywiście było łagodne, szum rwącej rzeki przynosił ulgę w upalne południe. Pierwszy mostek prowadził wprost do bramy w ogrodzeniu z metalowej palisady, przy której ustawiono budkę strażnika i dwie ruchome kamery na wysięgnikach. Ominąłem to miejsce z daleka. Drugi mostek przerzucono łukiem tuż nad wodospadem. Posłuchałem, jak szumi, wypatrzyłem kilka ryb wyrywających się ze strugi bijącej o kamienie i poszedłem dalej.

Kościół strawił pożar, zapadły się stropy, wokół leżało pełno dachówek i szkiele. Przez wybite okna można było dostrzec dolne końcówki liter RDAAX. Nie były to już romantyczne ruiny zachęcające do pikniku. Spod wiaty spojrzałem na cypel, z którego rozciągał się oszałamiający widok na okolicę. Z dołu wyglądał jak monumentalny grzyb z niewielkim kapeluszem, ale wokół zamiast igliwia i mchu były tylko śmieci.

Miałem nadzieję, że coś w tych śmieciach znajdę. Coś więcej niż plastikowe butelki, opakowania po papierosach i czipsach. Była tam jeszcze dziecinna zimowa rękawiczka, zniszczony wiklinowy koszyk na kanapki, pomięte sreberka po słodyczach. Czułem, że mam jedną szansę na milion, że znajdę coś istotnego.

Znów podniosłem głowę w stronę cypla. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że ktoś mnie stamtąd obserwuje, ale to wiatr rozkołysał czuprynę

trawy na krawędzi urwiska. Usiadłem na ławce i wsparty na łokciu zasłuchałem się w odgłosy lasu.

Nigdy nie byłem w Isy dla podziwiania widoków. Z pewnością zrobiłbym wtedy dużo zdjęć, a miałem tylko jedno. Zdawało mi się, że przyjechałem tu po świadka i to on raczej bawił się moim aparatem, niż fotografował. I nie było to trzy ani cztery lata temu, pamiętałbym o tym.

Czasem zwracano mi uwagę na fizyczne podobieństwo do ojca. Było w tym trochę przesady, ale z dużej odległości mogło się wydawać uderzające. To dlatego emerytowany policjant uważał, że już mnie tu kiedyś widział. Mogło tak być, choć nigdy dotąd go nie spotkałem. Jednak niebieskim bmw ojciec jeździł przez wiele lat i miał do tego auta taki sam sentyment, jak spostrzegawczy glina.

Coś było nie tak ze zdjęciem oprawionym w ramkę, które ojcu miał podarować ktoś z wydawnictwa. Dlaczego sfotografował to miejsce, skoro w zasięgu ręki było tyle ciekawszych pejzaży? Może wiedział, że dla ojca jest szczególne. Tylko z jakiego powodu? Na poczekaniu postawiłem szaloną hipotezę, że ojciec miał romans i już nie mogłem wyhamować. Ukrywał to, więc odludne okolice były mu na rękę. Może tu umówił się na pierwszą randkę i dlatego to miejsce było dla niego takie ważne? Może nadal z kimś się tu spotykał albo z sentymentalnych powodów pojawił się na cyplu i sam zrobił zdjęcie? Policjant widział go niedługo przed śmiercią, a widoczek wisiał nad biurkiem ojca znacznie dłużej. Czy mogło to trwać latami?

Wymyślając na potęgę wskutek urlopowego nieróbstwa, mogłem się zagalopować w dowolnym kierunku. Co z tego, że ojcu tu się podobało? Każdy normalny człowiek nie przywiązywałby najmniejszej wagi do tego, co wisi nad czyimś biurkiem i nie okazywałby podejrzliwego zaciekawienia kobietą, która wygląda z auta. Każdy normalny człowiek...

Spojrzałem na stary drewniany stół pod wiatą. Błat był zmasakrowany nożami i długopisami przez młodocianych kretynów, którzy muszą pochwalić się znajomością kilku wiadomych wyrazów, zaznaczyć swoją obecność, wyznać lub zwulgaryzować cielecą miłość. Ojciec odruchowo i bez zastanowienia rysował te swoje charakterystyczne gwiazdki i wzorki. Były ledwie widoczne. Ale były.

20.

Nie potrafiłem się do tego ustosunkować. Dziesięć lat temu takie odkrycie wstrząsnęłoby mną. Czy powiedziałbym matce?... Może... Ale jak bym to zrobił?...

Była najmiłszą osobą, jaką znałem i relacje rodzinne nie mają tu nic do rzeczy. Wielu ludzi tak uważało. Jak sięgnę pamięcią, zawsze była kimś, kogo bardzo się lubi. Po śmierci ojca, kiedy uporała się z żałobą, budziła powszechny podziw i zainteresowanie. Jej obecność poprawiała nastrój, uciszała podniesione głosy. Gdybym pokłócił się z ojcem w jej obecności, pewnie nasze stosunki ułożyłyby się inaczej. Nie pamiętam, żebym wdał się z nią w jakiś zażarty spór. Co najwyżej można się było trochę poprztykać i mieć potem wyrzuty sumienia. Nigdy w stosunku do niej nie posunąłem się do wrednej złośliwości, na co było mnie stać. Na krzywdzenie jej nie było stać nikogo.

Nie powiedziałbym o romansie ani dziesięć lat temu, ani teraz. Zwłaszcza teraz nie miało to najmniejszego sensu. Pomyślałem o jej satysfakcji z tego, co robi, o wypieszczonym domowym muzeum, uporządkowanym życiu wdowy, która otacza się kultem męża, ale nie pozwala mu sobą zawładnąć. Musiałbym upaść na głowę, żeby to popsuć.

Pojechałem do domu, żeby o wszystkim zapomnieć.

Gdybym nie jechał, tylko szedł, pewnie powłóczyłbym nogami. Auto toczyło się coraz wolniej i wolniej, przed światłami ustawiały się coraz

dłuższe kolejki. Ogarniała mnie senność i na zielone światło reagowałem z opóźnionym zapłonem. W końcu ktoś zatrąbił na wałęsającego się po jezdni psa i przywrócił mi trzeźwe spojrzenie. Przy pierwszej lepszej okazji żwawo przycisnąłem pedał gazu.

Po lewej stronie drogi spostrzegłem stację benzynową i myjnię, w której byłem wczoraj. Zapomniałem o tankowaniu, więc przejechałem na wariata przez ciągłą linię i z piskiem opon zatrzymałem się przed dystrybutorem. Znow wyszedł do mnie ten sam chłopak w uniformie zalatującym proszkiem do prania i gapił się na ulicę, jakbym pozostawił za sobą chmurę dymu i ofiary w ludziach.

– Chciał pan kogoś zgubić? – zapytał, odkręcając korek. – Zdawało mi się, że biała furgonetka z tyłu też tak po kozacku zakręci na stację, ale kierowca odpuścił.

– Poważnie? Nie patrzyłem w lusterko wsteczne – odparłem szczerze.

– Bardzo szybko się zbliżał, jakby chciał pana nastraszyć.

– Niemożliwe...

– Myślałem, że w pana zawodzie takie przygody to normalka. – Spojrzał na mnie porozumiewawczo. – Do pełna?

Skinałem głową i podałem mu rękę.

– Miło spotkać czytelnika.

– Mam na imię Albert – przedstawił się. – Bardzo mi miło. W nocy czytam, jak nie ma dużo klientów.

– A romanse czytasz?

– Jeszcze czego. Siostra czasem podczytuje, ale jej nie podchodzi. Jest technikiem w gazowni, to chyba nie ten typ.

– Nie daj się nabrać, każda kobieta jest romantyczna, o ile nie zapomniała, że jest kobietą. Tę kiedyś widziałeś? – Pokazałem mu zdjęcie.

Cofnął się o krok i patrzył na nie z daleka.

– Nie.

– Na pewno?

– Zdjęcie jest bardzo słabe... Nie kojarzę.

– Widziałem ją kiedyś na tej ulicy, jechała w tym samym kierunku, co ja.

– Kobieta raczej nie złamałaby przepisów w ten sposób. – Zaśmiał się. –

Chwila, zapytam kasjerów, taki moment, że wszyscy są.

Albert wziął ode mnie zdjęcie i wszedł do budynku stacji. Przez szybę widziałem, jak kasjerzy stanowczo kręcą głowami i straciłem dla nich zainteresowanie. Rozglądałem się po monitoringu. Kamery powinny penetrować budynek stacji, wjazd i wyjazd, stanowiska do tankowania, myjnię. Powinny, bo miałem przeczucie, że to atrapy.

– Wiem, co pan myśli, ale nic z tego – powiedział Albert.

– System padł, mimo to napadów nie ma, więc nikt się monitoringiem nie przejmuje. Prawda?

– Kurczę... Padł w zeszłym roku. – Albert był pełen podziwu. – Nie wiem, skąd pan to wie, ale proszę nikomu nie mówić.

– Zgoda. Zatrzymaj zdjęcie, dam ci jeszcze wizytówkę. Gdybyś zobaczył tę kobietę...

– Dobra. Unieruchomię jej wóz i dam znać – powiedział z entuzjazmem, którego nie podzielałem.

– Nie, wystarczy, że zapiszesz numery i markę samochodu. Chcę tę kobietę odszukać, nie dorwać. Rozumiesz?

Wydawało mi się, że był odrobinę zaskoczony. Pewnie uważał, że nie mam żadnych skrupułów. A mnie poszukiwanie kobiety, która z moimi podejrzeniami mogła nie mieć nic wspólnego, podobało się już trochę mniej.

21.

Przesiadanie w knajpie na skraju parku i gapienie się na ulicę wydawało mi się jak najbardziej na miejscu, choć bez sensu. Ta kobieta mogła tędy przejeżdżać przypadkiem i już nigdy się tu nie pojawić. Nie wiedziałem, jak się nazywa, jak wygląda, czym się zajmuje, a nawet jakim jeździ autem, bo przecież hondę mogła już dawno sprzedać i kupić inny wóz. Zresztą kobieta z hondy na ulicy i odbywająca wycieczki do Isy, to mogły być dwie różne osoby. Nie miałem nic, tylko wzorki pod opuszczoną wiatą dla turystów.

– Jesteś smutny? – Rozalia usiadła naprzeciwko mnie i bacznie mi się przyglądała. Ja jej też. Znów miała ten sam pełen swobody uśmiech, czarne proste włosy i gładkie czoło nastolatki. Pomyślałem, że kiedyś to wszystko wyleci mi z pamięci z wyjątkiem owłosionego znamienia na jej lewym pośladku.

– Hej, jesteś tam? – Pomachała mi ręką przed oczami. – To ja, Rozalia.

– Cześć, Roza. Wolno ci przesiadywać z klientami?

– Wracam prosto z zajęć, dopiero za kwadrans przebiorę się za kelnerkę.

– Jesteś studentką?

– Jezu, pół dnia ci o tym opowiadałam.

– No, właśnie.

– Interesuje cię tylko mój tyłek?

– Roza, możesz być z niego dumna.

– Jesteś podły, wiesz?

Udawała, że się gniewa. Nic jej nie przeszkadzało. Pogrzebała w torebce, znalazła szminkę i umalowała usta. Kiedy kelner postawił przede mną befsztyk, zaczęła trąkotać o wydarzeniach na uczelni. Studiowała geografie, ale nie miała nic do powiedzenia o ciepłych krajach, tylko o napalonych kolegach i skamieniałościach przewodnic. Befszyk mi stwardniał od tych skamieniałości, więc tylko udawałem, że słucham. Nie była moją matką, nie połapała się.

Jej trąkotanie brzmiało jak jeden niekończący się wyraz, po którym postawiła kropkę, zaczerpnęła tchu i zapytała:

– Jesteś rozwiedziony, masz urlop, czym ty się właściwie zajmujesz?

– Szukam kobiety.

– Fajnie.

– Co, fajnie?

– Wskoczmy gdzieś wieczorem. Chyba że będzie tak dużo klientów, że będę miała dość. Co ty na to?

– Może przyjadę po ciebie. Jeśli nie będzie mnie o dziesiątej, nie czekaj.

– W porzo, przystojniaku.

Zazdrościłem jej. Była inteligentnym produktem bezstresowego wychowania, które nie wyklucza wrażliwości, ale potrafi umiejętnie omijać emocjonalne mielizny. Kiedy napotykała przeszkodę, szybko oceniała, czy może ją przeskoczyć. Jeśli uważała, że to niemożliwe, bez nadmiernych wahań i rozterek szła w innym kierunku. Była zaprogramowana, by nie tracić czasu na to, co niepraktyczne i nieprzyjemne. Znałem ją przelotnie, ale miałem pewność, że nigdy się nie czerwieni, zanadto nie irytuje, nie przejmuje tym, co inni o niej pomyślą. Budziła się z radością i zasypiała z błogim przekonaniem, że jest nieśmiertelna.

Akurat tego jej nie zazdrościłem. Nieśmiertelność wydała mi się bardziej nudna niż książki ojca. Nagle wpadłem na to, że je kupię i powiem o tym matce. Pomyślałem chytrze, że bardzo ją to ucieszy i da mi spokój z pisaniem wspomnień.

Książki ojca można było kupić w każdej księgarni, a nawet w większych kwiaciarniach, w których sprzedawano prezenty na okoliczność imienin, urodzin, rocznic, awansów, walentynek itd. Był tam największy wybór ozdobnych opakowań, wstążek, kartek z melodyjką, amuletów i słoni z podniesioną trąbą.

Zatrzymałem auto pod jednym z takich przybytków, wszedłem do środka i zachwiałem się pod naporem zapachów i bezużytecznych dupereli. Oczy sprzedawczynie w różowym uniformie błyszczały jak zapachowe świece.

– Proszę mi podać dzieła zebrane Dawida Smoke'a – powiedziałem z patosem, jakby chodziło o Tołstoja.

– To aż trzydzieści tomów – mruknęła z niechęcią, dając mi do zrozumienia, że tego autora należało czytać systematycznie. – Są w jednym kartonie. Proszę poczekać, przyniosę z zaplecza. – Wyciągnęła ręce i poszła jak lunatyczka.

Karton był długi, otwarty na grzbiety książek, zdaje się dopasowany do szerokości typowego regału. Zasapała się, kładąc go na ladzie.

– Wspaniały pisarz – powiedziała. Zabrzmiało to jak podziw dla producenta worków z cementem.

– Znała go pani?

– A owszem, miałam tę przyjemność – pochwaliła się.

– Jest pani bardzo atrakcyjna, nie starał się z panią umówić?

– To nie był byle kto – odparła spode łba.

Nie dyskutowałem. Babsko było podobne do konia.

22.

Pierwsze książki ojciec pisał ręcznie, miał markowe pióro i ładny charakter pisma. Potem ograniczył się do walizkowej maszyny do pisania. Walił w nią jak kowal. Jeśli wtedy zniszczył jakieś papiery, były nie do odzyskania. Zresztą maszyna też się nie zachowała. Pamiętam, z jaką radością ją wyrzucił, kiedy docenił zalety komputera. Pewnie na początku zakładał, że każdy tekst zapisany w wersji elektronicznej po usunięciu znika bezpowrotnie. Ale tak nie było. Twarde dyski i serwery mają swoje potajemne zakamarki. Można się było dobrać nawet do zaszyfrowanej poczty. Każdego zdradza również telefon komórkowy. Poza treścią ulotnych rozmów można było ustalić, z kim przed śmiercią rozmawiał, co pisał i do kogo. Wystarczyło zachęcić do tego paru zręcznych magików. Miałem jednak wątpliwości...

Nie byłem pewien, czy wyrzucam sobie pójście na łatwiznę, czy mam nietypowe dla siebie dziecinne dylematy moralne. W pracy już dawno odstawiłem je na czas sądu ostatecznego, a tu, ni z gruchy, ni z pietruchy, pomyślałem o szpiegowaniu jako zajęciu wstydliwym i poniżającym. Jakbym miał dostać paskiem po tyłku za podglądanie dziewczyn w przebieralni na basenie. Dziennikarstwo śledcze nie jest zajęciem dla pobożnych zakonników, ale tylko naiwny czytelnik da się nabrać na argument, że działanie na rzecz publicznego dobra usprawiedliwia każdą metodę. W tym przypadku tylko ja byłem adresatem tego argumentu i nic

nie miało publicznego wymiaru. Przypuszczałem, że wtajemniczona jest tylko jedna osoba. Mogłem do niej dołączyć, ale samotnie.

W Internecie odnalazłem konto bankowe i doładowałem telefon ojca. Potem rozwaliłem się w fotelu i dokładnie obejrzałem aparat. Skrzynki wiadomości były puste, za to książka telefoniczna nieskończona. Zgodnie z moimi oczekiwaniami było tam tyle kobiet, jak podczas ogólnonarodowej manifestacji w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży. Jednak z wyjątkiem matki, jej koleżanek, pracownic wydawnictwa i dziennikarek, nie znałem ani jednej. Spojrzałem na zdjęcie umieszczone na ścianie. Byłem pewien, że kontakt do zagadkowej nieznajomej gdzieś tu jest, ale raczej pod niejasnym skróttem lub nazwiskiem mężczyzny. Facetów też była masa, jednak wśród nich raz po raz znajdowałem znane mi nazwiska. Przeglądałem listę z góry na dół i ogarniało mnie zdumienie.

Bracia Hahn nie żyli. Wyłowiłem z pamięci nagłówki z prasy. Zabito ich z zimną krwią. Wsiedli do auta, któryś z nich przekręcił kluczyk i nastąpiła eksplozja. Metoda banalna, ale eksplozja tak wielka, jakby zabójcy zależało na zburzeniu całej dzielnicy. Wyglądało na to, że zabrał się za to ktoś początkujący i przeholował z ilością materiału wybuchowego lub miał naiwną nadzieję, że ofiar nie da się zidentyfikować.

Bracia Hahn nie byli gangsterami z pierwszej linii przestępczego półświatka, nie chadzali w drogich garniturach na premiery w operze, nie snobowali się na znajomości z ludźmi kultury, nawet trudno było sobie wyobrazić, że czytają książki. Jeśli ojciec miał bzika na punkcie kolekcjonowania każdej znajomości, to gdzie miałyby ich spotkać? I kiedy? Z telefonu nie mogłem się tego dowiedzieć.

Byli wymienieni z imienia i nazwiska. Dla pewności porównałem numery z zapisanymi w moim telefonie. Zgadzały się. Nie zdziwiło mnie, że ojciec tych numerów nie usunął. Ja również z czystego lenistwa tego nie

zrobiłem. Jednak nawet w moim przypadku tego rodzaju znajomości były dwuznaczne, w przypadku ojca wręcz szokujące. Pomyślałem, że mogli go zobaczyć w telewizji, gdzieś rozpoznać i poprosić o autograf. Wystarczyło zagadać i ojciec błyskawicznie nawiązywał nić sympatii. Jednak nie był ślepy. Ci ludzie budzili instynktowną niechęć. Dość było na nich spojrzeć, by nabrać przekonania, że lepiej trzymać się od nich z daleka.

Pole do stawiania absurdalnych hipotez było nadzwyczajne, począwszy od śmiałego założenia, że to ojciec ich namierzył i wykończył. Bardziej prawdopodobne, że to oni dorwali go w ciemnym zaułku, po czym okradli i wymienili z ofiarą numery telefonów. Równie dobrze mogliby zwrócić się do ojca o napisanie kwiecistego przemówienia na jubileusz założenia gangu. Cóż... Czasem trzymają się mnie durne żarty.

W pamięci telefonu zachowały się ostatnie połączenia. W większości z anonimowymi ludźmi, którzy dopiero od matki dowiadywali się, że ojciec nie żyje. Za życia, wracając ze zjazdu swego studenckiego rocznika w Nig, ostatni raz właśnie do niej zadzwonił. Rozmowa trwała pół minuty. Słyszała szum jadącego auta, kiedy powiedział, że spóźni się na obiad. Śmiał się, że prawie całą drogę prowadzi jedną ręką, bo bez przerwy ktoś dzwoni. Odpowiedziała, że ziemniaki są już gotowe, więc schowa je pod kołdrę, żeby do jego powrotu nie ostygły. Wymienili jakieś czułości i pożegnali się w pogodnym nastroju. Zanim zginął, ktoś jeszcze do niego zadzwonił. Zapewne omyłkowo, bo połączenie trwało kilka sekund.

Zachowały się tylko trzy wcześniejsze połączenia. Ojciec kontaktował się z wydawcą, ze mną i Arturem Kraftem.

Jakoś nigdy nie miałem okazji bliżej poznać tego człowieka. Brzuchaty duży chłop z długimi czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Opalony niezależnie od pory roku. Gdyby nie był małomówny, mógłby sprzedawać fajki wodne w Tunisie. Ale produkował, kupował i sprzedawał wszystko

i wszędzie. Nie był prezesem, dyrektorem ani jakimś przewodniczącym, tylko akcjonariuszem. Piekielnie bogatym akcjonariuszem. Wiedzano powszechnie, że RDAAX to Artur Kraft, ale formalnie nie był tam nawet sprzątaczką.

Internet dostarczał typowej wiedzy o wielkim rekinie finansowym z Val, który nie pcha się na afisz, a jeśli gdzieś pojawia się osobiście, to jako postać drugoplanowa. Widywano go czasem na balach dobroczynnych, prestiżowych koncertach i biznesowych bankietach. Nie bywał w ratuszu, choć nikt nie miał wątpliwości, że mocno wspierał dwie wygrane kampanie wyborcze brata. Jego nieliczne wypowiedzi w mediach były zdawkowe i nijakie, jakby się obawiał, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę.

Kraftowie byli zamożni, zanim Artur odniósł sukces, jednak wyglądało na to, że rodzinie zbyt wiele nie zawdzięczał. Zrobił dyplom na politechnice, coś tam wynalazł, opatentował i sprzedał z dużym zyskiem, po czym zainwestował na giełdzie i już był milionerem. Od tej pory przez dwadzieścia lat pomnażał majątek, inwestując w przemysł naftowy, farmaceutyczny, ceramiczny, we wszystko, co przynosiło zysk. Nie miał nałogów ani hobby, jeśli pomnażanie zysku nie było jednym i drugim.

Na zdjęciach pojawiał się rzadko, zawsze defensywny, schowany, zapatrzony w ściany i żyrandole. Nawet podczas balu sylwestrowego wydawał się nieobecny, tańczył z żoną, ale rozglądał się po sali jak ktoś, kto żałuje, że tu przyszedł. Po wielu latach małżeństwa trudno to było uznać za objaw jakiejś dewiacji, ale żonę miał wyjątkowo apetyczną, z kształtnym biustem, dużymi oczami i perłowym szczerym uśmiechem.

O Alicji Kraft także niewiele można było przeczytać. Wyszła za Krafta po studiach, urodziła dwie córki. Za to zdjęć było więcej, bez wyjątku sympatycznych, zamieszczanych przez osoby, które chciały się pochwalić tą znajomością. Znalazłem też jedno zbiorowe z pracy. Stała obok matki ze

skrzypcami w rękach. Matka była starsza, nieco tęższa i nie nosiła okularów, mimo to mogły uchodzić za siostry. Wyglądało na to, że są w bardzo dobrej komitywie. Zdjęcie zrobiono po koncercie, wielu muzyków jeszcze kłaniało się przed publicznością, one już stały wyprostowane. Matka rozśmieszała Alicję, szepcząc jej coś na ucho.

Spojrzałem na oprawione zdjęcie. Kobieta wyglądająca przez opuszczoną szybę mogła być szatynką, która zapomniała okularów i mruży oczy, chcąc wypatrzeć coś z daleka. Alicja była szatynką i czasami nosiła okulary. Dostrzegłem jeszcze jeden szczegół: obie nosiły zegarek na prawej ręce.

23.

Zadzwoiłem do matki. Akurat wróciła z ogrodu i zamierzała obejrzeć telewizję. Była zaskoczona, że tak często sobie o niej przypominam. Zapytałem, czy na kolację nie zjadłaby pizzy. Ucieszyła się. Zadzwoiłem do restauracji i podałem adres. Jeszcze posiedziałem przed komputerem, przyglądając się Alicji, i zszedłem do auta.

Tym razem patrzyłem w lusterko wsteczne. Nie potraktowałem poważnie przypuszczeń Alberta, że ktoś za mną jechał i chciał mnie nastraszyć. Jednak znałem kilku ludzi, którzy z radością wzniesliby toast nad moim nagrobkiem.

Samochody wyprzedzały mnie lub znikwały w bocznych ulicach, w końcu nie widziałem nikogo, kto podążałby w tym samym kierunku. Wieczór był ciepły. Na przedmieściach jeszcze kwitły różaneczniki. Z przydomowych ogródków dobiegały odgłosy kosiarek, pachniało grillem. Sielankę zakłóciła pędząca biała furgonetka. Najpierw usłyszałem narastający warkot silnika, potem dostrzegłem samochód doganiający mnie z sekundy na sekundę.

Nie przyspieszyłem, widząc już tylko środkową część karoserii z logo Volkswagena i rozkołysanego Murzyna za kierownicą. Nasłuchiwałem, spodziewając się uderzenia w zderzak, ale raptownie mnie wyprzedził i hamując przed domem, zakurzył żywopłot. Kiedy wysiadłem, otwierał

furtkę z pizzą w ręku i nadal kołysał się ze słuchawkami na uszach. Machnąłem na niego ręką. Wziął pieniądze i odjechał.

Dzwonek był już sprawny. Matka otworzyła w dresie, wycalowała mnie i zagoniła do kuchni, żebym przyniósł, co trzeba. Sama pobiegła przed telewizor oglądać swój ulubiony serial. Jeszcze jako tako orientowałem się, wytarabaniłem z szafki duże talerze, zrobiłem herbatę, znalazłem sztucce i przyprawy, a potem na raty zanosilem to wszystko do salonu. Założyłem wiecznie używany fartuszek w biedronki. Kiedy matka wzruszyła się tym fartuszkem, przypomniałem sobie, że czasem ojciec zakładał go dla draki.

– Mama, wybacz...

– Nie ma co wybaczać, Hanni. Przecież na każdym kroku natykam się na coś, co mi go przypomina. – Poczerwieniła i zamknęła oczy. – Przytul mnie na trochę, bo zaraz się rozbeczę.

Siedzieliśmy objęci przez dłuższą chwilę, chyba nasłuchiwała filmowych dialogów i uspokajała się. Kiedy serial się skończył, powiedziała:

– Jedzenie nam stygnie.

Po tym zdarzeniu nie od razu mogłem zapytać o zawartość telefonu ojca, ale przedłużające się milczenie też jej dokuczało.

– Powiesz mi, co ci leży na wątrobie?

– W książce telefonicznej taty znalazłem coś, co nie daje mi spokoju.

Wzruszyła ramionami.

– A co tam może być niezwykłego?

– Są tam numery gangsterów, którzy zostali zamordowani.

Przestała jeść.

– Co? – Sprawiała wrażenie, jakbym użył niezrozumiałych wyrazów.

– Miał numery bandziorów, na których wykonano wyrok śmierci.

– Daj spokój. Tato nie znał takich ludzi. Nie uroiło ci się?

– Niestety nie, o pomyłce nie ma mowy.

Chyba nie chciała tego słuchać.

– I co to znaczy twoim zdaniem?

– Jeszcze nie wiem.

– Boże. Hanni, nie pogniewaj się na mnie, ale czy mógłbyś zrezygnować z pisania książki o tacie?

– Uważasz, że kieruje mną jakaś niezdrowa ciekawość?

– Nie zrozum mnie źle, proszę. Ty po prostu masz taką specyficzną metodę widzenia rzeczywistości.

– Mamo, jeśli chcesz, nie będzie żadnej książki. Po prostu chcę wiedzieć, czy tato nie zaplątał się w jakąś brudną intrygę.

– Brudną intrygę? O czym ty mówisz? – Pokręciła głową. – Tato? Boże, to jakieś szaleństwo. Popsułeś mi humor...

– Mamo...

– Przestań – przerwała mi stanowczo. – Ja wiem, co myślisz... I nie tylko ty. Otóż oświadczam ci, że ojciec nie był i nie jest dla mnie żadnym nietykalnym bożyszczem. Naprawdę potrafię być obiektywna, zawsze oceniałam go trzeźwo i najlepiej wiem, jakie miał wady. To twoi koledzy z branży niszczą lub windują ludzi na piedestał, przerabiają na medialny towar, na coś nierzeczywistego. A ja byłam jego żoną ponad trzydzieści lat. Codziennie budziłam się i zasypiałam obok taty, naprawdę znałam go na wylot. Po prostu wiem, że nie miał do czynienia z żadnymi gangsterami. Wierzysz mi?

– Ależ tak.

– No i dobrze. – Chyba nie przyjęła do wiadomości moich obaw i uznała temat za zakończony.

– Znasz Artura Krafta?

– Tego? – Wykonała zabawny ruch ręką, zakreślając pokaźny rozmiar postaci. Najwyraźniej ucieszyła ją zmiana tematu.

– Tego.

– Tak trochę. Dobrze znam Alicję, jego żonę. Długie lata grałyśmy razem w orkiestrze. Artur przychodził czasem na koncerty inauguracyjne, kiedyś nawet ze mną zatańczył na sylwestra. Może zamieniłam z nim pięć zdań i to wszystko. Dawid znał go lepiej. Trochę rozmawiali o biznesie, kiedy tato potrzebował coś napisać o tym środowisku.

– Dowiedziałem się dzisiaj, że Artur biciem zmusza ludzi do posłuszeństwa.

– Ach tak... Nikczemnie podszedłeś starą matkę.

– Ale nie uważam, że jesteś jego współniczką.

– No, nie wiem. Chyba zaraz cię palnę – powiedziała z przekąsem. – Takich ludzi jak Kraft nie spotyka się na zakupach i nie zaprasza do domu, bo wiadomo, że i tak nie przyjdą. Okazuje się, że na szczęście. Jeśli coś o nim wiem, to przede wszystkim od Alicji.

– Alicję zapraszałaś.

– Bardzo długo nawet o tym nie pomyślałam. Zdawało mi się, że jest zarozumiała, zbyt wysoko nosi głowę. Może dlatego, że była tak bajecznie zamożna. Wyobrażałam sobie Bóg wie co. Ale kiedyś poznałyśmy się bliżej na wakacjach w Turcji. Była tam z córkami, a w hotelu oprócz mnie i taty sami Rosjanie, więc tak od słowa do słowa zaprzyjaźniliśmy się. Przez kilka lat była moją najlepszą przyjaciółką. Wtedy też jej nie zapraszałam, bo przyjeżdżała, kiedy tylko miała na to ochotę. Kiedyś plotkowałyśmy tak długo, że została u nas na noc.

– Często u was bywała?

– Co kilka dni, na chwilkę albo na cały wieczór.

– Tato ją dobrze znał?

– Pewnie, lubili się. Wiesz, że jak pisał, nie znosił, żeby mu przeszkadzać. Alicji to nie obchodziło, pakowała mu się do gabinetu,

krzyczała głośniej od niego.

– Kłócili się?

– Niby tak... Oj, synuś, jak ty niewiele wiesz... Chyba tylko raz nas odwiedziłeś przed pogrzebem, a przedtem jak długo cię nie było?

– Czy ja wiem...

– Cztery lata, przeklęty łobuzie!

– Mówiłaś coś o kłótniach taty i Alicji...

Roześmiała się.

– Najpierw ją przepędzał, a potem zaczął brać pod uwagę jej opinie. Nadal udawał, że wcale się z nią nie zgadza, nawet się wzajemnie obrażali. Ale doszło do tego, że zanim zaniósł książkę do wydawnictwa, po kawałku drukował ją dla Alicji. Czytała, podniecała się, gryzmoliła na marginesach, a potem dyskutowali. Co to była za komedia...

– Mówiłaś, że tato lubił twoich znajomych, bo nie musiał z nimi rozmawiać o pisaniu. Sprawy zawodowe...

– Oj, czepiasz się. Nie pomyślałam o Alicji, bo ja mam wciąż tych samych znajomych. Z nimi rzeczywiście tak było. A ona jakiś czas przed śmiercią taty przestała przychodzić i przyjaźń się skończyła.

– Wiesz dlaczego?

– Nie chciała powiedzieć. Coś w domu...

– Artur?

– Na pewno. Była bardzo biedna, smutna, płakała z byle powodu. Gdyby nie moje osobiste zmartwienie, nie zostawiłabym jej samej. Ale tak wyszło. Jeszcze próbowałam, zadzwoniłam do niej... nie wiem... chyba minionej wiosny. Przywitała się grzecznie, ale jak ktoś obcy, może trochę nieobecny. Jakoś nam nie szło, rozmowa nie kleiła się. Było mi bardzo przykro. No, szkoda.

– Dziwna historia. Artur Kraft nie był zazdrosny?

– Alicja nam zazdrościła, że każdego popołudnia normalnie rozmawiamy o tym, co się wydarzyło. Mówiła, że u niej to też codzienność, tyle tylko, że zamiast rozmowy jest przesłuchanie, gdzie była, co robiła, z kim rozmawiała. Artur był podejrzliwy, ciągle jej czegoś zabraniał, miał pretensje. Doprowadzało ją to do białej gorączki. Zresztą czasem się jej wydawało, że wariuje od tego. Ciągle miała wrażenie, że jest obserwowana, że ktoś za nią chodzi.

– Kraft nie podejrzewał taty?

Roześmiała się.

– Nie.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Po tych wakacjach w Turcji Artur sam ją namawiał, żeby nas odwiedzała. Nie był taki całkiem beznadziejny. Rozumiał, że Alicja bez przyjaciół cierpi, że rodzina jej nie wystarcza. Chyba szpiedzy donieśli mu, że w naszym towarzystwie lojalność Alicji jest niezagrożona. To był z jego strony taki przebłysk zdrowego rozsądku. Poszedł na kompromis i docenił odniesione korzyści. Właśnie te kilka zdań, które ze mną zamienił, to były podziękowania z jego strony. Był zadowolony, że Alicja jest szczęśliwa i o wiele lepiej go znosi.

– Był szczery?

– Myślę, że tak. Tylko że zaraz strzeliło mu do głowy, żeby przydzielić Alicji ochronę z obawy przed kidnapingiem. Dziwne to było, bo przecież zawsze jeździła, gdzie chciała, zupełnie samodzielnie. Wtedy tato powiedział, że w Val porwania dla okupu są nie do pomyślenia. To prawda?

– Cóż, taka specyfika. Kieszonkowców też nie ma, za to morderstwa są na porządku dziennym.

– A idź ty, nigdy nie wiem, czy mówisz poważnie.

– I co Artur postanowił?

– Nic. Alicja przyjeżdżała własnym autem bez obstawy. Czasami ją przywoził i odwoził kierowca, ale sama tego chciała, kiedy piliśmy alkohol.

– Ładna ta Alicja. Ty nie byłaś o nią zazdrosna?

– Aleś ty uparty z tą zazdrością. Zapomniałeś, jaki był tato? Ani kobieciarz, ani romantyk. Po prostu miał nieprawdopodobny talent do wymyślania babskich historii. Wolał oglądać piłkę nożną w telewizji niż pisać. Nie uwierzysz, ale on w ogóle nie czytał literatury kobiecej, nic a nic! Co innego Alicja. Ona żyła romansidłami, w nieskończoność fantazjowała na ten temat. Chyba wolała to od rzeczywistości. Tato uważał, że jest inspirująca i zarazem statystyczna, więc zastosowanie się do jej opinii gwarantuje sukces komercyjny. Całe szczęście, że jej to odpowiadało, bo gniewałabym się, że ją okropnie wykorzystuje.

– Mówiłaś, że ją lubił.

– No tak, ale bez żadnego konkretnego pożytku kwadransa nie usiedziały z nią oko w oko przy herbacie.

– Nie domyślasz się, dlaczego przestałyście się przyjaźnić?

– Jak wróciłam do pracy po śmierci taty, Alicji już w orkiestrze nie było. Podobno odeszła bez żadnego wytłumaczenia. Wcześniej widziałam, że dzieje się coś złego i ma to związek z Arturem. Ciągnęłam ją za język, ale wykręcała się, jak mogła. Powiedziała tylko, że gdyby mój syn coś o tym wiedział, Artur straciłby miliony. Wtedy zrobiło mi się przykro. Już wcześniej podejrzewałam, że w sprawach dotyczących pieniędzy Alicja już nie jest taka romantyczna. No i nie lubię słyszeć, że nie można mi zaufać, a mój syn jest niebezpieczny. Wiesz...

– Tak, mamusiu... – powiedziałem przymilnie.

– Nie czytam twojej gazety, boję się, że jesteś taki. I boję się o ciebie.

– Cały czas próbuję zabrać się do pisania czegoś pogodnego, żeby wszyscy byli pozytywnie wzruszeni.

– Oj, ty, ty. – Westchnęła i zaczęła zbierać naczynia. – Zmartwiłeś mnie tymi gangsterami. Na szczęście tacie już nic nie zaszkodzi. I jeszcze coś ci powiem. Jest mi wszystko jedno, co ludzie o nim myślą. Wiem swoje: twój tato był bardzo ciepłym i kochającym mężczyzną. Każda kobieta marzy o kimś takim.

Podniosłem wzrok na zdjęcia porozwieszane obok kominka. Matka rozmieściła je z fantazją, wisały pod różnym kątem, opierając się ramkami. W ramki czarne wstawiła ważne wydarzenia rodzinne, ślub rodziców, moje chrzciny, komunię itd. W ramki brązowe różności ze znajomymi, wakacje, domowe imprezy i potańcówki. Nie było dokumentacji związanej z pisarstwem ojca – to wszystko w opasłych albumach stało na muzealnych półkach.

Zauważyłem zdjęcie, na którym żywo był o wiele niższy i jeszcze nieuformowany. W ciepły letni wieczór poniżej szeroko otwartych okien stało kilkanaście rozbawionych postaci oślepionych silną lampą błyskową.

– Wszyscy już wychodzili z domu i na koniec tato opowiedział dowcip. – Matka wzruszyła ramionami. – Właściwie kiepski, ale wtedy cały wieczór z byle powodu czołgaliśmy się ze śmiechu. Jeszcze trochę, a padłabym na zawał.

Łatwo było w to uwierzyć, widząc baterie białych zębów i ugięte kolana. Niektórzy dosłownie ślaniali się na nogach i z braku sił opierali na karoserii samochodu. Wszystkich znałem z widzenia z wyjątkiem Alicji. Gestykulowała żywo, stojąc za uchylonymi drzwiami auta. W blasku flesza na czarnym lakierze widać było wyraźnie połyskujący znak firmowy Hondy.

24.

Rozalia już czekała, spacerując na ulicy pod restauracją. Była ubrana we wzorowo sfatygowany komplet dżinsowy i buty sportowe. Zmęczona, z torbą przewieszoną przez ramię wyglądała jak smutna dziewczyna, którą narzeczony wystawił do wiatru. Kiedy zaprosiłem ją do auta, uśmiechnęła się z naciągany entuzjazmem.

– To gdzie pojedziemy? – zapytała.

– Odwiozę cię do domu.

– Przepraszam. To tak widać, że jestem do niczego?

– Nie jesteś do niczego, jesteś już śpiąca.

– Nie miałam udanego wieczoru. Dziś jest chyba dzień pijaka i to strasznie namolnego.

– Gdzie jedziemy?

– Mieszkam na Sheldon czterdzieści pięć, to za miastem. W ośmioro wynajmujemy dom...

Rozalia rozkręcała się powoli, potem jednak trąkotała na całego o swoich przyjaciółach. Razem chodzili do liceum, zrobili maturę i przyjechali na studia do Val. Z wyjątkiem Rozalii nie byli zamożni, więc wynajęli starą chałupę na przedmieściach, kupili meble na wyprzedaży i pracowali, żeby zarobić na utrzymanie. Ona też, żeby się nie wyróżniać.

Zanim przestałem udawać, że mnie to cokolwiek obchodzi, oparła głowę o szybę i natychmiast zasnęła. Nie jechałem zbyt szybko, żeby jej nie

obudzić i wkrótce zacząłem się zastanawiać, jak trafić na Sheldon. W okolicy rozpoczęto roboty na głównej drodze do Nig, jezdnia została zamknięta, a objazd uwzględniał tylko główny kierunek. Ciemności rozświetlały jedynie reflektory samochodów. Podskakiwałem na wertepach, tracąc orientację w terenie. W końcu postanowiłem skręcić na chybił trafił, zatrzymać się i zapytać o drogę. Nie wybrałem dobrze, przy bocznej brukowanej ulicy stały same magazyny bez okien i na końcu zrujnowana stacja kolejowa. W świetle księżycy wyglądała jak zamczysko, którego wieże prują chmury o jasnych konturach. Kiedy zamierzałem zawrócić i obudzić Rozalię, przed maskę wybiegł mężczyzna wymachujący telefonem komórkowym.

– Pomóż człowieku. Złapałem gumę na tym cholernym zadupiu. A tu ani lewarka, ani zasięgu!

Palcem na ustach pokazałem mu, żeby był cicho. Zrozumiał, zaczął chodzić na palcach i kląć szeptem. Otworzyłem mu bagażnik, wyjąłem podnośnik i pobiegłem do szarego opla z przyczepą. Ze schowka wziąłem latarkę i poszedłem za nim.

Bez przerwy kląłem i mamrotałem przy wymianie koła. Domyśliłem się, że mieszka niedaleko i przyjechał pod stację wyrzucić śmieci. Obok samochodu stał tuzin worków, w okolicy zamienionej na dzikie wysypisko były ich tysiące.

– Pokaże mi pan drogę na Sheldon? – zapytałem.

– Pewnie, na moje szczęście skręcił pan w niewłaściwym kierunku – odparł zasapany. – To wszystko przez tę durnowatą przebudowę drogi i objazd wąskimi ulicami. Powariowali kompletnie, robić tu ruch jak w Nowym Jorku. Zanim skończą, tiry porozgniatają wszystkie dzieciaki na naszym osiedlu.

– O co chodzi z tą przebudową? Droga była w bardzo dobrym stanie.

– Właśnie! Bardzo dobrym. Ale robi się przebudowę z powodu fatum. Wyobraża pan sobie?

– To gdzie to fatum krąży?

– A tam – powiedział z ironią i pokazał mi miejsce tonące w stertach śmieci przesuwanych przez wiatr. Widok wysokich topól natychmiast mi uprzytomnił, gdzie jestem.

– Droga z Nig jest prosta jak drut przez dziesięć kilometrów – ciągnął mężczyzna. – Wariaci się rozpędzali, a potem rozbijali na zakręcie. Zakręt jak zakręt, setki jest takich zakrętów. Wystarczyło wyciąć te piekielne drzewa, na których lądowali ci wszyscy kretyni. A tu tyle huku przez durniów, którzy nie potrafili zdjąć nogi z gazu. No, ale jak gazety napisały, że tu krąży fatum, to już na własne życzenie zabić się nie można. Tylko dlaczego zaraz trzeba wydawać pieniądze podatników? A to przecież moje pieniądze, pańskie. Mylę się? Proszę pana, dziadostwo!

Ojciec zginął na tym zakręcie, ale nic nie powiedziałem. Mężczyzna z wdzięcznością odłożył podnośnik do bagażnika i ostrożnie go zamknął.

– Jaki adres? – zapytał.

– Sheldon czterdzieści pięć.

– Aaa, studenci. Znam ich z widzenia. Pan pojedzie za mną.

Jechał w ślimaczym tempie, na skrzyżowaniu wyczekał na moment, kiedy obaj będziemy mogli przeciąć niekończący się sznur samochodów. Pod nieciekawym budynkiem z płaskim dachem wyszedł z auta i podziękował mocnym uściskiem dłoni.

Dotknąłem ramienia Rozalii. Nie zmieniła pozycji, ale już nie spała. Włączyłem światło. Wciśnięta w fotel zmrużyła oczy.

– Śniło ci się coś? – zapytałem.

– Byliśmy gdzieś... – powiedziała cicho.

– Tylko na chwilę pod stacją kolejową.

– Aha...

– Co się stało?

– Śniło mi się, że jestem sama w samochodzie, że śpię oparta o szybę, otwieram oczy, odwracam głowę i widzę jakiś olbrzymi budynek z wieżą zegarową. Zegar był zepsuty, wszystko wokół, jakby wybuchła bomba. A potem za szybą na ułamek sekundy pojawiła się twarz mężczyzny. Jakoś tak oczy mu rozbłysły w świetle księżyca. Poczułam, że kamienieję ze strachu, mrowie przeszło mi po plecach, dosłownie zlodowaciałam. Kiedy z oddali zaczęło się przybliżać jakieś światełko, mężczyzna zniknął.

– Jak wyglądał?

– Jak upiór.

– A dokładnie?

– Nie mam pojęcia. Wystarczyło, że tak nagle się pojawił i byłam przerażona.

– Często miewasz złe sny?

– Czasami... Odprowadzisz mnie do drzwi?

– Pewnie.

Nie było to jednak konieczne. Ledwie wyszedłem z auta, w drzwiach pojawił się potężnej postury blondyn w wieku Rozalii. Na pożegnanie z przesadną czułością pocałowała mnie w policzek, na co zareagował grymasem, jak buldog ukłuty szpilką.

25.

„Zakręt jak zakręt, setki jest takich zakrętów”. Mężczyzna nie miał racji. Zakręt był dziwny, źle wyprofilowany i nieoczekiwany. Wydawać by się mogło, że wcale nie jest ostry i dość szeroki na bezpieczne wyprzedzanie. Jednak wystarczyło się trochę rozpędzić i jadących z Nig rzucało na przeciwległy pas ruchu. Pomimo znaków ostrzegawczych i ograniczenia prędkości kilkakrotnie byłem zupełnie zaskoczony, kiedy zakręt się pojawiał. Ci, którzy przeżyli tu nieprzyjemną przygodę i wyszli z niej cało, wyrażali podobne opinie. Tak jakby na długim prostym odcinku kierowca nabierał przekonania, że zakręty nie istnieją. Pechowcy zwykle jechali za szybko i nie przychodziło im do głowy, żeby w porę zwolnić. Po raptownym skręcie w prawo byli już tylko pociskiem obracającym się dookoła własnej osi, miażdżącym samochód nadjeżdżający z naprzeciwka lub mknącym daleko w pole. Ci pierwsi przeważnie ginęli natychmiast i zabijali innych, drugich zwykle ratowała nieograniczona przestrzeń.

Ojciec był wyjątkiem, tylko on jeden zatrzymał się na topolach.

Zginęło tu wielu ludzi, zwykle turyści wracający z górskich wycieczek i nart. Mimo to nie budziło to nadzwyczajnego zainteresowania. W Val co kilka dni urządzano pochówki kierowcom, jakby umierali ze starości albo na skutek epidemii, do której wszyscy się przyzwyczaili. To się zmieniło, kiedy zginął ojciec. Jakiś głupi dziennikarzyna przypomniał sobie, że kiedyś na fatalnym zakręcie w zderzeniu czołowym zabił się utalentowany

tenisista z Ost. Po kilku dniach był to już wybitny tenisista, podobnie jak wybitne stały się trzy zmarłe aktorki i jakiś kierowca rajdowy. To wtedy ktoś napisał, że fatum krąży nad zakrętem, że czają się tu demoniczne siły zastawiające pułapki na wielkich ludzi. Wówczas nikt tej bzdury nie potraktował poważnie. Jednak rok temu, kiedy podobny los spotkał seksowną wokalistkę, temat podchwyciły już nie tylko szmatławce. W przededniu wyborów odwróciło to uwagę od kampanii burmistrza Maxa Krafta, więc dzielnie oświadczył, że jego urząd złych mocy się nie boi i to udowodni, prostując drogę. Utrzymał posadę, by po roku wszystkim przypomnieć, że jest nieustraszonym pogromcą demonów. Tym sposobem złe moce pochłonęło dzikie wysypisko śmieci.

Z oczywistych powodów śmierć ojca nie była dla mnie tematem zawodowym. Znacznie później przejrzałem gazety, dowiadując się o ubolewaniach, że śmierć Dawida Smoke'a była taka nieromantyczna, nieadekwatna do jego twórczości. W telewizji pokazywano nawet debilny program z udziałem fanek ojca, które publicznie wyobrażały sobie, jak powinien zginąć „piewca miłości czystej i niegasnącej”. Stare krowy kołysały obwisłymi podbródkami, namiętnie przeżuając ten temat. Na koniec doszły do wniosku, że najbardziej stosowne byłoby tajemnicze zniknięcie lub w ostateczności samobójstwo i zagadkowy list pożegnalny. Kiedy dopadł mnie reporter z kamerą i poprosił o komentarz, szczerze życzyłem drogim czytelniczkom romantycznej śmierci na krześle elektrycznym i zagadkowego rachunku za prąd.

Od śniadania przeszukiwałem Internet, wypatrując informacji dotyczących śledztwa prokuratury. Materiał był obfity, wielokrotnie komentowany w telewizji. Wielu świadków widziało wypadek, wszyscy byli zgodni co do tego, że ojciec jechał za szybko, wziął zakręt zbyt gwałtownie i siła rozpędu wyrzuciła go z szosy.

Wiedziałem, jak jeździ. Zanadto nie przesadzał, ale od czasu do czasu przypominał sobie o dwustu koniach drzemających pod maską bmw. Na dodatek mógł się zamyślić, co dość często mu się zdarzało. Potem nie mógł sobie przypomnieć drogi do domu, jakby pokonywał autem nieogarnioną przestrzeń swego zamyślenia, niejasnego i odległego od rzeczywistości. Ten jeden raz było zbyt odległe. Zareagował za późno, zbyt nerwowo. Kilku kierowców zatrzymało auta i pobiegło udzielić mu pomocy. Mieli narzędzia, ale nie dali rady otworzyć pogniecionych drzwi. Widzieli jednak, że ojciec już nie żyje.

Ustalenia biegłych nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Bmw było sprawne, uszkodzenia pojazdu nastąpiły w wyniku uderzenia w drzewo i nie poprzedziło go omdlenie ani zawał serca kierowcy. Sekcja wykazała, że gwałtowna śmierć była skutkiem obrażeń powstałych w wyniku wypadku.

Takie wytłumaczenie było logiczne, nic nie nasuwało najmniejszych wątpliwości. Nie miałem ich nadal, ale dla całkowitej pewności musiałem z kimś o tym porozmawiać.

Prokurator, która zajmowała się tą sprawą i wielokrotnie wypowiadała w telewizji, nazywała się Katrina Lange. Była wysoką blondynką w nieokreślonym wieku, surową i nieustannie skupioną. Wyrażała się jasno i precyzyjnie, unikając jakichkolwiek spekulacji. Gdyby nie piękne orzechowe oczy, uważałbym ją za bezduszną maszynę, którą mogą zatrzymać tylko wyczerpane baterie.

Kilka razy spotkaliśmy się przelotnie, zamieniając raptem parę zdań. Była bardzo zajęta, co mi specjalnie nie przeszkadzało – zwykle to ja dostarczałem pracy prokuraturze, a nie odwrotnie. Kiedy połączyła mnie z nią sekretarka, westchnęła jak ktoś, kto długo czekał na złe wiadomości.

– Słucham, panie redaktorze – powiedziała sucho.

– Proszę znaleźć chwilę i zobaczyć się ze mną.

– W jakiej sprawie?

– Chodzi o wypadek mojego ojca. Mam kilka pytań.

Dała sobie chwilę do namysłu. Wyczuwałem, że nie ma ochoty do tego wracać.

– Śledztwo zostało przeprowadzone ze szczególną starannością. Bez trudu uzyska pan wszystkie materiały na ten temat.

– Nie mam całkowitej pewności, czy śmierć ojca była skutkiem pospolitego wypadku drogowego.

– Raczej powinien pan ją mieć. No dobrze... Za pół godziny. Zdaży pan?

Zważywszy na korki, czasu miałem niewiele. Utknąłem na dobre na pierwszym skrzyżowaniu. Pomyślałem, że jednak będzie chciała mieć mnie z głowy, więc nie skorzysta z okazji i nie ucieknie.

W lusterku wstecznym zobaczyłem parę staruszków cierpliwie czekającą na zielone światło w wielkim luksusowym samochodzie. Dzielila ich nienaturalnie duża odległość, patrzyli w przeciwne strony, milczeli. Może pierwszy raz po pół wieku gadaniny, której nauczyli się na pamięć? Pomyślałem, ile dziadek by dał, gdybym uprowadził babcię dla pieniędzy, i w tej samej chwili o ojcu, który pouczał Artura Krafta, że w Val takich rzeczy się nie robi. Skąd to wiedział?

Nie był to temat publicznej dyskusji, tylko efekt cichej umowy bossów przestępczego półświatka, który wiele lat temu podzielił strefy wpływów i zapewnił nietykalność rodzinom. Dawniej to porozumienie wydawało się kruche, kiedy jednak przetrwało, stało się kultywowaną tradycją, elementem kodeksu honorowego. Zamach na dwóch bandytów, których numery figurowały w telefonie ojca, zdawał się tej tradycji zaprzeczać. Jednak puszczone w obieg domniemanie o wojnie gangów wydawało mi się nieprawdopodobne. Sprawcy nie zostali ujęci, śledztwo umorzono,

a bossowie nadal spotykali się na corocznych balach pojednania. To mogło oznaczać coś innego, na przykład dopuszczalne porachunki wewnątrz jednego gangu, do których nikt niepowołany się nie mieszał.

Co pomyślał Artur Kraft, kiedy ojciec zapewnił go, że w Val kidnapingu nie należy się obawiać? Być może doszedł do wniosku, że skoro ojciec zna ten mafijny obyczaj, sam w jakimś stopniu obraca się w tym środowisku? Zwłaszcza że z czasem kidnapingu zabroniono w stosunku do wszystkich mieszkańców Val, o czym byle kto nie był poinformowany. Kto wie, może nawet Artur uznał to za słabo skrywane oskarżenie pod własnym adresem: skoro sam ustalasz reguły gry w Val, nie wygłupiaj się z tym kidnappingiem...

Zdawałem sobie sprawę, że mam niepohamowaną skłonność do przerabiania igły na widły. Czasem był z tego pożytek, czasem nie. Nie mogłem wykluczyć, że ojciec po prostu dowiedział się czegoś, co nie było aż tak pilnie strzeżoną tajemnicą, całkiem zwyczajnie powiedział o tym Arturowi, a ten przyjął to do wiadomości.

Na parkingu przed prokuraturą stało tylko kilka samochodów. Kiedy popchnąłem szklane drzwi, drogę zastąpił mi znajomy strażnik i wyciągnął rękę na powitanie.

– Poszła do restauracji naprzeciwko, czeka tam na ciebie.

– W jakim jest nastroju?

Wzruszył ramionami.

– W dobrym. Dla mnie zawsze jest miła.

Lokal znajdował się w niewielkim budynku z białej cegły na środku brukowanego placu między prokuraturą i uniwersytetem. Oba gmazyska nie miały więcej niż sto lat, ale zdążyły szernieć i zarosnąć winobluszczem. Odkąd publiczną toaletę zamieniono na stylową restaurację z pianinem, cała okolica nabrała charakteru zacnej dekadencji.

Zamówiłem kawę i skierowałem się do stolika na końcu sali. Katrina Lange czytała gazetę pod secesyjnym obrazem z anielskim dziewczątkiem karmiącym stado gołębi.

– Trudno pana pochwalić za punktualność – powiedziała ostro, zanim zdążyłem się przywitać.

Spojrzałem na gołębie – nie odfrunęły. Nie zamierzałem z nią żartować, ale zauważyła, że mnie to rozbawiło. Już nie była w dobrym nastroju, zdawała się przewiercać mnie wzrokiem.

– Proszę pytać, nie mam zbyt wiele czasu. – Złożyła gazetę, oparła się łokciami o stół i splotła palce.

– Dobrze. Czy potrafi pani wytłumaczyć, dlaczego samochód ojca uderzył w drzewo? To nietypowy, właściwie jedyny taki wypadek na tym zakręcie.

– Też się nad tym zastanawiałam... – Konkretne pytanie natychmiast ją uspokoiło. – Zakładałam, że samochód powinien wcześniej znaleźć się poza jezdnią i ominąć pień drzewa. Zleciłam dwie niezależne ekspertyzy, ale biegli z zakresu rekonstrukcji wypadków nie dostrzegli w tym nic niezwykłego. Zresztą... Już nie mam wątpliwości.

– Co panią przekonało?

– Tuż przed zamknięciem drogi był tam niemal taki sam wypadek. To samo drzewo i ten sam skutek.

– Prowadziła pani tę sprawę?

– Nie.

– Dlaczego?

– Tak się złożyło.

– Czy nazwisko Hahn coś pani mówi?

– Łączy pan wypadek ojca z wojną gangów?

– Ta wojna to bajeczka dla maluczkich, prawda? Wszystkich uspokaja, kiedy bandyci sami się eliminują i nikt nie dopytuje o wyniki śledztwa.

– No to jest pan lepiej poinformowany ode mnie. Coś pan wie, czy to pańskie słynne jasnowidzenie?

Przez chwilę zdawało mi się, że ta uszczypliwa uwaga sprawiła jej przykrość, jakbym nadal był pogrążony w żałobie po ojcu. Ale w jej orzechowych oczach dostrzegłem urazę. Byłem pewien, że to ona prowadziła śledztwo dotyczące braci Hahn.

– Proszę pani, jestem tu prywatnie. Zależy mi na tym, aby nikt nie dowiedział się o tej rozmowie. Nie jestem zainteresowany zmianą wizerunku ojca. Czy możemy porozmawiać szczerze?

– Zobaczymy. Kiedy ostatnio widział pan braci Hahn?

– Sześć, siedem lat temu. Potrzebowałem informacji, za które moja redakcja była gotowa zapłacić. Umówiłem się z nimi w barze na Sternhagen. Byli punktualni, ale kompletnie pijani.

– Dobrze ich pan znał...

– Trochę. Przychodziłem na ich proces. Byli oskarżeni o zabójstwo taksówkarza. Nie uwierzyłem, że są mordercami, chociaż na takich wyglądali. Miałem to swoje słynne jasnowidzenie i znalazłem prawdziwego sprawcę. Usiłowali mi podziękować w swoim stylu, na przykład stuknąć kogoś, za kim nie przepadam. Byli nieco natarczywi z tą swoją wdzięcznością, więc powiedziałem, że mogą mi się przydać pewne informacje, ale nic z tego nie wyszło.

– Trudno było na nich polegać?

– Popisywali się, ale nic nie wiedzieli. Doszedłem do wniosku, że to nieudacznicy, poza tym zwyczajnie ich nie lubiłem. Co innego ich matka... Powinna urodzić się w niebie i tam pozostać.

– To prawda... Obwiniła się za śmierć synów. Biedna kobieta miała tak głębokie poczucie winy, jakby osobiście podłożyła bombę. Kiedy próbowałam to zrozumieć, uporczywie powtarzała, że to byli grzeczni chłopcy, dopóki ich nie skrzywdziła, odbierając im ojca. Przedziwna kalkulacja. Tak naprawdę to sąsiedzi zawiadomili policję, że ten szaleniec katuje ją pogrzebaczem. Jeszcze chwila i zabiłby ją. Miał już wyrok w zawieszeniu, więc poszedł siedzieć. Powiesił się w celi.

– Słyszałem o tym. Właściwie kiedy to było?

– Dwadzieścia... Dokładnie dwadzieścia pięć lat temu. Nie wiem, czy to prawda, bo to wynika z relacji matki, ale kiedy ci chłopcy chodzili do liceum, długo nie sprawiali kłopotów. Odkąd ojciec skończył ze sobą, wszystko się zmieniło. Matka przeżyła załamanie nerwowe, a oni coraz częściej wagarowali, w końcu w ogóle przestali chodzić do szkoły. Ulica bardziej im odpowiadała.

– Ma pani jakąś hipotezę, kto mógłby ich sprzątnąć?

– Bez świadków, żadnego tropu... Nie. Porachunki w środowisku przestępczym były skojarzeniem, które nasuwało się samo. A jednak... Moim zdaniem nadmierna ilość materiału wybuchowego dowodzi, że zabójstwa dokonał ktoś niedoświadczony. Tak jakby do tej pory strzelał do rzutków, a kazano mu użyć karabinu maszynowego. Możliwe nawet, że to była pomyłka.

– To by sugerowało, że to nikt z gangu, a może właśnie o taką sugestię chodziło?

– Jestem innego zdania. Po tym chybionym oskarżeniu o morderstwo to media zrobiły z nich gangsterów, którzy się wywinęli. Nie mówię, że pan. Tak czy owak nie zdementowaliśmy tego. W rzeczywistości to byli dilerzy narkotyków, paserzy, alfonsi, złodzieje, drobni oszuści i zawsze gotowi do bójki pijaczkowie. Zanudzali wszystkich marzeniami o wielkim legalnym

interesie, ale z ich skłonnością do bijatyk i picia na umór, co jakiś czas byli kompletnie splukani. Pod koniec życia bracia szli na dno i rozpaczliwie szukali jeszcze jakiejś szansy, ale wszyscy omijali ich z daleka.

– Nie odniosła pani wrażenia, że przed śmiercią nieco lepiej im się powodziło?

– Jeśli ma o tym świadczyć kupno używanego samochodu, to nie bardzo. Ale coś w tym jest. Przy zwłokach znaleziono sporo gotówki.

– I mimo to nie mieli przyjaciół?

– Mam wrażenie, że za żadne pieniądze już nikt nie chciałby się z nimi zaprzyjaźnić.

– Mogli je ukraść lub ktoś im je dał.

– Być może dał i wkrótce potem zamordował. Nie mieliśmy cienia podejrzeń, kto to mógł być.

– Znaleźliście ich telefony komórkowe?

– Ocalały. Dotarliśmy do każdego, kogo mieli w książce telefonicznej i z kim się kontaktowali. Z wyjątkiem matki same szumowiny bezużyteczne dla śledztwa. Być może kluczowe były połączenia z budką telefoniczną w centrum miasta, ale to tylko przypuszczenie.

– I jeszcze jedno. Gdyby ktoś pani powiedział, że w Val kidnaping jest niedopuszczalny, jak by go pani zakwalifikowała?

– Proszę pana... Trudno o całkowitą pewność, ale chyba uznałabym, że to przedstawiciel organów ścigania albo świata przestępczego. Poza tym jakoś nie wyobrażam sobie kontekstu, w jakim mogłoby paść to stwierdzenie.

– Założmy, że to odpowiedź na lęk przed uprowadzeniem.

– Nie słyszałam, żeby w Val ktokolwiek obawiał się tego i poważnie rozpatrywał taką ewentualność. Moim zdaniem to w ogóle nie funkcjonuje

w publicznej świadomości. – Spojrzała na zegarek. – Pozwoli pan, że się pożegnam. Mam jeszcze sporo zajęć.

Podziękowałem za spotkanie. Podała mi rękę po męsku i skierowała się do wyjścia.

– Chwileczkę... Do jakiego chodzili liceum?

– Proszę jechać na Bacall – rzuciła przez całą kawiarnię i znikła za drzwiami z dzwonkiem.

Pianista grał Prokofiewa. Zamówiłem obiad.

26.

Długi budynek z czerwonej cegły przypominał koszary otoczone ciężkim metalowym płotem. Rozciągnięto na nim dwa bannery informujące o zjeździe absolwentów i uroczystych obchodach czterdziestolecia szkoły. Znajdowała się w połowie drogi między szemraną starówką i stadionem sportowym otoczonym labiryntem jednakowych czteropiętrowych bloków zbudowanych dla pracowników huty. Zdaje się, że władze miejskie ulokowały tu szkołę z jakimś planem wychowawczym, ale się nie powiódł. Obie dzielnice nie należały do bezpiecznych.

Szedłem do sekretariatu, przepychając się między wyrośniętymi dzieciakami, które po dzwonku z dzikim wrzaskiem postanowiły zabić się na schodach. Zatrzasnęły za sobą drzwi szkoły jak wieko trumny, z hukiem, po którym zapada grobowa cisza. Siwowłosa kobieta w sekretariacie celebrowała tę ciszę nad filiżanką herbaty i bez entuzjazmu spojrzała na mnie znad okularów.

- Spotkania z rodzicami są dopiero w poniedziałek.
- Tak staro wyglądam?
- Czasem przychodzi starszy brat.

Oparłem się o barierkę i spojrzałem w jej blade oczy. Te oczy powiedziały mi, że starszy brat może mieć więcej siły, żeby sprać łobuza niż nietrzeźwy tatuś.

– Mam prośbę, czy mógłbym zapoznać się z listą absolwentów szkoły sprzed dwudziestu pięciu lat?

– Każdy może, proszę pana. – To będzie... – Obliczała w myślach roczniki. – Siedem osiem. Zresztą są tu wszystkie. Pokazała mi otwartą szafę z albumami i wzrokiem stolik, przy którym mogłem usiąść.

Na wszelki wypadek rozłożyłem przed sobą cztery roczniki, co wzbudziło w niej nieufność.

– Pan szuka kogoś konkretnego?

– Pamięta pani wszystkich?

– A gdzie tam, ale niektórych trudno zapomnieć.

– Szukam braci Hahn.

– No właśnie. To siedem siedem i wcześniejsze. Skończyli na trzeciej klasie.

Maturzystom robiono zdjęcia indywidualne, uczniom, którzy kończyli niższe klasy, zbiorowe. Braciszkiwie ostrzyżeni prawie do zera wyglądali na potulne baranki. Podobni jak dwie krople wody siedzieli w pierwszej ławce pod czujnym okiem nauczycielki. Co wiedziała o swoich podopiecznych, skoro było ich ponad czterdziestu? Uważnie im się przyglądałem, próbując odszukać inne znajome twarze. Bez powodzenia.

Trzydzieści lat mocno zmienia ludzi. Zwykle przybywa kilogramów, ubywa włosów. W mundurkach i białych kołnierzykach wszyscy wyglądali jak postaci z innej epoki, ugrzecznione i niemal pozbawione cech indywidualnych. Inne klasy z tego samego rocznika też były liczne. Przesuwałem wzrokiem od twarzy do twarzy i żadna nie nasuwała mi jakichkolwiek skojarzeń.

W nowszym albumie odszukałem tych samych uczniów już po maturze. Sfotografowani osobno i podpisani z imienia i nazwiska wydawali się bardziej pewni siebie, gotowi na grymasy. Wystarczyło, że Max Kraft

wyszczерzył długie zęby i od razu wiedziałem, że to on. Jego brat Artur już wtedy był grubasem, który nie lubi się fotografować. Niewiele brakowało, a całkiem odwróciłby głowę. Miałem przeczucie, że go tu znajdę, ale czekała mnie jeszcze niespodzianka.

Alicja Nowik była bladolicą, cud miód dziewczyną z przedziałkiem na środku głowy, uśmiechniętą do zdjęcia, ale z jakąś niejasną melancholią w sarnim spojrzeniu. Byłem pewien, że to Alicja Kraft. W starszym albumie, jako uczennica trzeciej klasy, początkowo nie wpadła mi w oko, ale teraz poszło o wiele łatwiej. Siedziała w ostatniej ławce z kędzierzawym blondasem wychylającym głowę nad ramieniem kolegi. Zgadywałem, że wyprostowany chłopak siedzący po drugiej stronie klasy to Artur Kraft. Patrzył śmiało w obiektyw, jak nie on.

Kobieta podeszła do mnie i nachyliła się nad otwartymi albumami. Dopiero teraz dostrzegłem, że ma na sobie długą suknię, jakby wybierała się na potańcówkę do klubu seniora.

– Źle pan szuka, tych dwóch gagatków nie było w tej klasie.

– Czy to nie jest przypadkiem Artur Kraft? – zapytałem.

Poprawiła okulary.

– No tak, zdolny chłopiec, prymus. Może i nasza szkoła jest taka sobie, ale która może się pochwalić burmistrzem i milionerem? O, tu ma pan przyszlą żonę Arturka. Ala to było przemiłe dziecko.

– To na pewno ta?

Przysiadła się.

– Na pewno.

– Już wtedy chodzili ze sobą?

– Nie, w trzeciej klasie nikt nie miał pojęcia, że tak to się potoczy... Ala uganiała się wtedy za Marcelem Busterem, widzi pan, tu z nią siedzi. – Złapała za długopis i stukała mu po twarzy. – Zresztą siedział, biegał,

całował się z Alą, gdzie popadło. Co to była za para... Uczyłam ich wtedy matematyki, ciężkie głowy, przy logarytmach myślałam, że oboje zatłukę, a potem przez kilka dni chodziłam struta. – Zamknęła powieki i pokręciła głową. – To były takie słodkie dzieciaki. On filut, figlarz jakich mało, ona prześliczna, istny anioł. Ładnie śpiewali, tańczyli, ona grała na skrzypcach, on na gitarze. Jak tu takich nie kochać...

– Coś się stało.

– No stało się, stało... Na wakacjach fruwali gdzieś cały dzień, wieczorem Marcel odprowadził Alę do domu, potem matka wysłała go do sklepu. Mały Buster i Ala mieszkali w dzielnicy hutniczej, naprzeciwko siebie. Przeciągnęli sznurek przez dwa kołowrotki i codziennie przed snem wymieniali liściki. Ale tego wieczora liściku od Marcela nie było. Ala w płacz, więc ojciec poszedł do rodziców Marcela i razem go szukali. Znaleźli dopiero rano w starym bunkrze na łące niedaleko domu. Ktoś mu wstrzyknął śmiertelną dawkę heroiny.

– Kto?

– To największa zagadka w dziejach tej szkoły. Policjanci rozpytywali, węszyli kilka miesięcy i nic. Nikogo nie złapali. Mówili, że sprawców było dwóch albo trzech, że Marcel walczył, wrywał się, ale nie dał rady.

– Nikt o nich wtedy nie pomyślał? – Pokazałem palcem dwóch podobnych do siebie gagatków.

– A skąd. Dopiero, jak Hahnowie polecili w kosmos... wie pan, jak zginęli, to się dowiedziałam, co z nich za ziółka. Ale w szkole nie było z nimi problemów, gdyby nie ich podobieństwo, chyba w ogóle nie rzucaliby się w oczy. Jak zaczęli opuszczać zajęcia, to już na całego, po prostu przestali przychodzić. W szkole byli o wiele gorsi dranie, takie oprychy, że Jezu...

– Z Marcelem żyli w zgodzie?

– Z nim wszyscy żyli w zgodzie, nawet ci dranie. A on poza Alą świata nie widział.

– Jednak orłem w szkole nie był.

Roześmiała się.

– Ściągał bez przerwy. Najlepiej jak coś nieuważnie przepisał, jakie to było komiczne...

– Na przykład od Artura.

– Przeważnie od niego. Dzięki tej przyjaźni jakoś przepychaliśmy Marcelka z klasy do klasy. No i Artur skorzystał, trochę się rozruszał, nie był takim sztywniakiem. A po tej tragedii zmienił się, cała szkoła się zmieniła. Ala wylądowała w szpitalu, ale wróciła i jakoś życie potoczyło się dalej...

– W ciekawym kierunku. Czy w tej szkole każda nauczycielka ubiera tak zwykowne suknie, jak pani?

Oparła dłonie pod biustem.

– Podoba się panu?

– Bardzo ładnie leży – odparłem. – Wisiołek też mi się podoba – rzuciłem okiem na dekolt. – Bursztyn?

– Tak. – Obracała kamień w dłoni. – Wiekowy prezent, ale takie rzeczy chyba nigdy się nie zestarzeją. To od męża. On w tej szkole uczył chemii, tu się poznaliśmy. Mąż już nie żyje, ja jestem na emeryturze, ale do szkoły mam sentyment. Dziś wieczorem jest bal absolwentów. Mam dużo czasu, więc obiecałam pomóc. Wszystko już gotowe. Czekam tu tylko na takich dwóch gamoni z drabinami, żeby w auli poprawić dekoracje z bibuły. Zaczynamy o dwudziestej, może pan przyjdzie?

– W jakim charakterze?

– Od razu widać, że pan z policji. Podpuszczał mnie pan trochę, ale ja lubię powspominać. Zresztą dziś taki dzień... I co pan tu zwojuje po tyłu

latach?...

– Nazywam się Hannibal Smoke.

– Aha... Amelia Arnold. – Podała mi rękę. – Słyszałam o panu. Przedstawię pana jako mojego siostrzeńca – powiedziała ściszym głosem. – Mogę?

– Będzie mi bardzo miło, tylko proszę tę rozmowę zachować w tajemnicy.

– Naturalnie – obruszyła się.

27.

Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka. Czy mogła mi to powiedzieć Jadwiga Hahn? Nie.

Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. To bardziej do niej pasowało. Zresztą od niej nauczyłem się tego na pamięć.

Regularnie czytała Biblię i namiętnie słuchała gromkich słów kościelnych kazań, traktując je dogmatycznie ponad wszelkie okoliczności. Do niczego nie potrafiła się zdystansować, dlatego nie odczuwała wdzięczności wobec sąsiadów, którzy uratowali jej życie. Sprowadzili policję, zanim mąż zdążył ją zatłuc pogrzebaczem, czego następstwem było jego uwięzienie i samobójcza śmierć, a potem moralny upadek jej synów. Posługując się tą niebezpieczną fatalistyczną logiką, która nie przystawała do standardowych ludzkich odruchów, była rozżalona, zdruzgotana, że uszła z życiem. Zapewne śmierć synów stanowiła dla niej element tego samego ciągu przyczynowo-skutkowego, wywołanego nadgorliwością sąsiadów.

Pamiętałem, jak żaden argument jej nie przekonywał, że gdyby zginęła od pogrzebacza, jej mąż także poszedłby siedzieć i zapewne rezultat byłby ten sam. Uporczywie trzymała się, skądinąd słusznego przekonania, że ojciec sadysta trzymał chłopaków żelazną ręką i kiedy go zabrakło, natychmiast zerwali się ze smyczy.

Kiedy przyszedłem do niej podczas procesu i powiedziałem, że nie są zabójcami taksówkarza, nie uwierzyła mi. Nie byłem pewien, czy uważa ich za ostatnich łajdaków czy po prostu nastawiła już drugi policzek i w tej pozycji było jej najwygodniej. Nie od razu do niej dotarło, kiedy zapadł wyrok uniewinniający. Zdawało mi się, że odczuwa dyskomfort, bo konsekwentnie budowany scenariusz osobistych cnotliwych katastrof okazał się chybiony. Byłem zdumiony jej powściągliwą reakcją na tle hulaszczey radości jej synów. Kiedy jej powiedziałem, że wyrok bez cienia wątpliwości jest sprawiedliwy, odparła cicho „może i tak”.

Potem jakoś się z tym oswoiła, zaczęła mamrotać pod nosem, że to chyba cud, wreszcie na głos przekonywać się do tego i wyczyniać niepewne grymasy. Zapewne było to zadowolenie, choć nie ryzykowałbym głosowania w tej sprawie. Wówczas miałem dość rozrywkowe skojarzenia i żadnego powodu, żeby się tym przejmować. Teraz jechałem do niej z innym nastawieniem. Nie byłem posłańcem dobrej nowiny. Byłem przekonany, że wiem coś, co dla niej nowiną nie jest. Potrzebowałem potwierdzenia, a może czegoś jeszcze.

Na dworze już szarzało, kiedy podjechałem pod starą kamienicę w rynku, nad którą przesuwała się purpurowa chmura. W oknie oświetlonym bladą żarówką widniał kontur przygarbionej kobiety z włosami gładko przyczesanymi do głowy. Zobaczyła mnie i ruszyła w kierunku drzwi, jakbym dwoma susami mógł pokonać schody. Otworzyła i czekała wsparta o klamkę i laskę. Bardzo się postarzała, skurczyła, sięgając mi niewiele powyżej pasa. Spojrzała na mnie oczami bez wyrazu osadzonymi w przywiedłej kościstej twarzy. Zobaczyłem w nich cierpliwe wyczekiwanie na śmierć.

– Chodź – powiedziała, prowadząc mnie do środka.

Nic się u niej nie zmieniło, nie licząc kwaśnego zapachu tanich alkoholi, który wyparował po doszorowaniu podłóg. Posadziła mnie w kuchni przy stole przykrytym ceratą i włączyła gaz pod czajnikiem.

– Jak się pani miewa?

– A co cię to obchodzi, chłopcze? – Nie było w tym zaczepki ani żalu, że nikomu nie jest potrzebna. Postawiła cukier na stole i stanęła do mnie tyłem, pilnując czajnika. – Mam tylko herbatę.

– Chętnie się napiję, dziękuję.

– Miewam się dobrze – powiedziała. – Niczego mi nie brakuje. A ty nadal niepotrzebnie ratujesz ludziom życie?

– Różnie, czasem rujnuję.

– Po co?

– Takie mam zajęcie.

– Aha... Ja czekam na śmierć. On lubi, jak ludzie niczego się nie spodziewają. W nagrodę do siebie nie powoła, za karę nie ukatrupi. Chce mnie przechytrzyć. Bawi się starym człowiekiem.

– Młodymi ludźmi chyba też.

Zalała filiżankę, przysunęła krzesło i oparła się na łokciach, patrząc mi prosto w oczy:

– No tak, wszystkimi.

– Pamięta pani Marcela Bustera?

Wzruszyła ramionami.

– Jakiego Marcela?

– Bustera.

– Pierwsze słyszę.

– Znał pani synów, chodzili razem do szkoły na Bacall.

– Nie wiem, to stare dzieje. Moi synowie nie przyprowadzali kolegów.

– Byłem dziś w szkole. Podobno dwóch sprawców siłą zaaplikowało chłopcu nadmierną dawkę heroiny, po której zmarł.

Nie poruszyła się.

– Kiedy to było?

– Na wakacjach przed klasą maturalną.

– To już tak dawno...

– Po śmierci Marcela pani synowie rzucili szkołę i podobno zaczęli handlować narkotykami. Moim zdaniem już wcześniej to robili.

– Idź na ulicę i zawołaj, że chcesz kupić. Dostaniesz, co chcesz. Tak jak wtedy co drugi wyrostek to robi.

Kłamała od samego początku. Wiedziałem, że nie zapomniała Bustera, a nawet kiedyś tu był. Czułem, że będzie mnie tak zwodzić w nieskończoność, a nie chciałem wywierać na niej presji.

Wzięłem ją za rękę zimną jak lód. Spojrzała na mnie w popłochu. Chyba nikt w ten sposób jej nie dotykał. Zmarszczyła czoło i zamrużyła oczami.

– Pani Jadwigo...

– Kochałam moich chłopców, kiedy wyszli z więzienia, cieszyłam się... Naprawdę. Zrozum, byłam dobrą matką, robiłam wszystko, jak należy, ja sobie żyły dla nich wypruwałam. – W jej ustach wypruwanie żył zabrzmiało apatycznie, jakby chodziło o zmywanie naczyń po licznej rodzinie. – I co? Nic. Kompletnie nic. To byli dranie, kanalie... Więc co ty chcesz jeszcze pogorszyć? Kochałam moich synów i przeklinałam dzień, w którym się urodzili.

– Nie zawsze tak było. Zanim zaczęli wagarować, cieszyli się w szkole dobrą opinią.

– Cieszyli... Śmiesznie powiedziałaś. Spróbowaliby się nie cieszyć – ojciec by ich pozabijał. Tak im powiedział i wiedzieli, że na to go stać.

Zawsze kazał im patrzeć, kiedy brał się za mnie. Jak się powiesił, zabrakło na nich bata. Od tej pory byli już tacy, jak ich stworzyła natura. Żli.

– Kiedy powiedziałem, że nie zabili taksówkarza, nie od razu pani uwierzyła.

– Nie. Potrafili zabić, takie rzeczy matka wie. Myślałam, że zasłużyli na los, który ich spotyka. Czułam...

– ...że to kiedyś nastąpi?

– Tak.

– Bo wcześniej zabili Marcela?

Cofnęła rękę.

– Oni nie żyją, ja zaraz umrę, więc po co mnie męczysz? Żeby napisać artykuł w gazecie, zarobić pieniądze?

– To nie ma nic wspólnego z moją pracą.

– Ty zawsze pracujesz.

– Prawda za prawdę, stoi?

– Ja prawdy nie znam, a umierać jako matka morderców nie chcę.

– To mogę obiecać.

Zastanowiło ją to. Oparła głowę na łokciu, jakby zamierzała przysnąć na stole.

– Wiem, że nie jesteś zły... I coś ci jestem winna. Ale po co ci to?

– Chcę się przekonać, że mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

– Aha... Ten sławny pisarz i moi synowie? Nic nie rozumiem.

– Ja też nie. Mam tylko przeczucia. Chcę się upewnić, że nie mam racji.

– Pamięć o ojcu to ważna rzecz... Jest późno, trochę mi słabo. Zmiłuj się i mów, czego chcesz.

– Synowie rozmawiali o Marcelu?

– Lubili go. Kiedyś tu był, pożartował, taki pocieszny miły chłopaczek. Nawet pomyślałam, czemu to mnie taki serdeczny wesołek się nie

przytrafił. Na początku nawet nie zauważyłam, że nie żyje. Tyle tu dzieciaków wykończyły narkotyki. Dopiero po roku czy dwóch te moje draby coś tam wybąkały. Zamykali się w pokoju, pili do nieprzytomności, ale mówili głośno, więc czasem coś mi wpadło do ucha. Potem przestali, chyba o wszystkim zapomnieli. Raz z Marcela żartowali, jak by było bez sumienia. Innym razem trochę go żalowali, mówili, że to był dobry kolega. I jeszcze o jakiejś Ani czyli Ali, że chętnie by z nią... Rozumiesz...

– To nie wszystko...

– Wiem, że tamtego dnia gdzieś na tego biednego Marcela czekali, a on, naiwny i dobroduszny, z nimi poszedł. A potem ktoś biedakowi tę piekielną strzykawkę wbił w żyłę.

– Kto?

– Może jeden z nich, może ktoś z dzielnicy. Pełno tu było bandziorów zdolnych do tego. A może „Pan Ktoś”. Raz, czy dwa, mówili o kimś takim.

– Pomyślała pani, że to ich dobry znajomy, jeden z rówieśników?

– Pomyślałam, że go sobie wymyślili, żeby resztki sumienia uspokoić. Bardzo młodzi byli, bali się...

– Czy przed śmiercią rozmawiali o nim?

– Nie, już nigdy o nim nie słyszałam.

– Ma pani jakieś przypuszczenia w związku z zamachem na pani synów?

– Wiedziałam, że źle skończą. Oprócz mnie chyba wszyscy mieli ochotę ich zabić, ale czekali, aż któregoś dnia wypiją tyle, że już nie wstaną. Dlatego zdziwili się z powodu tej bomby, że taka wielka.

– Po śmierci znaleziono u nich sporo gotówki.

– No to co? Nie pierwszy raz. I tak by to wszystko przepuścili.

– Nie mówili, że mają na oku jakiś wielki interes?

– Zawsze tak mówili.

– A nie wspominali o kimś, kto na ten interes będzie zmuszony dać im pieniądze?

– Oni na wszystkich ludzi patrzyli w ten sposób.

– Czy tuż przed śmiercią lub wkrótce po śmierci ktoś nie przeszukiwał pani mieszkania?

– No właśnie... Zdawało mi się, że tak... Wyszłam z domu posiedzieć u znajomej. Nie było mnie kilka godzin. Niby wszystko było normalnie, ale... Obraz był przekrzywiony i kwiatek w doniczce złamany, jakby komuś coś upadło.

– Oczywiście nie powiedziała pani tego policji.

– O złamanym kwiatku? Nic nie zginęło, a ja policji nie lubię. Ich obchodzą tylko zwłoki, jak grabarzy.

– Nic nie zginęło, bo miała to pani przy sobie, tak?

Uśmiechnęła się szczerze i bez żadnego przymusu.

– Pamiętasz, co obiecałeś?

– Tak.

Zdjęła z szyi srebrny łańcuszek. Zamiast krzyżyka na końcu kołysał się niewielki kluczyk.

– Masz i idź na pocztę przy Wilkes. Już tyle lat za to płacę, starczy.

28.

Rozbite latarnie w rynku były mniej więcej w takim stanie jak te dwie posiniaczone gęby. Stali obok auta z rękami w kieszeniach i palili papierosy. Podszedłem do nich i też zapaliłem. Spojrzeli po sobie. Jeden poruszył palcami, jakby sobie przypomniał, że zostawił w domu kij bejsbolowy. Był mniej więcej mojej postury.

– Umiesz prowadzić? – zapytałem.

– Jasne.

– Dobra, pojedziesz moim samochodem. – powiedziałem i zwróciłem się do drugiego, drągała z wielkimi łapami:

– Potrzebuję jeszcze jednego samochodu. Stówa za kwadrans przejażdżki, pasuje?

– Będzie szybciej, jak wyskoczysz z portfela od razu – odpowiedział. Obaj zaczęli rechotać.

– Za długo żyjesz, chłopie? – Spojrzałem w okno Jadwigi Hahn. Jej zgarbiony kontur pojawił się tam na moment i zniknął.

Nie wiedziałem, co pomyśleli, ale przestali się śmiać.

– No dobra. – W wielkiej łapie zabrzączały kluczyki.

Mężczyzna przez otwartą bramę kamienicy począpał na podwórko. Po chwili wypadł stamtąd z impetem pogniecionym fordem mustangiem. Ostro zahamował przede mną i wyjrzał przez opuszczoną szybę.

– Co robimy?

– Zdaje mi się, że mam ogon. Zobaczymy, kto to jest – powiedziałem, wręczając kluczyki drugiemu mężczyźnie. – Nie szarżuj. Nikt nie powinien pomyśleć, że moim autem jedzie ktoś obcy. Pojedziemy okrężną drogą do galerii handlowej Snegoff.

– Jasne – odpowiedział.

Wsiadłem do mustanga.

– Za nim – powiedziałem do drażala.

W nocy stare miasto sprawiało wrażenie wyludnionego. Ciemności przywodziły na myśl alarm bombowy. Za kamienicą pozbawioną okien brukowana jezdnia dochodziła do łagodnego łuku asfaltowej czteropasmówki, która za kolejnym zakrętem wpadała w węzeł dróg rozplątujących się w kierunku centrum, lotniska i dworca. Tam już wybuchały rozedrgane światła neonów i niezliczone reflektory samochodów pędzących w różnych kierunkach. Wraz z odległością różnice między nimi zacierały się, z daleka słabo rozpoznawalny był kolor lub tylko kształt tylnych świateł.

Kiedy zaczął padać deszcz, zacząłem się zastanawiać, czy mężczyzna w moim samochodzie po prostu nie ucieknie. Jednak obaj utrzymywali między sobą tę samą znaczną odległość.

Zerknąłem na kierowcę. W ramionach wyczuwałem siłę koparki, sygnety na palcach opartych na kierownicy wyglądały jak kastet. Mężczyzna sprawiał wrażenie boksera po piętnastorundowej walce zakończonej masakrą. Przypuszczałem, że na koniec jego przeciwnik poszedł do domu z urwaną ręką pod pachą.

– Czy to ty wyciągnąłeś Hahnów z pudła? – zapytał, nie odrywając wzroku od jezdni.

– Może...

– To było coś – powiedział z uznaniem. – Ale może lepiej, żeby skończyli ze sobą, jak ich ojciec.

– Stryczek jest lepszy od bomby w samochodzie?

– Ja nie o tym. Pecha przynosili, sobie i innym. Kogo nie spotkali, ciągnęli na dno. Zeszli na psy, przed śmiercią robili pod siebie, byle dziad mógł ich zdeptać.

– Dziad nie używa semtexu.

– Bo to chyba nie był dziad. – Drażal zaśmiał się. – Raczej ostatkiem sił złapali Pana Boga za nogi.

– I bardzo brzydko o coś poprosili...

– Tak myślę. Pogadali z nim, jak z pierwszym lepszym sponsorem. Chyba mu się to nie spodobało.

– Coś mi mówi, że najbardziej nie lubił niedyskrecji...

– Fajnie się z panem gada. Hahnowie na trzeźwo potrafili trzymać gębę na kłódkę, ale po pijaku czasem rozpuścili jęzor. W końcu sponsorowi puściły nerwy i zrobiło się wielkie bum.

– Hahnowie jakoś go nazywali?

– Mówili, że będą musieli sobie dokupić poduszek, żeby zaszywać w nich pieniądze, które da im Pan Ktoś.

– Pan Ktoś?

– Właśnie. Jakiś koleś z najwyższej półki. Kto by pomyślał, że takie dwie pluskwy będą coś miały na niego.

– Bez pośrednika nawet by do niego nie podeszli.

– Racja, ale to na pewno nikt z naszej dzielnicy. Na sto procent. To raczej ktoś, kto lubi furgonetki, choćby takie, jak ta, która siedzi na ogonie pańskiego wozu.

Zanotowałem w myślach numery rejestracyjne białego fiata ducato, który po krótkiej chwili skręcił w prawo. Na światłach pomyślałem, że zastąpi go

kolejny samochód dostawczy. Chwilę później po prawej stronie zatrzymał się szary ford transit. Jego kierowca patrzył przed siebie jak zahipnotyzowany. Na zielonym ruszył pierwszy i popędził za nissanem. Drągał bez pośpiechu podążał jego śladem.

– Zadzwoń do kumpla i powiedz, żeby zgubił transita, ale umiejętnie. Niech facet myśli, że sam się zagapił – powiedziałem. – Spotkamy się w galerii na czwartym poziomie.

Wymiana zdań trwała kilka sekund. Po kilku minutach dojechaliśmy na miejsce. O tej porze na najwyższym piętrze parkingu nie było ani jednego auta. Drągał zaparkował byle jak na samym środku, wysiadł i zapalił papierosa. Po chwili zjawił się jego kolega, ostro wirując między okrągłymi słupami. Pisk opon był nie do wytrzymania. Zatrzymał się obok mnie i wyjrzał przez opuszczoną szybę.

– Fajny wózek, ale mogę panu skombinować coś lepszego.

– Wezmę to pod uwagę – odparłem i wręczyłem drągałowi pieniądze.

Zrewanżował się wizytówką. Było na nim nazwisko lub pseudonim „Jarvis” i numer telefonu.

– Gdybyśmy jeszcze kiedyś mogli się przydać...

– Zadzwoń – powiedziałem.

29.

Pojechałem do domu, żeby wziąć kąpiel i przebrać się w garnitur. Kiedy wychodziłem, już nie padało, noc była ciepła i rozgwieżdżona. Opuściłem szyby w samochodzie i rozglądałem się po mieście, pomimo późnej pory ruchliwym i zatłoczonym. Nikt za mną nie jechał.

Gdyby nie taneczne dźwięki dobiegające nie wiadomo skąd, trudno byłoby zgadnąć, że w szkole cokolwiek się dzieje. Znużony ochroniarz skierował mój samochód za budynek na otoczone wysoką siatką boisko futbolowe. Dopiero stamtąd było widać szeroko otwarte okna na pierwszym piętrze, balony i zwisające z sufitu papierowe łańcuchy.

Na schodach towarzyszyły mi dźwięki saksofonu i dancingowe zawodzenie o miłości niespełnionej w jesienną deszczową noc. Część oficjalna dawno się skończyła, zresztą dowodziło tego nieapetyczne chrząkanie dochodzące ze szkolnej toalety i rozkołysany krok facetów palących papierosy na korytarzu.

Kiedy wszedłem do auli, wokalista zaśpiewał „A teraz idziemy na jednego”, po czym mężczyźni odprowadzali swoje partnerki i szurali krzesłami przy stołach ustawionych łukiem wokół parkietu. Wszedłem w hałaśliwy tłum dobrze odżywionych kobiet i zramolałych facetów emanujących energią po wypitym alkoholu. Niektórzy wodzili po sali nieprzytomnym spojrzeniem i wyciągniętymi ramionami poszukiwali punktu podparcia. Ci mogli zaraz zasnąć z twarzą w talerzu. Inni

przypomnieli sobie dawne urazy i patrzyli na siebie spođe łba, gotowi pod byle pretekstem wdać się w bójkę.

Nic nie pozostało z atmosfery uroczystych przemówień, życzliwych powitań i obowiązkowych komplementów typu „Nic się nie zmieniłaś”. Rzewne wspomnienia ustąpiły miejsca konsternacji. Nieliczni usiłowali prowadzić uprzejme pogawędki, milknąc na pijackie okrzyki i wrogie gesty.

Zdawało mi się, że ktoś mnie woła. Ruszyłem w tym kierunku, zatrzymując się przed kobietą, która zgubiła but i na czworakach wyciągała go spod stołu. Pomogłem jej wstać, posadziłem na krześle i rozglądałem się po sali. Jedyna znajoma twarz należała do burmistrza Maxa Krafta osaczonego namolnym elektoratem. Udawał zainteresowanego i pochylał się nad serwetkami, na których rozgadani interesanci uparcie coś gryzmolili. Widok faceta z prasy, który już nie raz dał mu się we znaki, wymalował na jego twarzy grymas dodatkowej udręki.

Amelia Arnold zamachała do mnie ze stolika pod sceną, wskazując na wolne krzesło. Przywitałem się z nią z przesadną czułością, ale przyjęła to z porozumiewawczym spojrzeniem, jak ciocia, która spotyka dawno niewidzianego siostrzeńca. Siedziały z nią stare nieruchawe nauczycielki. Te również wydawały się zainteresowane czułościami, ale poprzestałem na uścisku dłoni.

Amelia zawołała kelnera, a ten zaraz przybiegł z gorącym gulaszem. Byłem głodny, zjadałem z apetytem, wysłuchując zwierzeń o rozczarowaniu zjazdem i pedagogicznej porażce. Kobiety były zawiedzione swymi wychowankami. Było pewne, że niektórzy się upiją, ale nie wyobrażały sobie, że nastąpi to tak szybko. Zresztą niektórzy przyszli pijani. Dyskretnie wytykały ich sobie palcami, kręciły głowami nad upadkiem obyczajów i nieobecnością wielu osób, które przed laty darzyły

sympatią. Litowały się nad burmistrzem, który musiał znosić największych klasowych ciemniaków i nad towarzyszącą mu szwagierką.

Dopiero teraz zauważyłem, że Alicja jest zajęta rozmową z pokaźnym jegomościem w jasnej marynarce. Kiedy wyszli muzycy i zaryzykowali szybkie rytmy, mężczyzna wyciągnął ją na parkiet. Przyciężkawy i nieporadny wyglądał jak czołg przy waźce, która umiejętnie unika zdeptania. Świetnie radziła sobie z partnerem, tańcząc solo i nie pozabawiając go złudzenia, że robią to razem. Ich śladem poszło kilkanaście par.

Kiedy orkiestra podkręciła tempo, poprosiłem Amelię Arnold. Opierała się mocno, ale natarczywe zachęty jej koleżanek wzięły górę nad onieśmieniem. Natychmiast dostała rumieńców. Spojrzała mi w oczy, zmarszczyła czoło i poruszała się z belferską sumiennością. Rozśmieszyła mnie. Zakręciłem nią młynka i nagle wydała z siebie pisk nastolatki. Nie mogła złapać tchu, ale każdy kolejny obrót wprawiał ją w coraz większą ekscytację. Czowała na sobie spojrzenia niemrawych wychowanków i patrzyła na mnie z wdzięcznością za te kilka chwil, które pozwalały jej uwierzyć, że nie jest tylko szkolnym antykiem. Promieniała, kiedy kilka par zaczęło klaskać.

Orkiestra grała jeden kawałek po drugim, przy wolnym dałem Amelii odpocząć, ale i tak zdawało mi się, że jest w stanie przedzawałowym. Pocałowałem ją w rękę i odprowadziłem do stolika. Koleżanki uznały ją za gwiazdę wieczoru i zasypały gratulacjami. Z rozpędu chciała napić się wódki, ale namówiłem ją na zimny sok.

– Milena tu jest – powiedziała, sapiąc po dużym łyku. – Siostra Marcela.
– Spojrzała na rudowłosą chudą kobietę, której anemiczny taniec przypominał naukę chodzenia. Należała do ludzi mających tę szczególną właściwość, która nie zachęca do zawierania znajomości. Kogoś takiego nie

zauważa się, nie zapamiętuje, nawet nie pyta o drogę, wypatrując kogoś innego.

– Nie wygląda zbyt zdrowo – powiedziałem.

– Kiedyś to była żwawa zdolna dziewczynka, ale po śmierci brata wszystko poszło nie tak. Zmieniła się nie do poznania. Zaczęła się jąkać, bać, stronić od ludzi. Nie wyszła za mąż, nie ma dzieci, żyje z renty. Jest moją sąsiadką, często ją widuję. Beznadziejne to życie, jak nie szpital to sanatorium.

– Rodzina jej pomaga?

– Tylko ojciec. Piotr Buster to taki porządny, dobry człowiek. Staruszek, emeryt, ostatni grosz wydaje na lekarzy. Matka Mileny ze zmartwienia zmarła zaraz po Marcelu.

Po mocnym akordzie kończącym skoczny taniec, niektórzy bez wylewnych pożegnań zaczęli zbierać się do wyjścia. Nikt ich zanadto nie zatrzymywał. Kilku facetów ze zwieszonymi głowami pochrapywało na krzesłach, reszta jako tako trzymała fason, ale bez przekonania, czy warto tu jeszcze siedzieć. Wyjątkiem był stolik, do którego olbrzym w jasnej marynarce zaprowadził Alicję. Wyglądała na szczerze rozbawioną w towarzystwie raz po raz komentującym dowcipy salwami śmiechu. W przeciwieństwie do tego Max Kraft, nadal otoczony gromadką petentów, sprawiał wrażenie znękanego jeńca, który stracił nadzieję na ucieczkę.

Zadzwoiłem do niego z komórki.

Warknął:

– Kto mi tu dupę zawraca o tej porze?

– Panie burmistrzu, przypominam, że za trzy godziny ma pan samolot.

– Jaki samolot?!

– Rano ma pan umówioną wizytę u premiera.

– Aaa... rozumiem.

Podniósł się raptownie. Z ruchu warg wyczytałem, że tłumaczy się tym premierem, co na słuchaczach wywarło odpowiednie wrażenie. Natychmiast się odsunęli. Max Kraft szybkim krokiem podszedł do Alicji i coś jej tłumaczył. Nie przestała się śmiać z kolejnego dowcipu, zanim skończył mówić, przecząco pokręciła głową. Uścisnął jej rękę, zerknął na zegarek i rzucił krótkie spojrzenie po sali. Mrugnięcie w moim kierunku mogło oznaczać powściągliwe podziękowanie.

Amelia szturchnęła mnie w ramię.

– Alicja znowu ci się przygląda. Zauważyłeś?

– Nie, która to?

– Nie udawaj. – Nachmurzyła się. – Jej nie można przeoczyć.

Miała rację. Pomimo upływu lat Alicja bardzo przypominała siebie z czasów szkolnych, jednak górowała nad dużym dzieckiem pewnością siebie i dojrzałą kobiecością. Wiek był jej sojusznikiem, nie odbierał wdzięku, lekkości ruchów, świeżości szczerego uśmiechu. Natychmiast przykuwała uwagę, usuwając w cień każdego w swoim towarzystwie. Mężczyźni siedzący przy stoliku bez przerwy gapili się na jej odkryte ramiona, długą szyję, z apetytem obejmowali wzrokiem kształtny biust. Ciekawiło ich, jak trzyma szklankę, pociera palcem o nos, przekręca obrączkę na palcu. Nie dziwiłem się. Każda z tych czynności była szczególną formą subtelного dotyku i niewymuszonej elegancji.

Naturalna prostota, z jaką Alicja porozumiewała się z mężczyznami, miała niezwykłą siłę przyciągania. Miała klasę, która nie peszy, ale daje przewagę, pozostawia możliwość wyboru. Zacząłem rozumieć chorobliwą zazdrość Artura Krafta i coraz bardziej wątpić w rzekome wyrachowanie ojca, który miał tolerować obecność Alicji jedynie ze względów marketingowych.

Od czasu do czasu zerkała na mnie spojrzeniem krótkowidza, który zapomniał okularów. Od Alicji dzieliła mnie podobna odległość, jak w domu od kobiety, której zdjęcie powiesiłem na ścianie. Pomimo różnych okoliczności wydawały mi się uderzająco podobne.

Kolejne wejście orkiestry nie było pokazem wykonawczej maestrii. Chłopcy już trochę wypili, perkusista potknął się o kabel i upadł na bębny. Pozostali nie mogli się zdecydować, czy go podnieść czy położyć się obok, jednak się zmobilizowali. Mozolne ustawianie sprzętu wzbudziło ogólne rozbawienie, ale moje panie już zadzwoniły po taksówkę i poprosiły, żebym odprowadził je na parking.

Zszedłem z nimi do szatni. Pomogłem ubrać płaszcze i wyszedłem na dwór. Towarzyszyła nam melancholijna solówka saksofonu i anemiczne połajanki absolwentów, którzy domagali się czegoś z przytupem.

– Co za dużo, to niezdrowo – powiedziała Amelia. – Dziękuję. Myślałam, że to będzie całkowita katastrofa, ale wieczór był miły, chyba niezapomniany.

– To ja dziękuję za zaproszenie – odparłem.

– Będzie z tego jakiś pożytek? No wiesz... – dodała ściszym głosem.

– Sprawiedliwości stanie się zadość – wyszeptałem.

Podjechała taksówka. Wsiadały do niej szybko, jakby kierowcy nie zależało na pasażerach. Zanim ruszył, zgodnie mi pomachały.

Zawróciłem na górę i wszedłem do auli. Na parkiecie w ospałym rytmie kołysało się kilka par. Przy większości stolików już nikt nie siedział. Nie zauważyłem, kiedy wyszła Milena. Towarzystwo Alicji bawiło się w najlepsze, ale jej nie było.

Ostatkiem sił do tańca chciała mnie namówić specjalistka od gubienia butów. Odwróciłem ją i ostrożnie popchnąłem w obszerne ramiona

mężczyzny, który właśnie się obudził i patrząc na salę, nie dowierzał własnym oczom.

Ktoś nieroztropnie zgasił światło na korytarzu. Kiedy wyszedłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi, znalazłem się w zupełnych ciemnościach. Zza pleców dobiegał mnie stłumiony hałas, przede mną skradała się cisza i czyjaś obecność. Z parkingu wyjeżdżał samochód i na ułamek sekundy w oknie zamigotała niknąca smuga światła. Zobaczyłem zarys postaci z torebką przewieszoną przez ramię i cienkim papierosem w ręku. Podszedłem bliżej.

– Odwieszysz mnie do domu? – zapytała.

– Daj mi rękę – powiedziałem.

Zacisnęła na mojej chłodną wąską dłoń. W świetle zapalniczki wymieniliśmy krótkie spojrzenia.

30.

Wsiadła do auta niepewnie, jakbym otworzył niewłaściwy wóz. Usiadłem obok i patrzyłem, jak poprawia włosy.

– Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana...

Dotknąłem jej ręki.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem... – Westchnęła. – Chyba... Wszystko jedno.

Włączyłem motor. Wyjechaliśmy na ulicę, mijając ochroniarza, który dotknął daszka czapki. Skręciłem w prawo, bo nikt tamtędy nie jechał. Nie spieszyło mi się. Alicja poprawiała sukienkę i siedziała wyprostowana z rękami na udach. Od czasu do czasu przyglądaliśmy się sobie. Milczała. Nie przeszkadzałem jej.

Ruch był niewielki. Mijaliśmy jedno skrzyżowanie za drugim. Włączyłem cichą muzykę i ogrzewanie, kiedy zaczęła dotykać ramion.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

– Po co, przecież mnie nie znasz?

– Pewnie dlatego.

– Nie myślałaś, że na zjeździe spotkasz Artura?

– Artur podobno stroni od ludzi.

– Powiedz prawdę, proszę.

– Wiedziałem, że jeśli nie musi, nie przyjdzie. Chciałem zobaczyć ciebie.

- I co widzisz?
 - Pięknego ptaka, który nigdy nie przestaje wymykać się z klatki.
 - Nie myśl tak... A nawet gdyby, uważasz, że mu się uda?
 - Jeśli ktoś mu pomoże...
 - Boję się tego, co zamierzasz.
 - Wiem, mam kiepską reputację, ale nie przyszedłem cię nastraszyć.
 - Bałam się, zanim zrozumiałam, że to ty. Cały wieczór mam przecucie, że coś się stało... Coś się dzieje. Dlaczego teraz? Dawid nie żyje od trzech lat.
 - Rozmawiałem z matką. Żałuje, że straciła najlepszą przyjaciółkę.
 - Nawet nie wiesz, jak mi przykro z tego powodu. Naprawdę. I jeszcze wstyd, że nie przeprosiłam. To o to chodzi? Beata cię przysłała?
 - Raczej ojciec. Chyba sobie życzy, żebym sprawdził, jak mają się ludzie, na których mu zależało. Poodkładał książki na miejsce, podomykał za nim drzwi.
- W jej oczach odmalował się lęk.
- Co ty chcesz napisać?
 - Nigdy nie napisałem słowa o swojej rodzinie i nie zamierzam tego robić. Powiedzmy, że nadrabiam stracony czas.
 - Mój Boże... Patrzysz na mnie tak samo jak Dawid... Bardzo cię kochał, opowiadał o tobie, podziwiał za niezależność.
 - Chyba nie ma czegoś takiego. Jest tylko samotność.
 - Nie raz tak myślałam... Pewnie masz rację...
 - Nie wiem, ja tylko czasem domyślam się pewnych rzeczy.
 - A teraz?
 - Teraz przychodzą ci do głowy najgorsze historie, jakie o mnie słyszałaś.
- Zamilkła i zaczęła przeszukiwać torebkę w poszukiwaniu chusteczki.

– Dawid mi mówił, że ty... Lepiej opowiedz, co słyhać u Beaty – powiedziała, wycierając nos.

– Wszystko dobrze. Jest doskonale zorganizowana, praktyczna, sprawdza się w interesach.

– Wiem, jest mądra i fajna. Nie myślałam, że tak szybko weźmie się w garść. Już nie cierpi?

– Cierpi, ale jest dzielna. Dlaczego nie wpadniesz do niej na kawę?

– Zawsze było miło z nią pogawędzić. W jej towarzystwie czas płynął prędko, beztrosko. Ale czasem trzeba całkowicie poświęcić się rodzinie, a potem trudno to wytłumaczyć przyjaciołom.

– Matka jest zawsze gotowa, żeby zrozumieć każdego.

– Ale ja nigdy nie będę gotowa na to, żeby ot tak, po prostu rozmawiać o moich bliskich. Moje życie rodzinne jest zamknięte na klucz, który ktoś wyrzucił do rzeki. Nie myśl sobie, że tu chodzi o jakąś straszną tajemnicę, po prostu zawsze tak było. Wiem, że to niezdrowe, ale życie sprawami Beaty i Dawida też nie było najlepszym rozwiązaniem. Nawet robiłam takie same zakupy jak Beata, gotowałam to samo na obiad, bez przerwy mówiłam o nich, zwracałam się do córek, do męża... Musiałam z tym skończyć, rozumiesz?

– Tak.

– Nie wiesz, jak to jest.

– Nie próbuję dowiedzieć się wszystkiego.

– Bo wiesz o wiele więcej niż inni, tak?

– Czasami, ale to raczej obciążenie niż zaleta.

– Właśnie. – Zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem. – Jaka kobieta chciałaby się z tobą związać, wiedząc, że zawsze będziesz miał nad nią przewagę?

– Nad tobą nie mam. Chcesz spróbować?

Po raz pierwszy roześmiała się i natychmiast odparła z udawanym rozżaleniem:

- Jestem od ciebie starsza o kilkanaście lat.
- Ani przez chwilę nie odczułem tej różnicy.

Musiało to zabrzmieć szczerze, bo odpowiedziała z łagodną życzliwością:

- Myślałam, że jesteś okropny, zarozumiały i nieznośny.
- I wsiadłaś do auta takiego indywiduum?
- Może ja też nie odczuwam żadnej różnicy? A może nie jestem zbyt wymagająca?

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć na mnie z większej odległości, ale wiedziała z góry, że ta zaczepka mi się spodoba. Zatrzymałem samochód.

- Chodź, przejdziemy się – powiedziałem. – Dam ci coś ciepłego.

Na tylnym siedzeniu wozilem siermiężny sweter na guziki. Przymierzała go z rozbawieniem.

- Gdzie ty mnie chcesz ciągnąć po nocy?
- Spodoba ci się, nie ma się czego bać.
- Nie boję się, raczej jestem zdziwiona – powiedziała, wysiadając z auta.
- Rozmawiam z tobą jak ze znajomym z dzieciństwa, który nic się nie zmienił, z którym wciąż chodzę tymi samymi ścieżkami, do tego w pożyczonym ubraniu.

Zaskoczyła mnie. Zdawało mi się, że nie ma pojęcia, dokąd jedziemy i nie zauważyła, kiedy wjechaliśmy na kamienistą drogę. Księżyc wisiał wysoko nad Isy, ale zabudowania były niewidoczne, jakby zapadły się pod ziemię. Zaprowadziłem ją na krawędź zbocza, skąd było widać kontur fabryki z olbrzymim czerwonym neonem RDAAX. Pomyślałem, że to Alicję spłoszy, ale bez zastanowienia ruszyła w stronę ścieżki wiodącej na cypel.

– Ciepło ci? – zapytałem.

– Tak, zresztą nie będziemy tu chyba zbyt długo. Chodź, urzekają mnie tutejsze widoki.

Ani ciemności, ani wysokie obcasy nie były dla niej przeszkodą. Zgrabnie omijała krzaki rosnące wzdłuż ścieżki. Stała na krawędzi urwiska z polnym kwiatem w ręku i patrzyła na dolinę. Rzeka była niewidoczna, za to szum wodospadów donośny, orzeźwiający jak wiatr w upalne popołudnie. W świetle księżyca rozstawione na zboczach skały rzucały długie smugi cienia na kępy kosodrzewiny i wierzchołki drzew. Przezroczyste obłoki ożywiały je, zdawały się popychać głązy w różnych kierunkach.

Alicja patrzyła na odległe szczyty gór spod zmrużonych powiek, upajała się tym widokiem.

– Jaki to cudowny pomysł, żeby tu przyjechać – powiedziała, spoglądając na mnie z wdzięcznością. – Nigdy tu nie byłam w nocy. Jestem naprawdę wzruszona.

Pejzaż wydawał mi się nieco kiczowaty, ale byłem w polu rażenia jej zachwytu i, chcąc nie chcąc, też byłem pod wrażeniem.

– Dziękuję – powiedziała. – Już wracajmy, dobrze?

Podąłem jej rękę. Chwyła ją mocno, jakby od nadmiaru świeżego powietrza zakręciło jej się w głowie.

Powiedziała, dokąd mam ją zawieźć i milczała przez całą drogę. Tylko od czasu do czasu patrzyła na mnie spod długich rzęs, uspokojona i w dobrym nastroju, jak ktoś, kogo spotyka zasłużona nagroda.

Pożegnała się zdawkowym „pa”, jakbyśmy widywali się codziennie. I poszła klonową aleją do monumentalnej metalowej bramy, za którą czaił się uśpiony stylowy pałac ozdobiony niezliczonymi wieżami i fontanną.

Poczekalem, az wkroczy na teren tego kunsztownego wiazienia i zawrociłem z powrotem. Przyszło mi na myśl, ze Alicja pachnie jak Joanna.

31.

Szary ford transit stał za rogiem budynku po drugiej stronie ulicy. Kierowca palił papierosa i od czasu do czasu zadzierał głowę w kierunku moich okien. Przez dłuższą chwilę przyglądałem mu się zza firanek. Nudził się, podobnie jak mężczyzna w skórzanej kurtce przed wystawą z damskimi futrami. Gdyby w odbiciu witryny nie obserwował bramy mojego budynku, przekonałby mnie, że poranek jest chłodny i powinienem pomyśleć o ciepłym przyodziewku.

Ubrałem się w wieśniacki dres z kapturem wygrany na jakimś odpustowym konkursie. Poszedłem po schodach na strych, stamtąd do sąsiedniej klatki schodowej i windą zjechałem na dół. Wybiegłem na puste podwórze otoczone budynkami, potem przez bramę wyjazdową wprost do nadjeżdżającego autobusu. Wsiadłem na przystanku w pobliżu mostu i pobiegłem asfaltową ścieżką. Z jednej strony ograniczała ją metalowa siatka nad brzegiem rzeki, z drugiej przestronny trawnik. Nie było tu nikogo oprócz grupy osób, które każdego poranka uprawiały jogging. Wszystkie znałem z widzenia. Zwolniłem kroku, na urlopie nie zaliczałem biegania do ulubionych zajęć.

Niewielki budynek poczty znajdował się nieopodal następnego mostu przy Wilkes. Przepisnąłem się między samochodami upchanymi na parkingu dla pracowników i bocznymi drzwiami wszedłem do środka. Do sali operacyjnej skierowało mnie wściekle przystawianie pieczętek

przywodzące na myśl rozbijanie mięsa na kotlety. Większość okienek była nieczynna, zaspani interesanci stali tyłem do długiej szafy w kształcie litery L. Nikt mnie nie widział, kiedy otwierałem skrytkę pocztową numer dziewiętnaście. Na dodatek chrobotanie kluczyka zbiegło się z walnięciem pieczętki. Byłem pewien chóralnego „Dobrze ci tak”, gdyby pracownica poczty palnęła się w palec.

W kiepsko oświetlonym pomieszczeniu skrytka wyglądała na pustą, jednak w środku natknąłem się na długie blaszane pudełko. Brudne i porysowane wyglądało na szpargał znaleziony na poddaszu. Kiedyś były w nim czekoladki, ale w środku znajdowała się przestarzała metalowo-szklana strzykawka z zatkniętą igłą. Umieszczono ją na drewnianej podpórce w taki sposób, by nie zmieniała położenia, nawet gdyby pudełko leżało do góry dnem. Można to było zrobić inaczej, na przykład owijając strzykawkę watą. Z tym jednak wiązało się ryzyko zatarcia odcisków palców. Sądziłem, że ktoś chciał tego uniknąć. Zależało mu również na identyfikacji krwi na igle. Nie miałem wątpliwości, że to krew Marcela Bustera. Upływ czasu nie był żadną przeszkodą, by się o tym przekonać.

Już po rozmowie z Amelią Arnold miałem przeczucie, że bracia Hahn szantażowali Krafta strzykawką. Zanim wybiegłem na jogging, zadzwoniłem do zaprzyjaźnionej dentystki, której ojciec praktykował w epoce metalowo-szklanych strzykawek. Trochę wydziwiła, że zmuszam ją do wykopalisk, ale obiecała, że starej strzykawki poszuka. Schowałem pudełko do skrytki, niezauważenie wyszedłem z poczty i zadzwoniłem do niej ponownie.

– Masz?

– Już myślałam, że nic z tego – powiedziała. – Okazało się, że mąż po prostu wyrzucił torbę lekarską mojego taty. Wyobrażasz to sobie? Nawet nie zapytał! Na szczęście dawno temu schowaliśmy strzykawkę przed

dzieckiem. Już miałam wychodzić i przypomniałam sobie o starej szafce zamykanej na klucz. Zabrałam ją do pracy. Strzykawkę, nie szafkę. – Zarechotała. – Wpadniesz do gabinetu?

– Zaraz.

– Będę miała pacjenta. Nie przejmuj się i od razu wchodź do środka.

Podjechałem do niej dwa przystanki autobusem i nie przejmowałem się, choć w poczekalni było sporo osób. Usłyszałem przekleństwo, gdy zamykałem za sobą drzwi.

– Cześć, leży na szafce w pudełku – powiedziała, nie odrywając wzroku od jamy ustnej pacjenta.

– Cześć – odparłem, zerkając na zaciśnięte na oparciu blade palce biedaka.

Stare pudełko po cygarach okazało się bardziej praktyczne od blaszanego pojemnika na czekoladki. Podpórka nie była potrzebna, strzykawkę wciśnięto po przekątnej. Nie różniła się niczym od tej, którą widziałem na poczcie.

– Jesteś zadowolony z tego antyka?

– O taką strzykawkę chodziło, bardzo dziękuję.

– Zakładasz muzeum medycyny, czy co?

– Owszem, tylko widowia nie będzie tak liczna jak twoja.

– Mam nadzieję, że nie będzie tak cierpieć. – Obrzuciła niezycliwym spojrzeniem ciężko sapiącego pacjenta.

– O to bym się nie zakładał – odparłem.

Złapałem taksówkę i wysiadłem kilka przecznic przed domem. Wróciłem do mieszkania tą samą drogą, którą je opuściłem. Odniosłem wrażenie, że czas za oknem stanął w miejscu. Kierowca forda transita ziewał, ten drugi w skórzanej kurtce spacerował wzdłuż witryny z futrami.

Po wyjściu spod prysznic owinięty ręcznikiem zadzwoniłem po Jarvisa.

– Jakaś robótka, szefie? – zapytał.

– Zrobimy sobie małą wycieczkę bez towarzystwa. Przyjeźdź sam.

– Aha, no to będzie taka sama stawka.

– Zgoda. Za pół godziny bądź tam, gdzie ostatnim razem.

Przypadkiem powiedziałem to tak, jakby mój telefon był na podsłuchu i uprzytomniłem sobie, że mógłby być. Ubrałem džinsy i marynarkę, wypiliśmy kawę i bez pośpiechu poszedłem do galerii Snegoff. Na mój widok kierowca transita usiadł za kierownicą. Byłem pewien, że zatrzyma się w okolicy galerii i będzie czekał na telefon.

Facet w skórzanej kurtce poszedł za mną. Kiedy przeglądałem płyty, sterczał przy pralkach. Potem udawał zainteresowanie rowerami i przeglądał zapachy do auta. W końcu zniknął mi z pola widzenia. Wsiadłem do szklanej windy i znowu się pojawił, pokonując schody długimi susami. Spodobało mi się, jak biega, z ósmego poziomu zjechałem na dół i wdałem się w pogawędkę ze sprzedawczynią na stoisku garmazeryjnym. Poczerwieniały na twarzy obserwował mnie spod regału z pakowanymi wędlinami. Kiedy ponownie wsiadłem do windy, już nie miał ochoty pędzić na górę. Śledził wzrokiem windę i rozmawiał przez telefon.

Na czwartym poziomie nie było wolnych miejsc parkingowych. Jarvis jeździł w kółko i posiniaczoną gębą straszył rodziny z zakupami. Wsiadłem do auta i natychmiast ruszyliśmy. Gdyby ktoś mnie tam obserwował, musiałyby się uwijać, żeby nas dogonić. Nawet nie obejrzałem się za transitem. Przed zakorkowanym skrzyżowaniem Jarvis skręcił ponownie w wąską ulicę bez okien, omijając jeden po drugim kontenery na śmieci.

– Starasz się czy boisz? – zapytałem.

– Niech pan nie będzie taki odważny – odpowiedział. – Ci co łążą za panem, chyba zabili Hahnów.

– Wiem.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– Gdzie jedziemy?

– Na Dworzec Goldmana. Zatrzymaj się przy tylnym wejściu, wysiądę na ulicy.

– I co dalej?

– Potem będziesz wolny.

Kiedy wyjechał na czteropasmową jezdnię wiodącą do dworca, wręczyłem mu pieniądze. Wyprzedzał, zmieniał pasy ruchu i spoglądał w lusterko wsteczne. Nikt nie próbował nas dogonić, wszyscy jechali równym nudnym tempem. Jarvis skręcił zniemacka w dół, przemknął przez tunel i po chwili zatrzymał się w zatoce dla autobusów.

– Dobra robota – pochwaliłem go.

– Szczęśliwej podróży.

Podziękowałem i uściśnąłem mu rękę. Szybko się oddalił.

Poszedłem do podziemnego przejścia dla pieszych i stamtąd na dworzec. W hallu głównym odezwał się stukot przejeżdżających wagonów, przez który przedzierał się donośny głos spikera zapowiadającego przyjazd pociągu. W ślad za tym gromada pasażerów powlokła za sobą walizki na kółkach. Tłum kotłował się przy kasach. Na drewnianych ławkach kołysali się żebracy i pijani menele dogładani przez bezradnych policjantów. Stęchlizna brudnej odzieży i zapachy z jadłodajni prowokowały się wzajemnie przy akompaniamencie ciężkich postękiwań i nagabywania dziewczynek nadużywających szminki.

Wszedłem po schodach na piętro, gdzie obok placówek bankowych oferujących szybkie pożyczki znajdowała się poczta. Skrytkę wykupiłem parę lat temu, kiedy kilku informatorów doszło do wniosku, że jestem zbyt popularny i pokazywanie się w moim towarzystwie jest niebezpieczne.

Moje zaufanie do poczty było umiarkowane, ale tą drogą trafiło w moje ręce kilka istotnych dowodów rzeczowych.

Dworcowy urząd był podobny do tego przy Wilkes, ale mniejszy, przypominający zaciszną szufladkę w rozedrganym ulu. W okienku siedziała tylko jedna urzędniczka melancholijnie spoglądająca na pieczętkę, za to skrytki opróżniało z korespondencji kilka osób. Zanim otworzyłem własną i dyskretnie umieściłem tam pudełko ze strzykawką, pomogłem dziewczynie mocującej się z zamkiem. Potem zniosłem jej walizkę do hallu. Zwierzyła się, że na zawsze wyjeżdża do Ost. Jak nigdy dotąd nie miałem na to najmniejszej ochoty.

32.

Wyszedłem z dworca w dobrym nastroju. W słoneczny ciepły dzień nie miałem już nic konkretnego do roboty poza czekaniem na rozwój wypadków. W okolicy było pełno knajp dla podróżnych, ale jeszcze nie miałem ochoty na obiad. Zdecydowałem się na długi spacer do restauracji w parku, żeby zapytać Rozalię, czy nadal boi się duchów. Przewiesiłem marynarkę przez ramię i poszedłem Bulwarem Reinera obstawionym tandetnymi pejzazami na sztalugach i straganami pełnymi książek i bibelotów. Nie pamiętam, żebym coś tam kupił, ale lubiłem kramarzy. Nie sprzedawali książek jak margaryny, nie przeszkadzało im, że rozsiadam się na ławce i czytam, bo potem mogli o książkach pogadać.

Miałem czas, ale niewielką ochotę, żeby zatrzymać się tu na dłużej. Zaczepił mnie stary brodaty sprzedawca, zwykle milczący i zaczytany w pomiętej Biblii, z której raz po raz wypadały kartki. Tym razem trzymał w rękach coś innego.

– Pan czasem czyta swojego ojca? – zapytał znienacka.

– Myślałem, że pana interesuje tylko Słowo Boże – odparłem wymijająco.

– Nie widzę sprzeczności, wszak Jezus rzekł: „To wam nakazuję, żebyście się wzajemnie miłowali”.

– W książkach Dawida Smoke'a poszukuje pan drogowskazów wiodących do miłości?

– Są tak samo dobre, jak każde inne, choć to nie tłumaczy popularności autora.

– Zdaje mi się, że utknął pan na rozstajach.

Stary uśmiechnął się zdawkowo.

– Coś w tym rodzaju. Jeśli mam jakąś pozycję pana ojca, przeczytam parę rozdziałów i zaraz się sprzedaje. A ta leży i leży. Dziwne. Ukazała się po jego śmierci. Bestseller, może i wszyscy kupili, ale nie wiem, czy przeczytali. Jakaś nietypowa.

– To zabrzmiało jak komplement...

– Nie w tym rzecz. To właściwie materiał na książkę, z której prawdziwa książka nie powstała. Takie strzępy myśli, rozmów, no nie wiem... Straszliwy tu nieporządek, bałagan... Wszystko tu takie bez składu i ładu. Niech mi pan powie, to tak się pisze powieści? Najpierw robi się wielki magazyn, śmieci wyrzuca, a potem układa resztę w jakiś strawny ciąg chronologiczny?

– Ojciec miał dobrą pamięć, zwłaszcza do historii, które go zainteresowały. Pisał z głowy i konsultował powieść po kawałku.

– No to coś tu nie gra albo...

– ...to nie jego powieść?

– No właśnie. Przez chwilę tak pomyślałem, ale zdaje mi się, że to pisały dwie różne osoby. On chyba też.

– To duża ulga. Proszę pokazać.

– Niech pan spokojnie przeczyta ten fragment – powiedział brodac. – Na moje oko mężczyzna by tak nie napisał.

Jednak psychika mężczyzny jest inaczej skonstruowana. Mam tego kolejny dowód. Widzisz, w formalnym związku jest jak jest. Wiadomo, to loteria, wielka niewiadoma. Można trafić dobrze albo całkiem fatalnie. Nie zawsze ma się wystarczający wpływ na jego kształt. Natomiast taki związek

jak nasz został przez nas wymodelowany. Sto razy ci powtarzałam, że jesteś moim wymarzonym mężczyzną...

Nie uważałem się za eksperta, który mógłby orzekać, czy coś zostało przez ojca napisane czy nie. Gdybym jednak nie wiedział, że to fragment jego książki, pewnie nie przyszłoby mi to do głowy.

Byłeś zawsze bardzo delikatny, wyrozumiały i cierpliwy. Tak doskonale mnie rozumiałeś. Nawet wtedy, gdy bezpośrednio nie dawałeś mi czegoś odczuć, pisałeś o tym później, a ja nie mogłam uwierzyć, że pojmujesz to dokładnie tak, jak oczekiwałam. Czego można chcieć więcej od losu? Bardzo tego potrzebowałam. Twoje nieustanne zapewnienia o uczuciu, o mojej „wspaniałości” bardzo mnie budowały, umacniały poczucie wartości. W końcu nie jesteś kimś przeciętnym. W „naszym świecie” czułam się jak we współczesnej bajce – niewiarygodnie szczęśliwa, mając jednocześnie pewność, że to wszystko jest realne. To, że istniejesz, jesteś mądry, że mogę cię dotknąć, przytulić się do ciebie, że jestem cię pewna, sto razy pewniejsza niż siebie...

I jak się okazało, moje odczucia zupełnie rozminęły się z rzeczywistością. Nie mogłam w to uwierzyć! Poczułam pustkę, jakby świat budowany przez kilka miesięcy zaczął się rozpadać... Jak to, ty, jedyny i tylko mój, możesz, tak po prostu... flirtować?!

Kolejny fragment był już całkowicie babski, chaotyczny, zdominowany przez furię kobiety, która nie została zdradzona, ale już to sobie wyobraża, nadyma się, gorączkowo szuka lontu, żeby go odpalić. Przesunąłem palcem po trzech akapitach lamentów i narzekań, i poczułem się zmęczony. Autorka chyba też, bo powolutku zaczęła wyhamowywać...

Tłumaczysz, że to nie ma znaczenia, że to nieporozumienie, ale to tłumaczenie nie przynosi mi ulgi Nie wiem, czy mnie nie traktujesz w ten sam sposób. Jak nieporozumienie. Gubię się teraz w ocenie. I nie możesz

mieć o to do mnie pretensji. To nie moja wina. Bardzo, ale to bardzo mi z tym źle, uwierz. Czuję straszny zawód. Czuję się oszukana. Trudno mi wierzyć w twoje słowa. Bo te namiętne i słodkie powinny być skierowane tylko do mnie, rozumiesz? Tak to sobie wymyśliłam. Bardzo chciałabym, żebyś mnie zrozumiał. Przykro mi, bo tak strasznie chcę cię dalej kochać... Nie umiem żyć bez ciebie. I nie chcę...

– I co pan na to? – zapytał stary.

– Cóż... Ojciec znał na wylot psychikę kobiet. Nie jestem zaskoczony.

– Aha... – Księgarz po prostu przyjął to do wiadomości, choć w tym „aha” była nutka zawodu, że nie mam uznania dla jego odkrycia. – Zdaje mi się, że jednak nie jest pan pilnym czytelnikiem książek swojego ojca...

– Mam się zaczerwienić?

– Mógłby pan trochę. Pański ojciec uszczęśliwił miliony kobiet, a w tej książce próbował tylko jedną i chyba mu się nie udało. Przecież to takie ciekawe...

– Nie bądźmy małostkowi. Statystycznie odniósł wielki sukces, a w tym jednym przypadku nie zdążył – odpowiedziałem, zerkając na zegarek i tytuł książki.

Uścisnąłem staremu rękę i poszedłem dalej.

„Piękne myśli”... Nigdy nie pytałem ojca, skąd czerpie pomysły na tytuły książek, bo nie było czego zazdrościć. Teraz chętnie bym zapytał, tylko kogo? Skoro książka ukazała się rok po śmierci ojca, zapewne matka lub wydawca mieli w tej sprawie coś do powiedzenia. A może Alicja?

...świat budowany przez kilka miesięcy zaczął się rozpadać...

Zamiast przeczytać, od niej wolałbym się dowiedzieć, czy rozpadł się czy nie. I poczekać, aż sama powie to wszystko, co chce powiedzieć. Przestała odwiedzać rodziców przed śmiercią ojca, może wtedy rozstała się

z nim na dobre? Jakoś mi to nie pasowało do scenariusza, który już układałem sobie w głowie.

Miał rację sędziwy księgarz. Mężczyzna nie napisałby, że *taki związek jak nasz, został przez nas wymodelowany*. A tym bardziej nie powiedziałby *Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka...*

Dokuczliwe zdanie. Irytujący komplement. Ludzie nie mówią sobie takich rzeczy. Nie kojarzyłem nikogo, kto, zwłaszcza w stosunku do mnie, mógłby użyć takich słów. Nikt tych myśli nie spotykał, ale ktoś się ich domyślał. Kto? Ktoś, kto zna tę książkę? Założyłem, że ta zbieżność nie jest przypadkowa. Czy ojciec też usłyszał o pięknych myślach, przechował to w pamięci i wykorzystał jako tytuł powieści? Dostawałem mdłości od nadmiaru pięknych myśli, którymi wypełnione były książki ojca. Dlaczego te miały być jeszcze piękniejsze? Może dlatego, że były prawdziwe?

Cóż, wypadało ją przeczytać. Pomyślałem o tym bez niechęci, na co wpłynęła opinia księgarza, że powieść jest nietypowa. Typową bym się zamęczył.

Warkot stada motocykli i stukot tramwajów na szynach osłabił mój entuzjizm do spacerów po mieście. Kupiłem gazety, złapałem taksówkę i wysiadłem nieopodal parku. Idąc ulicą, w restauracji zobaczyłem Rozalię. Lekkim krokiem wędrowała między stolikami i z życzliwym uśmiechem obsługiwała młodych ludzi, którzy wyglądali na jej rówieśników. Potem zniknęła na zapleczu odprowadzana wzrokiem przez zwałistego blondyna, w którym rozpoznałem jej zazdrosnego współlokatora.

Usiadłem przy jedynym wolnym stoliku obok barierki oddzielającej restauracyjny taras od ulicy. Rozłożyłem gazety jak wnyki na grubą zwierzynę i czytałem. Ulica gęstniała od aut, znajomi Rozalii śmiali się głośno, wymieniając ironiczne uwagi o wykładowcach. Po drugiej stronie ulicy przypalał papierosa facet w skórzanej kurtce, który rankiem

przechadzał się pod moim domem wzdłuż witryny z futrami. Byłem przekonany, że nie szedł za mną, tylko, spodziewając się zastać mnie tutaj, pilnował Rozalii. Stało się oczywiste, że ją narażam, a to oznaczało, że moje relacje z dziewczyną powinny ulec zmianie. Chyba podobnego zdania był blondyn, bo wrogo patrzył w moim kierunku.

– Cześć, Hannibal – powiedziała szczerze uradowana Rozalia.

– Cześć, Roza. Co mi podasz na obiad?

– Zaraz przyniosę bitki wołowe. Kucharka patrzy na nie bez obrzydzenia, więc chyba warto spróbować... Przepraszam cię, ale sam widzisz, ilu mamy gości, a koleżankę coś zatrzymało. Potem podejść na słówko, dobrze?

Blondyn miał ochotę porozmawiać ze mną po męsku, patrzył to na mnie, to na Rozalię, ale wciąż była w pobliżu i w końcu dał spokój.

W gazetach nie mogłem znaleźć niczego ciekawego. Wszystkie newsy wydały mi się mocno podkreścone, afery naciągane, plotki zmyślane. Z nudów zapaliłem papierosa, podświadomie naśladowując szpicla, który łąził po drugiej stronie ulicy. Wciągnąłem się w dział gospodarczy. Tu spece od rzeczywistych i urojonych skandali nie mieli już tyle do powiedzenia. Większym wzięciem cieszyły się maszyny do układania tabel i eksperci od prognoz, które nigdy się nie sprawdzały.

Obiad podała mi spóźniona kelnerka, zasapana i gotowa rozrzucić talerze po stołach, byle tylko nadrobić stracony czas. Złapałem sztucce, które wypadły jej z ręki i zabrałem się za bitki, czytając relację z gali w Ost, gdzie spółkom giełdowym rozdano certyfikaty zaufania. Na zdjęciach brylowali przede wszystkim aktorzy, piosenkarze i politycy. Byłoby inaczej, gdyby klasyfikowano wielkość majątku albo wartość biżuterii na przywiedłych szyjach starych milionerek. Zaufanie nie wydawało się towarem zbyt pokupnym. Mimo wszystko kilku biznesmenom, którzy

szczęśliwie stanęli obok gwiazd show-businessu, udało się załapać. Jednym z nich był stary Oskar Kraft. Ucięto mu ramię i nogę, ale w kadrze zmieściła się twarz ożywiona apetytem na widok okazałego dekoltu młodszej od niego o czterdzieści lat kobiety. Z podpisu pod zdjęciem wynikało, że na gali pojawił się w zastępstwie swego syna Artura, „tajemniczego multimilionera z Val o naturze odludka”.

– Przepraszam cię, to mój klient – powiedziała Rozalia, kiedy jej rozdygotana koleżanka stanęła nade mną z rachunkiem. Tamta bez słowa rozstała się ze świstkiem papieru i poszła do baru.

– Ciężka praca ani trochę nie odbiera ci wdzięku – powiedziałem.

– Ale jestem beznadziejną kelnerką. – Pokręciła głową i usiadła. – Powinnam powiedzieć „gość”, nie „klient”. Zabrzmiało to dość dwuznacznie, prawda? Nie powinnam tu z tobą siedzieć ani nawet być kobietą. Zwłaszcza wieczorem kobieta w restauracji wywołuje niepożądane emocje, źle wpływa na trawienie i ma zły wpływ na rozmowy o interesach. Tego uczą na dobrych kursach kelnerskich.

– Nie przychodzę tu rozmawiać o interesach, chyba że chcesz mnie naciągnąć na operację zmiany płci.

– Byłbyś tą zmianą zasmucony?

– Bardzo, ten wielki buldog też.

Spojrzałem na blondyna. Właśnie odwracał głowę w innym kierunku.

– Myślę, że akurat ten wielki buldog by się ucieszył. To Bertrand, mój starszy brat – powiedziała znajomym, praktycznym tonem. – Wciąż nie może przyjąć do wiadomości, że już nie przytulam barbie, nie robię zastrzyków pluszakom i nie jestem dziewicą. Uważa, że każdy facet potraktuje mnie jak zabawkę, wykorzysta i porzuci. Sam chciałby mi znaleźć chłopaka. – Spojrzała na mnie jak ktoś, kto zarzucił sieć i próbuje zgadnąć, czy połów będzie dobry. Ale wiedziałem, że jest szczerą.

– Może Bertrand ma trochę racji...

– Zwariowałeś?

– Wiesz, kto to jest?

Pokazałem jej faceta po drugiej stronie ulicy, kiedy nie patrzył w naszą stronę.

– Pęta się tu od paru godzin – powiedziała. – Nie wiem... Czeka na kogoś?

– Może to ten sam, który nastraszył cię pod starą stacją kolejową?

– Tamten chyba mi się śnił... A może nie... Hannibal, znowu mnie ciarki przeszły, jak wtedy...

– To ten?

– Nie wiem, to trwało zbyt krótko.

– Posłuchaj. Ten człowiek mnie śledzi, zresztą nie tylko on. Przyszedł tutaj, bo uważa, że skoro coś nas łączy, będziemy się spotykać.

– Chyba się nie przeliczy...

– To groźny bandyta. Nie żartuję. Nie może myśleć, że mi na tobie zależy.

– A zależy ci?

– Roza, proszę. Jesteś inteligentna, dzielna, nie bądź banalną babą. To nie jest przyjemniaczek.

– Jestem babą!

Nawoływania z sali były tylko pretekstem. Wiedziałem, że odchodzi z żalem. Nagle zapragnąłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakiejś kobiecie na mnie zależało. I kiedy jakaś kobieta mogła powziąć przypuszczenie, że mnie może zależeć. Moja osobista wyszukiwarka znalazła tylko parę dawno nieaktualnych haseł.

Zostawiłem pieniądze na stoliku. Zszedłem po schodkach na ulicę i z rękami w kieszeniach stanąłem poniżej restauracyjnej barierki. Facet

w skórzanej kurtce podeszwą zgasił niedopałek i spoglądając w stronę przejścia dla pieszych, cofnął się o krok. Tam gdzie patrzył, w samochodzie zobaczyłem Alicję. Zupełnie niepotrzebnie dodawała gazu, jak kierowca rajdowy, który ma zamiar wystartować z impetem. Przez okulary spojrzała na zegarek i przemknęła wzrokiem po okolicy. Kiedy mnie spostrzegła, lekko rozchyliła usta i rzuciła w moim kierunku dyskretny uśmiech. Była w tym jakaś niejasna sugestia znikająca wraz z zielonym światłem i monotonnym sygnałem dla niewidomych. Patrzyłem, jak Alicja oddala się w kolumnie aut. Wzrokiem odprowadzała ją również wsparta o barierkę Rozalia.

Poszedłem na postój taksówek i kazałem się zawieźć do domu. Zerknąłem przez tylną szybę. Mój ogon zwolnił kroku i bez pośpiechu wybierał numer w telefonie komórkowym.

33.

Dźwignąłem z podłogi karton z książkami ojca i nosiłem się z nim po mieszkaniu, zastanawiając się, gdzie go umieścić. Na próżno. Ostatecznie wylądował tam, skąd go wzięłem. Zważyłem w rękach ostatni tom i wyciągnąłem się na kanapie, żeby poczytać. Zamiast tego pomyślałem o Rozalii.

Zdiagnozowałem ją niewłaściwie, powierzchownie, naiwnie. Jak w każdej kobiecie, która zbliżyła się do mężczyzny, także i w niej zakiełkowała chęć posiadania, instynktowne pragnienie wyłączności. Założyłem, że z Rozalią jest inaczej, że jej emocje są praktyczne, a rozterki łatwe do pokonania. Chyba w ten sposób zdiagnozowałem sam siebie i wygodnie sobie wyobrażałem, że nikt mi nie pogorszy samopoczucia. Jeśli mężczyzna lubi kobietę, nigdy nie może powiedzieć „I nic ponadto”. Zawsze jest coś ponadto. Po tej konstatacji poczułem się nieswojo, jakbym ściągał od ojca.

Otworzyłem książkę na chybił trafił.

– *...po pół roku już chyba wiadomo, czy kocha czy nie kocha. Płatków z kwiatka wrywać nie trzeba, prawda?*

– *Tak. Uczymy to jakoś?*

– *Pewnie, ale musimy określić datę, kiedy to się naprawdę zaczęło. Jak myślisz?*

– *Po spektaklu. Już wtedy wiedziałem. A ty?*

- *Nie wiedziałam, co się dzieje.*
- *Powiedziałem: „Nie możemy się w sobie zakochać”. Pamiętasz?*
- *Boże, nie! Byłam taka oszołomiona. Co odpowiedziałam?*
- *Nic. Oczy ci błyszczały, a ja wiedziałem, że mówię to za późno.*
- *Było za późno, bo to ja ciebie wybrałam.*
- *17 lipca?*
- *Tak!*

Którego roku? Tego w tekście zabrakło. Dalej znalazłem coś, co było odpowiedzią mężczyzny na wyczytany w parku wybuch kobiecej zazdrości i żalu.

Wiem, że tak czujesz, nie wiem jak cię przeprosić, nie umiem przekonać, bo tak czujesz i już. Nie wiem, czy się odzywać czy nie. Czy czekać? Przekonywać cię, jak bardzo cię kocham i ryzykować, że uznasz to za coś nieszczerego?

Ale nie zabronisz mi kochać cię, kiedy się budzę i zasypiam, kochać cię, kiedy jesteś w pracy albo idę na zakupy. Wszystko jest tylko dodatkiem, tylko scenerią, tłem dla ciebie. Cokolwiek widzę, jest tylko miejscem, które nie ma żadnego znaczenia, bo ciebie tam nie ma. Proszę, wybac mi, tak bardzo tęsknię. Jak nigdy w życiu...

Kto mógłby napisać coś takiego? Zakochany facet, dla którego doraźny stan dzieciennienia jest czymś naturalnym lub pisarz, który poluje na infantylnego czytelnika. Była między nimi kolosalna różnica. Ten pierwszy nie miał nic na pokaz poza namiętą tęsknotą i pragnieniem kierowanym do jednej kobiety. Ten drugi gromadził materiał do książki, którą redaktorska obróbka mogła zmienić nie do poznania. Jeśli to jedna i ta sama osoba, to czy pisarz i kochanek rywalizowaliby ze sobą? Zapewne kochanek z przywiązania do wyznań, które uznałby za nietykalne, nie przestawiłby nawet przecinka. Pisarz przeciwnie – zbyt dobrze wiedział, że czytelnik

powieści potrzebuje atrakcyjnego prawdopodobieństwa, prawda nic a nic go nie obchodzi. Co innego, gdyby chodziło o rzeczywiste osoby, których wymiana prawdziwych „pięknych myśli” bezpośrednio dotyczyła.

Książka liczyła sto pięćdziesiąt stron, jak na możliwości ojca to właściwie broszura, gdyby nie twarda czarna oprawa całej trzydziestotomowej serii. Autora i tytuł wytłoczono złotą szlachetną czcionką. Bez kiczowatej obwoluty „Piękne myśli” w najmniejszym stopniu nie budziły skojarzeń ze szmirą, bardziej z Szekspirem lub Biblią. Z pewnością o to chodziło, ale na nobliwym wydaniu stracił czytelnik nawykły do zachęty w postaci banalnej kilkudzaniowej opisówki na okładce, czyli „o czym to jest”. Zwykle był to prymitywny, ale marketingowo skuteczny szablon skierowany do gospodyń domowych. Na bardziej wyrobionego czytelnika działał jak płachta na byka – kilka zdań tak jednoznacznie identyfikowało powieściowy schemat, że czytanie książki nie miało sensu.

Zajrzałem do Internetu, poszukując wcześniejszego wydania w miękkiej oprawie. Wciąż było w ofercie księgarń wysyłkowych ze zdawkowym komentarzem:

Intymny zapis rozmów dwojga anonimowych kochanków. Szczere i odważne studium zdrady i głębokiego uczucia, rozterek moralnych i niesłabnącej fascynacji. Subtelna psychologicznie opowieść o tajemniczej miłości, do której tragicznie zmarły mistrz literatury kobiecej nie zdążył dopisać zakończenia.

Krótko i niefachowo. Założyłbym się, że redagowano te kilka zdań przez miesiąc, pewnie dlatego wyszedł dziwoląg. Jakiego czytelnika mieliby pociągać anonimowi kochankowie? Błąd! Oczywista niezręczność, którą usiłowano naprawić „opowieścią”. Wiadomo, że powieść sprzedaje się lepiej niż opowiadania, opowiadania z pewnością lepiej niż same rozmowy

pozbawione fabuły. Stąd ta przebiegła opowieść podszyta lękiem przed handlową porażką.

Kartkowałem książkę, nie potrafiąc zatrzymać się dłużej na żadnym fragmencie. Utknąłem dopiero przy tym:

– *Pragniesz mnie?*

– *Tak.*

To nie było mechaniczne „tak” jakiegoś potakiewicza. Czułem moc tego potwierdzenia, bliską bólu zachłanność. I nabierałem przekonania, że ta książka nie jest niedokończona, tylko w ogóle nienapisana. To było coś w rodzaju sekretnego pamiętnika, jakby chaotyczny wydruk z czatu, który nigdy nie miał być opublikowany. Ojciec nigdy nie zrobiłby tego dla pieniędzy.

O jego romansie nikt nie wiedział i nie miał się dowiedzieć. Ten związek był zakonspirowany do tego stopnia, że być może ojciec potrzebował namacalnego śladu, że jest rzeczywisty. Był maniakiem słowa pisanego. Czy nie był to najlepszy sposób, żeby się uszczyplnąć i powiedzieć „to się dzieje”?

34.

W telefonie ojca znalazłem numer do wydawcy.

Lauren Potter była dobiegającą siedemdziesiątki żwawą kobietą rozkochaną w jaskrawych ciuchach, papierosach bez filtra i dziwacznych nakryciach głowy. Ostatni raz widziałem ją na pogrzebie ojca. Nawet wtedy nie mogła sobie odmówić włożenia skórzanej czapki przypominającej pruski hełm. Płakała jak bóbr, choć zwykle wydawała z siebie nieregularny gderliwy chichot. Kiedy na jakimś przyjęciu nagle ustał, myślałem, że wyzionęła ducha. W rzeczywistości zasnęła nad stołem z dymiącym papierosem w ustach.

– Jezu Chryste! – krzyknęła. – Dawid?!

– Hannibal.

– Kto?!

– Hannibal Smoke. Przepraszam, powinienem zadzwonić ze swojego telefonu.

– Chłopaku, chcesz mnie zabić? W moim wieku to nic trudnego. Byle jakie wzruszenie i nie będzie komu nakarmić mojego kota. A kwiaty... – Byłem pewien, że z pozycji bezradnej denatki wyciągniętej na dywanie już widzi, jak więdną.

– Proszę wybaczyć, nie chciałem pani nastraszyć.

– I cóż to takiego ważnego masz do mnie, że ci potrzebne wsparcie z zaświatów?

– Czytam ostatnią książkę ojca. Chciałbym porozmawiać o okolicznościach, w jakich została napisana i wydana.

– Pieniądze?... Masz na myśli pieniądze?

– Dlaczego?

– No przecież twórczość taty nigdy cię nie obchodziła. Nie mów, że było inaczej. Kiedyś jakoś tak powiedziałam, że w domu rośnie mu pilny czytelnik i surowy recenzent. Odpowiedział, że recenzent bardzo surowy, a czytelnik żaden, że dla ciebie jego pisarstwo to słodkie pierdzenie. Dokładnie tak: „słodkie pierdzenie”. Ja się uśmiełam, on nie.

– Nie chodzi o pieniądze.

– No już, udobruchaj się szybciotko. Miałam dziś dużo gadania o pieniądzach z geniuszami, którzy mieliby kłopoty z napisaniem instrukcji przeciwpożarowej. Na starość zachciało mi się działalności dobroczynnej. Jak wykituję, będą pisać te instrukcje albo umowy kredytowe. Nic więcej. Boże, podsunęli mi dzisiaj pod nos coś takiego, nie dość, że napisane maczkiem, to chyba przez jakiegoś imbecyla po upadku z zewnętrznej windy... No tak, chciałeś pogadać, a ja tu klepię i klepię... – Wydała z siebie charakterystyczny chichot i zaczerpnęła powietrza. – Dawno cię nie widziałam. Przyjedź do redakcji, o tej porze nikt nam nie będzie przeszkadzał. Powspominamy, zrobię kawę. Zanim przyjedziesz, już wyjdę z papierów. Zgoda?

– Zgoda.

Wydawnictwo mieściło się niedaleko, w kremowym biurowcu między dwiema zapuszczonymi kamienicami. Wyglądał jak nowy ząb wśród starych pniaków wymagających usunięcia. Postanowiłem udać się tam na piechotę, co wprawilo w konsternację kierowcę białego fiata ducato, który najwyraźniej zastąpił na posterunku szarego transita. Kierowca chwilę postął przy aucie, zatrzasnął drzwi i poszedł za mną. Wąsaty facet

w grubym swetrze i z czarną aktówką sprawiał wrażenie magazyniera, który po pracy rozgląda się po ulicy i przypadkiem wraca do domu tą samą drogą. Była w tym jednak odrobina ostentacji, odniosłem wrażenie, że jak go zgubię, nie będzie się przejmował. Na przejściu dla pieszych prawie się ze mną zrównał, a potem udawał, że oddała się w innym kierunku. Zdawało mi się, że teraz nie jestem śledzony, tylko pilnowany.

Portier podniósł głowę znad krzyżówki i powiedział, że w budynku już nikogo nie ma. Kiedy zapytałem o panią Potter, mruknął tylko, że to na szóstym piętrze.

Winda była szybka i cicha, po wyjściu na pusty korytarz każdy krok odbijał się głośnym nieprzyjemnym echem. Wydawnictwo Potter i Spółka wciśnięte między firmy prawnicze i jakieś fundacje było rupieciarnią z jednym korytarzem, do którego dochodziły wnęki z biurkami i komputerami. Niewiele było regałów na książki, za to stosy paczek i papierów piętrzyły się aż do reprodukcji Toulouse-Lautreca, którymi zawieszono wszystkie ściany. Swobodna atmosfera paryskich kabaretów i burdeli mogła zamienić zwykły bajzel w artystyczny nieład, ale się nie udało. Zapewne nie na rękę Lauren było również skojarzenie, że jej miłość do sztuki kalekiego Francuza wynikała z podobieństw fizycznych. Filigranowa kobieta w czapce przypominającej turecki doniczkowy fez wyłoniła się z kłębow dymu z tacą i filiżankami. Zamiast się odezwać, odstawiła tacę, zaniósła się od kaszlu i na oślep strzepnęła popiół z papierosa.

– Ty zrób kawę – zacharczała buntowniczo. – Jestem stara, mogę umrzeć, może nawet zaraz.

Pokazała mi na biurku elektryczny czajnik i kuląc się od kaszlu, poszła w głąb korytarza. Przypomniałem sobie, że ma tam gabinet. Zanim czajnik zabulgotał, kaszel ustał. Z nudów wyobrażałem sobie, że Lauren akurat

bierze lekarstwa i popija wodą, że ma przed sobą książkę ojca, a za plecami jakiś duży brudny kwiat. Spróbowałem wykopać z pamięci jego nazwę. Matka nie potrafiła zbyt długo zatrzymać mojej uwagi, więc nie było łatwo.

– Ładny fikus dębolistny – rzuciłem od niechcienia, nadchodząc z kawą.

Przyjemnie ją to zaskoczyło.

– Dobry Boże, Dawid był jedynym mężczyzną, który zwracał uwagę na tego kwiatka, a teraz ty...

Odsunęła opakowania z tabletkami, żebym mógł postawić tacę i z zawstydzeniem spojrzała na okazałe liście.

– Powinnam go umyć. Chyba tylko tego fikusa twój tato lubił w wydawnictwie. Nie przepadał za biurem, mówił, że lepiej się czuje w starej szopie z narzędziami. Jak słyszałam coś takiego, zastanawiałam się, kto do kogo jest bardziej podobny: ty do niego czy on do ciebie. Na starość ślepnę, więc prawie nie widzę różnicy, ale słuch mam dobry, dlatego tak mnie przestraszyłeś przez telefon.

– Nie chciałem, słowo.

– Dobrze, dobrze. Trochę nastraszyłeś, trochę ucieszyłeś. Dawid był czarujący, o wszystkim można było z nim porozmawiać. Umiał słuchać, nie tracił cierpliwości na babskie gadanie. Rozumiał, że facet najpierw pomyśli, a potem się odezwie, kobieta robi to samo, tylko wszystko na głos, więc trzeba poczekać na konkluzję. A dzisiaj każdy bałwan upaja się własnym głosem, nic do niego nie dociera poza samouwielbieniem. Kto obecnie robi karierę w mediach? Dobrze opakowani idioci, którzy mówią tylko o sobie. A ty... Umiesz słuchać, bo to twoja praca, ale jak odbierasz to moje bredzenie?

– Kiedyś bywała pani w lepszym humorze.

– Nie mam z czego się cieszyć. Jakoś przeszło mi po śmierci twojego taty. Zaczęłam myśleć o własnym pochówku. Śmieszny będzie z taką małą

trumienką. Jeden rosły grabarz napnie muskuły, opuści ją na sznurku do dziury, a żałobnicy popękają ze śmiechu. Nie sądzisz?

– Nie.

– Nie patrz na mnie w ten swój dziwny sposób. Słyszałam od Dawida o tym twoim rentgenie. – Zaczęła się wiercić na krześle.

– Przepraszam, to dlatego, że nie jest pani szczerą.

– Tak? Powiedziałaś coś nieszczerze? – Spłoszyła się, ale była bardzo zadowolona.

– Zastanawia się pani, jak mnie wywieźć w pole. – Uśmiechnąłem się pobłaźliwie, nie chciałem, żeby zabrzmiało to zbyt oskarżycielsko.

– Dobry Boże... Przeczytałam kiedyś twoją książkę i nie mogłam zrozumieć, że pomimo tylu podobieństw możecie się między sobą tak radykalnie różnić. Twój tato nie podejrzewałby mnie. A choćby nawet, uzyskałby to, co chce ujmującą powierzchownością, osobistym czarem.

– Jakoś nie widzę związku między jego czarem i książką wydaną pośmiertnie – powiedziałem, zastanawiając się, jak skrócić jej monologi.

– Dawid nie korzystał z usług agenta, osobiście negocjował każdy kontrakt – odparła urażonym tonem. – Miał do mnie całkowite zaufanie i pomimo wielu propozycji nigdy nie zamierzał związać się z kimś innym. Takich stawek jak u mnie nie dostałby nigdzie, nawet w Ost. Zresztą tam prawie wszyscy dorabiają pisaniem do czasopism, on to robił tylko przez rok, potem nie musiał. Za ostatnią książkę twoja mama dostała wszystkie należne pieniądze i nadal korzysta z tantiem. Uważasz, że coś jest nie w porządku?

– Nie chodzi o pieniądze.

– Więc o co?

– O to, co próbuje pani zagadać.

– Jakiś ty wkurzający. Uważasz, że ta książka nie powinna się ukazać?

– Nie powinna.

Zaniemówiła.

– Coś takiego... A na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Nie dał jej pani. Gdyby żył, też by tego nie zrobił. Myślę, że nawet pani nie chciała jej wydać.

– Zgadujesz na oślep, przyznaj się – powiedziała, dotykając spąsowiałych policzków.

– Myśli pani o kredycie, bo ktoś wpadł w tarapaty. Syn? Trzy lata temu również?

– Dobry Boże... – Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma i zaczęła się rozglądać po gabinecie.

Mimo woli parsknąłem śmiechem.

– Chce pani zadzwonić po prawnika?

– Właściwie tak. Czuję się jak mysz zamknięta w jakimś cholernym laboratorium!

– Proszę sobie przypomnieć. Jestem synem Dawida Smoke'a. Przyszedłem do jego zaufanego wydawcy, żeby o nim porozmawiać. Nie interesują mnie pani pieniądze ani wyrzuty sumienia. Najmniej ujmująca powierzchowność ojca – to mogę przeczytać w każdej notce biograficznej. Nie mam żadnych pretensji. Lubię panią, ale nie jestem tak cierpliwy jak ojciec.

– Moje wyrzuty sumienia... – Pokręciła głową. – On mnie lubi, kurwa mać! – Obiema rękami złapała się za głowę i zaczęła histerycznie rechotać.

– Ja cię właściwie nie znam, chłopaku, przychodzisz tu z ulicy... Jesteś bezczelny!

Spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

Musiła nabrać sił. Jej sapanie trwało wieczność.

– No dobra, napijmy się tej kawy. – Upiła łyk i skrzywiła się. – Masz rację. Mam wyrzuty sumienia – ogłosiła tonem osoby, która przemawia na wiecu. – W ostatniej umowie z Dawidem jest zapis, że gdyby umarł, mam prawo wydać wszystko, co zostało napisane jego ręką, nawet wypełnioną fakturę za gaz. Mój prawnik o to zadbał, ja nawet nie zauważyłam, Dawid też. Zresztą nikt nie lubi czegoś takiego, nawet gdy chodzi o ubezpieczenie na życie. Gdyby nie hazard mojego syna, tej książki by nie było. Taka jest prawda. Zadowolony?

– Skąd wziął się ten tekst?

– Był u mnie w domku letniskowym nad jeziorem w Bai. To piękne miejsce. Ostatnimi czasy Dawid chętnie pożyczał klucz, chodził w góry, nauczył się wędkować i tam pracował.

– Matka też tam zaglądała?

– Tak, była tam kilka razy podczas weekendów. Dawid przyjeżdżał w tygodniu, ale często wracał na noc do domu. Tęsknił za żoną.

– Tekst był wydrukowany, zapisany w komputerze?

– Nie woził ze sobą laptopa. W moim komputerze założył własny katalog, ale były tam tylko wcześniejsze wersje już wydanych powieści. Wśród papierów znalazłam jego pendrive'a. Zapisał na nim tylko „Piękne myśli”.

– To był na pewno jego pendrive?

– Oprócz mnie i Dawida nikt nie korzystał z domku. Pendrive był czerwony, charakterystyczny. Często nosił go na szyi, jak krawat. Musiał go zapomnieć, kiedy wyjeżdżał z Bai do Nig. Stamtąd wracał do Val i wtedy zdarzył się wypadek...

– Nigdy...

– Tak... Nigdy nie powiedział, że coś takiego pisze. Napomknął kiedyś, że powierzono mu ciekawy materiał na powieść. Wtedy nie zwróciłam na

to uwagi. Mówię szczerze: nie wiem, czy chodziło o „Piękne myśli”.

– Skąd ten tytuł?

– To było hasło pliku z tekstem. Każdą powieść zapisywał w ten sposób. Przynajmniej to się zgadza. Nie zgadza się metoda pracy twórczej. Dawid nigdy nie gromadził w ten sposób materiału, żeby go potem uporządkować.

– Nawet nie jest pani pewna, czy to on jest autorem?

– Dobry Boże... Pojawiły się nieśmiałe sugestie, na szczęście tylko w pismach branżowych. Musiałam użyć swojego autorytetu, żeby wszystkich przekonać, że to napisał Dawid. W końcu najlepiej znam jego styl.

– Ale co pani o tym myśli?

– Szczerze mówiąc ...sama nie wiem. Pewne podobieństwa narzucają się same, ale równie dobrze mógł to napisać ktoś inny. Ktoś w szczególnym stanie umysłu, kto znał twórczość Dawida, był pod jej wpływem. Być może wzorował się na niej. To niewykluczone, ale w to nie wierzę.

– W ostatnich latach konsultował treść powieści z Alicją Kraft...

– Tak... Byłam nawet trochę zazdrosna, ale to wyszło jego książkom na dobre. Jest o wiele młodsza, niestety, lepiej ode mnie czuje potrzeby współczesnych kobiet. Przeżywa niepowodzenia w swoim związku, ma tęsknoty, marzenia. To wrażliwa kobieta o pięknej duszy.

– Nie znajduje pani jej obecności w „Pięknych myślach”?

– To jest takie odmienne w stosunku do tego, co wcześniej napisał... Zresztą ona też nie znajduje, rozmawiałam z Alicją.

– A z matką?

– Mój ty chłopaku... – Sięgnęła po paczkę z papierosami. Podałam jej ogień i sam zapaliłam. – To było w tym wszystkim najgorsze. Beata to anioł, nie mówię tak ze względu na ciebie. Modliłam się, żeby nie była przeciwna wydaniu książki. W przeciwnym wypadku mój syn miałby

paskudne kłopoty. Przysłałam z wydrukiem w teczce i dałam go jej. Poprosiłam o zgodę na wydanie książki, chociaż nie musiałam tego robić. Powiedziała, że się odezwie.

– Nie przeczytała...

– Nie wiem. Wtedy jeszcze była kłębką nerwów, chodziła na terapię, na niczym nie mogła skupić uwagi. Zdawało mi się, że mnie w ogóle nie słucha, ulżyło jej, jak sobie razem popłakałyśmy. Nie zadzwoniła, więc ja to zrobiłam. Przepraszała, że nie daje znaku życia i prosiła, żeby książkę wydać jak najprędzej. Uważasz, że wykorzystałam sytuację?

Chciałem uspokoić to rozedrgane stare ciało z rozpalonymi policzkami. Powiedzieć nieszczerze, że wszystko gra, a ona dałaby wiarę najwyżej temu, że nie mam złych zamiarów. Nie musiałem się wysilać. Zadzwonił telefon, przeprosiła mnie spojrzeniem i wyszła na korytarz, żeby łączyć swojego syna, wiecznie podchmielonego obiboka, który nie potrafił dorosnąć.

35.

Ja do Pani w sprawie serca...

Spór Lauren z synem ciągnął się w nieskończoność, więc sięgnąłem po książkę leżącą na stole i zabrałem się za dłuższy fragment zakreślony żółtym markerem. Lauren miała te same nawyki, co ojciec.

Utarło się powiedzenie „mieć kogoś w sercu”, ale wszyscy i tak myślą, że chodzi o głowę. Wiadomo, jak o kimś nie pomyślisz, to i w sercu go nie masz. Czy aby na pewno?...

Czasem bywa tak, że masz kogoś w głowie, ale jesteś bardzo zajęty, pochłonięty czymś innym i wtedy ten ktoś jest w głowie, ale w bardzo głębokich zakamarkach. Wtedy bardziej czujesz ramiona, od szyi w dół wszystko jest inne, cieplejsze, czujesz, że jest tam coś dodatkowego. Jak się nad tym głębiej nie zastanawiasz, nie nazwiesz tego, nie wiesz, co to jest. Ale wiesz, że jest. Jest cały czas, umiejscowione centralnie, więc chyba w sercu, prawda?

Na czym polega tajemnica? Otóż pewnego dnia wraz z najsilniejszym, najbardziej namiętym i wyczekiwany pocałunkiem ktoś wpuścił ci do środka część swojej duszy i tak już zostało. Ta część jest tam tak długo, jak długo jej dobrze. Wtedy od środka ogrzewa, pobudza, cieszy, wprawia w stan życzliwego, radosnego podniecenia, podpowiada ci: kochaj, kochaj, to najlepsze, co nas w życiu spotyka. I choć sama nie ma wyglądu, przywołuje te obrazy, które są najmiłsze, najpiękniejsze, najbardziej

upragnione. Wtedy odruchowo, nawet nie wiedząc o tym, opierasz otwartą dłoń na klatce piersiowej. To z obawy, że ten skarb mógłby się wymknąć wraz z głębszym oddechem. Bezwiednie wygłaszasz w środku myśl: proszę, zostań, jesteś częścią mnie, nic piękniejszego nie mam...

– Podoba ci się? – Nie zauważyłem, kiedy Lauren stanęła za mną i mrużąc oczy, śledziła tekst. – Wiem, wiem, nie podoba ci się. Naiwne? Nedorzeczne? Nie napisałbyś czegoś takiego, bo zwyczajnie byś się wstydził. Powiedz.

– Mogę dokończyć?

Słusznie odebrała to jako wykręt i zachichotała po swojemu.

– Ależ proszę. Wykonam jeszcze jeden telefon, a ty poczytaj.

Ta namiętnie wpuszczona część duszy innej osoby bardzo nas zmienia, przyswajamy ją sobie wraz z jej cechami, bierzemy na własność. Ciągłe sprawdzamy, czy nadal tam jest. Każdy taki udany sprawdzian poprawia nastrój, wywołuje odruchowy uśmiech także dlatego, że ta cząstka duszy ma potajemną łączność z cząstką naszej duszy, którą my także podczas pocałunku wpuściliśmy do środka innej osobie. Dzięki temu ona też ma podobne odczucia i pragnienia, też ma nas w sercu, pilnuje, żeby ten skarb jej nie opuścił.

Zdarza się bardzo rzadko okoliczność doskonała, kiedy dwie osoby przekazują sobie cząstki duszy jednakowej wielkości, wtedy nabierają cech wspólnych i budują więź tak silną, że najmilsze, najbardziej upragnione obrazy pojawiają się o wiele częściej i tej więzi nic nie jest w stanie pokonać. I choćby tych dwoje było od siebie oddalonych o tysiące mil, potajemna łączność wymienionych cząstek dusz nigdy nie słabnie.

Jest tym silniejsza, im dłużej się poszukiwały. Nieskończona, jeśli dotarły tam, skąd już nigdzie wędrować nie chcą, bo wiedzą, że dotarły do celu...

Nam się to zdarzyło.

Lauren stanęła przede mną, dając mi do zrozumienia, że chciałaby usiąść. Kiedy zabrałem nogi z krzesła, łyknęła zimnej kawy i spojrzała na mnie jak dobrotliwa ciocia. Wiedziałem, że już się mnie nie boi, ale było coś jeszcze: triumfowała.

– Gdyby twój tato widział, jak czytasz, byłby wzruszony.

– A jak to robię?

– Jak grzeczny chłopczyk, który dostał w prezencie ulubioną bajkę i marzy.

– Czyżby?

– Na pewno, znam się na tym.

Zachichotała zaraźliwie.

– Zapalmy. – Poczęstowałem ją papierosem. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Wolę własne – odpowiedziała, sięgając po papierosa bez filtra. Po chwili dymiała jak komin, wypływając tytoń.

– Powiedziała pani, że ojciec dorabiał pisaniem do czasopism.

– Na samym początku pisywał reportaże do babskich gazet. Takie sobie, nie lubił tego. Wcześniej chciał robić to, co ty. Miał ogromne ambicje, jeszcze jako student był stażystą w jakiejś sensacyjnej gazecie w Ost, potem wrócił do Val i chciał dobrać się do skóry tutejszym mafiosom.

– Co? Matka o tym wiedziała?

– Na pewno nie mówił jej niczego, co mogło ją przestraszyć. Obiecuję, że jej tego nie powtórzysz.

– Nie mówię jej przykrych rzeczy.

– To dobrze. Dawid też tego nie robił. Mówiłam ci, że nie przepadał za wydawnictwem. Najczęściej przychodził i namawiał mnie na wyjście do restauracji, a potem na ulicy witał się z różnymi ludźmi. Czasami bardzo dziwnymi ludźmi, aż mi skóra cierpła. Nie dawało mi to spokoju, ale mnie

zbywał. Dopiero podczas imprezy na pięćdziesięciolecie wydawnictwa za dużo wypił i trochę się rozkleił. Miał wyrzuty sumienia z powodu Beaty. Przyszedł, chociaż była chora. I tak od słowa do słowa... Byłam w szoku, okazało się, że on środowisko najgorszych mętów w Val zna na wylot. Wiedział wszystko o ich powiązaniach z ratuszem, biznesem, sądownictwem. Wymieniał nazwiska ludzi, którzy cieszyli się nieposzlakowaną opinią. Przeraził mnie. Jako dziennikarz zaplanował sobie taki debiut, jakby cała miejscowa mafia miała wylecieć w powietrze. Na szczęście było to bardzo dawno temu.

– Mój ojciec...

– Twój ojciec...

– I co z tym debiutem?

– Trudno powiedzieć...

– Co się stało?

– Nie wiem, ale zanim posądzisz go o tchórzostwo, pamiętaj, że to były inne czasy. Wtedy mój syn już dawno leżałby na dnie rzeki z kamieniem u szyi.

– Czy oprócz pani ktoś to wie?

– Wątpię... Nie, na pewno nie.

– Z kim rozmawiał na przyjęciu?

– Chyba z wszystkimi, a przyszło masę ludzi, niektórzy całkiem obcy.

Nie było oficjalnych zaproszeń.

– Otrzymał wtedy w prezencie mały obrazeczek.

– Wiem, ten, który teraz wisi w jego pokoju. Próbowалам sobie przypomnieć, kto mu go dał, pytałam znajomych. Ale był taki rozgardiasz. Nikt nie pamięta.

36.

Powoli zapadał wieczór. Rozejrzałem się za facetem w grubym swetrze i z czarną aktówką. Nie było go. W potoku aut na ulicach i przed domem nie dostrzegłem fiata ducato ani transita. Zadzwoiła Rozalia, potem jeszcze ktoś. Nie chciało mi się rozmawiać.

Do dziś wiedziałem o ojcu niewiele więcej niż czytelnik w nieskończoność powielanych notek biograficznych. Promocyjny kit przedstawiał go jako kryształowego człowieka o czarującej osobowości, emanującego ze zdjęć życzliwym uśmiechem i pogodą ducha. Nie wyobrażałem sobie kobiety, dla której obecność w życiu kogoś tak idealnego nie byłaby udręką. I wiedziałem, że ten wizerunek jest papierowy, bo przecież matka tej udręki nie odczuwała. Jednak ani razu nie zadałem sobie trudu, aby spojrzeć na ojca uważniej. Ani razu, a przecież przy moich zdolnościach natychmiast coś bym zauważył i dał mu szansę. Nie dałem.

Jego niechęć do mojej pracy uznałem za tchórzostwo nudziarza, który płochliwie ucieka przed prawdziwym życiem w świat miłosnej ułudy. Nie potrzebowałem spotykać się z Lauren, żeby wiedzieć, że przesadzam. Uważałem jednak, że skoro ojciec pogardza moim zajęciem, zasługuje na szyderstwa i złośliwe docinki. Błądziłem z czystego lenistwa i zamiłowania do ironii. Zresztą, kto dokonuje rzeczowego rachunku sumienia swoim rodzicom, skoro i tak nimi pozostaną?

Czułem, że chce mi coś powiedzieć, chyba czekał, aż dojrzeję. Nie wiem, czy się doczekał, tak czy owak nie zdążył...

Czy zwierzyłyby się z romansu? Wy tłumaczył, jakim cudem odległa przeszłość dopadła go wkrótce przed śmiercią? Skąd wzięły się numery telefonów do braci Hahn? Nie zanotował ich jako początkujący dziennikarz. Po prostu wtedy telefonów komórkowych jeszcze nie używano.

Ważylem w rękach „Piękne myśli” i zarazem zastanawiałem się, czy ojciec nie zostawił dla mnie jakiejś zaszyfrowanej wskazówki. Sęk w tym, że skoro Lauren pewności nie miała, tym bardziej ja nie mogłem przesądzać, czy ojciec był autorem książki. Postanowiłem rozstać się z wyobrażeniem, że chodzi o niego i Alicję.

– *Właśnie wtedy się w tobie zakochałem.*

– *Na spacerze, kiedy padał deszcz?*

– *Może i padał.*

– *Ja ci dam! Ty znowu nic nie pamiętasz!*

W jakim wieku mogło być tych dwoje? Młodzi? Starzy? W tym stanie umysłu to nie do odgadnięcia. Miliony ludzi do wyboru.

Pełnych obaw... *Dlaczego jakieś nic nie znaczące gesty czy słowa stają się powodem jego wybuchów? On na pewno nie wie, że teraz ma ku temu poważne powody, bo zawsze taki był. Skąd ta nieznośna cecha? Myślisz, że zawsze podejrzewał, że to kiedyś się zdarzy?*

Zagubionych... *Ranię cię i zasmucam, bo nie potrafię stłumić rodzinnych uczuć. Ranię męża, bo go zaniedbuję. Gdyby jeszcze córki to odkryły... Nawet nie chcę o tym myśleć. Siebie obwiniam za wszystko... Kocham cię. Płakać mi się chce. Trudno mi się odnaleźć w tym wszystkim...*

Rozsądnych... *Jeśli gdzieś jestem, to tylko tam, gdzie można cię kochać mocniej, swobodniej, bez rozterek. Ale są momenty, kiedy lepiej się nie*

spotykać, nie komunikować w żadnej formie. To wtedy, kiedy jesteśmy w swoich strefach zastrzeżonych, na których nam zależy.

Kartkowałem książkę bez składu i ładu, niecierpliwie poszukując decydującego tropu, aż w końcu pomyślałem, żeby zacząć od początku. Bez powodzenia.

Pragnę cię, ale ten owoc jest zakazany.

Mimo woli spojrzałem na oprawione zdjęcie kobiety w samochodzie. Była równie zagadkowa jak książkowy chaos, potok myśli fragmentarycznych i pozbawionych chronologii.

37.

– Hanni, co porabiasz? – spytała matka.

Zadzwoiła na telefon ojca, sprawdzała, czy jest włączony. Była pogodna i nieco podniecona. W telefonie dało się słyszeć jeszcze jakiś kobiecy głos, chyba nawołujący z kuchni.

– Nie chcę kawy, herbata! – matka odkrzyknęła w jego kierunku. – Dziękuję ci, synuś. Odzyskałeś dla mnie koleżankę. Alicja mi wszystko opowiedziała.

– Cieszę się, mammo.

– Nie wiem, co ty tam knujesz, ale obrałeś bardzo sympatyczny kierunek. Gadamy tu już od paru godzin, może wpadłbyś do nas na chwilkę? Chyba nie masz nic pilnego?

– Kilka morderstw, ale to nic poważnego.

– Ma na głowie kilka morderstw, ale to nic poważnego – powiedziała do Alicji. – Cały on.

– Beata, nie zmuszaj go – szeptem powiedziała Alicja.

– Akurat, wygłupia się – odparła matka. – Hanni, mamy tu dobre ciasto.

– Będę – powiedziałem.

– Widzisz? – To było do Alicji. A to do mnie:

– Czekamy.

Przed wyjściem postanowiłem podładować nokię ojca. Okazało się, że padł wyświetlacz, więc wsunąłem aparat w kieszeń i pojechałem na giełdę

elektroniczną.

Kanciasty szklany budynek znajdował się wśród pustoszejących po południu biurów. Jego właściciel wynajmował dolne piętro bratankowi, który prowadził tam przeciętną restaurację. Skutkiem rodzinnych animozji był biznesowy strzał w dziesiątkę – zamiana legalnego jedzenia na nielegalne oprogramowanie. Niebawem giełda wypełniła trzy piętra, przyciągając miłośników kradzionego sprzętu, lewych nagrań, filmów porno i doskonale podrobionych papierów. Tłum ogłupiony przez muzykę dudniącą z wielu kolumn głośnikowych bez pośpiechu przesuwiał się wzdłuż stoisk i gapił się na miłosne zapasy rozrzucone na plazmowych megaekranach. Akurat rozpoznałem kilku policjantów po cywilnemu. Mieli wypchane torby i z całą pewnością nie były to dowody rzeczowe. Udawali, że mnie nie widzą. Kiedy się zbliżyli, powiedziałem im, że jestem na urlopie. Od razu się przywitali.

Na piętrze było ciszej, sprzęt droższy, sprzedawcy w marynarkach wymieniali konfidencjonalne spojrzenia, jakby handlowali prochami. Wzięli mój numer i powiedzieli, że się odezwą, gdy telefon będzie naprawiony.

Wsiadłem do auta i znów rozglądałem się za ogonem. Nikogo nie zauważyłem, ale po kilku minutach w lusterku wstecznym pojawił się ducato. Trzymał się w bezpiecznej odległości przez kilka minut, potem skręcił w boczną ulicę. Zniknął na dobre.

Dom był oświetlony na obu piętrach, niektóre okna uchylone, jakby matka zaprosiła wielu znajomych, którym w ciepłą noc zrobiło się duszno. Wieczór był cichy, pachnący kwiatami.

Znowu zadzwoniła Rozalia.

– Hannibal..

– Tak?

– To, co mówiłeś... To było poważne?

– Rozalka... Bardzo poważne. Najlepiej trzymać się od tego z daleka.

– I nie chciałeś... No, wiesz... Pozbyć się mnie?

– Hanni, powiesz nam, co to za Rozalka? – spytała matka. Razem z Alicją wsparte o parapet wyglądały przez okno.

Połączenie zostało przerwane.

– Miła dziewczyna, może się z nią ożenię, jak znajdę chwilę – powiedziałem, chowając telefon do kieszeni.

Nie mogły tego potraktować poważnie, ale matka się ucieszyła. Uważała, że małżeństwo uczy odpowiedzialności i ostrożności. Alicji to nie rozbawiło. Patrzyła na mnie, jakby wciąż kontemplując moje fizyczne podobieństwo do ojca.

– Dobry wieczór – powiedziała z udawaną rezerwą.

Skinąłem głową. Dobrze jej było w czerni z głębokim dekoltem.

Wszedłem do środka. Matka wyciąłowała mnie i poszła do kuchni zrobić kawę. Alicja wzięła mnie za rękę, zaprowadziła do salonu i posadziła przed półmiskiem z biszkoitem. Usiadła po drugiej stronie stołu i mi się przyglądała.

– Coś grozi tej twojej Rozalii? – zapytała szeptem.

– Pytasz, czy jest moja?

Alicja lekko spłoszyła.

– Wykręcasz się.

– Ty też.

– Martwisz się o nią.

– Nic jej nie będzie.

– Hannibal, coś się dzieje, prawda?

– Tak.

– Alicja powiedziała mi, że nie chciałeś z nią zatańczyć – wchodząc do salonu, powiedziała matka. Postawiła przede mną filiżankę. – Wolałeś czarować jakieś emerytowane nauczycielki.

– Z wiekiem człowiek coraz bardziej docenia doświadczenie i wiedzę – powiedziałem filozoficznie.

– Już lepiej coś zjedz, lizusie jeden. I powiedz, jak ty się tam znalazłeś.

– Amelia Arnold mnie zaprosiła, to przemiła starsza pani.

– To prawda – powiedziała Alicja. – Uczyła mnie matematyki, jej mąż chemii.

– Rewelacyjne ciacho – powiedziałem.

– To wkupne od Ali. Wino też. O, kurczę, zapomniałam ci powiedzieć, żebyś przyjechał taksówką.

– Trudno się dziwić, opróżniłyście prawie całą butelkę. Chyba że w ogrodzie została jeszcze jedna.

– Mówiłam ci – matka zwróciła się do Alicji. – Skąd on może wiedzieć, że najpierw piłyśmy w ogrodzie?

– Sam by tak zrobił – powiedziała Alicja. – Zresztą, Dawid też...

W jej ustach zabrzmiało to jak komplement. Widać było, że matce sprawiło przyjemność.

– Zupełnie jak Dawid przepada za ciastem – powiedziała.

– I tak samo uszy mu się trzęsą – prychnęła Alicja.

– Dokładnie – potwierdziła matka. – Na dodatek razem się przeziębiali i w tym samym momencie kichali.

– Beata, a co to było z kluczykami do samochodu?

– Zgubili tego samego dnia. Dawid oryginalne, Hanni zapasowe.

Znałem na pamięć te rodzinne anegdotki, które Alicja uzupełniła zabawną historyjką z filharmonii. Zsunąłem się na kanapie do pozycji półleżącej, piłem kawę i nasłuchiwałem melodii głosu Alicji, był ciepły

i przyjemny. Śmiała się szczerze, ale nie od ucha do ucha, błyszcząły jej oczy, usta układały się w kształt łódki kołyszącej się na jeziorze. Czasem udawało mi się uchwycić w locie jej spojrzenia, były miłe, jak subtelny, nieśmiały dotyk.

– ...ona tak fajnie mówiła o Hannim, że „jest mądry bo mój”. Śliczna dziewczyna. Myślałam, że się pobiorą, a tu któregoś dnia Hannibal mi oświadcza, że się pomylił. I ani słowa więcej, rozumiesz? – Matka mówiła do Alicji, ale z gotowością do połajanek patrzyła na mnie.

– Nie śpij, mówię o Joasi.

– Kiedyś dzwoniła do mnie – odparłem. – Rzuca sobie do stóp Argentynę.

– Dzisiaj dzwoniła do mnie, bo ty nie odbierasz telefonów. W nocy wylądować w Ost i przyjedzie do domu. Nie powinieneś się z nią zobaczyć? Oboje jesteście po rozwodzie, masz urlop...

– To sprzyjające okoliczności, żeby wziąć ślub, ale jutro muszę zanieść rzeczy do pralni i wytrześć dywany. Będzie trudno.

– No masz, ręce opadają. Kiedy był chłopcem, mówił, że jak spotka tę jedną jedyną, to będzie wiedział. I ożenił się, bo – tu uważaj – uznał to za dobry żart! Kryśka też nie lepsza, powiedziała mi wprost, że wyszła za mąż z ciekawości.

– Beata, wybacz... – powiedziała Alicja. – Dawid też miał taką fantazję?

– Wybaczam, ale przy dziecku nie wypada...

Zanosił się ze śmiechu, opróżniając ostatni kieliszek. W torebce Alicji zadzwonił telefon. Powiedziała „tak”, przeprosiła i poszła do przedpokoju.

– Zupełnie jak dawniej. – Matka pokręciła głową. – Pewnie coś z Arturem. Odwiedzisz Alę do domu?

– Jasne.

Nie tłumaczyła się. Stała w drzwiach i rozłożyła ręce.

– Nie gniewaj się, Beatko, muszę już iść.

– Rozumiem, kochanie. – Objęły się jak siostry, mocno i serdecznie, bez odrobiny fałszu.

Dwie kobiety kochające tego samego mężczyznę. Wdowa i była kochanka. W kategoriach czarno-białych: anielskie wcielenie dobra i zdrajczyni, podstępna żmija. „Zło na świecie płynie niemal zawsze z niewiedzy” – patetycznie zabrzmiał mi w głowie cytat z Camusa. Pisarza ratowało „niemal”. „Zawsze” bez „niemal” było rażącym uproszczeniem, oczywistym nonsensem. Matka bez wątpienia niczego się nie domyślała. To niewiedza była jej sojusznikiem. Nieznajomość tajemnic ojca ocaliła jej małżeństwo, przyjaźń z Alicją, może nawet sens życia.

– Pamiętaj, że masz mnie odwiedzić w pracy – powiedziała matka. – Na pewno coś znajdziemy do twojego ogrodu.

– Obiecuję – powiedziała Alicja.

– Hanni cię odwiezie.

– To nie jest konieczne, zadzwonię po szofera.

– Jestem już najedzony. Chętnie się przejadę.

– Jesteś moim ulubionym synem. – Matka wyściskała mnie i jeszcze pomachała przez okno, jakbyśmy wyjeżdżali za granicę.

– Bardzo się spieszysz? – zapytałem Alicji.

– Trochę.

Zamiast wyjechać na główną ulicę, kluczyłem po osiedlu, szukając drogi wyjazdowej na obwodnicę. W lusterku wstecznym nikogo nie dostrzegłem. Zatrzymałem auto i zgasilem światła. Nikt nie nadjeżdżał.

– Hannibal...

– Tak...

– Dlaczego przyszedłeś do szkoły?

– Chciałem cię zobaczyć.

– Tak bez powodu?

– Matka mi o tobie opowiadała, potem widziałem cię w szkolnych albumach.

– Czy nazwisko Marcel Buster nic ci nie mówi? – Patrzyła na mnie wyczekująco, gotowa przyłapać na kłamstwie.

– Mówi.

– Wiesz...

– Tak.

– Rany boskie... – wyszeptała, zamykając oczy. – Rany boskie... Więc dlatego...

– Nie dlatego, przecież nie zadawałem ci żadnych pytań. To już wiedziałem wcześniej.

– Kto, powiedz mi.

– Nie mogę.

– Jezu... – Zaczęło nerwowo przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki. – Powiedz mi coś, proszę. – Miała łzy w oczach.

Wziąłem ją za rękę.

– Sprawcy od dawna nie żyją. Dałem słowo pewnej samotnej nieszczęśliwej kobiecie, która nosi nazwisko zabójcy, że umrze w spokoju, bez infamii. Uwierz mi, przeszła tyle, że przynajmniej to jedno mogłem dla niej zrobić.

– Ale dlaczego to zrobili?

– Nie wiem. To byli źli ludzie.

– Tak po prostu? Marcela?

– Niestety tak.

– Tak po prostu... Tyle czasu nie dawało mi to spokoju. Najpierw policja... Po latach namówiłam Artura, żeby wynajął detektywów. To nic nie dało. Nawet nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć...

– Oni też zostali zamordowani.

– No tak, źli ludzie... I już. Każdemu może się przydarzyć, tak?

– Tak.

– Przez te wszystkie lata zdawało mi się, że mam z tym coś wspólnego, że coś czai się w pobliżu, skrada się, jest zagrożeniem. Wciąż bałam się tego. Dlaczego przyszedłeś z tą nowiną dopiero teraz?

Kobiety mają nadzwyczajną zdolność zadawania pytań, na które nie ma właściwej odpowiedzi. Podobnie jest z oczekiwaniami, nie muszą być wygórowane, ale wypowiadają je w chwili, kiedy mężczyzna nie ma żadnego pola manewru.

– Już po wszystkim... Wiesz, nie mogę zrozumieć, dlaczego wobec ciebie jestem taka bezpośrednia. Nie znam cię, ale zdaje mi się... Jakbyśmy znali się w innym życiu. A potem nawet nie otarli się o siebie, nieszczęśliwie rozminęli.

– Może dzieje się tak, kiedy tęsknota jest silniejsza od rzeczywistości. – Miałem na myśli moje podobieństwo do ojca, ale chyba nie tak to zabrzmiało.

– Rzeczywistość to twoja Joanna, Beata, mój mąż, córki...

– To za mało.

– Jestem od ciebie dużo starsza.

– I dlatego mielibyśmy rozminąć się jeszcze raz? Chcesz?

– Przecież to ważne.

– Ważne jest tylko to, że nie pada deszcz.

– Jak to?

– Bo kiedy pada, ty się zakochujesz.

– Aha... Niekoniecznie. – Uśmiechnęła się z nagłą lekkością.

Przysunąłem ją do siebie i pocałowałem w usta. Miała wiśniowy chłodny smak i włosy pachnące jaśminem. Na ułamki sekund zabląkałem się

w niedostępnym, zagadkowym pejzażu, poza nim wszystko znikło.

Spodziewałem się, że mnie odepchnie, delikatnie, ale stanowczo. Otworzyła oczy i sama się odsunęła.

– Musimy jechać – powiedziała.

Jedna przecznica dzieliła nas od obwodnicy. Przyspieszyłem na środkowym pasie, zerkając w lusterko wsteczne. Jeśli ktokolwiek za nami jechał, został daleko w tyle. Alicja patrzyła przed siebie spod długich rzęs, jak poprzednim razem zamyślona i milcząca. Nie zauważyła, kiedy zaczęło padać. Spojrzała na mnie, kiedy włączyłem wycieraczki.

– To tylko deszcz – powiedziała. – Jedź.

Zjechałem z obwodnicy na ulicę zabudowaną ładnymi rezydencjami. Rozmiarem żadna nie umywała się do pałacu Kraftów, za to wszystkie górowały nad nim wdziękiem i piętnem osobistych starań.

– Jeśli nie chcesz, żebym podwoził cię pod dom, pożyczę ci parasol.

Nie słuchała.

– Pojechałam dziś na zakupy i zobaczyłam cię na ulicy. Powyżej w restauracji stała kelnerka, patrzyła na ciebie i na mnie. Jest młoda i piękna, ma smutek w oczach. Mężczyźni marzą o takich oczach.

– Nie jestem ich rywalem.

– Hannibal...

– Tak...

– Powinnam natychmiast ochłonać. Nie rozmawiać z tobą w ten sposób, nie widywać cię... – Patrzyła na mnie w napięciu, jakby chciała wysondować, czy nie narobię jej kłopotów. – Zrozum, ty możesz wszystko, ja nic.

– Rozumiem.

– Co naprawdę myślisz?

– Zrobisz, jak zechcesz.

Kiedy zatrzymałem auto przed metalową bramą, w naszym kierunku z reflektora wystrzelił jaskrawy snop światła. Z domku obok drogi z parasolem w ręku wyszedł strażnik. W czapce z daszkiem wyglądał jak oficer. Oparł się o bramę i wpatrywał w auto.

– Muszę już iść – powiedziała.

Chciała wykonać jakiś życzliwy gest, ale strażnik uchylił bramę, podszedł i nadstawiając parasol, czekał, aż wysiądzie.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała oficjalnym tonem.

– Miłych snów – odparłem.

38.

Zauważyłem ducato, kiedy przestało padać. Byłem już blisko domu, więc zwolniłem, żeby szpicel mógł jeszcze nacieszyć się moim widokiem. Miałem zamiar nic nie robić, tylko położyć się spać i jutro zrobić sobie wolne. Są sprawy, których nie warto ponaglać, wystarczy poczekać, aż same ruszą do przodu.

Zatrzymałem samochód na podziemnym parkingu i zgasłem światła. Natychmiast zapadły całkowite ciemności. Zdarzało się co jakiś czas, że na parkingu wysiadał prąd. Wszyscy lokatorzy na wszelki wypadek wyposażyli się w latarki, w mojej, po nocnej eskapadzie na dworzec, przepaliła się żarówka. Zatrzasnąłem drzwi samochodu i czekałem, aż hałaśliwe echo przestanie okładać betonowe ściany. Nasłuchiwałem, czy ktoś nie idzie. Potem, czy nie oddycha, bo parkowałem w tym samym miejscu, więc mógł na mnie czekać. Nie oddychał.

Nigdy nie przytrafiło mi się nic złego. Bywało groźnie, ale miałem w zanadrzu różne sztuczki i to swoje niczym nie poparte przekonanie o własnej nietykalności. Jednak pewnego dnia ktoś mógł zajść mnie od tyłu i po prostu palnąć w łeb. Nie miałbym żadnych szans. Natomiast sprawca z powodzeniem mógłby się ukryć w tłumie podejrzanych. Byłem szczęściarzem, któremu wszystko się udaje, z wyjątkiem tego, co w życiu najważniejsze.

Światło telefonu wystarczyło, żeby dojść do windy. Wszedłem do mieszkania, włączyłem telewizor, żeby coś do mnie gadało i poszedłem do toalety. Miałem w rękach mokre mydło, a mimo to czułem na sobie zapach Alicji. Spojrzałem w lustro, była tam. Na mrugnięcie powieki zdążyła musnąć mnie łagodnym spojrzeniem. *Pragnę cię, ale ten owoc jest zakazany.*

Zadzwoił telefon.

– Szefie, dostałem cynk z dobrego źródła. – Głos Roba był niepewny, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. Żył z szemranych interesów, podsłuchiwania i zagładania przez dziurkę od klucza. Tym razem było inaczej: ktoś się o nim dowiedział i przez tę dziurkę umyślnie zatrąbił mu do ucha. – Chyba chcą pana kropnąć.

– Co jeszcze?

– Mówią, że to jakiś Pan Ktoś.

– Mówią co to za jeden?

– Mówią, że pan będzie wszystko wiedział. Sorry, szefie, to nie są ploty tylko cholernie złe wieści. Nadepnął pan na odcisk komuś, kto ma słabe nerwy.

– Rob, kiedy się o tym dowiedziałeś? Mów prawdę.

– W nocy... Wczoraj w nocy. Nie byłem w formie i jakoś tak zleciało...

– Od tej pory nie nadstawiałeś ucha w tym samym miejscu?

– Nie. Od wczoraj chyba bardziej się cieszę, że jeszcze to ucho mam.

– No dobra, trzymaj się.

– Powodzenia, szefie.

Nigdy nie mówił „powodzenia”. Zabrzmiało to jak pożegnanie. Słusznie odgadywał, że skoro ktoś mógł się nim posługiwać, jego wiarygodność jako informatora stała się problematyczna. Choć równie dobrze mógł przypuszczać, że za chwilę nie będzie ze mnie żadnego pożytku.

Przed śmiercią postanowiłem się porządnie wyspać. Wywietrzyłem mieszkanie i posłałem kanapę. Jednak nie mogłem się zdecydować, czy się rozbierać czy jeszcze poczytać. Poczytałem.

– *Myślisz, że spotkania dzień po dniu to dobry pomysł? Boję się, że prowokujemy los, w końcu wpadniemy komuś w oko. Tylko tak trudno to znieść, kiedy ciebie nie ma. Czy to mnie usprawiedliwia? Jestem gotowa na każde szaleństwo!*

– *Ufam ci. Nie musisz się upewniać, pytać, sam to wiesz. Kocham cię najprawdziwszą, najdelikatniejszą, najczystsza miłością, jaką możesz sobie wymarzyć. Uwierz.*

– *Nie mogę przestać o tobie myśleć. Zaczęłam czytać „Lato w Nig”, żeby być bliżej ciebie. Strasznie mi ciebie brak, jak nigdy. Nie wiem, dlaczego. Nie wiem, jak to wytrzymam. Kocham cię...*

Konkret. „Lato w Nig” to pierwsza książka ojca. O miłości, która nie napotyka na żadne przeszkody. O odkrywaniu uczucia z pomocą nieskrępowanych marzeń i przygód, które zbliżają, zamiast niepokoić, wystawiać na próbę. Naiwna, świeża, nierzeczywista, pełna swobody i lekkości, pozbawiona rozterek. Pewnie dlatego tak bardzo podobała się Alicji. Mnie też ze względu na radość, z jaką została napisana. Nie miałem pojęcia, co się wtedy działo. Myślałem, że ojciec jest po prostu szczęśliwy, więc żartuje i bawi się wraz z czytelnikiem. Może naprawdę tak było? Może cieszył się, że nie jest skończony, bo znalazł dla siebie całkowicie bezpieczną literacką przystań?

Tylko czy mógł wiedzieć, że znajdzie sojuszników? Czy nie napinał mięśni do granic możliwości, popychając swoją wyobraźnię w zupełnie innym dziewczęcym dla siebie kierunku?

Sukces nadszedł stosunkowo późno z nieoczekiwanego źródła. Popularność wśród nastolatków wpłynęła na poważnych krytyków, którzy

mieli dzieci. Przyznawali to wprost – bez hałaśliwego nacisku potomstwa nadal tego typu twórczość omijaliby z daleka. Tym razem zrobili wyjątek *dla urzekającej prostoty i wdzięku*. Ktoś napisał, że „Lato w Nig” to *pozbawione jakiegokolwiek troski o realia bezczelne zmyślenie, które uwodzi onirycznym czarem w ciasnym świecie myślowych pułapek*.

To nie było zmyślenie...

– *W jednej chwili poczułem wszystko naraz, jak dotykam twojego brzucha, szyi, piersi, jak tam dociskasz moje palce, jak pachną twoje włosy i nie chcesz odrywać ode mnie ust, oddychasz, mrużysz, patrzysz na mnie, pochłaniasz mnie całym ciałem. Nie wiedziałem, że może być aż tak, więc upajam się tym odkryciem. Jak ty smakujesz...*

– *Myślisz, że można kochać aż tak?*

– *To się dzieje!*

– *Wiem, tak się boję, że zaraz zniknie...*

Nie książka tylko potajemny pamiętnik. Nic na pokaz. To mi pomagało porzucić krytyczny stosunek do lektury. Szukałem punktu zaczepienia, szczegółu, który identyfikowałby osoby lub miejsca i zastanawiałem się nad selekcją materiału, którego tu z pewnością dokonano. Kochankowie koncentrowali się tylko na sobie, na wzajemnych relacjach i okolicznościach, które te relacje utrudniały. A przecież nie było możliwe, żeby nie rozmawiali o czymś prozaicznym, o pracy, zakupach, jedzeniu, obejrzanych filmach, o tym wszystkim, co jest treścią zwykłego dnia. Zresztą kobieta sformułowała to jasno: *Lubię wiedzieć, co robisz, wtedy wydaje mi się, że robimy to razem*. Z pewnością doczekała się odpowiedzi, ale akurat tu jej nie było. Gdzie indziej znalazłem namiastkę: *Tak sumiennie zaciskasz usta podczas prasowania, grozisz gorącym żelazkiem i marzycielsko kołyszysz piersiami...*

Ujmujące, tylko jak miałoby to wyglądać?

Najwięcej było podobnych do siebie pożegnań.

– *Dobranoc.*

– *Kocham cię, pa.*

– *Ciekawe, kiedy przestaniesz. Pa.*

– *Nigdy.*

Rzadziej pojawiały się ciężkie tony moralnych rozterek z echem rodzinnych zależności – dla odmiany te wątki były długie, dokuczliwe dla obojga, jak należna pokuta wśród miłosnych uniesień. Niekiedy trochę zawile, kiedy na wstępie czegoś brakowało.

– *Czasem warto porozmawiać o tym, że marzenia są niedoścignione, lepsze od życia, ale życie jest od marzeń ważniejsze. Jeśli jedno się z drugim popłącze, marzenia trzeba zrealizować albo ochłonąć, bo będzie źle.*

– *To przykre, nie lubię tego.*

– *Zbyt często jest ci przykro, kiedy mówię o czymś poważnym.*

– *To źle, że po przebudzeniu szukam cię obok siebie? O to chodzi?*

– *A co będzie, jeśli ja o poranku będę robił to samo?*

– *Ty nie, ty przecież nie fantazjujesz.*

– *Oszczędzam ci tego, w jakich okolicznościach budzę się i zasypiam. To nie jest świat fantazji, ale też się liczy.*

– *Już nie wiem, o czym mam mówić.*

– *Choćby i o tym, czy któregoś dnia nie pomylisz męża ze mną, on wszystko zrozumie i wszystko się rozpadnie. Albo jego obecność będzie jedynie przeszkodą w naszych kontaktach. Nie boisz się utraty tego, co masz?*

– *Proszę, przestań, potrafię jednoznacznie ocenić sytuację.*

– *Kochasz go?*

– *Mieliśmy o tym nie rozmawiać, to strefa zastrzeżona, twoje ustalenie.*

– *A może wygodny wykręt?*

– Nie, razem tak postanowiliśmy.

– Czasem warto spojrzeć w głąb siebie akurat po to, żeby nie myśleć tylko o sobie. Czy któregoś dnia twój mąż nie będzie dla ciebie tylko współlokatorem, tyranem, wobec którego masz jedynie przykre powinności? Nie znienawidzisz mnie za to?

– Nie jest tak, jak myślisz. Nie chcę cię ranić...

– To są proste pytania, ale zadam inne. Co zrobisz, kiedy twój mąż zorientuje się, że masz kochanka i zamknie cię w klatce?

– Na miłość boską, co cię opętało?!

– Chcesz być szczęśliwa ze mną i mieć szczęśliwą rodzinę. Musisz sobie odpowiedzieć, czy to jest możliwe. Ja mogę tylko poczekać na odpowiedź, czy to możliwe albo czy dasz sobie z tym radę.

– Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia na ten temat? Tylko nie miej do mnie pretensji!

– W porządku.

– Jednak nie mam siły...

– Nie chcesz mi nic powiedzieć, trudno. Chciałem tylko się dowiedzieć, czy nie rujnuję ci życia.

– Nie rujnujesz, możesz być tego pewien.

– Już zapomniałaś wczorajszą rozmowę. Byłaś rozbita, płakałaś, z niczym nie mogłaś się uporać, czułem się jak intruz niszczący rodzinną harmonię.

– Proszę, nie wyolbrzymiaj tego.

– Jesteś dzielna, upływa jeden dzień i jesteś taka, jak przedtem. Ja tak nie potrafię.

– Nie jest lepiej, kiedy smutek trwa krótko?

– Zrozum, że mną jest inaczej. Nadal czuję się straszliwie winny, bo jeszcze nikt przeze mnie nie płakał, a już na pewno nie dlatego, że mnie kocha. Byłaś w rozpacz. W jakich proporcjach mam to widzieć, żeby się nie

przejmować? Czuję się winny i nie mogę udawać, że beze mnie nie doszłoby do tego. Czy to nie od ciebie usłyszałem, że czujesz się jak ulicznica? Czy nie bolejesz nad złamaną przysięgą małżeńską? Masz poczucie winy wobec męża, córek, mojej żony... To wszystko rozdziera ci serce, a ja mam tego nie wyolbrzymiać? Jak to zrobić?! Sam wszystko przemilczam, żeby nam obojgu było łatwiej. Mnie jest łatwiej, bo mnie stać na rutynę w spotkaniach z twoim mężem, podaję mu rękę i beczelnie patrzę w oczy. Mój syn od dawna nie zwraca na mnie uwagi. Ale i tak nie potrafię ukryć przed tobą, jak mi żal tej utraconej przyjaźni, której nie mogę odzyskać, bo on wiedziałby od razu. O żonie nawet nie wspominam, zaraz byś się popłakała... Ale nawet wtedy, kiedy najbardziej mnie to boli, twoje uczucia są najważniejsze. Znałbym je, choćbym od ciebie nie usłyszał słowa skargi. Dlatego trudno mi pogodzić się z tym, że je ranię nie dlatego, że zrobiłem coś złego, tylko dlatego, że jestem. Czasem piszesz, zapewne bez złych intencji, że kochasz mnie mimo wszystko. Ale mam powody czuć się wtedy jak zło konieczne. Przepraszam, że nie byłem dziś miły i zabawny, ale chyba powinnaś to wszystko wiedzieć.

– Kochany, dopóki nikt o nas nie wie, tylko my cierpimy...

Mój ojciec i matka dwóch córek...

– Pragniesz mnie?

– Tak.

39.

Telefon obudził mnie w momencie, kiedy książka wypadła mi z ręki na podłogę. Po omacku odrzuciłem połączenie, ale zadzwonił znowu.

– Hanni, to ja. Nie gniewasz się, że tak późno?

– Cześć, Joasiu.

– Jak ładnie powiedziałeś. Mam do ciebie ogromną prośbę...

Wyobraziłem sobie port lotniczy w Ost i opalony tłum wlokący za sobą walizki na kółkach. Dlaczego sam gdzieś nie poleciałem?

– Czy mógłbyś przyjechać po mnie na lotnisko do Ost? Tato właśnie zadzwonił, że źle się czuje. Autostradą to najwyżej godzinka drogi. Nie widzieliśmy się tyle lat, a twoja mama powiedziała, że masz urlop. Poza tym...

– ...jestem rozwiedziony, tak?

– Ojejku, no przecież jesteś. – Zaśmiała się. – Przyjedź, proszę. Zresztą, po prostu musisz. Pamiętasz, kiedy się zaręczyliśmy?

– Naturalnie, dokładnie dziesięć lat temu. Podali to w telewizji po wiadomościach sportowych.

– Ech ty. Na razie znajomi dotrzymają mi towarzystwa, będę czekała w restauracji. Kochany...

Miała nadzwyczajną zdolność zawierania znajomości. Pewnie lot z Buenos Aires był długi, ale na raty. Choćby ostatnia trwała kwadrans, jakiś współpasażer z pewnością zaprosiłby ją na kolację.

Kiedyś podziwiałem ją za tę umiejętność. Potem zaczęły mnie denerwować uśmiechy rozdawane na prawo i lewo, powitalne pocałunki, niby przyjacielskie uściski, pęd do powierzchownego bratania się i kolekcjonowania ludzi, których można było pokazać palcem, opisać dwoma zdaniem i czasem wykorzystać.

Na autostradzie ruch był niewielki. Miarowy warkot silnika zachęcał do drzemki. Bronilem się przed tym zajadłą dyskotekową sieczką z czterech głośników. Przyspieszyłem do stu pięćdziesięciu na godzinę i dotarłem na lotnisko szybciej, niż spodziewała się tego Joanna. Na parkingu stały setki aut, przed terminalem taksówki i komfortowy bus z napisem „Val”.

Niewiele osób kręciło się po lotniskowym hallu. Miałem zamiar zapytać o restaurację dziewczynę w granatowym uniformie, ale została uprzedzona i sama zwróciła na mnie uwagę.

– Pan Hannibal?

– Tak. Po czym mnie pani poznała?

– Miał być mężczyzna bez bagażu, pewny siebie, zabójczo przystojny...

– Zaczerwieniła się. – Proszę iść za mną, narzeczona czeka na pana.

Po sekundzie wiedziałem, jak trafić do lokalu i w tym orszaku poczułem się jak zaangażowany do spektaklu pies na smyczy. Pomyślałem o marketingu, który studiowała Joanna i zamiłowaniu do mody, co w końcu stała się jej profesją. Jeszcze w liceum chodziła na wybiegu, zawsze miałem wrażenie, że nie potrafi po prostu przyjść, tylko musi wystąpić.

Lotnisko nie było najlepszym miejscem na występy. Nie mogła zaplanować spóźnienia i zmusić mnie do czekania, więc entré wypadało zorganizować inaczej.

Pamiętałem ją najlepiej z pierwszego spotkania. Kiedy przywoływałem Joannę w innych wspomnieniach, nie miała konkretnego wyglądu ani ubrania, nie myślałem o jej aparycji, nie potrafiłem przywołać jej słów

i gestów. Materializowały ją miejsca, zdarzenia i zapach. W gruncie rzeczy niewiele, a może po prostu nie potrafiłem się przyznać, że wciąż jest dla mnie ważna? Może po to tu przyjechałem, żeby to sprawdzić?

Restauracja była pełna gości. Przeważnie siedzieli parami przy małych stolikach, nachyleni do siebie w cichych pogawędkach. Podziękowałem dziewczynie.

– Pani prosiła...

Spojrzałem na nią wymownie. Dyskretnie się wycofała.

„Narzeczonej czeka na pana”. Dobrze sobie, miałyby mi pokazywać, która to jest? Jednak w pierwszej chwili byłem zdezorientowany. Wypatrywałem blondynki – jak na ironię nie dostrzegłem ani jednej. Byłem pewien, że Joanna natychmiast przyciągnie moje spojrzenie, bo zawsze tak było. Tymczasem przykuwała moją uwagę czarująca brunetka oparta na lekkim czarnym płaszczu przewieszonym przez krzesło. Podobała mi się jej ostrożna opalenizna na tle zielonej sukienki. Ciemnoczerwone buty, torebka i na pozór niedbale zarzucony szal tworzyły nadzwyczajne zestawienie wytwornej elegancji. Chyba po to jest klasa: każe ostro wyhamować i zmusza do podziwu.

Zmyliły mnie okulary w tytanowych oprawkach. Obudziły kolczyki z czarnymi szafirami w oprawie z diamentów. Joanna zmaterializowała się w marzeniu sprzed lat. Kiedyś z zachwytem pokazywała mi taki wzór, wówczas nieosiągalny, bo wart tyle, co tuzin sprzedawanych przez jej ojca sukien ślubnych.

Nie ufarbowałem włosów i nie chodziłem w okularach, ale spojrzała na mnie z tym samym niedowierzaniem. Podniosła się jak lunaticzka, a potem po prostu podbiegła i z radością rzuciła mi się w ramiona. W jej pocałunkach było tyle serdecznej tęsknoty, jakbym wracał z wojny jako uznany za zaginionego.

– Hanni, jak się cieszę!

– Pięknie wyglądasz. – Byłem szczerze zachwycony.

– No co ty, po tylu godzinach podróży... Ale troszkę ci się podobam?

– Jesteś nieziemską.

Odsunęła się. Patrzyła na mnie z rozpromienioną ciekawością i pozwalała oglądać się w ten szczególny sposób zaostrzający apetyt.

Niechący przewróciła ogromną walizkę. Rzucił się do niej szczupły facet przystrzyżony na zero. Zaślepiony Joanną dopiero teraz zauważyłem, że siedział z nią przy stoliku. W idealnie skrojonym garniturze i pod krawatem z ozdobną szpilką wyglądał jak pan młody, który zwiął sprzed ołtarza.

– Ojejku, Graham, przepraszam, że cię od razu nie przedstawiłam...

– Joasiu, przecież rozumiem. – Mężczyzna był zakłopotany swoją obecnością.

Uścisnąłem mu rękę.

– Hannibal Smoke.

– Wiem o panu sporo, nie tylko od Joanny – powiedział. – Gratuluję niezwykłego talentu.

– Graham jest cudny, przyjechał tu dla mnie specjalnie w środku nocy. – Joanna wzięła go za rękę. – Bardzo ci dziękuję, że dotrzymałeś mi towarzystwa.

– Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. – Zaśmiał się. – Nacieszcie się sobą. To w końcu tyle lat... Zadzwoń jutro – powiedział do Joanny.

Pocałowała go w policzek, kiedy zmienialiśmy dyżur przy rączce od walizki.

Zostaliśmy sami, przytuliła się i powiedziała, że może tak zostać na zawsze.

Przycisnąłem ją do siebie i pocałowałem we włosy.

Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Czasem moje przeczucia nie mają żadnej wartości.

40.

Szczebiotała bez przerwy, o zamkniętych drogach i lotniskach z powodu pożarów pastwisk pod Buenos Aires, o gejach w Bostonie, jadowitych pająkach w Melbourne, i biadała, że w ciemną noc nie może zobaczyć ukochanych okolic. Po wyjeździe z Ost w niewielkiej odległości były trzy parkingi. Nalegała, żeby na każdym się zatrzymywać. Całowaliśmy się, a potem szczebiotała do następnego przystanku.

Na autostradzie nie było zbyt wielu samochodów. Nie czułem zmęczenia, jedynie w ustach posmak koktajlu truskawkowego, który zamówiła przed moim przyjazdem. Zawsze miała nadzwyczajny apetyt na truskawki. Kiedy nie było świeżych, przepadała za koktajlami. Nigdy nie przypuszczałem, że po wielu latach można z taką łatwością powrócić do dawnych swobodnych relacji. Wystarczyły truskawki, wybaczalny bajer z „narzeczoną” i ani słowa o wzajemnych oczekiwaniach, jakby stan rzekomego narzeczeństwa naturalną kolejną rzeczą wszystko tłumaczył.

Wszystko mi się w niej podobało, zwłaszcza galaktyczna przepaść dzieląca nas od rzadkich rozmów przez telefon, zdawkowych, ciężkich, zawieszonych jak niemiecki sos. Mogłem coś zepsuć, ale zaryzykowałem:

– Powiesz mi, co się właściwie stało?

Wzruszyła ramionami.

– Tęskniłam, a ty się wreszcie rozwiodłeś – powiedziała beztróska.

– I to wszystko?

- Aha.
- Czekalaś, aż się rozwiodę?
- No tak.
- A gdybym tego nie zrobił?
- Trudno, nie miałam prawa ingerować w twoje małżeństwo. Ale wierzyłam, że jesteś mądry, bo mój.
- Ty masz jakąś teorię na ten temat, powiedz.
- Uważam... Uważam, że ożeniłeś się z tego samego powodu, dla którego ja wyjechałam za granicę – powiedziała z przekonaniem.
- Czyli na złość tobie, tak?
- No tak.
- I było ci przykro?
- Bardzo. Gdyby ktoś przez ciebie marnował życie, też nie chciałbyś na to patrzeć.
- A jeśli to wszystko nieprawda?
- Cały czas była gotowa pocałunkiem zamknąć mi usta. Zamknęła.
- Masz wspaniale ścięte włosy – powiedziałem.
- Znam dobrego fryzjera we Frankfurcie, lot był długi, więc znalazłam troszkę czasu. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Nie myśl sobie, że ja po prostu przyjechałam. Przyjechałam do ciebie. – Spojrzała na mnie, jak ktoś, kto domaga się natychmiastowej aprobaty.
- Jakie masz jeszcze dobre wieści?
- Zachichotała.
- A, nic takiego...
- Wyjdiesz za mnie i tak dalej?
- No tak, wyjdę za ciebie, będziemy mieli dzieci, będziemy sławni, bogaci, szczęśliwi. Wystarczająco nudne?
- Tragedia. Na czym zrobimy majątek?

– Na tym, co lubimy robić. Ty będziesz przerażać ludzi swoimi książkami, a ja będę ich ubierać.

– Będziesz mnie utrzymywać, fajny plan.

– Ani mi się śni. Wiesz, ilu ludzi posługuje się językiem hiszpańskim? Pół miliarda. A ile osób mówi po angielsku? Dwa miliardy. Razem dwa i pół miliarda potencjalnych czytelników.

– Chcesz przerazić jedną trzecią ludzkości. Nie za dużo trochę?

– Kocham cię. – Wybuchła śmiechem.

– Ej, zdaje mi się, że zrobiłaś coś za moimi plecami. Możesz mi to powiedzieć, zanim weźmiemy ślub i będziemy się rozmnażać?

– Nic takiego...

– Zaczynasz mnie niepokoić...

– Wiesz, że łatwo nawiązuję znajomości...

– No tak, dwa i pół miliarda ludzi. Nie musisz mnie przekonywać.

– Wśród tych paru miliardów jest kilku cenionych tłumaczy i liczących się wydawców. Rozmawiałam z nimi to tu, to tam, i zachęciłam, żeby pochylili się nad twórczością mojego ukochanego pisarza. Hanni... Tak bardzo się stęskniłam... Tak przyjemnie było zrobić coś dobrego dla ciebie... Niedługo ktoś przyjedzie do Val, powie ci, jakie są możliwości, a ty sam zdecydujesz, dobrze?

– Dobrze.

– I nie gniewasz się?

– Nie. Gdybyś była brzydka, to co innego.

– Jesteś wyluzowany – powiedziała z zadowoleniem. – Zawsze marzyłam o kimś takim pod warunkiem, że to będziesz ty.

– A co z twoim zamiarem ubierania ludzi?

– Ruszam z siecią wystrzałowych butików. Na początek piorunująca inwazja na Ost i Val. Będą niebotycznie drogie, trochę ekscentryczne, ale

w granicach rozsądku. Ludzie oszaleją. Rynek jest już zbadany, bardzo obiecujący. Plan marketingowy opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Moi znajomi znaleźli dla mnie inwestorów. Wszystko świetnie się układa.

– Graham Shaiman?

– Mówiłam ci, że Shaiman?

– To milioner, znana postać, cieszy się dobrą opinią.

– Masz rację, mój ty bystrzaku. Graham zarabia wielkie pieniądze na nieruchomościach w Ost, trochę się tym znudził i akurat rozglądał za czymś nowym. Przemięły, uprzejmy i bardzo konkretny człowiek. Sam widzisz, gdyby nie był zainteresowany, nie przyjechałby na lotnisko w środku nocy. No, ale prawdziwego rekina mam w Val. Różne rzeczy się o nim opowiada, więc trochę się go boję.

Przeciągle ziewnęła i oparła głowę na moim ramieniu.

– Przepraszam cię, Hanni. Umieram ze zmęczenia...

– Niedługo dojeżdżamy. Czy ten rekin to nie jest przypadkiem Artur Kraft?

– Mój Boże... Nigdy się do tego przyzwyczaję. Skąd możesz to wiedzieć?

– Pojęcia nie mam.

– Jutro... Aha, to już dziś wieczorem mam spotkanie z Kraftem. Najpierw umawialiśmy się w jego biurze, ale ustaliliśmy, że przyjemniej będzie u niego w domu.

– Rozmawiałaś z nim?

– Przedwczoraj. Moje przyjaciółki od dawna go namawiały, dostał papiery, ale się nie odzywał. Myślałam, że ma to wszystko gdzieś. I nagle dał znać, że jest zainteresowany. Strasznie poważny, apodyktyczny, nastawiony na przedsięwzięcia z ogromnym rozmachem. O wiele dłużej

rozmawiałam z jego żoną. To ona uparła się, żebym odwiedziła ich w domu. Od razu ją polubiłam. Kochana jest. Podobno bardzo ładna. Pojęcia nie mam, jak sobie radzi z tym sapiącym gburem. Pójdiesz ze mną?

– Da się to jakoś uzasadnić?

– Będzie mi różniej. No i Alicja dobrze zna twoją rodzinę, rozmawialiśmy o tym. Bardzo się ucieszy, jeśli przyjdziemy we dwójkę. Chyba jest trochę samotna w tym swoim wielkim zamczysku.

– Gdzie się zatrzymasz: u ojca czy matki?

Znowu ziewnęła.

– Mieszkają razem, u taty. Pogodzili się, ładnie się starzeją – powiedziała i naraz zasnęła.

Pamiętałem, który to dom. Dawniej wydawał mi się imponujący, teraz skromny, otoczony wąskim chodnikiem i sfatygowaną drucianą siatką. Rodzice czekali na Joannę. Kiedy zgasilem silnik, światło rozbłysło w pokoju stołowym a potem na drewnianym ganku.

Obudziłem Joannę. Spojrzała na dom, potem na mnie. Popłakała się. Otworzyłem jej drzwi i poszedłem do bagażnika. Zmagając się z ciężką walizą na kółkach, patrzyłem na uchylone drzwi, zza których wychynęła osobliwa para. Matka Joanny pozostała patykowatą zasuszoną kobietą, poruszającą się ostrożnie jak po tafli lodowiska. Pomimo laski wspierała się jeszcze na ramieniu mężczyzny, któremu pokaźna tusza odebrała dawną sprężystość i pewność siebie. Joanna patrzyła na nich z podziwem, jakby właśnie nauczyli się chodzić. Najpierw nie mogła się ruszyć, potem podbiegła z gotowością do przewrócenia obojga.

Nie mogłem się doczekać, aż zakończą festiwal uścisków i potoczyłem w ich kierunku dobytek Joanny.

– Pamiętacie Hanniego? – zapytała.

Mężczyzna mnie nie poznał, ale otoczył ramieniem. Tej nocy chyba nawet włączęga mógł liczyć na jego serdeczność. Matka Joanny przyglądała mi się z tą samą dawną wdzięcznością. Kiedy pocałowałem ją w rękę, pogłaskała mnie po głowie jak chłopca.

– Zawsze byłeś w moim sercu – powiedziała cicho.

Chciałem się zrewanżować jakimś miłym słowem, ale poruszony jej wyznaniem nie mogłem znaleźć właściwego.

41.

Joanna zadzwoniła rano. Obudziła mnie półprzytomnym „Kocham cię” i natychmiast zasnęła.

Wstałem z łóżka w południe z silną potrzebą koncentracji na czymkolwiek, jakbym chciał uwolnić się od rzeczywistości wymykającej się spod kontroli. Poszedłem do miasta coś zjeść.

Apetyt na pierogi był większy niż moja niechęć do klubu dziennikarza, gdzie podawano najlepsze. Barman zrobił minę pod tytułem „wieki tu ciebie nie było”, zamówiłem jedzenie i z gazetą w ręku usiadłem przy stoliku z widokiem na ulicę.

W lokalu siedziało kilka osób, gawędzili przy piwie i papierosach. Zdawało mi się, że poza barmanem mojej obecności nikt nie zauważył, ale po chwili stanął nade mną Brunelle, tykowały kolega z działu biznesowego, jak zawsze w tej samej kraciastej marynarce.

– Cześć, Hannibal, mogę poprzeskadzać?

– Będiesz mnie poszturchiwał?

Uśmiechnął się niepewnie. Miał mentalność namolnego akwizytora, był zbyt gadatliwy i nudny, żeby pozwolić mu usiąść przy tym samym stoliku. Poza tym wiedziałem o nim tylko tyle, że szybko chodzi z tułowiem przechylonym do przodu, jakby w ciągłej gotowości do walenia głową w mur.

– Chciałem chwilę pogadać. Zaraz będą plotki, więc pomyślałem, że należy ci się wyjaśnienie...

– O co chodzi, żonę mi poderwałeś?

– Wiedziałaś o tym? – Aż go odrzuciło ze zdumienia. – Byłem pewien...

– Spokojnie, to był strzał na chybił trafił. Staraleś się ukryć to przede mną?

– No wiesz, kolega z pracy, to zawsze psuje atmosferę, tak się nie robi... Ale do niczego nie doszło, zanim nie zdecydowaliście o rozwodzie.

– W porządku.

– Zrozum, chcemy się pobrać...

– Proszę bardzo.

Kiedy się przesunął, ustępując miejsca kelnerce z pierogami, miałem zamiar go spławić. Jednak zmieniłem zdanie.

– No dobra, siadaj, chwilę pogadamy.

– Bo widzisz...

– Nie o tym. Wieczorem mam spotkanie z Arturem Kraftem. Możesz mi coś o nim powiedzieć?

– Co? – bąknął zaskoczony. – Kraft?

– Czarny, gruby, ma trochę forsy, kojarzysz?

– Jasne, jasne, daj mi zebrać myśli. Skaczesz z tematu na temat. Kraft to nie sąsiad, którego spotykasz w windzie.

– Tobie się udaje. Podobno jesteście znajomymi – wysiliłem się na komplement. Zakładałem, że powie „Cóż...” i będzie wodził oczami po suficie, wypatrując wyrytych cytatów ze swojej twórczości.

– Cóż...- Brunelle nieznacznie wydał usta i wypatrywał czegoś ponad moją głowę. Był standardowym zakochanym w sobie durniem, idealnym dla Krystyny. – Artur Kraft to wizjoner i geniusz otoczony piekielnie

zdolnymi ludźmi – Brunelle powiedział to z namaszczeniem, jak dewotka o papieżu.

– Jeszcze coś?

Spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Facet ma fantastyczne pomysły i haruje jak wół. Przynajmniej kiedyś tak było. Niedawno rozmawiałem z jakimś dyrektorkiem w jego firmie. Przyjmował go do pracy sam szef. Kraft powiedział, że od nikogo nie wymaga więcej niż od siebie. Gość pomyślał, że spoko, a teraz tak tyra, że już zapomniał o panienkach i bibkach z kumplami, nie ma rodziny, nie ma przyjaciół. Firma starcza mu za wszystko. U Krafta zasuwasz do oporu albo wypadasz z gry. To jakiś cholerny zakon, stuprocentowa dyspozycyjność i lojalność. Znam kilka osób od Krafta. Niby zachowują się swobodnie, dużo gadają, ale tak, żeby przypadkiem czegoś nie wypaplać.

– Chyba jednak muszą coś paplać, skoro rynek reaguje na każdą sugestię Krafta.

– Kraft milczy, odzywa się Jerry Walsh. Poznał Krafta, kiedy ten pojechał na stypendium do Cambridge. Był jego wykładowcą, właściwie go odkrył, przyjechał za nim do kraju i od tej pory są nierozłączni. Walsh jest rzeczowy, oszczędny w słowach, wszystko ma wyważone, policzone. Zawsze mówi w imieniu Krafta, bąknie parę słów i to zawsze wywołuje ferment na giełdzie. Na przykład powiedział, że Kraft dokupi akcje RDAAX, jeżeli kurs spółki nie zacznie rosnać. Cena akcji natychmiast wręcz niebotycznie poszybowała w górę. I o to Kraftowi chodziło.

– Jest właścicielem RDAAX?

– Kiedyś był, potem sprzedał większość udziałów. On tak działa. Cały czas analizuje rynek, interesuje go dowolna branża, banki, kopalnie, huty, kiełbasa, skarpety. Wszystko. Z mojej nerki wycisnąłby pieniądze. Ma wiedzę i niesamowitą intuicję. Wymyśla jakiś dochodowy interes, buduje

od zera, rozwija, a potem się go pozbywa z ogromnym zyskiem. Pogardza sentymentami, nie przywiązuje się do żadnej spółki. Kiedy jest okazja do pomnożenia majątku, sprzedaje. Zimny drań, ale ma cholernego nosa.

– Jak traktuje swoich wspólników?

– Znam niektórych. Usłyszałem kiedyś taką opinię, że szanuje tylko tych ludzi, którzy do niego należą. Reszty używa do swoich celów, dopóki są mu potrzebni. Mają szczęście, jeśli potem o nich zapomni, bo ma pierwszorzędną talent do wpuszczania w maliny. Coś podobnego słyszałem kilka razy, więc chyba coś w tym jest.

– Rozmawiałeś z Kraftem.

– Ciężko z nim porozmawiać. Zwłaszcza jak wie, że jesteś dziennikarzem. Kilka razy spotkałem go na bankietach, za każdym razem coś tam pomrukiwał pod nosem, zbywał mnie byle czym. Facet lubi milczeć, z każdą pierdołą odsyła do Walsh. Gdybyś go zapytał, czy lubi pierogi, byłoby tak samo.

Brunelle cały czas mówił do rzeczy i zacząłem się zastanawiać, kiedy palnie jakąś durnotę.

– Może Kraft cię nie lubi? – zapytałem, dojadając pierogi.

– Mnie każdy lubi. Sam widzisz, masz powody do urazy, ale nie rzucasz się na mnie z pięściami.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– Widzisz, kolego – powiedział z satysfakcją.

Cymbał mianował się moim ulubionym kolegą, bo nie dałem mu w mordę. Byłem pełen podziwu dla niebanalnego rozumowania, które w każdym pozwala dostrzec przyjaciela. Miałem ochotę opuścić ten liczny fan klub, ale Brunelle pomyślałaby, że chodzi o Krystynę.

– A co z wywiadem? Zdawało mi się, że kiedyś umawiałeś się z Kraftem.

– Rozniosło się... A jednak. – Brunelle nie wyglądał na zadowolonego. – Wielu próbowało, ja też za nim wydzwaniałem... Odsyłał mnie do Walsha. Poszcęściło mi się na jakimś przyjęciu. Był w towarzystwie samych miłych kobitek, tak go podkreśliły, że nie mógł odmówić. A potem kombinował, mówiono mi, że wyjechał, zajęty, narada, chory i tak w kółko. Co jakiś czas przerabiałem pytania pod aktualną sytuacją na parkiecie, a on albo to, albo tamto. Pół roku to trwało. Myślałem, że mnie szlag trafi.

– Nie byłbyś sobą, gdybyś nie dopiął swego – podpuszczałem go.

– Aha... Dobrze, że mnie za to z roboty nie wylali. Spotkałem go przypadkiem w takim ekskluzywnym zajeździe przy drodze wylotowej do Ened. Na parkingu poznałem jego wóz. Wchodzę do lokalu, pusto, tylko Kraft siedzi i je. Wyluzowany, w dżinsach i podkoszulku z jakimś dziwnym napisem. Czeka, co tam było napisane... Nie był dziwny, raczej niespotykany... *Probitas laudatur et* coś tam... Nieważne. Myślałem, co teraz wymyśli. A on, jakby nigdy nic, uśmiecha się, zaprasza do stolika, zamawia kawę. Nie pozwolił mi włączyć dyktafonu, ale obiecał, że będzie mówił powoli, jak trzeba, niektóre kwestie powtórzy, a potem... Daj spokój...

– Domyślałem się, że zrobił na tobie kolosalne wrażenie.

– Żebyś wiedział. Walsh to przy nim ciemniak, chłopiec na posyłki. Kraft na każde pytanie odpowiadał referatem z pogranicza biznesu, filozofii i parapsychologii. Strzelał cytatami po łacinie, grecku, francusku. Chłopie!

– Żałuję, że nie przeczytałem.

– No właśnie... Skurczybyk nie chciał autoryzacji. Był taki uprzejmy, nawet nie pomyślałem, że to podstęp. Przynoszę tekst do szefa, myślę sobie, że na Krafta dwóch kolumn nie pożałuje. A on czyta, czyta. Dojechał do połowy i pyta, czy to na pewno wywiad z Kraftem. Osłupiałem. Mówię, że pewnie. A on za telefon i do Walsha. Ciarki mnie przeszły. Szef słuchał,

słuchał i do mnie: „Co to za wariacka podpucha?! W co ty mnie człowieku pakujesz?!”. Bo Walsh mu powiedział, że on o takim wywiadzie wiedziałby na sto procent, a nie ma zielonego pojęcia. Myślałem, że mnie krew zaleje. Poprosiłem szefa, żeby w takim razie zadzwonił do Krafta. Zadzwonił, a sekretarka bez namysłu, że łączy z panem Walshem. Szef do niej, że chce z Kraftem, a ona, że w imieniu pana Krafta z dziennikarzami rozmawia wyłącznie pan Walsh!

– Coś mi mówi, że na Krafta dostałeś szlaban do końca życia...

Brunelle ciężko westchnął.

– Dałem się podejść jak dzieciak. Mogłem ci na ten temat nic nie mówić, ale... No wiesz...

Byłem pewien, że nie podaruje sobie nuty współczucia.

– Cóż... Jestem ci coś winien.

– Dzięki – odparłem.

– Gdybyś miał zamiar przeprowadzić wywiad z Kraftem...

– Idę tam w celach towarzyskich. Jestem na urlopie.

– A, to co innego. Chociaż to dziwne, zdawało mi się, że Kraft nikogo nie zaprasza... Natomiast jeśli chodzi o Krysę...

– Życzę wam wszystkiego dobrego.

– Naprawdę?

– Jasne.

– Naprawdę nic cię to nie obchodzi? – Był upierdliwy i chyba nieco zawiedziony, że nie dostrzegam podium, na które triumfalnie chciał wkroczyć.

– Ani trochę, właśnie po to ludzie się rozwodzą.

– Krystyna...

– Wybacz stary, wolałbym poczytać.

– Jak uważasz. – Podał mi rękę, przechylił tułów do przodu i szybkimi susami opuścił lokal.

42.

Po chwili też bym sobie poszedł, bo w gazecie nie znalazłem nic ciekawego. Zwłaszcza czegoś na miarę wywiadu z geniuszem finansjery. Już się podnosiłem, kiedy wpadła mi w oko niewielka notatka poświęcona Jadwidze Hahn.

Kobietę znaleziono martwą we własnym łóżku. Leżała w taki sposób, jakby kładła się do trumny. W pokoju jeszcze unosił się zapach dopalanej świeczki, którą ustawiła na taborecie obok posłania. Gdyby nie regularnie dokarmiany kot mogłaby tak leżeć tygodniami. Obojętni na jej los sąsiedzi musieli sprawdzić, co się dzieje, bo nie mogli wytrzymać miauczenia pod drzwiami. Dziennikarz napisał, że zgon „starszej pani” nastąpił prawdopodobnie z przyczyn naturalnych i nieświadomie sprawił Jadwidze Hahn przyjemność, nie przywołując żadnych skojarzeń z jej mężem i synami. Umarła jako starsza pani, która ze spokojem czekała na śmierć i do końca życia troszczyła się o kota.

Jednak szansa, że już nigdy nie trafi do mediów w kryminalnym kontekście, była niepewna. Notatkę opatrzone zdjęciem, na którym w asyście policji i gapiów sanitariusze wynosili zwłoki. Zdawało mi się, że w złym kadrze połówka twarzy należy do prokurator Katriny Lange. Zadzwoiłem do niej.

– Dzień dobry, panie redaktorze – powiedziała oficjalnie.

W tle usłyszałem odgłosy ulicy i terkot przestarzałej kasy fiskalnej. Byłem pewien, że kupuje coś w kiosku. Czułem, że jest niedaleko. Wyjrzałem przez okno.

– Dzień dobry, pani Katrino. Proszę wybrać się ze mną na kawę, może na spacer?

– Zazdroszczę panu swobody, ale zaraz mam wizytę u lekarza.

– W takim razie kawa. – Mrugnąłem na kelnerkę. – Ginekolog nawet nie zauważy pani spóźnienia.

– Słucham? – Chyba domyślała się mego jasnowidzenia.

– Kawa już się robi.

– Ach tak...

Rozglądała się, stojąc po drugiej stronie ulicy. Najpierw spojrzała na białą tabliczkę z napisem „Ginekolog – położnik”, potem wypatrzyła mnie w witrynie klubu, pogroziła mi palcem i uśmiechnęła się. Nawet z tej odległości dało się odczuć, że ten czarujący uśmiech był nieplanowany, jakby dla mnie zarezerwowała tylko śmiertelną powagę.

Uważałem ją za bezduszną maszynę, ale przechodząc przez jezdnię, poruszała się lekko, z wdziękiem Rozalii. Spojrzałem na kelnerkę i doszedłem do wniosku, że już prawie wszystkie kobiety mi się podobają. Uznałem to za przejaw dziwnej niepożądaney przemiany i umysłowego wygodnictwa.

– Naprawdę mam tylko chwilkę – powiedziała, kiedy odsuwałem jej krzesło. Zerknęła na gazetę. – No tak... Nie mam panu zbyt wiele do powiedzenia.

– Po prostu umarła?

– Tak, ze starości. Nie ma tu pola do żadnych spekulacji. To chciał pan wiedzieć?

– Tak.

– Gdyby było inaczej, uważałabym pana za jedynego podejrzanego. Chyba tylko pan w całym Val przypomniał sobie o Jadwidze Hahn tuż przed jej śmiercią. Rysopis raczej się zgadza...

– Tak się złożyło. Czuła się źle, miała pretensje do Boga, że nie chce z nią skończyć ani za karę, ani w nagrodę. Miała teorię, że Stwórca zechce ją wziąć z zaskoczenia. I tylko jedno życzenie, żeby nie umierać jako matka morderców. Obiecałem jej to.

– Już nie jest pan związany obietnicą. Kogo zabili?

– To stara historia, bez znaczenia. Ja tego nie napiszę, pani tego nie udowodni. Nie ma tu pola do żadnych spekulacji.

– A co z pańskim niepokojem dotyczącym śmierci ojca?

– Domyślam się, komu jego śmierć byłaby na rękę, ale nie mam żadnej pewności, że ktoś miał zamiar i sposób, żeby pozbawić go życia.

– Mimo tych niepowodzeń wydaje się pan korzystnie odmieniony. Nie wiem, co to takiego, ale ten dziwny urlop panu służy. – Dopła kawę. – Proszę wybaczyć, muszę już iść.

– Powodzenia – powiedziałem, zerkając na jej godny pozazdrosczenia płaski brzuch.

Zauważyła to i roześmiała się.

– Dziękuję, ale to nic poważnego. Wybieram się do laryngologa, piętro wyżej.

43.

Spodziewałem się telefonu od Joanny. Policzyłem do pięciu i zadzwoniła.

– Cześć, Joasiu – powiedziałem. – Masz towarzystwo?

– Ach ty! – krzyknęła. – Nie mogłeś nic usłyszeć, dzwonię z kuchni.

Więc jakie to towarzystwo?

– Koleżanki z branży, chyba te, które załatwiły ci audiencję u Krafta.

– Kompletne szaleństwo! Czy to słychać w moim głosie?

– Chyba tak. Przyszły...

– No...

– Cztery, zgadza się?

– Kurczę! Słuchaj, Hanni. Jeszcze tu trochę posiedzimy. Rozumiesz, za długo się nie widziałyśmy, poza tym wiele im zawdzięczam. Dzięki dziewczynom jestem na bieżąco ze wszystkim, co dzieje się w Val.

– Mnie też szpiegowały?

– Troszeczkę. – Zachichotała. – Czytały twoje artykuły, przysyłały mi książki i...

– ...takie tam?

– Bystry chłopiec. Pojedziesz ze mną do Kraftów? Gdybyś tak zabrał mnie za kwadrans osiemnasta... Proszę.

– Dobrze.

– Cudnie. Kocham cię, wiesz? To na razie, pa, pa.

Poszedłem do domu. Nikt mnie nie śledził.

Spoglądając z balkonu, zapaliłem papierosa. Na niebie kłębiły się białe ciemniejące od spodu bałwany chmur, pod którymi bezgłośnie pikował w dół duży samolot pasażerski. Patrzyłem na miasto dla zabicia czasu, bez żadnej myśli, która popychałaby mnie w określonym kierunku. Zawsze miałem ugruntowane przekonanie, że Val jest jak praktyczny mechanizm, który się nie psuje, ale niestrudzenie ogłupia, postarza i wykańcza miarowym terkotem. Czy rzeczywiście było aż tak nudne i nijakie? Ogarnął mnie niepokój, że potrafię sobie wmówić coś nieprawdziwego i trwać w tym uporze.

– *Dzień dobry, kocham cię.*

– *Ja ciebie też. Powiedz mi, w jakiej pozycji najchętniej zasypiasz? Bo ja na prawym boku.*

– *Ja też. Pasowalibyśmy do siebie...*

Kartkowałem książkę, siedząc w fotelu z nogami na stole. Czy pasowałem do Joanny? Tamci wierzyli, że pasują, zanim poszli do łóżka i raz po raz pokonywali kolejne rozterki i zmienne nastroje.

– *Czy ty nie widzisz, że jestem najzwyklejsza, zupełnie przeciętna...*

– *Uważasz, że nie mam za grosz wrażliwości, poczucia piękna, tylko zdolność do zachwyty na poziomie kołka w płocie? No pomyśl tylko, ty przeciętna? Jak mógłbym zwariować na punkcie przeciętności?*

– *Dziękuję...*

– *Masz tyle umiejętności, o których ja nie mam pojęcia. Przecież nie łączą nas ani różnice, ani podobieństwa. Nie dowiemy się, na czym to polega, ale to jest potężniejsze od czegokolwiek.*

– *Niech tak będzie.*

– *Niech będzie, a ty i tak wiesz swoje, tak? Gdybym mógł, zrobiłbym multimedialną wystawę twojej duszy, koncert Jarre'a wyglądałby przy tym*

jak amatorskie rzępolenie na garnkach.

– Czarujesz...

– *A tam, czy ktokolwiek roztacza wokół siebie taki czar jak ty? Która dziewczyna tak się uśmiecha, zarzuca włosami, pachnie, jest tak cudowna w dotyku, tak delikatnie i czule całuje, mruczy...*

– *Słowem, potrafisz zrobić ze mną, co tylko chcesz.*

– *Miałem nadzieję, że lubisz nie tylko pogadać...*

– *Nie tylko... Wieczorem wyobraziłam sobie, że.. .biorę cię na śpiocha...*

– *Dziś też mogłabyś to sobie wyobrazić?*

– *No pewnie. Szkoda, że już dziś nie zdążę ci opowiedzieć, jak to dokładnie jest...*

– *Kocham cię, moje śliczności.*

– *Pa, ukochany, tylko pomyśl o mnie przed snem.*

– *Dobrze wiesz, co pomyślę... Pa*

Gdybym jeszcze miał cię wåtpliwości, już go nie miałem. Ojciec sypiał na prawym boku i bardzo lubił Jarre'a. W jego ustach to porównanie było szczególnym wyróżnieniem. I to *amatorskie rzępolenie na garnkach...* Użył go po koncercie, na który go namówiłem przed maturą. Ojciec natychmiast przyćmił początkujących muzyków, kiedy nastolatki z cielecym entuzjazmem przybiegły po autograf. Nie podzielałem jego opinii o zespole, ale ojciec mi się podobał. Nie uznawał pokoleniowych barier, był tak samo koleżeński dla dzieci, punków i staruszków. I po latach musiałem przyznać, że pomyliłem muzyczną awangardę ze zwykłym brakiem umiejętności.

Szkoda, że to on...

Czy to ona?...

Ma męża zazdrośnika, no i proszę...

– *Tęsknię za tobą, ale nic nie mogę zrobić. Od trzech dni mąż zawozi mnie do pracy i odwozi do domu, chociaż nigdy tego nie robił. Nie spuszcza mnie z oka, jest dokuczliwy, rozstawia córki po kątach. Coś go martwi, zatruwa mu życie, ale nie chce wytłumaczyć, o co chodzi. Pyta, gdzie dzwonię, co czytam. Jestem prawie pewna, że coś podejrzewa. Nie wiem, jak się zachować...*

Nawet znalazły się materiały wybuchowe i kolejne potwierdzenie niechęci Krafta do przyjmowania gości.

– *Wiesz, że poza rodziną prawie nikt do nas nie przychodzi, ale wczoraj zjawił się jakiś mężczyzna. Mąż był zły z tego powodu, nie wpuścił go do domu, rozmawiali w ogrodzie. Zawiódł mój laptop, więc skorzystałam z pokoju dziewczynek i robiłam przelewy przez Internet. Okno było otwarte. Usłyszałam tylko fragmenty rozmowy. Mówili, że trzeba z kimś lub czymś skończyć, że coś jest nie do wytrzymania. Potem przyjechał dostawca z krzewami. Specjalnie kazałam mu je zanieść pod altanę, gdzie rozmawiali. Posłuchał mnie i niespodziewanie z tym obcym mężczyzną się przywitał. Męża wyprowadziło to z równowagi, tamten szybko wyszedł. Zapłaciłam dostawcy. Bardzo przeproszał, tłumaczył, że chciał tylko zamienić parę słów ze swoim byłym dowódcą w wojsku. Nie pamiętał nazwiska, ale powiedział, że to fachowiec od materiałów wybuchowych, teraz zatrudniony w przemyśle wydobywczym. Niby nic takiego, ale jakoś dziwnie mnie to zaniepokoiło...*

Nie mogłem nie pomyśleć o Hahnach i nadmiernej ilości semtexu, który eksplodował w ich samochodzie. Jednak największą niespodziankę znalazłem tu...

– *Miałam sen. Dziwny. Nie palę, ale stałam w ciemnościach z papierosem w ręku. Czekałam na coś, ogarniał mnie coraz większy niepokój. To było w jakimś dużym znajomym budynku. Za plecami miałam pustą przestrzeń,*

chyba kilka pięter korytarzy. Oparłam się plecami o poręcz i nasłuchiwałam hałaśliwej muzyki dobiegającej gdzieś zza ściany. Byłam zgrzana, ogłuszona. Nagle muzyka wybuchła, zobaczyłam światło, a w nim mężczyznę, który zamknął za sobą drzwi i podszedł do mnie. Nagle poczułam ukłucie w sercu, tak bardzo chciałam, żebyś to był ty. Odezwało się we mnie bardzo silne pragnienie i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że jest niemożliwe do spełnienia. Jakbyś wyjechał, zniknął, przepadł bez wieści, porzucił mnie?... Nie wiem, co się stało. Ale tak bardzo chciałam, żebyś to był ty, czułam się taka stęskniona, zmęczona twoją nieobecnością, długim czekaniem, że chyba podświadomie wymodliłam sobie, żeby chociaż był to ktoś do ciebie podobny. I był! Chciałam powiedzieć: „To ty?”. Nie powiedziałam, ale on to usłyszał. Powiedział, że ty go przysłałeś. Wiedziałam, że zrobi ze mną, co zechce. Nie wiedziałam, jaki jest, jak mnie potraktuje, jakie ma zamiary. Mógł być zimny, niebezpieczny, zły. Wziął mnie za rękę, jakby zawsze to robił, potraktował jak rzecz, która do niego należy i zabrał wprost nad jakieś urwisko w górach. Znam je. Wiedziałam we śnie, jak nazywa się to miejsce. Teraz już nie mogę sobie przypomnieć. Była gwiazdzista noc. Piękna... Nie umiem tego wyrazić. Pokazał mi ją, ale sam na nic nie zwracał uwagi, tylko patrzył na mnie. A potem pożegnał się skinieniem głowy, jakoś tak... puścił mnie wolno. Zatrzymałam go, powiedziałam, że chcę iść do domu. Odpowiedział, że nie po to mnie tu przyprowadził. I zniknął. Rozejrzałam się dookoła. Nigdy nie byłam sama na pustkowiu. Miałam ochotę się rozplakać i nagle nabrałam odwagi. Zrozumiałam, że sama dam sobie radę, sama o wszystkim mogę decydować, że nieznajomy przyprowadził mnie na urwisko, bo z tego miejsca można iść, dokąd chcę...

 Nie podobało mi się, zalatywało jakąś dydaktyką, ale przecież tyle się zgadzało, szkoła, dolina Isy, Alicja...

Czy można wyśnić coś, co zdarzy się za kilka lat? Poczułem się nieswojo, jakby ktoś mnie inwigilował i tę kartkę książki pod moją nieobecność niepostrzeżenie dokleił. Zamiast uznać proroczy sen za coś naturalnego, wykazałem się podejrzliwością jak ci wszyscy, którzy nie mogli uwierzyć, że potrafię zobaczyć coś, co jeszcze się nie wydarzyło lub zobaczyć kogoś, kogo w danym momencie nikt nie widział.

Gdyby ta umiejętność była niezawodna, gdybym tylko potrafił się bardziej skoncentrować, miał więcej determinacji... A nawet nie mogłem się jednoznacznie określić, co w tym wszystkim najbardziej mnie interesuje: śmierć ojca, Alicja, Joanna... Nie potrafiłem sprecyzować, jakie stawiam przed sobą zadanie. Powinienem mieć przeczucie jakiegoś konkretnego, który wyłania się wolniej lub szybciej, jakoś się materializuje, porządkuje rzeczywistość, ustawia priorytety. Tymczasem raz za razem przypominałem sobie, że mam urlop, co wykluczało nadmiar pośpiechu, było zaleceniem chroniącym sylwetkę przed końskim przechyłem Brunnellego.

Probitas laudatur et alget... Sprawdziłem w słowniku: Uczciwość zbiera pochwały i umiera z zimna.

Tak mało wiedziałem o Krafcie, a już próbowałem go zdefiniować. Nie byłem obiektywny...

44.

Joanna dostrzegła mnie przez okno i wybiegła przed dom. Po chwili zwolniła kroku, poprawiła włosy i na powitanie wręczyła mi dwa okazałe segregatory papierów.

Miała jeszcze wilgotne paznokcie, więc uściskała się ze mną ostrożnie, jak motyl, który boi się, że połamie skrzydełka.

– Cześć, Hanni – powiedziała i pokazała się ze wszystkich stron. – Dobrze wyglądam?

Skinąłem głową i otworzyłem drzwi samochodu.

Dołożyła starań, żeby zrobić wrażenie odpowiedzialnej pochłoniętej interesami businesswoman. Jednak nie czarny żakiet i dyskretny makijaż lecz skupienie wymalowane na twarzy wzbudzało największe zaufanie i respekt. Spojrzałem na kąci jej ust. Natychmiast zaczęły się niesfornie poruszać. Zatrzymałem samochód na światłach i zbliżyłem się do niej. Ostrożnie oddała pocałunek, radośnie zaczerpnęła tchu i sięgnęła po lusterko.

Nabrałem ochoty na coś więcej.

– Och, pończochy... – Zaśmiała się. Próbowwała odzyskać biznesową twarz, ale bez powodzenia. – Potem, no... – kusząco mnie zburczała. – Pomóż mi pobyć sztywniarą przez parę godzin, dobrze?

– Mam przeczucie, że wszystko pójdzie jak z płatka.

– Pocieszasz mnie czy...

- Mam przeczucie. I chyba nie musisz obawiać się spotkania z Kraftem.
 - Pomyliłam się? Jest fajny?
 - Nie o to chodzi...
 - Czy ty go kiedykolwiek widziałeś, zamieniłeś z nim chociaż kilka zdań?
 - Nie.
 - Zdumiewasz mnie. Naprawdę?
 - Naprawdę.
 - Więc na jakiej podstawie...
 - On nie przyjdzie.
 - Coś ty? Jedziemy na próżno? – zaniepokoiła się.
 - Przeciwnie. Na pewno będzie Jerry Walsh, prawa ręka Krafta. Jeśli Walsh będzie zadowolony, to Kraft także.
 - Jaki jest ten Walsh?
 - Z tego, co wiem, nudny, konkretny, wszystko ma zaplanowane, pewnie nawet datę swojej śmierci.
 - Wiesz, chyba jestem spokojniejsza.
 - Widzę, że śmierć nastraja cię optymistycznie.
 - Ja po prostu dobrze dogaduję się ze starszymi ludźmi.
 - Nie mówiłem, że jest stary.
- Znacząco podniosła brwi.
- Nie mówiłam, że nic o nim nie wiem.
 - Jesteś dobrze przygotowana, prawda?
 - Prawda.
 - Byłabyś bardzo zawiedziona, gdyby do spółki z Kraftem nie doszło?
 - Trochę tak. Kraft to pewność, że się uda. Jemu wszystko wychodzi. Ma wiedzę, intuicję, potrafi przewidzieć każdą sytuację. I niczego się nie boi. Ma tak dużo pieniędzy, że stać go na każde ryzyko.

- Podziwiasz go.
- Podziwiam każdego, kto wie, czego chce.
- Słyszałem, że ze współnikami nie obchodzi się najlepiej.
- Wiem z jakimi. Nie lubi takich, którzy się nie angażują, traktują go jak taran do otwierania wszystkich drzwi.
- Gdyby jednak z Kraftem nie wyszło...
- Musiałabym skorzystać z innej oferty. W odwodzie mam Shaimana, ale to oznacza mniejszy rozmach i niepewność sukcesu. Poza tym chyba za bardzo mu się podobam. To mógłby być kłopot. Kraft widzi tylko pieniądze i swoją rodzinę, w tym sensie jest bezpieczny, solidny, skupiony na interesach. Ja chcę tylko ciężko pracować i mocno cię kochać. Reszta się nie liczy.

Spojrzała na mnie z ufną łagodnością, której w tym ciepłym odcieniu jeszcze nie znałem.

- Twoi szpiedzy naprawdę mają pojęcie, co ze mnie za ziółko?
 - Nikt cię nie zna tak dobrze jak ja.
 - Przez te lata mogłem się stoczyć.
 - Nie szkodzi.
 - Może upijam się na umór, napadam staruszki w zaułkach.
 - Trudno.
 - Nie masz żadnych wymagań?
 - Nie o to chodzi, Hanni. Ja po prostu wiem, że ty wszystko potrafisz i nigdy się nie poddajesz, jeśli uważasz, że cel jest tego wart.
 - Będziesz się starać?
 - A nie widać?! – Zacisnęła usta i zmarszczyła czoło.
- Nikt nie potrafił tego robić z takim wdziękiem, ale brakowało mi zapachu, żeby to powiedzieć.
- Nie znoszę kobiet idealnych. Peszą mnie.

– Czasem przyjdę do domu potargana i pod wpływem alkoholu, zadowolony?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie Krafta. On o tym wie.

– Jezu... – Przestraszyła się. – Proszę, zatrzymaj samochód.

– Dobrze, ale i tak nie mogę ci o tym opowiedzieć.

– Ale ja nie chcę tam jechać! Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym od razu?

Zjechałem z obwodnicy w boczną ulicę prowadzącą do pałacu Krafta i zatrzymałem auto poza zasięgiem kamery monitorującej jego posiadłość.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu? – powtórzyła. Kiedyś w takim pytaniu byłaby irytacja, teraz żal i cierpliwa ciekawość.

– Pamiętam, że nie reagujesz dobrze na złe wieści. Zresztą wczorajsza noc nie nadawała się na takie rozmowy.

– No tak, ale już nie jestem nierozsądna. Chcesz mnie narazić na spotkanie z bandytą?

– Joasiu, nie twierdzę, że Kraft jest bandytą. Zanim podpiszesz papiery, wszystko powinienem wiedzieć. Wprawdzie to niewielka różnica, ale próbuję cię ostrzec, nie zniechęcić.

– Więc może się okazać, że Kraft jest w porządku?

– Może.

– Powiedziałeś to bez przekonania.

– Trudno zaufać komuś, kogo się podejrzewa.

– Dlaczego nie możesz mi nic powiedzieć?

– Bo nie chcę niczego popsuć i nikomu zaszkodzić. Zwłaszcza tobie.

– Hanni, czy są w tej sprawie jakieś dowody?

– Są, ale nie wiadomo, o czym świadczą.

– O rrrany... Nawet go nigdy nie widziałeś.

– Nie szkodzi.

- Może lepiej, żebyś mi nic nie mówił?
- Gorzej. Jestem pewien, że Kraft wie, co nas kiedyś łączyło. Możliwe, że spółka z tobą to nie efekt dobrego zdania o twoim projekcie, tylko sposób na to, żeby mnie powstrzymać. Nie gniewaj się, ale nie mogę tego wykluczyć.
- Czułam, że jego nagłe zainteresowanie...
- To tylko hipoteza. Kraft może okazać się dla ciebie wielką szansą, nie mam zamiaru ci przeszkadzać.
- Ale mocno ostudziłeś mój zapał...
- Właśnie tego się obawiałem, ale nie umiem powiedzieć ci tego inaczej. Pokręciła głową.
- To nie to, co myślisz... Jestem ci wdzięczna. Powiedz mi tylko czy tu chodzi o sprawy finansowe...
- Nie.
- ...jakiś przekręt czy coś innego?
- Coś innego.
- Aha. Coś bardzo złego?
- Tak.
- Takiego... Coś mi grozi?
- Nie sądzę, przynajmniej na razie.
- Hanni, Jezu... Co mam robić?
- Możesz Kraftowi podziękować i nie iść, ale gdyby...
- Gdyby się okazało, że jest niewinny, nie wybaczyłabym ci tego, tak?
- Chyba tak.
- A jeśli pójdę?
- To powinnaś zachować się tak, jakbyś niczego nie podejrzewała. Mieć ten sam zapał co przed godziną. I nie demonstrować naszej wzajemnej zażyłości. Przyjechałem z tobą, ponieważ nalegała na to Alicja.

– Właściwie tak było... No, prawie... Dobrze, Hanni. Zobaczysz, że jestem twarda. Jedziemy. Może nic z tego nie będzie, ale jestem ciekawa, z czym mam do czynienia.

Wjechałem na jezdnię i patrzyłem, jak się mobilizuje, koncentrując wzrok na rowerzyście jadącym w oddali.

– Fajnie mieć takiego sojusznika – powiedziałem. – Dostałaś rumieńców. Zobaczyła się w lusterku.

– Okropnie wyglądam, ale to chyba dobrze. Mam być trochę napalona, nie? Kurrzczę, ale przygoda. Daj buziaka na rozruch.

Spojrzałem na ruchomą kamerę wysuniętą ponad ogrodzenie terenu Krafta. Zrozumiała.

45.

Strażnik poznał mnie od razu, dotknął daszka czapki i otworzył bramę.

– Byłeś tu już kiedyś? – spytała Joanna.

Nie musiałem odpowiadać, tak bardzo pochłonęły ją widoki wokół rezydencji. Hektary starannie skoszonej trawy, skupiska kwitnących krzewów, labirynty uformowanych żywopłotów, porośnięte altany, antyczne rzeźby i stylizowane ruiny, nad czym górowały rześiste, rozpylające tęczę wodotryski.

– Bajka – powiedziała.

Podzielałem jej zdumienie. Wcześniej widziałem to miejsce po zmierzchu, skąpo oświetlone, ukryte za gęstwiną cyprysów wzdłuż ogrodzenia i konarami wiekowych dębów. Teraz jechaliśmy brukowaną, umyślnie wyboistą drogą, Żółwie tempo i niska wstęga żywopłotu sprzyjały oczarowaniu tą wydzieloną z hałaśliwego miasta enklawą baśniowej ciszy.

Kamienne trytony przed podjazdem strzelały w górę podniebnym strumieniem wody, ale i tak byłem pod wrażeniem niezliczonych iglic i wież na szczytach pałacu.

Wysiedliśmy z samochodu z zadartymi głowami, nie zwracając uwagi na służącego, który nadszedł niepostrzeżenie, skłonił się i cierpliwie czekał, aż skończymy podziwiać rzeźbienia na wykuszach. Poczuł się niezręcznie, kiedy podałem mu rękę, więc poprawiłem mu nastrój, wręczając segregatory. Pod ich ciężarem poczuł się użyteczny i poszedł przodem,

najpierw po schodach, a potem ciemnym lodowatym korytarzem zastawionym zbrojami i wszelkiej maści orężem z toporami i maczugami. Nastrój bezgranicznej sielanki ustąpił odpychającej gotyckiej siermiędze z dokuczliwym zapachem wilgoci i drewna palonego w kominkach.

– Gdzie trzymacie katapulty i narzędzia tortur? – zapytałem rutyniarskim tonem eksperta.

Służący zaśmiał się dyskretnie.

– Mamy tylko jedną armatę, stoi przy sadzawce w parku.

– Co za lochy, istna trupiarnia... – powiedziała Joanna, nacierając sobie ramiona. – Jak tu można żyć?

Służący nieśmiało chrząknął, więc dodała z kokieterią:

– Na pewno nikomu pan tego nie powtórzy, prawda?

– Dobrze – odparł pogodnie. – Tu nikt nie żyje, proszę pani. Od strony fontanny nikt nawet nie podjeżdża. Państwo zajmują południowe skrzydło.

– To dlaczego idziemy tędy?

– Pałac jest olbrzymi, dookoła to kawał drogi – odparł.

– Aha.

Czułem, że Joannę to zastanowiło. Mnie też. Skoro nikt tu nie zaglądał, dlaczego nas spotkało to wyróżnienie? Mógł zaproponować dojazd autem.

– To wszystko wygląda jak muzeum, a nie jest na pokaz?

– Proszę pani... Nie jest.

– Państwo nie przyjmują gości?

Pytanie nie było służącemu na rękę, bo je zignorował i przyspieszył kroku.

Joanny to nie zniechęciło.

– Nie przyjmują nikogo?

– Ależ przyjmują, przeważnie członków rodziny i najbliższych współpracowników pana Krafta. W tej części pałacu bywa tylko starszy pan

Oskar Kraft. Jest namiętym kolekcjonerem. Mieszka piętro wyżej.

– Co stanowi kolekcję?

– Minęliśmy już te pomieszczenia. Broń średniowieczna, malarstwo flamandzkie, stare monety, książki, no i rekwizyty z czasów komunizmu. Zwłaszcza te ostatnie pan Oskar lubi najbardziej, to w końcu jego młodość. Zresztą moja też.

– Będziemy mogli zobaczyć je później?

Wyglądał na zadowolonego, jakby sam miał zamiar to zaproponować.

– Naturalnie, proszę pani. Pan Oskar się ucieszy.

Kręty korytarz tylko na początku zdołały ozdobić eksponaty. Potem ciągnął się długim łukiem pokrytym wypłowiałą ze starości farbą. Słabe światło z ciasnych zakratowanych okien w grubych murach pozwalało odmierzać jednakową ilość kroków między wyszczerbionymi drewnianymi drzwiami. Przygotowano je do renowacji, ale jej nie rozpoczęto. Niektóre były uchylone, odsłaniając puste pomieszczenia z rusztowaniami i sypiącymi się reliefami na sufitach. Najwyraźniej ambitne plany remontowe poległy w walce ze słomianym zapalem.

Joanna nie mogła wyjść ze zdumienia dla tej przechadzki. Zobaczyłem w jej oczach ulgę, kiedy służący nacisnął czerwony przycisk w ścianie i dobrze naoliwione metalowe drzwi rozsunęły się bezszelestnie, wpuszczając do labiryntu Minosa ostre słoneczne światło.

– Taka mała niespodzianka – powiedział służący i przepuścił nas przodem.

Gromkie echo kroków z twardej posadzki zniknęło na miękkim, gęstym trawniku. Usłyszeliśmy ożywione głosy dobiegające z japońskiej altany. Z oddali widziałem tylko nogawkę granatowych spodni, ale byłem pewien, że należą do siwowłosego Walsh, tak jak tego, że Alicja ma na sobie

dżinsy i turkusową bluzkę z dekoltem, że jest tam jeszcze dwóch facetów i sam Kraft.

Służącego nieco zmęczyło taszczenie segregatorów, więc odłożył je na drewnianą huśtawkę. Przeprosił i wspinając się na mostek przerzucony nad sadzawką, poszedł do altany. W taflę wody celowała stara uszkodzona armata.

– Pomyliłem się – powiedziałem do Joanny.

– On tam jest?

– Tak.

– Chyba już starczy tych niespodzianek – powiedziała szeptem.

– Mam przeczucie, że będą następne.

– Zobaczymy, dziś nie jesteś dobry w te klocki.

Dwóch mężczyzn szybkim krokiem dopadło Joanny, na wyścigi wymieniając swoje specjalności i rozdając jej uśmiechy. Ze mną przywitali się powściągliwie, jakby ich ostrzeżono, że każdy niewłaściwy gest mogą wykorzystać przeciwko nim. Mieli około trzydziestki, doskonale skrojone garnitury i śnieżnobiałe koszule. Walsh nie był jeszcze stary, ale włókł się na końcu jak inwalida, idąc krok w krok za Kraftem i Alicją. Rozmawiali półgłosem, komentując to szczerym donośnym śmiechem.

– Mówiono mi, że jesteś śliczna, ale nie przypuszczałam, że aż tak – powiedziała Alicja, całując Joannę w policzek.

– Z łatwością mogę się odwdzięczyć tym samym komplementem – z entuzjazmem odparła Joanna. – Moje koleżanki wyszpiewowały, gdzie się pani ubiera. Mam nadzieję znaleźć w pani sprzymierzeńca.

Kraft był chyba odporny na takie sojusze. Sądząc z wymiętoszonej lnianej marynarki nieudolnie maskującej otyłość, nie korzystał z żadnych rad. Nie byłem na to zbyt czuły, ale nie uszło mojej uwagi, że długie czarne włosy spinał beżową gumką żywcem zdjętą z lekarstwa na receptę.

Podał mi wilgotną rękę, odważnie patrząc prosto w twarz. Chciałem to spojrzenie uchwycić, zacisnąć na nim pętlę i jak najwięcej wyczytać z jego oczu, ale szybko przywitał się z Joanną i obrócił do Walsh'a.

– Jerry, stary przyku, ruchy, ruchy.

– Czyje to papiery? – powiedział Walsh anemicznym głosem, na co służący natychmiast podniósł z huśtawki segregatory, gotów je zanieść do pałacu.

– Mamy sporo roboty, pani Joanno. – Kraft był władczy i zdecydowany.

– Mam nadzieję, że poradzi sobie pani bez asysty?

– Jestem już duża, proszę pana.

– Dobra odpowiedź – Kraft pochwalił meldunek. – Alu, zajmiesz się panem redaktorem?

– Napijemy się herbaty i oprowadzę gościa po parku – powiedziała.

Zanim orszak podążył do pałacu, Joanna puściła do mnie oko i musnęła Alicję krótkim spojrzeniem. Zrównała krok z Kraftem i natychmiast zaczęli rozmawiać. Na kamiennych schodach między wysokimi kolumnami wszyscy wyglądali jak gromada zaprzyjaźnionych prawników, którzy idą do sądu z pewnością wygranej. Po chwili ponad arkadami na pierwszym piętrze rozbłysły żyrandole, ktoś zamknął ogromne okno.

– Nienawidzę tego domu – powiedziała Alicja.

46.

W ażurowej altanie mogło zasiąść jednocześnie kilkanaście osób, korzystając z wszystkich kuchennych udogodnień. Alicja podała mi herbatę na obrusie z adamaszku w ręcznie malowanych, kunsztownych filiżankach. Nie odzywała się, więc przerwałem milczenie.

– Coś mi mówiło, że Artura dziś nie będzie.

– Wyjechał rano, zadzwonił, że nie zdąży, a potem zjawił się niespodziewanie na godzinę przed spotkaniem.

– Byliście w doskonałym nastroju...

– Nie.

– Jeśli to jakaś tajemnica...

– Śmieje się tak, kiedy puszcza mu nerwy. Robi to tak umiejętnie, że wszystkich tym śmiechem zaraża. Ale potem... Ach...

– Moja obecność go tak irytuje?

– Możliwe, nie znosi dziennikarzy. Sam widziałeś, nawet się do ciebie nie odezwał. Mógł nie przyjeżdżać, bo i tak wszystko załatwiłby Jerry.

– Jesteś w złym nastroju?

– Nie ma o czym mówić... – Spojrzała na parking. – Gdzie twój samochód?

– Po drugiej stronie pałacu. Służący czekał na nas przy fontannie.

– Feliks przy fontannie? Nie powiedział, żebyście tutaj podjechali?

– Przeprowadził nas przez pałac.

– Nie mogę uwierzyć... – Odstawiła filiżankę. – Przez tę rupieciarnię? Boże, od miesiąca nikt tam nie sprzątał, mój teść, Oskar uparł się...

– Ma słabość do rekwizytów z czasów komunizmu?

– Klamoty... Stare radioodbiorniki, telewizory, pralki, socrealistyczne plakaty, gazety... Oskar zawładnął tą częścią pałacu, miał zrobić remont i porządną ekspozycję, ale to nie jest zadanie dla schorowanego staruszka. Zresztą, kto miałby to oglądać? Artur nie chce słyszeć o żadnych gościach. Tym razem zbuntowałam się i ustąpił. Nie wiem, dlaczego dla was zrobił wyjątek. Z oporami, ale po prostu zgodził się.

– Może chce mi coś pokazać.

– Artur, pokazać? Zostawił cię ze mną, tego też nie rozumiem... – wyszeptała. – Proszę, ty też mów ciszej. Taki tu dziwny pogłos, czasem z domu słyszę niektóre rozmowy. Nie chcę, żeby Artur... No wiesz...

Nie mogłem tego nie skojarzyć z książką ojca. Kobieta w pokoju córek przez otwarte okno słyszała rozmowę dobiegającą z altany...

– Rozumiem. Gdzie są twoje córki? – zapytałem.

– Na wycieczce szkolnej. Wyjechały na kilka dni.

Stanąłem z filiżanką na schodach altany.

– Założę się, że ich pokoje są po lewej stronie od gabinetu Artura.

– Tak, akurat przed altaną. – Uśmiechnęła się blado. – Co jeszcze zgadniesz?

– Zamczysko jest prezentem dla ciebie na...

– ...dziesiątą rocznicę ślubu.

– Przeraził cię ten prezent. Wolałabyś prawdziwy dom z ogrodem, taki jak moich rodziców. Nie dyrygować stadem służących, tylko zadbać o wszystko własnymi rękami.

– Z wyjątkiem Feliksa służący są moimi jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi. Czasem pracuję razem z nimi, jak Artur nie patrzy. A potem

idę na wieżę i macham chusteczką, żeby zwabić tu jakiegoś księcia z bajki... Chodź, książę, póki słońce świeci i twoja narzeczona nie jest zazdrosna, pokażę ci włości Kraftów.

Poszła przodem, wybierając starannie wytyczoną ścieżkę wśród wielu innych, błędzących między rabatami i dziwołagami szczepionych drzew. Zza ściany cyprysów wychynęła błękitna tafla olbrzymiego basenu, w której przeglądały się antyczne spękane kolumny i rzeźby postaci bez rąk i nosów. Domyślałem się pedantycznej imitacji. Alicja wyprowadziła mnie z błędu.

– Są prawdziwe. Wyrwane z naturalnego środowiska. Amory strzelają na oślepa, Pegaz chciałby odlecieć, Neptun nabić się na swój trójząb. Nie tak miało być...

Nasłuchiwałem melodii jej głosu, wdychając zapach świeżo skoszonej trawy. Nie patrzyłem na Alicję, wyszukując miejsca, gdzie nie czułbym na sobie czyjegoś spojrzenia.

– Pływam tu sama... Sama, bo Artur już nie lubi, a dziewczynki wolą pływać z koleżankami w szkole. Myślałam, że nad tym basenem będziemy gościć wielu przyjaciół, zaproszę kolegów z orkiestry. Mamy scenę, która pomieściłaby cały zespół, amfiteatr, boiska, nawet prawdziwy galeon przebudowany na restaurację, w której nikt nie wypił drinka... Teraz już wszystko rozumiesz?

– Jeszcze nie wszystko.

Rozejrzałem się po okolicy, dostrzegając za wieżą widokową trzy maszty, które wcześniej wziąłem za jakiś nieurzeczywistniony zamysł ogrodnika. Alicja splótła palce i patrzyła na nie, jakby od paznokci miała zamienić się w jedną z melancholijnych parkowych rzeźb.

Chciałem wziąć ją za rękę, ale cofnęła się o krok.

– Kamera. – Kiwnęła głową na obiektyw w zielonej oprawie, który z oddalonego wysięgnika obracał się w naszym kierunku. – Chodźmy na statek.

Ozdobne burty posadowione w prawie niewidocznym betonowym sarkofagu wystawały trzy metry nad ziemią. Pozbawiony wody, unieruchomiony galeon sprawiał wrażenie martwej, pokrytej tatuażami ryby zamordowanej wbitą w rufę metalową klamką. Alicja oparła się na niej i otworzyła drzwi zamaskowane drewnianymi rzeźbieniami. Uczyniła ruch, jakby chciała chwycić za klucz i zamknąć się ze mną od środka, ale zmieszana wycofała się z tego.

Wnętrze galeonu żadną miarą nie przypominało starego statku. Nie było naturalnego światła, tylko lampy w ozdobnych mosiężnych kinkietach. Obszerne wygodne kanapy i stoły pokryte białymi prześcieradłami, za barem w kształcie okrętowego dziobu stało mnóstwo nietkniętych trunków.

– Napijesz się? – zapytałem.

– Czemu nie – odparła. – Nalej mi trochę brandy. Szkoda, że ty nie możesz.

Stałem za kontuarem, próbując uchwycić jej spojrzenie. Nie pozwoliła na to.

– Jesteś zawiedziona, że Artur jednak przyjechał?

Nie odpowiedziała, sięgając po szklankę. Przymierzała się do wypicia wszystkiego za jednym zamachem, jednak nie przesadziła.

– Jezu...

– Niedobre?

– Jezu, jaka ona piękna... – Wyczułem żal i ledwie słyszalną nutę złości.

– Nie wiem, po co ta nasiadówka – dodała nerwowo. – Przecież po minucie Joanna oczarowała wszystkich łącznie z Arturem.

Dotknąłem jej ręki, już nie stawiała oporu.

– Czego się boisz? – zapytałem.

– O nią... O ciebie... Boję się tyranii, przemocy, bezsilności... Zawsze.

Ominąłem kontuar, nie puszczając jej dłoni. Przypatrywała mi się uważnie.

– Ty ją ciągle kochasz... – powiedziała. – Tyle lat, pomimo rozłąki... Nie myślałam, że to możliwe... To mnie rozczuła, wzrusza. Boli.

– Nie tylko o tym myślisz...

– Jestem... Wiesz, że Artur osobiście poprzykrywał te kanapy? Są jego własnością, więc o nie dba po swoim. Już ich nie sprzeda, nie odda, nikt z nich nie skorzysta, nikt przypadkiem nie wyleje na nie wina, nie zaśnie. Będą tu stać i należeć do niego. Bo do tego są mu potrzebne.

47.

Przyciągnąłem ją do siebie i wsunąłem palce w jej włosy. Dotykałem czoła, gęstych brwi, policzków, nosa, rysowałem palcem kontur jej ust. Poddawała się temu z zamkniętymi oczami.

– Hanni... Co robisz?

– Czy to przyjemne?

Otworzyła oczy.

– Proszę, nie patrz tak na mnie... – powiedziała błagalnie. – No zobacz, co się ze mną dzieje...

Odsunęła się, żebym zobaczył sterczące spod turkusowej bluzki twarde nabrzmiące sutki. Przez jej twarz przemknął rumieniec, jakbym ją zobaczył bez ubrania.

Rozśmieszyła mnie. Chciałem to ukryć, ale bez powodzenia.

Patrzyła na mnie badawczym wzrokiem, a potem wsunęła mi dłonie pod marynarkę.

– Mogę?

Skinąłem głową.

Oplotła mnie ramionami, wtuliła się. Zanurzyłem usta w zapachu jej włosów, poczułem ciepło piersi, nasłuchiwałem ciszy.

– Masz rację, bardzo przyjemne – wyszeptała. – Zaczęłam zapominać, jak to jest, ale tobie to nie wystarcza...

– Wystarcza mi, że jest ci dobrze...

– Boże...

– Nie jest?

– Wiedziałaś, że chcę to usłyszeć? Bardzo chciałam.
Dotknąłem jej policzka i mocniej przygarnąłem do siebie.

– Hanni, dlaczego to robisz?

– Nie mogę inaczej.

– Dlaczego to robisz Joannie.

– Nie mówmy o Joannie.

– Powiedz.

– Jeśli tęskniła tyle lat, nie powinna jutro wyjeżdżać w interesach.

– Dziwne. Tak ci powiedziała?

– Nie powiedziała.

– Wiesz, co będzie jutro. To smutna zdolność. Rozżalenie trwa o wiele dłużej.

– Nie jestem rozżalony.

– Nie wierzę ci. Już czujesz się pominięty, dlatego jesteś ze mną. –
Spojrzała mi w oczy spod gniewnej zmarszczki na czole. – Nie jesteś?

– Ani trochę. Już nie zgaduj.

– Myślałam, że to wszystko już we mnie umarło, a wiruje, drży, budzi się. Hanni...

Pociągnąłem ją za rękę do kanapy.

– Nie, proszę.

Szarpnąłem za prześcieradło i rzuciłem je na stół.

– Już się mnie nie boisz. Czujęm to.

– Nie znam cię. Co chcesz zrobić?

– Przytulić cię na kanapie.

– A jak ktoś wejdzie?

– Wiem, że nie wejdzie. Zaufaj mi.

- Co my robimy...
- Próbujemy dowiedzieć się czegoś o sobie.
- Ty pierwszy. Zdejmij marynarkę.

Posłuchałem jej. Ostrożnie ułożyła się obok i oparła głowę na ramieniu. Całym ciałem pytała, czy może mi wsunąć dłoń pod koszulę. Wsunęła.

- Popełniamy najpiękniejsze samobójstwo świata...
- O Arturze też nie rozmawiajmy.
- Nie mogę przestać o nim myśleć. Przepraszam.
- Spróbuj.
- Nigdy tak się nie czułam... Jesteś obcy... Jesteś... Kiedyś marzyłam o kimś...
- I nadszedł.
- Tak, ale potem nagle zniknął. Myślałam, że serce mi pęknie...
- Ciiicho.

Ułożyła się wygodniej, zaczerpnęła tchu i uspokoiła oddech.

- Rób tak, jak przedtem, proszę – powiedziała cicho.

Pocałowałem ją we włosy i wodziłem palcem po jej brwiach. Niespiesznie dotykałem końcówek długich rzęs, zamkniętych powiek, ust. Zdawało mi się, że to działa jak hipnoza. Alicja przyłgnęła do mnie i nie poruszała się. Uległem złudzeniu, że zasypia. Przesunąłem dłonią po jej piersi.

- Jeszcze za uchem – wyszeptała.

W kącikach jej ust pojawił się cień marzycielskiego uśmiechu.

- To miłe?
- Bardzo. I lubię, jak rozgarniasz mi włosy... O tak...

Wydała z siebie słodki pomruk.

- Dobrze mi.

Pomyślałem, ile ma lat i wydało mi się to nieprawdopodobne. Patrzyłem na jej długie nogi i niemal dziecinne palce w sandałach. Na sterczący sutek w obfitej piersi, na delikatne ramiona wymyślone tylko po to, by obejmować i tulić. Nasłuchiwałem jej miarowego oddechu, pochłaniałem zapach, jakbym miał go zapamiętać do końca życia.

– Policzyłeś wszystkie?

– Co?

– Zmarszczki.

– Tak.

– Po co?

– Polubiłem je, stały się ważne, skomplikowały mi życie.

Napięła mięśnie, zdawało mi się, że chce wstać. Nie puściłem jej.

– Hanni...

– Jest rada na zmarszczki, przynajmniej na te wokół ust.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie bez entuzjazmu.

Zbliżyłem usta.

– A, taka rada. – Uśmiechnęła się. – Jesteś dzisiaj taki poprawny...

Nie pozwoliłem jej na pocałunek, żeby zobaczyć jak układa usta.

– Nie podglądaj. – Udała nadąsanie i pocałowała mnie, czujnie patrząc mi w oczy i szukając w nich pewności, czy robi to dobrze. Zrazu miękko i ostrożnie, potem z coraz większą namiętnością, żarłocznie, jakby miała już mnie nigdy nie zobaczyć. Kiedy wsunęła mi dłoń pod spodnie, słyszałem młotki, które tłukły się w jej skroniach. I nagle opadła z sił.

– Hanni...

– Tak?

– Wybaczysz mi? Nie mogę, zrozum...

– Ja wszystko wiem.

– To moja wina. Przecież to nie powinno się zdarzyć. Co ja myślałam...
A ty teraz... Jak ty się teraz musisz czuć.. Przepraszam...

– Nie masz powodu. – Zdobyłem się na życzliwą stanowczość. – Jesteś ze mną, tylko to się liczy.

– Przytulisz mnie jeszcze?

– Przecież czytasz w moich oczach.

– Jakiś ty kochany... To wszystko jest takie niesprawiedliwe...

Podałem jej rękę, pomogłem wstać i objąłem.

Stała na palcach.

– Jeszcze buziak, co?

– Ale prawdziwy, nie na przeprosiny.

– Pewnie. – Odetchnęła z ulgą i znowu zaczęła się śmiać. – Tylko nie podglądaj.

Nie podglądałem. Zrobiła to Alicja. Zmrużyła oczy i pokręciła głową dla zdarzenia, któremu z trudem dawała wiarę.

– Ojej, chodź ze mną – powiedziała w popłochu, spoglądając na zegarek.

– Czas biegnie tak szybko.

Zaciągnęła mnie na tyły baru, gdzie znajdowała się niewielka toaleta i postawiła przed lustrem.

– Zrób coś z krawatem, reszta chyba w porządku – powiedziała, pospiesznie poprawiając włosy. – Musimy już iść i to szybko.

– Raczej wolno, nie biegniemy na dworzec, tylko wracamy z parku.

– A tak, masz rację, chodź.

Jeszcze mnie pocałowała przed drzwiami, potem zgasiła światło i wyjrzała na dwór. Nikogo tam nie było. Już paliły się latarnie równomiernie rozstawione wzdłuż ścieżek.

– Jeśli już skończyli, siedzą w salonie, a Feliks nas szuka.

– Nie lubisz go?

– Wystarczy, że Artur go lubi.

– Rozumiem.

– Proszę, nie dziw się, że nie zaprosimy was na kolację. Dzisiejszy wieczór to szczyt możliwości Artura. Nie jest gościnnie. Zresztą...

– Ty też byś nie chciała.

– Nie gniewaj się. Gdybym cię zobaczyła obok Joanny... Artur chyba by wiedział...

– A Feliks?

– Możliwe. Spójrz, o wilku mowa.

– Powiedz mi tylko numer telefonu. Zapamiętam.

– Nie trzeba, mam twój od Beaty – powiedziała cicho.

– Długo państwa nie było – powiedział Feliks, czekając obok huśtawki.

– Zawsze jesteś taki bezczelny? – zapytałem.

– Proszę wybaczyć, szukałem...

– I na dodatek nieudolny.

– Jeszcze raz przepraszam.

Feliks łamał sobie palce z bezsilnej złości. Najwyraźniej był tu traktowany na specjalnych zasadach. Alicja udawała zażenowanie, ale wiedziałem, że myśli: „Dobrze ci tak”.

– Już po naradzie? – spytała.

– Tak. Panowie już odjechali, pan Artur z panią poszli zobaczyć eksponaty. Zszedł do nich również starszy pan.

– To w takim razie ja już się pożegnaj – powiedziała Alicja. – Artur z pewnością się nie zdziwi, że nie chciałam tam iść. Wyściskaj ode mnie swoją przyjaciółkę. Feliks cię zaprowadzi.

– Sam trafię – powiedziałem do służącego, który skłonił się potulnie i poszedł do pałacu.

– Było mi bardzo miło. – Pocałowałem Alicję w rękę.

– Do widzenia. – Powiedziała to tak obojętnie, jakbym był inkasentem z elektrowni.

Zdawało mi się, że jej głos pognał echem na najwyższe piętro pałacu.

48.

Metalowe drzwi były kiepsko oświetlone. Szukając przycisku, który je uruchamiał, trochę żałowałem, że odprawiłem Feliksa. Pewnie teraz mściwie chichotał, że na próżno obmacuję mury. W końcu jednak znalazłem małą plastikową klapkę chroniącą przycisk przed deszczem. Drzwi rozsunęły się posłusznie na kręty korytarz.

O tej porze był skąpo oświetlony przez podłogowe reflektory. Efekt był niespotykany. Poczujęm się jak w podgórskim tunelu, który w każdej chwili mogła wypełnić rycząca kawalkada ciężarówek. Echo pojedynczych kroków było donośne. Kiedy chrząknąłem, zdawało mi się, że po chwili zrobił to ktoś idący obok. Zacząłem fantazjować, z jaką łatwością można by tu kogoś ukatrupić i ukryć zwłoki, a potem zwolniłem kroku, spoglądając za siebie. Pożegnałem się z Alicją, jak należy, ale nie tak, jak bym chciał...

Kiedy usłyszałem głosy, natychmiast były wyraźne. Nieznajomy, zapewne Oskar Kraft, opowiadał dowcipy. Robił to tak komicznie, że Joanna i Artur śmiali się do rozpuku, nie czekając na puentę. Przedni był o krowie, która zabierała się do wspinaczki na drzewo, żeby pojeść gruszek. Przebiegający lasem zając pukał się w czoło, bo to była sosna. Ale krowy to nie zraziło.

Dokończyłem, uprzedzając Oskara:

– „Nie szkodzi, gruszki mam w torbie, powiedziała krowa”.

Zaśmiali się we trójkę, znenacka odwracając się w moim kierunku, jakby do tej pory nie słyszeli, że nadchodzę.

– Hanni! Choć do nas, mój kochany – powiedziała Joanna, biorąc mnie pod rękę. – Jaka szkoda, że nie zobaczyłeś obrazów, ja po zmroku nie zobaczę parku, ale to i tak wspaniały wieczór.

Przedstawiła mnie:

– Panie Oskarze, to Hannibal Smoke.

– A ja pana znam – powiedział staruszek z czupryną siwych włosów rozwichrzonych na wszystkie strony. Osobliwie kołysał się na ugiętych kolanach. Miał na sobie wełniany sweter, poplamione spodnie dresowe i trampki. Podał mi rękę i z miną trefnisia patrzył wytrzeszczem silnie powiększonym przez szkła okularów. – To znaczy czytałem różne pańskie kawałki, ekscytujące! Pan posiada nadzwyczajną umiejętność czytania z twarzy człowieka, zwłaszcza identyfikacji tego, co najbardziej chce ukryć, czy ukradł, zgwałcił, czy jest mordercą czy nie jest. Proszę mi powiedzieć, co niewinny ma, czego winny nie posiada? A może odwrotnie? Bardziej odstające uszy w połączeniu na przykład ze zbyt gęstym zarostem na podbródku?

– Tato, zmiłuj się... – Jeśli Artur został niemile zaskoczony pytaniami ojca, znakomicie udawał łagodną pobłażliwość.

Oskar udał, że go nie słyszy.

– Ale potrafi pan wyczytać? No proszę...

– Czasami – powiedziałem.

– To niech pan na mnie spojrzy. Co pan widzi? – Staruszek wypiął pierś i rozłożył ręce.

– Niepohamowany apetyt na kobiety.

– Jezusie nazareński! To tak widać?!

– Z daleka. W tym dresie miał pan jakąś nadzwyczajną przygodę, którą instynktownie przywołuje. Dlatego jeszcze go pan nie spalił.

– Ha! A to już czterdzieści lat! Artur, pamiętasz tę Angelikę nad rzeką...

– Pamiętam, pamiętam. Opowiadałeś mi tysiąc razy, bo przecież nie mogłem jej widzieć – Artur wydawał się już zmęczony i chyba tracił cierpliwość.

– Racja, synu, racja... Jesteś za młody... – Stary westchnął, w czym wyczułem politowanie. – Ale wy to co innego. – Taksował Joannę przez swoje soczewy. – Kuszące z ciebie dziecko. Tylko musisz się lepiej odżywiać. No chodźcie, przelecimy komunizm, póki odrobinę ciepły, bo zaraz mam porę na lekarstwa.

Staruszek żwawo otworzył drzwi i wpuścił nas do środka. Całkiem pokaźna ekspozycja żadną miarą nie przypominała chłodnego lochu. W klimatyzowanym pomieszczeniu ściany wyklejono reprodukcjami starych gazet, z których sterczały profesjonalne muzealne lampki. Ekspozyty mniejsze od pralki ustawiono na postumentach i skrupulatnie, niekiedy dowcipnie opisano. Zdumiewająca była ta staranność ciesząca na wpół ślepe oczy tylko jednego człowieka. Byłem pewien, że Artur ulega zachciankom ojca za cenę świętego spokoju, który wykluczał obecność każdego, kto nie był rodziną lub zaufanym personelem. Tym jednym wyjątkiem łatwo było wytłumaczyć uciechę starego.

Oskar był niezrównanym przewodnikiem. Jednak pomimo oratorskiego talentu i dykteryjek, którymi sypał jak z rękawa, na dłuższą metę był nieco męczący. Artur cierpliwie czekał, aż ojciec skończy, Joanna śmiała się z gasnącym zaciekawieniem, a Oskar nawijał bez przerwy, przebierając się w sowieckie mundury, kręcąc korbą wojskowej radiostacji i podniecając się charczeniem lampowego radia. Był szczęśliwy, że wreszcie mu wolno. Promieniał po każdym pytaniu Joanny.

Najdłużej zatrzymał się przy biurku I sekretarza partii, na którym ponoć oryginalne było nawet zdjęcie córki dygnitarza. Kiedy Oskar rozwinął się na temat ideologicznego księgozbioru, w którym odkrył nierozcięte kartki, zacząłem się rozglądać po reszcie gratów. Prawdziwym rarytasem był ogromny komputer, na który składały się dwie szafy ze sterzącymi przewodami. Jednak większość eksponatów wydała mi się doczyszczoną i nieco już zapomnianą zawartością rodzinnego strychu. Wyjątkiem była strzykawka, która już zasłużyła na postument i specjalne widełki, ale jeszcze nie doczekała się opisu. Ostentacyjnie zacząłem ją oglądać.

– Metalowo–szklana, powszechnie dziurawiono nią jeszcze w czasach dzieciństwa Artura – powiedział Oskar, zabrał mi strzykawkę i zaczął nią wywijać. – Niby nie ma się czym epatować, ale niektórym się wydaje, że od początku były jednorazówki. Poza tym medycyna to dla mnie fascynujące pole do eksploracji. Nie wpadłbym na to, a Artur wpadł.

Oskar poklepał syna po ramieniu i powiedział z uroczystym uznaniem:

– Bo taki jest nasz Artur. Prawda, panie Hannibalu? Co pan czyta w twarzy mojego pierworodnego?

– Nie daje mi sposobności, ale myślę, że zaczyna pracować przed świtem i już trochę przebiera nogami – odparłem.

– Przebiera nogami, dobre sobie! – Oskar zarechotał.

– Pan chyba też powinien – powiedziałem.

– Tak? A co pan teraz widzi?

– Nic szczególnego. Wspominał pan o lekarstwach.

– Ach tak... – Frasobliwie spojrział na zegarek. – Więc niestety muszę państwa pożegnać. Bardzo żałuję, bo to była dla mnie niecodzienna przyjemność. – Podciągnął dres i szarmancko pocałował Joannę w dłoń.

– Noc jeszcze młoda, wiesz, co powinienesz zrobić. – Podał mi rękę, nie spuszczając oka z Joanny.

Miał jeszcze ochotę rozwinąć ten temat, ale niepokój na twarzy Artura był jednoznaczny. Gest Oskara w kierunku syna oznaczał, że bez jego pomocy jeszcze sobie poradzi.

– Bardzo dziękujemy, panie Oskarze – powiedziała Joanna. – Jest pan czarującym przewodnikiem i cudownym mężczyzną.

– To dla mnie wiele znaczy, młoda damo. Wizyta was obojga sprawiła mi ogromną radość. Gdybyście przypadkiem byli w pobliżu, serdecznie zapraszam. Rzadko ruszam się z domu, więc nie trzeba się umawiać. – Oskar skinął głową i wyszedł z udawaną flegmą.

– Odprowadzę państwa do samochodu. – Artur ruszył do drzwi, za którymi jego ojca już nie było, jakby rozpląnął się między rycerskim rynsztunkiem.

Kamienne trytony przed podjazdem wciąż tryskały w górę z tą samą siłą, ale w pochmurną noc już nie dało się policzyć wszystkich iglic i wież pałacu. Niemal wszystkie parkowe atrakcje znikły, pozostał jedynie zapach trawy i lekki wiosenny wiatr.

– Pani Joanno, jestem pod wrażeniem projektu i szczęśliwy, że będzie go pani firmować. Mam nadzieję, że nie zraził panią nadmiar pracy, to tylko na początek – powiedział Artur, ściskając Joannę za rękę.

– To już chyba nie mój projekt. – Posłała mu ciepły uśmiech. – Ale jestem bardzo dumna, że mam tak wspaniałego współnika.

– Panu też dziękuję – zwrócił się do mnie. – Pańska uwaga o lekarstwach tylko z pozoru była błaha, bo skutki mogły się okazać bardzo poważne. Mogę liczyć na dyskrecję?

– Naturalnie. Cieszę się, że mogłem się przydać – powiedziałem, podając mu rękę.

– Kilka dni temu usłyszałem od brata, że wspaniałomyślnie uratował mu pan życie. Było w tym trochę przesady, ale jakoś niesłusznie spodziewamy

się po panu czegoś innego. – Artur mówił jak spiker, który zapowiada romantyczny film.

– Chyba zapracowałem na określoną opinię, proszę się trzymać poprzedniego wariantu.

– Mimo wszystko nie zabrzmiało to jak pogrożka – Przez twarz Artura przemknął melancholijny uśmiech. – Mam nadzieję, że obecności tutaj nie uzna pan za czas stracony.

– Z pewnością. Znalazłem tu coś, czego gdzie indziej próżno szukać.

Artur rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Na mnie już pora. Dobranoc.

Cały czas patrzył mi prosto w oczy, ale niczego nie musiał się obawiać. Stał w półmroku.

49.

– Gazuj byle gdzie, byle tam karmili! Co za dzień! Co za ludzie! Jakie to wszystko ciekawe! – Joanna eksplodowała entuzjazmem.

– Masz dużo do opowiedzenia, zgadłem?

– Jesteś najbardziej domyślnym chłopakiem na świecie. A to tylko dlatego, że moim! – Joanna pocałowała mnie i klasnęła w dłonie. – Ciach, ciach, gaz do dechy! – Była w nastroju biedaka, któremu nagle poszcęściło się na loterii.

Ruszyłem z piskiem opon. Pomimo wyboistej drogi zawieszenie wydawało się wyjątkowo stabilne. Brama była otwarta, bez przeszkód wypadłem na ulicę i skręciłem do centrum.

– Wiesz, że oni wszyscy żywią się tylko paluszkami? Termosy z kawą, herbatą i słone paluszki. Już miałam coś na ten temat powiedzieć, ale jeszcze wzięliby mnie za jakieś małostkowe dziewczusko, a nie poważnego kontrahenta.

– Nieprawda, zawróciłaś im w głowie, zanim przyniesiono paluszki.

– A, w końcu machnęłam na to ręką. Ale to takie śmieszne! Kraft jest kapitalny, ale żeby nie pomyśleć o kolacji? Co za cudak!

– W ogóle nie przyjmuje gości, nie ma doświadczenia.

– Nie wygłupiaj się. Te ich salony są wielkości poczekalni na dworcu w Val. Przecież tam można robić przyjęcia dla połowy mieszkańców miasta.

– To prawda.

– Co prawda? Byłeś w pałacu?

– To prawda, że można, ale nie robią.

– Niemożliwe. Taki zbytek i to wszystko bez sensu? A my?

– My to co innego. Nam niczego nie można odmówić, zwłaszcza paluszków.

– Ach prawda, jak mogłam zapomnieć. – Zachichotała. – O, tu się zatrzymaj, widzisz?

– To przeciętny lokal, zasługujesz na coś lepszego.

– Nie zasługuję na puchlinę głodową! – odsłoniła płaski brzuch. – O, zjedzmy tam. – Pokazała palcem.

– Tam uśniesz, zanim przyniosą jedzenie.

– To tu.

– To knajpa dla homoseksualistów.

– Jeśli dobrze karmią, co mi tam.

Nie posłuchałem jej.

Pensjonat „Gregory” otoczony kilkoma drzewami był kuriozum schowanym za zwartą ścianą kanciastych biurowców. Położony na wsi mógłby uchodzić za pokaźny zajazd. Przy drapaczach chmur wyglądał jak owłosiona brodawka wyrastająca z gładkiej powierzchni parkingów. Te parkingi, za które nikt nie pobierał opłaty, a jeszcze bardziej dobra kuchnia i prowincjonalna atmosfera rekompensowały brak słońca przez cały dzień. Wspaniały wybór mięs, pieczone warzywa i sałatki były miłą odmianą wobec tandetnych barów serwujących fastfoody i drogich pretensjonalnych lokali, w których na dużym talerzu podawano dwie oliwki.

Joanna była zaskoczona i nieufna, dopóki nie poczuła silnego aromatu przypraw i smażonej oliwy.

– Hanni, o to chodziło!

– Cześć, Hannibal – powiedział kelner, dostrzegając nas na schodach. Ominął wypchanego jelenia i przyssał się do dłoni Joanny. – Dobry wieczór. Akurat zwolnił się gabinet, proszę za mną.

Przeprowadził nas przez salę pełną rozgadanych ludzi i rozsunął drzwi do pomieszczenia z długim stołem. Joanna weszła pierwsza, rozglądając się po myśliwskich dubeltówkach i pyskach zwierzaków jeżących poroża.

Kelner szepnął mi na ucho:

– Takiej dupy wieki tu nie widziałem.

– Słyszałam! – powiedziała Joanna.

– No i co? Fajnie, nie? – Kelner nie był zakłopotany.

– Obleci – powiedziała Joanna, zadziwiając samą siebie.

– Gregory, jesteśmy głodni, zaszokuj nas lepiej czymś innym – powiedziałem.

– Zaszokować, już się robi. Super, że wpadliście. – Obrócił się na pięcie i zasunął za sobą drzwi.

Joanna klapnęła na krzesło.

– Osłupiałam. Ten kelner... Jest właścicielem lokalu?

– Tak.

– Mimo wszystko... Kiedy mi powiedziałeś, że będą następne niespodzianki, nie wiedziałam, że aż tyle. Obleci... też coś. Skąd mi to przyszło do głowy?

– Już zapomniałaś, mówiłaś tak na studiach.

Zaniepokoiła się.

– Uważasz, że zaczynam być drętwa?

– Nie bardzo. W przeciwnym wypadku nakrzyczałybyś na mnie, że go nie spoliczkowałam.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– Za co? Przecież ma rację.

– Ty łotrze. – Spojrzała na mnie spode łba. – Przyznaj się, przychodziłeś tu z innymi dziewczynami. – Zerknęła na sufit, nad którymi znajdowały się pokoje gościnne.

– Rodzina Gregory’ego znalazła się kiedyś w małych tarapatach. Pomogłem im, chcieli zapłacić, ale wołałem się tu stołować.

– Kto zrobił lepszy interes?

– Chyba oni, nie mam ochoty jadać w jednym lokalu przez dziesięć lat.

– Małe tarapaty skalkulowane na dziesięć lat... Jak to Kraft powiedział? „Jakoś niesłusznie spodziewamy się po panu czegoś innego”... On cię zna lepiej ode mnie.

– Wiesz, że tylko jednemu dziennikarzowi udało się przeprowadzić wywiad z Kraftem? Sęk w tym, że ten dziennikarz nie potrafi tego udowodnić. Wywiad nie został opublikowany, bo nikt nie wierzy, że Kraft naprawdę z nim rozmawiał.

– Wystarczy, że Kraft to potwierdzi... Nie chce?

– Ani myśli. Kraft nie udziela wywiadów, unika publicznych wystąpień, niewielu ludzi go dobrze zna. Bez jego autoryzacji każdy wydawca będzie podejrzewał mistyfikację.

– Cóż, Kraft to geniusz i wizjoner, takim ludziom wybacza się różne dziwactwa. – Joanna wzruszyła ramionami.

– Mniej więcej to samo powiedział Brunelle. I dodał jeszcze, że Kraft otacza się genialnymi ludźmi.

– Ma rację – powiedziała Joanna. – Tych dwóch chłopaków... Nie uwierzyłybyś, jak dużo i dobrze mają poukładane w głowie. Z jaką lekkością wykonują benedyktyńską robotę. Przeorałam z nimi tonę dokumentów. Mnie już pękała głowa, a oni byli cierpliwi, grzeczni i uprzejmi jak na samym początku.

– A Kraft?

– Słuchał, interweniował, przerywał, inspirował określony tok rozumowania. No i wypytywał mnie o szczegóły projektu. Ostro przypierał do muru. Chwilami wydawało mi się, że już nic nie wymyślę, jestem nieprzygotowana, ogarniała mnie czarna rozpacz. Wtedy podtrzymywał mnie na duchu, wysuwał ze mnie jakieś głęboko schowane szufladki, wyciągał takie rzeczy... Po prostu nie wiedziałam, że tam są. Przekonał, że stać mnie na znacznie więcej, niż mogłam przypuszczać. Na początku myślałam, że jestem głupia, a wyszłam z narady silna, niemal pewna siebie. Coś wspaniałego!

– Kraft nie zna się na twojej branży.

– Nie szkodzi, zna się na biznesie. Ma wizję, którą cały czas modyfikuje, jakby każdy kolejny wariant oznaczał dodatkowe miliardy. Kiedy kończy, wszyscy są podnieceni skalą potencjalnego sukcesu. Na dodatek masz poczucie, że to już jest prawie namacalne, rozmieszczone na określonych rynkach. Kraft nie zaprojektuje garsonki, ale już wie, jaka populacja będzie je nosić, gdzie i dlaczego. Kompletny odlot. Tylko ten Walsh mnie rozpraszał, nic nie mówił, gapił się na Krafta jak pielęgniarza.

Ledwie zauważyła, kiedy kelnerka zapaliła świece, porozkładała naczynia i sztuce, a potem przyniosła na tacy miseczki z chudym rosołem. Joanna zaczęła jeść automatycznie, ale bez pośpiechu, jakby zaspokajała głód namiętą opowieścią o Krafcie.

– Czy Kraft dawał ci do zrozumienia, jak wielką ma nad tobą władzę, peszył cię?

– Pozornie tak, ale w rzeczywistości nie – odparła z entuzjazmem. – Kiedy zrozumiałam, że mnie mobilizuje, że chce, żeby nam się udało... Wiesz, na początku pamiętałam, że mam makijaż, odprasowane ubranie, przygotowany materiał, jakąś nawijkę... A potem Kraft tak pokierował rozmową, że pożytek był tylko z mózgu. Nie pamiętam tak długiego

wyężonego skupienia. Gdybym wylała kawę na dekolt, nigdy by tego nie zauważył. Ja sama chyba też nie.

– Nie sypał cytatami po łacinie, grecku, francusku?

– Co? Temu twojemu Brunellemu sypał?

– Tak. W dodatku zapuścił się w filozofię i parapsychologię.

– Mówimy o tej samej osobie?

– Tak.

– Dlaczego miałyby marnować na to czas? Zdawało mi się, że Kraftowi co chwilę zapalają się zielone lampki. Wtedy najbardziej pomaga, popycha, zaprzęga do wspólnego twórczego działania. Chce, żeby się do niego przyłączyć. To wspaniały sojusznik, niesamowity facet. To go kręci. Wierzysz temu Brunellemu?

– Mam powody. Poniósł wstydlivą porażkę, do której nie powinien się przyznawać. Brunelle jest obecnym narzeczonym Krystyny. Opowiedział mi o tym w ramach rekompensaty za rzekome straty moralne.

– Uwiódł ci żonę?

– W każdym razie tak myśli.

– I nie wyprowadziłeś go z błędu?

– On tego nie przyjmuje do wiadomości, musi mieć wyrzuty sumienia, żeby szlachetnie triumfować.

– Nie do wiary, masz tyle życzliwego dystansu. Ty po prostu wybaczasz, nawet jak nie ma powodu. – Oparła się na łokciach i patrzyła na mnie z ciepłym zaciekawieniem. – Nie było mnie przy tym, kiedy stałeś się taki... do życia.

Chyba nie pamiętała, że mam lekką alergię na komplementy. Wstała i oparła mi dłoń na policzku.

– Muszę szybko do toalety. Zaraz wracam.

W drzwiach niemal zderzyła się z kelnerką, która pod kierunkiem Gregory'ego wtoczyła piętrowy wózek. Po chwili na stole lądowały półkolem metalowe półmiski podgrzewane płomieniem świecy, butelka wina, talerze, kieliszki i bukiet kwiatów.

– Pierś drobiowa faszerowana serem i pieczonymi pomidorami. – Gregory cmokał się w czubki palców. – Polędwica w sosie z anchois i kaparów, kaczka w sosie żurawinowym, kotleciki cielęce, ziemniaki pieczone. Moje ulubione sałatki, znasz wszystkie z wyjątkiem najnowszej specjalności z grillowanym łososiem i peperoni. Ta twoja seksbomba powinna być zachwycona, nie uważasz?

– O ile pamiętam, woli wina niemieckie.

– Niemieckie – zachnął się. – To Pavillon Rouge de Chateau Margaux. Zobaczysz, spróbuje i pokocha. Pokój na górze już przygotowany.

Nie czekał na podziękowania, zniknął, pogwizdując.

Zadzwoiła Rozalia.

– Hanni, co porabiasz?

– Jestem na kolacji u Gregory'ego.

– Fajna buda... Nie ma tam pracy dla zdolnej kelnerki?

– Zapytam.

– Nie, żartowałam. Nie jesteś sam... Na pewno bardzo ładna...

– Tak.

– No pewnie. Masz prawo, ale jakoś mi żal... Szkoda, że nie skłamałeś...

Jeszcze chwilę pomilczała i wyłączyła się.

– O, rrrany! Ile tu jedzenia. Istne szaleństwo! – Joanna roześmiała się i zaczęła dziobać mięso widelcem. – Serce się kraje, że trzeba zburzyć tę kompozycję. Może ten twój Gregory jest obcesowy, ale... Pycha! Zna się na rzeczy!

– Słyszałem! – Gregory wsunął nos w szparę między drzwiami.

- Uciekaj – przepędziła go. – Z kim rozmawiałeś?
- Z Rozalią, miła dziewczyna.
- Młoda, ładna? Ale fajne kotleciki...
- Studentka, bardzo ładna – odparłem, nakładając sałatkę z grillowanym łososiem.
- Mogłeś skłamać. – Przestała się objadać.
- A po co? Nigdy nie byłeś o mnie zazdrosna.
- Moje koleżanki miały na ciebie oko, nawet próbowały zwrócić na siebie uwagę, ale traktowałeś je jak powietrze. Powiedziały mi, że ty chyba nie lubisz ludzi, jesteś jak myśliwy, który rozgląda się, żeby kogoś upolować albo walnąć kolbą. Nic o tobie nie wiedzą, ja nic nie wiem...
- Przeciwnie, walenie kolbą to moja największa słabość.
- Zgrywus z ciebie. I o nic nie pytasz... Przecież nie żyłam w celibacie...
- Nie pytam.
- A ja przez te lata wciąż się zastanawiałam, co robisz. Każdego ranka myślałam, czy całujesz Krystynę na pożegnanie, czy dzwonicz do niej z pracy, starasz się być dobrym mężem. Znam cię, na pewno się starałeś.
- Spróbuj sałatki. Gregory specjalnie ją poleca.
- Powiedz mi, starałeś się, kochałeś Krystynę?
- Chciałem pokochać.
- Nie udało się...
- Nie.
- Czekaleś ...na coś?...
- Byłem bardzo zajęty.
- Wiem, ty zawsze jesteś zajęty. Wszystko albo nic. Ta Rozalia to za mało?
- Za mało, ale nie jest mi z tym dobrze.

– Nie chcesz krzywdzić, ale kiedy inni się angażują, a ty traktujesz ich jak poczekalnię, tak wychodzi, prawda?

– Znasz to.

– Znam... Wiem, jak to jest starać się przemówić do własnych uczuć, a one nie chcą słuchać. Bo myślisz, że ciągle należysz do kogoś innego. Kiedy byliśmy razem... Wiem, byłam samolubna, lekkomyślna, ale potem nigdy nie przestałam czuć, że w głębi serca jestem twoja. Mijały lata, a ja wciąż zastanawiałam się, czy jeszcze tęsknisz czy już ci przeszło...

– Nienawidziłaś mnie, bo tobie nie przeszło?

– Czasami. Znasz to?

Posłała mi ciepły uśmiech, jakby chciała mnie udobruchać, ale to wzajemne czytanie w myślach nie było przykre.

– Nadal cię nienawidzę – powiedziałem.

Drgnęła i dała sobie chwilę do namysłu.

– Durny! Prawie ci uwierzyłam!

Odebrałem jej talerz, objąłem i nasłuchując odgłosów z sali, zaczęliśmy się kołysać w rytm muzyki.

– Pamiętasz, że jestem wrażliwy na zapachy?

– Jak pies.

– Właśnie. Zapamiętałem twój zapach z pierwszego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. A potem, ilekroć zdawało mi się, że go czuję, w tramwaju, w sklepie, w pociągu, miałem nadzieję, że to ty...

– Hanni... – Wtuliła się. – Czy ciągle pachnę tak samo?

– Tak.

– No widzisz, tylko że wtedy była podróbka, a teraz oryginał. A pamiętasz obietnicę, że będziesz mnie kochał do końca świata? Wiem, to było dziecinne, ale ty w tych sprawach nigdy nie żartujesz, zgadza się?

– Zgadza.

Pocałowała mnie, patrząc mi prosto w oczy.

– Ten twój Gregory nie pomyślał, że cebula i czosnek to zły pomysł. Nie przeszkadza ci?

– Obleci.

– Ach ty! – Szturchnęła mnie. – Napijemy się wina?

– Pewnie.

Wypatrzyła butelkę.

– Co prawda wolałabym... A, znam je, wspomniała. Jakiś toast? Czeka, czekaj... Cały czas chodzi mi to po głowie. Nawet słówkiem się nie zająknęłaś o ogrodach Krafta.

– Niezwykły.

– Nie daj się prosić.

– Niezwykły labirynt egzotycznych roślin, romantycznych zakamarków. Scena dla orkiestry, basen wielkości oceanu, antyki. Wszystko wypieszczone jak w zagadkowym monumentalnym salonie oczekującym na gości, którzy nigdy tam nie dotarli.

– Niesamowite. A gdyby dotarli...

– Mogliby kontemplować smutek i melancholię, jest tam tego więcej niż w całym Val.

– Szok. Kiedy jechaliśmy, widziałam przez chwilę coś wielkiego, sterczącego.

– To prawdziwy statek, wielki ozdobny galeon. Kraft kazał przerobić kadłub na szykowną restaurację z doskonale wyposażonym barem.

– Byłeś tam z Alicją?

– Nalałem jej brandy. To była mało uroczysta, ale inauguracja w tym lokalu.

– Jakie to nierzeczywiste... Alicja wydaje mi się pełna życia, radosna, czuję, że lubi ludzi, lubi się bawić. Ja bym oszalała, uciekła stamtąd.

Dlaczego to znosi, nie zbuntuje się?

– Nie wiem.

– Nie wygłupiaj się.

– Sama powiedziałaś, że geniuszom dziwactwa się wybacza. Nie jest zbyt wylewna, chce być lojalna.

– Może tak lubi pieniądze?... Hanni, przecież ty wszystko potrafisz wyciągnąć z człowieka. Nie musi dużo mówić, żebyś wiedział.

– Gdybym naciskał, zrobił złe wrażenie, mógłbym zaszkodzić twoim planom. Ja też chciałem być lojalny.

– Dziękuję ci... Co za historia... – Westchnęła nad polędwicą w sosie z anchois. – Ta Alicja... Chciałabym tak wyglądać w jej wieku. Ma klasę, jest damą, jest... najpiękniejszą rzeczą, która należy do Krafta.

– Coś w tym jest.

– Myślisz, że ją kocha?

– Mógłby dla niej zabić.

– Ale nie jest w stanie zaprosić jej znajomych na drinka? Hanni, czy ty mi chcesz coś powiedzieć? Ten Brunelle, Alicja... Same zagadki. Nawet na pożegnanie wydawało mi się, że wymieniasz z Kraftem jakieś potajemne znaki, które tylko wy dwaj rozumiecie.

– Próbuję ci powiedzieć, że nie znasz Krafta. Już wiem, że jest niebezpieczny.

– Hanni, chyba dzisiaj nie wychodzi ci to wróżenie z fusów... Już nic z tego nie rozumiem. Spędziłeś z Alicją sporo czasu. Czy ona przypadkiem nie wariuje w tym zamku? Nie mówi czegoś, no nie wiem... I co kobieta i mężczyzna mogą robić w pustym ogrodzie przez tyle czasu?

– Na przykład to, co kobieta i mężczyzna mogliby robić w pensjonacie po dobrej kolacji.

– Hanni... – Uwiesiła mi się na szyi. – Jak mi przykro, że twoje przewidywania znowu się nie sprawdzają. Za cztery godziny mam samolot do Nowego Jorku.

– Z Val? Z Ost?

– Nie, to prywatny samolot Krafta. Będziemy realizować ogromny projekt. Aż trudno w to uwierzyć. Myślałam o czymś na skalę krajową, a będzie globalna. Taka szansa trafia się raz w życiu, rozumiesz?

– Pewnie.

– Naprawdę? – Objęła mnie mocniej, jakby z lękiem, że ją odepchnę.

– Oczywiście.

– Wrócę za dwa dni. I nadrobimy wszystkie lata. Będzie wspaniale, zadbam o to, zobaczysz – powiedziała.

– Cóż znaczą dwa dni, kiedy się czeka tyle lat.

– Naprawdę tak uważasz?

– Umieć czekać, nie zauważyłaś?

– Fajny jesteś. Tak strasznie cię kocham, wiesz? Ale teraz muszę pędzić do domu, spakować się, wykapać. Zrozumiesz?

– Szkoda, że piłem wino, nie mogę cię odwieźć.

Pocałowałem ją i zadzwoniłem po taksówkę. Przestała się tulić dopiero wtedy, kiedy podjechał samochód.

– Po tym, co tu zobaczyłem, na „Casablance” będę puszczał bąki i dłubał w zębach – powiedział Gregory, wodząc spojrzeniem za odjeżdżającą taksówką.

– Zaczynam żałować, że nie poszedłeś do mamra. Mają tam dobrego gastrologa i dentystę. Napijemy się? – zapytałem.

– Jasne, nie mogę opuścić przyjaciela w potrzebie. Pokój czeka, a tu taka widowiskowa kłapa... – Poklepał mnie po ramieniu.

Nie miał racji. Przecież wiedziałem, że tak będzie.

50.

Gregory nalewał wino, wyjadał resztki i opowiadał o swoich relacjach z kobietami, przelotnych i nieskomplikowanych. Zapamiętał rozmiary piersi, miłosną odwagę, szczegóły usposobienia, tatuaże, myszkę pod pachą, kolczyk w sutku. Było w tym tyle życzliwej radości, że z pewnością żadna z jego dziewczyn nie wzięłaby mu tego za złe. Lubił o tym opowiadać i oczekiwał wzajemności. Nie jestem specjalnie skryty, ale w tych sprawach nie umiem się rewanżować. W końcu mnie znudził i poprosiłem o klucz do pokoju.

Miłe sny miało zagwarantować kiczowate metalowe łóżko obsypane garścią płatków róż, zupełnie jak w afrykańskim kurorcie. Sprawdziłem telefon. Były tam dwie wiadomości: z serwisu, że mam się zgłosić po komórkę ojca i od Joanny, że kocha.

Obudził mnie zapach kawy i świeżego pieczywa. Jadłem śniadanie, wyglądając przez okno na parking zastawiony setkami aut i zazdrościłem ich właścicielom prostego schematu dnia. Nie zastanawiali się, co będą robić od rana do wieczora, przypadek nie bawił się z nimi zanadto, zwykle dostarczając bezpiecznych niespodzianek i zdrowego snu do następnego poranka. Każdy wiedział, kto to jest Kraft, gdzieś miał zakodowaną tę ciężką sylwetkę, choć zwykle była ukryta za ciemnymi szybami pancernego auta. Jednak wielu nie miało pojęcia, że dla niego pracuje, niektórzy byliby zaskoczeni, gdyby im powiedzieć, że dostali awans lub stracili posadę

wskutek jego decyzji. Anonimowość posunięć wielkiej finansjery nie była czymś niezwykłym, ale szczególnie w Val wpływowi ludzie nie musieli się obawiać nadmiernej ciekawości. Jakoś żadnemu fotoreporterowi nie przyszło do głowy, żeby wdrapać się na ogrodzenie i zrobić zdjęcia imponującej posiadłości Krafta. Nie był to ogród rajskich rozkoszy, raczej kunsztowny bunkier, w którym mógł kultywować posuniętą do absurdu prywatność albo ukrywać jakąś tajemnicę zdolną zrujnować jego interesy.

Zadzwoiła matka i zapytała, co porabiam. Odpowiedziałem wymijająco, ale i tak nie była zbyt ciekawa.

– Hanni, nie zapomnij, że w sobotę rocznica taty, dobrze?

– Dobrze.

– O dwudziestej w Hali Tysiąclecia. Nie zmuszam cię, ale jak chcesz, możesz przygotować parę miłych słów.

– W porządku, dam ci do cenzury.

Rychła rocznica śmierci ojca nieoczekiwanie skierowała moje myśli na główny cmentarz w Val. Byłem tam tylko raz, na jego pogrzebie. Niewiele zapamiętałem, podtrzymując się z bólu matkę wśród tysięcy ludzi, którzy chcieli się zatratować. Przynieśli tyle kwiatów, że na koniec nie było pewne, gdzie jest grób. Wszystkim było źle, bo ojca kochali, bo duchota i tłok niemiłosierny nie pozwalały upaść mdlejącym, a sanitariuszom udzielić pomocy. Nie słuchałem płomiennych mów wygłaszanych nad trumną. Myślałem tylko o tym, by zabrać stamtąd matkę, ale wychodzenie z cmentarza wąskimi bramami trwało w nieskończoność. Koszmaru dopełnił komunikacyjny paraliż, prostackie awantury na parkingach, przekleństwa i wrogie przepychanki.

Przez chwilę miałem zamiar kupić kwiaty i pójść na grób ojca. Tylko jak bym go znalazł? Cmentarz był ogromny. Wszystkie aleje do siebie podobne, drzewa nasadzone w równych odstępach. Miałem zapoznać się

z planem sytuacyjnym, nie znając numeru kwatery? Zaczepiać pielgrzymujących do mogiły ojca turystów?

51.

– *Ukochana, przepadam za tobą, nawet jak przez cały dzień nie słyszę, że mnie kochasz.*

– *Boli cię to? Przecież wiesz... Nie mówię tylko.*

– *Nie jestem zawiedziony, martwię się o ciebie.*

– *Tak bardzo cię kocham. Nie muszę nic mówić, czujesz, że jest mi źle. Od rana staram się myśleć o czymś innym. Nie wychodzi...*

– *O kochaniu próbowałaś?*

– *Tak. Chciałbyś na smutno?*

– *Byłoby pięknie przytulić cię, kiedy jesteś taka rozkoszna z tą swoją melancholią. A jutro pojechać do Isy.*

– *Lubię to miejsce, ale... Zrozum...*

– *Rozumiem. Jesteś damą i tak chciałbym cię traktować. Naprawdę bardzo boleję na tym, że tak często mi się nie udaje.*

– *Chyba już musi tak być...*

– *Nie mów tak, wszystko może się zdarzyć. To, że jesteś ze mną, to najlepszy dowód, jaki znam.*

– *Ja chyba już nie mam nadziei...*

– *Tylko dziś, jutro ją odzyskasz. Będę ją miał za siebie i za ciebie, dobrze?*

– *Kocham cię.*

– *Chyba wcale nie jesteś taka smutna.*

– *Tak? A co byś chciał?*

– *No wiesz, dałbym ci namiętne długiego buziaka, ostrożnie potarłbym czubeczki...*

– *I co jeszcze?*

– *Powolutku powędrował w dół i sprawdził, czy jesteś wilgotna...*

– *Lubię, jak mnie wszędzie dotykasz, wędrujesz po mnie, jakbyś ciągle na nowo odkrywał. Dotykasz mi ust, a czuję cię tam... Już wtedy jestem wilgotna. Czasami jak tylko na mnie spojrzysz...*

– *Czubeczki ci rosną, twardnieją...*

– *Kochany, nie gniewaj się, nie mogę już rozmawiać. Słyszę, jak się krząta.*

– *Zmykaj, ukochana. Dobranoc.*

– *Będę marzyła o tobie. Pa.*

Podczas lektury wyobrażałem sobie, jak mówią. Półgłosem, szeptem, z czułą poufałością i nasłuchując, czy ktoś nie nadchodzi. Podobnych rozmów było wiele. Przeniesione na papier traciły na potajemnej intymności, redukowały chwile namiętnej ciszy i napięcia, przenikały szelestem przewracanych kartek. Surowo oceniałem cikliwą monotonię i nadmiar słodczy. Mimo to nie mogłem pozbyć się odrobiny emocji, jaka towarzyszy intruzowi uczeponemu parapetu z nosem w uchylonym oknie. Czubeczki, które rosły i twardniały, nie podlegały oschłej ocenie, bo czułem, że nie czytam, tylko podglądam i podsłuchuję.

Czy potrafiłbym tak rozmawiać? Nie po to, by coś powiedzieć, tylko wyrażać się w zastępstwie dotyku i pieszczot, osiągnąć tę szczególną więź, w której każde niepowodzenie staje się tylko chwilową przykrością. Czy na tych niepewnych wodach przygnębienia potrafiłbym, tak jak ojciec, być niezawodnym, cierpliwym holownikiem nadziei?

Nasunęło mi się porównanie z negatywnym filmowym bohaterem, któremu surowy moralny osąd nie przeszkadza, bo szybko zdobywa sympatię widowni. Niby wszyscy wiedzą, że postępuje niewłaściwie, ale rychło o tym zapominają. Widownia nie potrafi się zdystansować, lubi go, ma osobiste życzenia, wedle własnych upodobań buduje scenariusz. Chce, żeby mu się powiodło.

Choć bez złudzeń, jak to się skończy, uważałem się za część tej widowni. Nie czułem się źle, bo ojciec zdradzał matkę, tylko dlatego, że nie mogę tego pominąć.

– Ależ cieszą takie niespodziewane pocałunki. Pamiętasz te na stoisku z płaszcami?

– Nie... Jak to możliwe... Przepraszam...

– Za co?

– Powinnam pamiętać.

– Racja, gdybym to ja zapomniał, oberwałbym.

– Opowiesz mi dokładnie? Może sobie przypomnę.

– Zobaczyłem cię, ty mnie nie. Zaszedłem cię od tyłu, nagle obróciłem i pocałowałem, zanim zdążyłaś krzyknąć. Zawinęliśmy się w jakiś szary prochowiec i nie przestawaliśmy. Potem wziąłem ten płaszcz pasujący na wielkoluda i razem poszliśmy go przymierzyć.

– No tak... Przecież my prawie wszędzie się całujemy...

– Ale nie zawsze tak odważnie, wesoło, po wariacku. To było całkiem niedawno.

– Zaczynam się tym martwić. Takie szaleństwo, a ja nie pamiętam...

– Dopiero jak o mnie zapomnisz, będzie kłopot.

– Skąd ty się wzięłaś, taki jaki jesteś... Kiedyś wydawałaś mi się odległy, nieprzystępny. Nawet nie wiem, co pociągało mnie w tobie... Bez ogródek mówiłaś wprost, co myślisz, potrafiłaś być nieprzyjemny. Potem nasze

ścieżki się przecięły. I zobaczyłam, że potrafisz i chcesz być wrażliwy, delikatny, nie tylko dla żony. Ale najpierw strasznie jej zazdrościłam, najbardziej tej ciągłej radości z bycia razem. Razem naprawdę, bez jednej fałszywej nuty! Na myśl o tym potrafiłam się rozplakać.

– Na początku niektóre odczucia mieliśmy podobne.

– Tak?

– Też uważałam cię za kogoś z innej bajki. Nie przepadałam za twoim mężem. Skoro byliście związani, chcąc nie chcąc przenosiłem tę niechęć na ciebie. Miałem przekonanie, że ci odpowiada, że go podziwiasz, że jestem zaprzeczeniem tego, czego potrzebujesz. Dlatego nie zwracałem na ciebie uwagi.

– To twój sposób, tak?

– Nie, nikogo nie szukałem. Tylko gdzieś w głębi duszy miałem ukryte pragnienie. Zapomniałem o nim. Przypomniałem sobie z chwilą, kiedy mnie dotknęłaś i spojrzałem na ciebie naprawdę.

– Więc to miłość od pierwszego wejrzenia?

– Tak. Taka miłość jest wtedy, kiedy spojrzysz i w tej samej chwili zadajesz sobie pytanie, czy chciałbyś ją pokochać. Natychmiastowa odpowiedź to „tak”.

– Tak.

– Więc z nami tak jest.

– Tęsknię za tobą. Zawsze będziesz mój?

– Tylko tak długo, jak będziesz mnie chciała.

– Aha, to zawsze. Gdzieś to przeczytałam, że piękna jest pewność, ale niepewność jeszcze piękniejsza.

– Nie po tylu latach, ukochana.

– Tak...

Nie po tylu latach... A więc to nie rok, nie dwa. Ile? Ktokolwiek używa takiego określenia, ma na myśli co najmniej kilka lat. I sądząc z przygody na stoisku z płaszczami, wcale nie obawia się rutyny.

Ostatnimi czasy miałem okazjonalne, powierzchowne kontakty z rodzicami. Jednak nie na tyle, żeby nie dostrzec rysy, jakiegoś dysonansu w ich wzajemnych relacjach. Były dokładnie takie, jak to opisywała Alicja, bez udawania, bez żadnej fałszywej nuty. Na dodatek nie wysilali się, nie pokonywali żadnych przeszkód, żeby się potrzebować i doskonale czuć w swoim towarzystwie.

Z powodu córek i jeszcze jakiejś istotnej przyczyny Alicja nie mogła myśleć o swoim małżeństwie w tych kategoriach. Zaplątała się w sieć powinności i ograniczeń, dusiła się i cierpiała, podczas gdy ojciec miał nieograniczony kredyt zaufania i życzliwej wyrozumiałości. Mógł robić, co chce.

Alicja zazdrościła matce, ojciec Arturowi. Mogłoby się wydawać, że ojcu znudził się idealny związek, Alicja nie mogła już znieść tyranii Kraftha i to ich zbliżyło. Ale miałem silne przeczucie, że nie chcieli wziąć rewanżu na rzeczywistości, a jedynie odszukać smak ukrytego w głębi duszy pragnienia. Bo przecież oboje byli marzycielami. Ojciec wymyślał romantyczne historie, Alicja je doskonaliła, wciąż rozdrapując otwartą ranę młodzieńczej miłości zakończonej nagłym zabójstwem ukochanego.

Leżałem na kanapie bliski wzruszenia głębią tej uczonej psychoanalizy, która nie była niczym innym, tylko naiwną, dobrze opakowaną formą rozgrzeszenia. Ale to już potrafiłem pominąć.

Cały czas zadawałem sobie pytanie, czy można, porzucając wszelkie wątpliwości, kochać dwie kobiety? Nie tak samo, ale z jednakową siłą. Gdyby w tym samym czasie uległy wypadkowi samochodowemu, do której pobiegłby najpierw? Kiedy on zginął w wypadku, która z nich bardziej

przeżyła stratę? Czy naprawdę nie przeszkadzało mi, że Joanna wyjechała? Czego ojciec nie zdążył mi powiedzieć? Czy różniliśmy się aż tak bardzo?...

Spojrzałem na telefon uczepiony ładowarki i uprzytomniłem sobie, że od rana czekam na sygnał od Alicji. Nie wierzyłem, że nie chce zatelefonować. Coś się wydarzyło. Coś ważnego, co każe jej to odłożyć na bardziej dogodny moment. Dogodny... Złe słowo. Na bardziej stosowny. W chwilach szczególnej koncentracji potrafiłem co do minuty określić, kiedy ktoś do mnie zadzwoni. Ale coś mnie demobilizowało, mąciło myśli.

Postanowiłem pojechać do Nig. Było ostatnim miastem, które widziało ojca żywego.

52.

„Lato w Nig” na zawsze związało ojca z tym miastem. W młodości przepadał za tamtejszymi górami, owczym serem i małosolnymi ogórkami. Przeżył tam pierwszą cielecą miłość, która stała się tworzywem debiutanckiej książki. Po jego śmierci jedną z ulic nazwano jego imieniem. Wybór padł na peryferyjną parkową promenadę, przy której zatrzymał się ostatni raz. Nie miał wpływu na wybór pensjonatu, po prostu tam zorganizowano zjazd absolwentów jego rocznika na uniwersytecie w Ost.

Poza Nig chyba niczego innego nie wzięto pod uwagę. Nie tylko dlatego, że było najbardziej wystrzałowym, bezkonkurencyjnym kurortem. Połowa mieszkańców Val spędzała tu weekendy, wielu z nich kojarzyło Nig z beztroską młodością, tu nauczyli się jeździć na nartach i na podjazdach najdroższych hoteli wypatrywali wielu sławnych ludzi wysiadających z luksusowych aut. Ojcu nigdy nie zależało na tego rodzaju popularności, nie umiał i nie chciał szpanować. Ale pewnego dnia właśnie w Nig dowiedział się, co to jest sława, kiedy bez przerwy musiał się odklaniać, ścisnąć ręce znajomym i machać nieznajomym, którzy właśnie dowiedzieli się, że to on. W hotelu, na ulicy i na szlaku udzielał autografów, składał zeznania w sprawie ulubionych epizodów ze swoich bestsellerów i odpowiadał na nieszablonowe pytania w rodzaju: „Skąd to panu przyszło do głowy?”. Szybko doszedł do wniosku, że góry są nie tylko tam, a od nart

i wspinaczki nie mniej relaksujące jest wędkowanie. I zapomniał o Nig na całe lata.

Wcale mnie nie zdziwiło, że chętnie pracował nad jeziorem w domku letniskowym Lauren Potter. W przeciwieństwie do tego pewnym zaskoczeniem była wycieczka do Nig, nawet pomimo perspektywy spotkania przyjaciół ze studiów. Niektórych spotykał wcześniej i zdaje się, nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Zaparkowałem pod pensjonatem z nadzieją na wolny pokój. Wprawdzie pojęcie sezonu w ciągle zatłoczonym Nig było raczej nieznanne, ale o tej porze roku największym wzięciem cieszyły się tanie wyjazdy zagraniczne. Poza tym budynek był mało zachęcający. Przywodził na myśl internat z pokaźną dobudówką z długimi pionowymi oknami. Za nimi znajdowało się coś w rodzaju wiejskiej świetlicy przeznaczonej na potańcówki i bijatyki. Zaczynałem rozumieć, dlaczego tu zorganizowano zjazd. Wszyscy chcieli się poczuć jak wtedy, kiedy nie było ich stać na nic lepszego.

W środku zalatywało naftaliną i zupą z taniego bufetu. Hall był obszerny, ale recepcja wielkości aptecznego okienka z dwiema dziurami w szybie, przez które można było regulować rachunki i rozmawiać. Jednak nie było z kim.

Obok stolika i drewnianej ławy na bordowej wykładzinie stał kamienny ogrodowy postument, na którym umieszczono całkiem zgrabne popiersie ojca z podpisem: „W naszym pensjonacie w dniu swej tragicznej śmierci gościł sławny pisarz Dawid Smoke”. Ojciec byłby szczerze rozbawiony tą formą reklamy, która skłaniała do wniosku, że jedyny sławny, który tu przyjechał, długo nie pociągnął. Jednak ciekawsze zostało oprawione w złotą ramkę i powieszzone na środku ściany. Były to dwa świstki papieru. Jeden pieczołowicie podarty i brudny, poskładany do kupy i posklejany

taśmą, i drugi, na którym wykaligrafowano treść pierwszego, żeby czytelnik się nie męczył.

Tęskniłem za kimś, kto nie poucza i nie wymaga, ale jest tak mądry, promienny i kochający, że sam czułbym się pouczony i życzliwie zobowiązany. Tęskniłem za bardzo i doczekałem się tego dwa razy. Podwójnie pouczony i zobowiązany tęsknię za kimś, kto mnie pouczy, które zobowiązanie jest ważniejsze.

– Nawet nie z kosza na śmieci, z kontenera to wyciągnąłem i układałem skrawek po skrawku – pochwalił się czerwony na twarzy, sprężysty chudzielec. W dresie wyglądał mi na emerytowanego nauczyciela wuefu. Nawet obmacywał klatkę piersiową jakby w poszukiwaniu zgubionego gwizdka na sznurku.

– Dzień dobry. Ma pan wolny pokój? – zapytałem.

– Witam. Do wyboru do koloru. Na długo? Od poniedziałku mam rezerwację dla dużej grupy.

– Wystarczy. I co z tymi skrawkami?

– W radio usłyszałem, że się zabił. Żona się popłakała, a mnie zastanowiło, czy mam po nim jakąś pamiątkę. Poszedłem do pokoju i nic, jak to w pustym pokoju. Zresztą, co po naszych gościach zostaje, puszek po konserwach, czasem ktoś grzałkę we wtyczce zostawi. Coś wartościowego i tak trzeba oddać. No i pomyślałem, że jak pisarz, to może coś napisał i zapomniał zabrać. Kosz był już opróżniony, więc poleciałem do kontenera. Na szczęście był prawie pusty. Nie dałbym sobie rady z tymi karteluszkami. Niech go diabli, darł cholernik na takie drobiny. Znalazłem „tęsknię”, poleciałem do żony i porównałem z autografem. Ładne miał pismo, okrągłutkie. Kilka liter było idealnie takich samych, więc szukałem dalej, układaliśmy to razem z żoną. No i jest pamiątka, ostatnie słowa, jakie napisał przed śmiercią.

- Mogę dostać jego pokój?
- Pewnie, ale nic pan tam już nie znajdzie.

– Nie szkodzi.

- No dobra, tylko jakiś dokumencik, muszę pana zameldować.

Wziął ode mnie prawo jazdy i zamknął się w dziupli oddzielonej ode mnie szybą z dwoma dziurami. W końcu wetkał nos w górną i gapił się na mnie z ciekawością.

- Kurczę, podobny pan... Syn?

Skinąłem głową.

– Jasna cholera! Ślepnę na starość. Koniecznie muszę pana zameldować. Znowu będzie pamiątka – powiedział z entuzjazmem.

- Tylko z popiersiem niech pan trochę poczeka.

Roześmiał się. Wyszedł z recepcji, wręczył mi klucz i podał rękę.

– Nazywam się Kurtzman. Ale żona się ucieszy. Proszę się rozgościć i zjeść z nami obiad.

- Dziękuję, jadłem przed przyjazdem, ale chętnie napiję się kawy.

– Świetnie. Żona upiekła ciasto. Będzie nam bardzo miło. Zaraz przyjdę po pana. Zaraz... – Namyślał się. – A może do pana... Syn trochę wypił... Dobrze?

- Proszę bardzo.

Rozgoszczenie polegało na postawieniu torby pod oknem zasłoniętym topolami i włączeniu radia na stoliku pod ścianą. W pokoju był jeszcze tapczan, szafa i krzesło. Do drzwi pinezką przyczepiono regulamin złożony z surowych napomnień, żeby niczego nie niszczyć.

Weszli po lękliwym pukaniu. Kurtzman ze świeżym obrusem i jego żona z zastawą. Naprędce umalowana i uczesana wyglądała na debiutantkę, którą brutalnie wepchnięto na scenę. Z ulgą pozwoliła sobie odebrać tacę, ale nadal trzęsła się jak galareta.

– Margaret, przestań cudować i podnieś radio ze stołu. – Kurtzman tracił cierpliwość.

– Już, już. – Rzuciła się na odbiornik. – Proszę wybaczyć, że tu tak skromnie. Wszystkie pokoje są jednakowe... Ale pana tato był zadowolony...

– Proszę się nie przejmować – powiedziałem, stawiając tacę na obrusie. Usiedli na brzegu łóżka, pozostawiając mi krzesło.

– Niby to pensjonat, ale każdy widzi, że to schronisko młodzieżowe. Jesteśmy tylko dzierżawcami. Miasto nie chce nam sprzedać budynku, to i nie opłaca się inwestować – tłumaczył się Kurtzman.

– Akurat pana to obchodzi. – Margaret wzruszyła ramionami. – Sernik i murzynek są bardzo dobre, proszę spróbować – powiedziała, nie spuszczać mnie z oka. – Pana tacie bardzo smakowało.

– Nic dziwnego – odparłem z pełnymi ustami. – Sernik jest znakomity. Widzę, że zawarliście z ojcem bliższą znajomość.

– Ze śmietanką? – Margaret koniecznie chciała mi usługiwać.

– Proszę.

– Wszyscy przyjechali w piątek po południu – powiedział Kurtzman. – Wie pan, niby wyższe sfery, ja tam nic nie mówię, sam za kołnierz nie wylewam...

– To widać – mruknęła Margaret.

– Nie przerywaj, kobieto – ofuknął ją Kurtzman. – Przywitali się, powrzucaли torby do pokoju i zaraz wystartowali. Zanim podaliśmy jedzenie, już pili na całego. Ile było po nich sprzątanania...

– Ojciec też się upił?

– A gdzie tam! – zaprotestowała Margaret.

– Chodził trzeźwy jak świnia – powiedział Kurtzman.

– Jak masz tak pieprzyć, to lepiej w ogóle się nie odzywaj! – Margaret była wściekła. – Pana tato przyjechał rano i wynajął ten pokój.

– Akurat na tym pokoju mu zależało? – zapytałem.

– Zapytał o jedynekę, jest tylko ta jedna. Poznałam go od razu. Denerwowałam się jeszcze bardziej niż teraz, chociaż pan jest do niego podobny jak dwie krople wody. Posiedzieliśmy chwilkę, podkarmiłam go troszkę, pogadaliśmy...

– Zachwycał się zasłonami, pochwalił hafty, bo moja żona fastryguje...

– Fastryguje! Ech ty, bałwanie jeden! – Stuknęła go palcem w czoło.

– A co to za różnica. – Kurtzman nie rozumiał wybuchu żony. – Ty sobie lepiej przypomnij, jaka byłaś, kiedy wyjechał.

– No jaka, jaka, co za bałwan!

– Przepraszam pana – Kurtzman zwrócił się do mnie. – Ja do pańskiego ojca, broń Boże żadnych pretensji nie mam. To był kulturalny, sympatyczny gość. Niewymagający, grzeczny, uśmiechnięty. Słowo daję, super facet. Ale chwilkę z Margaret pogadał, to od razu małpiego rozumu dostała. Przedtem nie byłem bałwanem.

– Byłeś bałwanem i jesteś bałwanem. Myślisz, że dla kogo ja te zasłony upięłam, dla niego? Dla ciebie, durniu jeden! A dopiero jak po miesiącu przyjechał Smoke, to ci powiedział, że one w ogóle wiszą!

– O czym rozmawiała pani z ojcem?

– Ach, trzęśłam się cała, bo co ja mu o miłości mogę powiedzieć. Wszystko przeczytane, niektóre książki nawet dwa razy, tylko co z tego? Dość spojrzeć na mojego męża.

– Kobieto... – Tym razem Kurtzman przyjął błagalny ton.

– A on o ciastach, moich i jego żony. Jak on o niej serdecznie mówił, jaki to był dobry kochający człowiek – marzycielsko powiedziała Margaret. – Popatrzył przez okno na ogród, perukowcem się zachwyił, tamaryszki

pochwalił, doradzał, żeby dokupić pięciorniki. Zapytałam, skąd się na tym zna, a on mi odpowiedział, że się nie zna, ale jego żona na pewno by tak zrobiła.

– Boże, jaki trudny był facet, ten pański stary – Kurtzman pokręcił głową.

– Zamknij się, ośle jeden – Margaret machnęła na niego ręką.

Wtrąciłem się w to machanie:

– Zajrzał do pani na krótko, co robił przed zjazdem?

– Przyjechał pierwszy, o wiele wcześniej niż inni. Co chwilę rozmawiał przez telefon, w pokoju, w hallu, na dworze...

– Pewnie z żoną, bo pieścił się z nią tak, że brało mnie na rzyganie. – Kurtzman odsunął się od Margaret, ale tym razem poskapiła mu obelg.

– Potem pojechał na wycieczkę po okolicy. Mówił, że dawno nie był w Nig. Chyba spóźnił się na ten cały zjazd. Następnego dnia przyszedł się pożegnać, dał mi autograf i pojechał.

– Teraz będzie beczeć – powiedział Kurtzman. – Idź lepiej do recepcji, tyle czasu nikogo tam nie ma.

Margaret rzeczywiście była bliska płaczu. Nagle podniosła się, przeprosiła i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Romantyczka... psiakrew. – Kurtzman odprowadził ją wzrokiem. – Może napijemy się czegoś mocniejszego?

– Wkurzył pan ojca, prawda?

– Może... Skąd pan wie? Kurczę...

– Bo on to zrobił specjalnie.

– Co?

– Pokazał pańskiej żonie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby wyszła za kogoś innego.

– Kurczę... Taki numer... Jak jestem wczorajszy, to trochę niemiły, no, ociupinkę agresywny. Tak się zrewanżował... – W oczach Kurtzmana dostrzegłem podziw. – Niech mi pan wierzy, to gorsze niż dostać po mordzie.

– Nie wie pan, dokąd pojechał?

– Pojęcia nie mam. Ale mogę się dowiedzieć, gdzie wyjeżdżał wieczorem.

– W trakcie zjazdu?

– No tak. Wszedł do hallu porozmawiać przez telefon, bo na sali było za głośno. Chyba ktoś mu coś tłumaczył, ale nie mogli się dogadać. Poprosił, żeby mu wezwać taksówkę. Przyjechał po niego mój znajomy.

– Może pan zadzwonić po niego?

– Czemu nie. Tylko dlaczego tak panu na tym zależy?

– Piszę książkę o ojcu.

– Cholera. I moja rozmowa z żoną też tam będzie?

– Może...

– No niech się pan nie wygłupia. Przecież ona mnie od osłów, bałwanów...

– Niech pan lepiej wezwie taksówkę.

53.

– Znam te okolice na wylot, ale tam byłem może dwa, może trzy razy – powiedział siwowłosy taksówkarz, ruszając spod pensjonatu. – Pierwszy raz całkiem przypadkowo. Wsiadł mi do wozu taki stary nadziany Niemiec. Szukał domu, w którym mieszkał w dzieciństwie. Pół dnia zleciało, do przodu, do tyłu, a może tu, a może tam. Jak klient płaci, to proszę bardzo, ale ten był wyjątkowo burkliwy, taki wredny ramol z wypchanym portfelem. W dodatku mówił po niemiecku, jako tako znam język, ale nie lubię. Jego dom miał być schowany, nie przy drodze, tylko w lesie, do którego prowadziła nieutwardzona droga. Co chwila taplaliśmy się w błocie, a ten ujadał, że u nas takie dziadostwo. A jak ma być na leśnych duktach po deszczu?

– Gdzie ojciec chciał jechać?

– Zapytał, czy wiem, gdzie jest Pal. Odpowiedziałem, że pewnie, ładna miejscowość, mam tam rodzinę. Ucieszył się i powiedział, że jego znajomi niedaleko Pal mają duży dom pokryty zieloną dachówką, za długim czarnym ogrodzeniem. Bardzo się zdziwił, że wiem, o jaki chodzi. Wiedziałem dzięki temu Niemcowi, ale uprzedziłem, że pod dom nie podjadę, że go wcześniej wysadzę przed zasuwana bramą. Pana ojcu to nie przeszkadzało. Z tym Niemcem to był jakiś traf, bo brama była otwarta i po prostu wjechaliśmy. A nie powinna być otwarta za żadne skarby. Droga wąziuteńka, na szerokość jednego samochodu, ale asfalt jak stół. Dom nic

specjalnego, spory, nawet dość ładny. Podjeżdżamy, a tu nagle wrzask jak diabli. Przyleciało dwóch takich w uniformach z dubeltówkami, a za nimi dwa wściekłe psy. Piekielne bestie! Widział pan psa, który rzuciłby się z zębami na opony? A te się rzuciły! Żeby zawrócić, musiałem zrobić koło na parkingu. Psy z pianą na zębach do okien, oblało mnie zimnym potem, spanikowany Szwab wbił się w fotel, prawie dostał sraczki, ale jakoś się udało. Poganiał mnie do Nig, jakby tam ze szczepionką na niego czekali.

– A co z jego domem rodzinnym?

– Nie znalazł. Czemu pan pyta?

– Bo pan wie, który to dom.

Taksówkarz zerkał na mnie co jakiś czas, ale tym razem patrzył prosto przed siebie.

– Wiem, że pana trudno oszukać. Człowiek na postoju musi jakoś zabić czas. Coś tam pańskiego czytałem...

– I co z ojcem?

– Wsiadł, zapłacił, podziękował i podszedł do bramy. Nacisnął dzwonek, zagadał do blaszanej skrzynki i go wpuścili.

– Nie było już ciemno?

– Prawie całkiem ciemno.

– Dlaczego nie pojechał swoim samochodem?

– Pewnie dlatego, że tam cholernie trudno trafić. Sam pan widzi, jednakowe drogi, co chwila skrzyżowanie, las i las. Nie naciągam pana na wysoki rachunek, tak trzeba, raz w prawo, raz w lewo, prosto.

Mówił prawdę, skrzyżowania wydawały się identyczne. Jechał powoli, skręcał z namysłem, przeprosił, kiedy pomylił drogę i zawrócił.

– Dookoła Pal sporo jest takich odosobnionych domów letniskowych. Ale żaden nie jest tak duży, tylko ten jeden ma zieloną dachówkę i jest aż

tak ukryty, strzeżony, otoczony zasiekami. Mam pana wysadzić przed bramą?

– A co pan proponuje?

– Dlaczego miałbym coś proponować?

– Kurtzman wyjaśnił panu, o co chodzi. Coś pan mojego czytał. Był pan tam trzy razy...

– Niebawem. Jak pan jeszcze zgadnie, co ze sobą zabrałem, ma pan kurs za darmo.

– Lornetkę.

– Jasny gwint! – Otwartą dłoń uderzył w kierownicę. – Niech pan powie, jak pan to robi.

– Nie wiem, ale przyszło mi do głowy, że jest pan grzybiarzem.

– Tak! Nawet kiedy z tym Niemcem pędem wyjeżdżaliśmy przez bramę, zauważyłem piękne maślaki. A potem przyśniły mi się te psy. W naszych stronach to niespotykane. Policja nie ma tu wiele do roboty. Nie mogłem zrozumieć, co tam robią takie ludojady. Po kilku dniach wybrałem się z synem w te okolice. Oczywiście na grzyby, ale przy okazji obeszlśmy całe ogrodzenie. Jest długie jak Mur Chiński i bardzo wysokie, zastrzone na czubkach.

– To?

Przejeżdżaliśmy obok czarnego metalowego płotu zakończonego ostrymi szpikulcami. Wyłaniał się i ginął w niekończącej się gęstwinie krzaków. Kiedy pojawiła się droga do lasu, było jasne, że ten fragment ogrodzenia to brama.

– Tu wysiadł pański tato – powiedział taksówkarz, zatrzymując samochód. – Stałem w poprzek drogi, żeby oświetlić to miejsce.

– Nie zadawał pan żadnych pytań?

– Ostrzegłem go przed psami. Odpowiedział, że ktoś wyjdzie mu naprzeciw i nie ma powodu do obaw.

– Nie mówił, kto tam mieszka?

– Zapytałem. Powiedział, że dom należy do notariusza, Francuza z Saint Malo. Zapamiętałem to Saint Malo, bo zabrzmiało jak wykręt. Tak jakoś: dom do tego Francuza należy, ale kto tam mieszka, to całkiem inna historia. Zresztą pytałem krewnych, w Pal nikt żadnego Francuza nie widział. Jakiś Niemiec, Anglik, to tak.

– Ojciec nie chciał, żeby zaczekał pan na niego?

– Nie.

– Więc co z tym grzybobraniem?

– Szybko nazbieraliśmy cztery kosze grzybów, zapakowaliśmy je do bagażnika i mieliśmy zamiar zbierać dalej, ale żona by się wściekła, bo kto tyle przerobi. Wtedy syn powiedział, że wziął ze sobą lornetkę. Rozejrzeliśmy się po okolicy i zrobiliśmy sobie jeszcze małą wycieczkę.

Pokazał palcem niewielki pagórek przykryty skalnym grzybem.

– Pójdziemy tam – powiedziałem.

Taksówkarz skręcił w leśną drogę i zatrzymał samochód.

– Chyba się pan przeliczy. Widoki z góry takie sobie, szyby zaciemnione, dziedziniec pusty, nawet tych psów nie widzieliśmy. No i to zielsko, wszędzie.

– Mimo to wziął pan lornetkę.

– Jak mi Kurtzman powiedział, że pan chce tam jechać, to powiedziałem sobie, że miałem nosa, że kryje się za tym jakaś grubsza afera. – Mrugnął do mnie okiem.

– Zobaczymy – powiedziałem

Taksówkarz wcisnął lornetkę w kieszeń i poszedł przodem pod górę. Szedł ostrożnie, omijając kolczaste krzewy i sterczące kamienie. Na

szczyt konspiracyjnie położył się plackiem i patrzył przez lornetkę.

– Tak jak mówiłem, zielsko i zielsko. Trochę samochodów pod domem i ani żywego ducha. Przedtem też tak było, nikt nie wchodził, nie wychodził, chociaż gapiliśmy się na zmianę przez godzinę.

– Jakie pan widzi samochody?

– Prawie same terenowe... jeep grand cherokee... land rover discovery, range rover... Chyba chevrolet captiva. Następnego dobrze nie widzę. Nie wiem... No i jakieś czarne normalne autko. Zresztą niech pan sam zobaczy.

Oddał mi lornetkę i podparł się na łokciu.

– Można dostać pryszczę, gapiąc się...

– Spokojnie, nic pan nie straci – powiedziałem. – Nie musi pan tu ze mną tkwić. Może poczeka pan w samochodzie? Jeśli przez godzinę nie zobaczę niczego ciekawego, wrócimy do Nig.

– Rozumiem. Nie dla psa kiełbasa?

– Po prostu czasem lepiej za dużo nie wiedzieć.

– No dobra. – Taksówkarz podniósł się i poszedł w dół z tą samą ostrożnością, jakby w zaroślach znajdowały się wnyki na grubą zwierzynę.

Patrzyłem przez lornetkę i dziwiłem się, że tak dokładnie określił marki samochodów. Z trudem ustawiłem ostrość na cokolwiek innego niż wysokie krzaki i gałęzie gęsto nasadzonych drzew. Okna w kolorze ciemnej miedzi były szczelnie zamknięte, rynny zarzucone igliwem. Na klombach wśród kamieni i kory mignęły mi nieliczne pąki kwiatów. Między rozkołysanymi wiatrem liśćmi wypatrywałem jakiegokolwiek poruszenia na dziedzińcu. Na starannie ułożonym bruku wylegiwał się kot, wbrew swej naturze zupełnie obojętny na parę spacerujących gołębi. Samochody ustawiono jeden obok drugiego. Były brudne, zasypane patykami i pokryte kurzem rozmazanym deszczem. Wyjątkiem był range rover i czarny samochód parkujące najbliżej wjazdu. Tylko te auta miały krajowe tablice

rejestracyjne. Na tylnej szybie terenowca wypatrzyłem parasol i gazetę z Val.

Kiedy ponownie skierowałem lornetkę w tym kierunku, gazetę czytał przygarbiony siwowłosa mężczyzna. Podniósł głowę, wyszedł z cienia i patrzył pod słońce prosto w moim kierunku. Zamknął oczy, opalał się. Potem poruszył się i podbiegł w kierunku budynku. Domyśliłem się, że do wejścia. Był tam ktoś jeszcze ukryty pod czapą liści. Mężczyzna zwinął gazetę, wsadził ją do kieszeni marynarki i splótł ręce na głowie, potem sięgnął po gazetę i nerwowo okładał się nią po nogawce, to znów chodził w różnych kierunkach, wracając do punktu wyjścia. To był Walsh.

Miałem tę szczególną chwilę jasnowidzenia, kiedy nagle wszystko staje się oczywiste. Dom w górach pozornie w niczym nie przypominał rezydencji Krafta. Jednak tu i tam wstęp mieli tylko wybrani. Range rovera widziałem przed domem Krafta. Do Pal przyjechała nim Alicja, wioząc męża. Walsh jechał za nimi czarną hondą accord. A potem ciskał się z niepewności, bo nie należał do rodziny, więc lekarz nie chciał udzielić mu informacji o stanie pacjenta. W końcu rzucił gazetę pod tylną szybę range rovera, ostrożnie wycofał i odjechał.

To nie był dom letniskowy notariusza z Saint Malo, lecz klinika, którą odludek Kraft wymyślił dla siebie samego. Mógł tam być jedynym krajowym pacjentem bez ryzyka, że zostanie rozpoznany przez cudzoziemca lub nagabywany przez kogoś z okolicy. Byłem pewien, że pomimo tego jeszcze na tym zarabiał. Nie tyle na leczeniu, co ukrywaniu tego przed opinią publiczną. Zainteresowanie mediów wynikami badań lekarskich ludzi z establishmentu było coraz bardziej powszechne. Z pewnością nie każdy sobie tego życzył, zwłaszcza gdy zdrowotne niedostatki mogły podkopać karierę. Ale leczyć się musiał. Gdzie równie

dyskretnie mógł to zrobić, jak nie w specjalistycznej klinice zakopanej w leśnych ostępach pod Pal?

Matka powiedziała: „Dawid znał go lepiej”. Czy to „lepiej” przerodziło się w aż tak dobrą znajomość, że Kraft był gotów powierzyć ojcu takie tajemnice? Czyżby? Jakoś mi to nie pasowało ani do ojca, ani Alicji, zbyt ostrożnych i nie dość cynicznych, żeby umawiać się pod nosem chorego Krafta. Była to raczej jakaś sytuacja nadzwyczajna. Alicja potrzebowała nagłego wsparcia, ojciec był gdzieś w pobliżu, więc zadzwoniła. Mogło tak być...

Nastawiłem ostrość na bruk poniżej obwisłych łodyg wierzby i wyczekiwałem Alicji. Wyobrażałem sobie, że będzie ubrana w dres i sportowe buty, jakby wyskoczyła z domu na krótki jogging. Że będzie miała ciemne okulary, bardziej konspiracyjne niż przeciwsłoneczne. Podejdzie do samochodu, otworzy przednie drzwi pasażera, wyjmie ze schowka telefon komórkowy, zawaha się... wsiądzie i odjedzie.

Czekałem kwadrans. Była ubrana tak, jak przewidywałem. Szła powoli, zamyślona i trochę nieobecna. Pochyliła się nad kotem, ale spłoszony nie dał się pogłaskać. Otworzyła auto, zdjęła okulary i sięgnęła po telefon. Obróciła się i spojrzała w kierunku drugiego piętra. Okna były nieprzeniknione. Odjechała.

Taksówkarz siedział przy opuszczonej szybie zasłuchany w błahą piosenkę o miłości i bezmyślnie przeglądał gazetę. Kiedy oparłem mu rękę na ramieniu, przestraszył się.

- O Jezus, to pan... Już?
- Szkoda czasu na oglądanie śpiącego kota – odparłem lekceważąco.
- Psy gdzieś przywiązane to się nie boi. Ale przecież widziałem bestie i ludzi pod bronią. Dziwne, nie?
- W Val czy Ost coś takiego jest na porządku dziennym.

– Poważnie? Ale u nas nie ma przed kim się bronić.

– Pal nie zmienia ludzkich przyzwyczajęń. Bogaty mieszczuch w lesie nie zamienia się w wiewiórkę.

– Aha... Więc myśli pan, że to nic takiego?

– Nie wiem. Komuś zależy, żeby obcy trzymali się od niego z daleka.

– Aha... Co pan radzi?

– Właśnie to. Lepiej, żeby wtargnięcie pańskiej taksówki nadal traktowano jako przypadek. Może lepiej już nikogo nie podwozić do domu z zieloną dachówką.

Do pensjonatu nie odezwał się ani słowem. Najwyraźniej połknął haczyk i moje ostrzeżenie potraktował jako ważną przestrożę. Zapłaciłem tyle, ile zażądał i życzyłem mu powodzenia. Pokiwał głową z wdzięcznością.

54.

– I co, odkrył pan coś? – W głosie Kurtzmana wyczułem gorączkowe poszukiwanie okazji, żeby się podlizać.

– Nic specjalnego. Zauważył pan, kiedy ojciec wrócił na zjazd?

– Wieczorem, nie wiem o której. Minęły chyba ze dwie godziny. Z kimś przyjechał.

– Mężczyzna?

– Nie wiem. Takim czarnym autem przyjechali, a może nie czarnym. W nocy, jak to mówią, wszystkie koty są czarne. Wie pan, gdybym wiedział, że po trzech latach ktoś o to zapyta... Spojrzałem przez okno, pański ojciec po prostu wysiadł.

– Nie pożegnał się, jakiś uścisk ręki...

– Nie, wysiadł jak z taksówki, trzasnął drzwiami i poszedł na salę.

– Niemożliwe... – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

– Jak to? – Kurtzman zasyczał i oparł dłonie na kolanach. – Przepraszam, ledwie stoję na nogach. Co jest...

– Proszę sobie przypomnieć, wysiadł jak z taksówki?

– To nie była taksówka. Jezu... Wysiadł od strony kierowcy i zatrzęsął drzwiami. Dziwne, wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Wyjrzałem przez okno trochę później, tego samochodu już nie było.

– I co dalej? – zapytałem, odwracając od niego wzrok.

– Nagle przestało. – Kurtzman westchnął z ulgą i wyprostował się. – O rany, co to się z człowiekiem wyprawia na starość. No... Nic takiego. Wszyscy byli tak pijani, że niektórzy myśleli, że pański ojciec tylko do toalety wychodził. Gdzieś koło czwartej nad ranem usłyszałem wrzaski na korytarzach, śpiewy, śmiechy, wysikali się, przewracali do łóżek i zrobiło się cicho. Kiedy wstali po południu, pana ojca już nie było, wyjechał wcześniej.

– Śpieszył się gdzieś?

– Chyba nie, raczej ulotnił się, bo towarzystwo za bardzo mu nie odpowiadało. Minęły trzy godziny i powiedzieli w radio, że nie żyje.

Skinąłem głową w podzięcie i poszedłem do pokoju. Wyciągnąłem się na skrzypiącym łóżku i gapiąc się w usmolony zapalnikami sufit, próbowałem się skoncentrować. Nie wiedzieć czemu uprzytomniłem sobie wymowę spojrzenia Krafra, kiedy w muzeum zacząłem oglądać strzykawkę. Nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. To był ułamek sekundy, a jednak wyłowilem cień niepokoju. Mógł się spodziewać, że jestem twardym przeciwnikiem, miał jednak nadzieję na odrobinę mojego zawodu, że dowód rzeczowy bezpowrotnie przepadł. Kraft czekał na ten moment. Nie chciał triumfować, lecz odetchnąć z ulgą. Chyba popełniłem błąd. Nie dałem mu sposobności, nie rozluźnił się, do końca pozostał czujny.

Dlaczego znowu nie kazał mnie śledzić? Byłem pewien, że tego nie zrobił. Było z nim źle.

– *Znowu to samo?*

– *Tak.*

Spodziewałem się kartkowania samych czułości, ale po otwarciu książki na chybił trafił, natychmiast znalazłem ten fragment.

– *Nie mogę pomóc?*

– *Nie możesz. Gdyby się zorientował, że wiesz...*

– Przecież wiem.

– Proszę cię... Przysięgałam, że nikomu nie powiem. Jest taki podejrzliwy. Gdyby usłyszał, że złamałam obietnicę, to w najlepszym razie pomyślałby, że nie pierwszy raz.

– A w najgorszym?

– Że powiedziałam to komuś, kto dla mnie jest ważniejszy od niego.

– Nie myślałaś, że to jest jakieś wyjście?

– Podpuszczasz mnie. Nie rób tak.

– Wybacz, zbyt wiele jest chwil, kiedy czuję się bezradny.

– Wiem. Ja też czasem myślę, dlaczego nie jesteśmy tacy jak inni. Po prostu wybierają to, co dla nich wygodne, czego najbardziej potrzebują. To tak często się zdarza. Wybierają inny kierunek i idą dalej tą drogą. Najpierw wszyscy o tym mówią, ale w końcu przestają, wybaczą. Ty byś sobie wybaczył?

– Nie uwierzyłyabyś, jak wiele ludzie zdolni są sobie wybaczyć.

– Nie ty.

– Ty też nie.

– Nie.

– Wiem. Nigdy nie zrobimy tego, co dla nas wygodne. Kochamy dla siebie, a nie przeciwko komuś, nie narzucamy tego uczucia innym, nie krzywdzimy, nie depreczemy zaufania. To nasz wybór, nasze alibi, gdyby ktoś nas posądził o skrajną nieprzyzwoitość. Nie jesteśmy źli, chcemy tylko kochać. Nie jesteśmy tacy jak inni.

– A jeśli wszystko się wyda?

– Będziemy tacy jak inni.

– Wiesz, chciałabym.

– Ja też, bardzo.

– Hanni... – bardziej wykrztusiła, niż powiedziała Alicja. Przy słabym zasięgu telefonu jej głos wydawał się niepewny i bojaźliwy. Zdawało mi się, że rozważała, czy w ogóle się odezwać. – Przepraszam, nie przeszkadzam?

– Pytasz, czy jest ze mną Joanna?

– Tak.

– Artur ci nie powiedział, że wysłał ją swoim odrzutowcem do Nowego Jorku? Powinna już tam być.

– Wiedziałaś, że tak będzie... W samolocie jest tyle miejsca...

– Nie czułem się zaproszony.

– Czy...

– Tak?

– Hanni... – Namyslała się. – Czy mógłbyś... przyjechać do Chat?

– Właśnie się wybierałem w tamte okolice.

Uśmiechnęła się.

– Proszę, pośpiesz się. Jak dojedziesz, od razu zadzwoń.

Akurat tego nie mogłem zrobić od razu. Z Nig do Chat było zbyt blisko. Miałem co najmniej godzinę na domniemany dojazd z Val.

55.

W samolocie jest tyle miejsca...

Alicja miała rację. Dlaczego nie towarzyszyłem Joannie? Przeszkadzałbym? Na pewno nie, choć nie miałem bladego pojęcia, co będzie tam robić. Mogłem to zaproponować, ale tak szybko przyzwyczaiałem się do myśli, że wyjedzie... I chyba jednak mi się to nie podobało. Tak jak brak zachęty ze strony Joanny. A może po prostu nie chciała, żebym się czuł jak piąte koło u wozu, kiedy ona cały czas będzie zajęta?

Zastanawiałem się, czy mam do tego odpowiedni dystans, czy nie jestem przeczulony. Być może byłem, ale to szybko mijało. Na widok klasztoru w Chat bez śladu.

Był wielki jak szeroka góra przedziurawiona pośrodku wąskim tunelem i zamocowana w chmurze szpikulcem wieży. Zbliżałem się do miasteczka, które zdawało się być jedynie kolorowym obwarzankiem dla potężniejszego w oczach opactwa. Jego miedziane szczyty żarzyły się, broniąc dostępu do wiszącego nisko nad horyzontem słońca, roztaczając wokół odpustową anielską poświatę i zaciągając długi złowrogi cień na pół miejscowości. Po przekroczeniu jego krawędzi światła aut stawały się dokuczliwe, jakby natychmiast zmieniła się pora dnia.

Zwolniłem na wąskich uliczkach. Sklepy były już pozamykane, przechodnie nieliczni, z otwartych okien dobiegały odgłosy transmisji

telewizyjnej przerywane nagłymi wybuchami emocji. Opuściłem szyby. Pachniało kwiatami w zadbanych ogródkach.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej. Tylko w małych miasteczkach zachowały się takie: z małym okienkiem kasowym, bez drogiego marketu z akcesoriami do aut, pismami, hot-dogami i panienkami w odprasowanych uniformach. Facet w kraciastej koszuli z papierosem w ustach odstawił miotłę, zapytał, czy nalać do pełna i otworzył korek. Potem umył szyby, nie pytając o pozwolenie. Kiedy otrzymał należną sumę pieniędzy i napiwek, zapytał:

– Chce pan zobaczyć miasto z punktu widokowego?

Dopiero wtedy dostrzegłem biegnącą obok stacji drogę przeciętą szlabanem.

– Chętnie.

– Pan poczeka, podniosę barierę.

Pomyślałem, że pójdzie kręcić korbą, ale wsunął głowę do okienka i zdalnie uruchomił mechanizm.

Punkt widokowy znajdował się na szczycie trawiastego wzgórza spiralnie opasanego asfaltową drogą. Bez pośpiechu ruszyłem do góry. Z wysoka klasztor już nie zasłaniał czerwonej krawędzi słonecznej tarczy płonącej nad osiedlem parterowych domków. W przeciwnym kierunku zza horyzontu wyłoniły się ledwie dostrzegalne zabudowania rozrywkowego uzdrowiska w Bai, grzesznej alternatywy dla rozmodlonego Chat.

Gdzieś w tamtej okolicy ojciec przesiadywał w domku letniskowym Lauren Potter. Łowił ryby w jeziorze, patrzył na kołysanie spławika i zmyślał. Poważni krytycy traktowali jego książki niezbyt serio, ale z respektem. Ryzyko zderzenia z nieprzebrany tłumem fanatycznych fanek ojca było nie mniejsze niż z pędzącą lokomotywą. Woleli raczej zastanawiać się nad socjologicznym fenomenem tej twórczości, a to

z trzeźwym krytycyzmem miało niewiele wspólnego. Nie byłem pilnym czytelnikiem takich publikacji, zapamiętałem tylko strzępy komentarzy i felietonów. Na przykład rozważania o zdarzeniach, które rzekomo miały miejsce dopiero po tym, jak ojciec je opisał. Jakby rzeczywistość była następstwem literackiej fikcji. Znadto mnie to nie dziwiło nawet przy założeniu, że liczba romantycznych wariantów jest nieograniczona. Mimo wszystko musiało zastanawiać, kiedy ktoś po raz pierwszy sięgał po książkę ojca i stwierdzał, że jakiś epizod dotyczy jego doświadczeń i to w najdrobniejszych szczegółach. Zgadzało się, co i gdzie robił, a nawet co w tym czasie myślał. Podobnie było z wcześniejszymi sytuacjami, których ojciec nie mógł zaobserwować ani się o nich dowiedzieć, a mimo to przedstawiał je ponoć z zadziwiającą dokładnością.

Kiedyś uważałem to za niezły chwyt marketingowy, za którym stała Lauren Potter. Dziś nie miałem tego przekonania. Być może krytycy także, bo ostudziło to ich zapał do kpin z czułościowych powieści epatujących nadmiarem sentymentalizmu. Szczególna cecha niektórych epizodów wcale nie podnosiła jakości literackiej książek ojca, jednak wypadało przyjąć do wiadomości, że ludzie po prostu są czułościowi i sentymentalni. Nie wstydzą się tego i poszukują właśnie takiej emocjonalnej wspólnoty. Powieści Dawida Smoke'a można było nie lubić, ale jeśli ktoś miał odwagę odmówić mu psychologicznej wiarygodności, narażał się na zarzut, że jest kawałkiem drewna, który nie wie, na czym ta wiarygodność polega.

Na szczycie wzgórza nie było nikogo. Siedziałem na ławce, opierając nogi na metalowej barierce. Z zamyślenia wyciągnął mnie widok czarnego auta nadjeżdżającego z oddali. Nie z kierunku Nig, Bai ani Val. Na zachód od Chat znajdowały się niewielkie trawiaste wzgórza, zasiedlone przez hodowców owiec słynących z produkcji sera. Ale po ser tam się nie jeździło. Tworzyli rodzinne klany, niegdyś buntownicze, pilnie strzegące

swej odrębności, czego pozostałością była niechęć do obcych i witanie nieproszonych gości z dubeltówką na ramieniu. Przeczytałem to kiedyś w przewodniku, nie wiedziałem, jak jest naprawdę.

Kraftowie podobnie jak wielu mieszkańców Val mogli mieć jakąś letnią posiadłość w okolicy Bai lub Nig. Pomimo popularności tej okolicy wciąż można tam było znaleźć miejsca zaciszne i dostatecznie izolowane, nawet jak na ekscentryczne wymagania Krafta. Z pewnością oprócz konspiracyjnej kliniki mieli jakąś ekskluzywną willę w górach. Przeciwny kierunek, z którego nadjeżdżała Alicja, był dla mnie niespodzianką.

Czarna honda znikła to znów pojawiała się między domami na osiedlu. Zobaczyłem, jak skręca na przyklasztorny parking, potem stamtąd wyjeżdża i kieruje się powoli w stronę stacji benzynowej. Alicja była ostrożna. Zapewne pomyślała, że klasztor to idealny punkt orientacyjny, ale również jedyne miejsce w Chat, gdzie jest pełno ludzi. Zadzwoiłem do niej.

– Hanni...

– Mam jechać za tobą, tak?

– Nie chciałabym, żeby... Przepraszam cię... Tak.

– Nie przejmuj się. Zawróć na stacji benzynowej, dobrze?

– Zobaczysz mnie?

Facet w kraciastej koszuli zapatrzony w hondę Alicji nie mógł się zdecydować, kogo najpierw obsłużyć. Kiedy ominęła dystrybutory i zatarasowała wyjazd ze stacji, wsunął głowę do okienka i podniósł szlaban. Mignąłem za nią światłami, jakbym popędzał intruza.

Objężdżała całe miasto w spacerowym tempie, przepuszczając człapiących bez pośpiechu przechodniów, klucząc między pastelowymi elewacjami starych domów, rozglądając się po balkonach z kwiatami i praniem na sznurkach. Niektóre były przeciągnięte na całą szerokość

ulicy. Dla Alicji musiał to być znajomy widok, bo przecież w czasach szkolnych taki sznurek przeciągnięty przez dwa kołowrotki codziennie służył jej do wymiany romantycznej korespondencji z Marcelem.

Najwyraźniej nie była to turystyczna przejażdżka po Chat. Sprawdzała, czy ktoś za nami nie jedzie. Bez wątpienia nie jechał. Zresztą w miasteczku ruch był mizerny, samochody przegrywały rywalizację z dziecinnymi wózkami i jeżdżącymi środkiem jezdni dzieciakami na wrotkach.

Wyjechaliśmy z Chat kamienistą wąską drogą bez drogowskazu, na której omijanie pojazdów nadjeżdżających z naprzeciwka graniczyło z cudem. Ale wokół nie było niczego oprócz pastwisk i prowizorycznych szałasów niedbale rozrzuconych po okolicy. Pomimo skrzyżowań nie pomyślano o drogowskazach ani jakichkolwiek znakach, jakby tutejsze szlaki przeznaczono tylko dla miejscowych, a ospałe tempo podróży wykluczało jakiekolwiek zagrożenia.

Opuściłem szyby i telepałem się na wertepach. Pachniały stogi siana, powiewał przyjemny wiatr, było ciepło. Kiedy przed samochodem przeleciał ptak, po raz pierwszy poczułem atmosferę urlopowej bez troski. Alicja zerkała w lusterko wsteczne przez ciemne okulary. Zdawało mi się, że jest spięta, pełna rozterek.

Zatrzymała samochód, zrobiłem to samo. Wysiadła i rozejrzała się. Wokół nie było żywej duszy. Zdjęła okulary i rzuciła w moim kierunku pełne niepokoju spojrzenie. Dobrze wyglądam? Jeszcze ci nie przeszło? Nie uważasz, że póki nie jest za późno, powinniśmy zawrócić?

Sportowe buty zastąpiła czerwonymi szpilekami, dres wytworną kremową garsonką z dużym blado-żółtym kwiatem. Nie wiedziałem, czy moje spojrzenie jest równie wymowne, ale powinna pomyśleć, że wygląda jak zabłąkany w nieznanym stronach egzotyczny motyl. Podszedłem, spojrzałem na jej usta, objęła mnie za szyję i miękko pocałowała.

- Dobrze ci? – zapytała.
- Tak. Dlaczego tutaj się zatrzymałaś?
- Chciałam zapytać, czy...

Wspaniale pachniała. Opuściłem wzrok na jej dekolt. Byłem pewien, że sutki twardnieją.

- Jak ty na mnie działasz... – powiedziała, mrużąc powieki.
- Więc o co chciałaś zapytać?
- A, już nieważne. – Zaśmiała się i spojrzeniem wysłała mnie do samochodu. – Uciekajmy stąd.
- Gdzie jesteśmy?

– Niedaleko Emp – rzuciła przez uchylone drzwi i włączyła silnik.

Jechaliśmy dalej w tym samym żółwym tempie. Jeszcze zwolniła na zakręcie przy niewielkim zagajniku, kiedy wokół pojazdu stłoczyło się stado owiec. Po chwili popędzane przez psa przypominało toczące się pod wpływem wiatru niezliczone kłębki wełny. Wsparty na kijach pasterz uważnie przyjrzał się Alicji, uchylił kapelusza z szerokim rondem i ruszył na zbocze za swoim dobytkiem. Nie zwrócił na mnie uwagi, jakby obecność Alicji upewniła go, że wszystko jest w porządku.

Mieliśmy przed sobą tylko szerokie wzgórze przecięte drogą urwaną na szczycie i wiodącą w niewiadomym kierunku. Samochód Alicji wtoczył się na górę i zniknął.

Zatrzymałem samochód na krawędzi wzgórza. Spodziewałem się miłego dla oka pejzażu, a otworzyło się przede mną coś w rodzaju malowidła, olbrzymiego płótna wykorzystanego na marzycielską akwarelę opowiadającą o zmyślonej krainie. Wzgórza ułożone jedno nad drugim na wschodzie i zachodzie tonące w grzywie lasu różniły jedynie odcienie zieleni, a upodabniały wyraziste czubki usypane z kamieni. Zapatrzony w szeroką dolinę zacząłem dostrzegać wijący się wśród zarośli potok,

niewielkie jeziora, stawy i oczka wodne rozrzucone na różnych wysokościach i otoczone równo rozstawionymi drzewami. Pajęczyna polnych dróg biegnących w różnych kierunkach zdawała się mieć przypadkowy przebieg, jednak wszystkie splatał węzeł nieopodal gromady czerwonych dachów. Zapewne tam znajdowało się Emp.

Alicja szybko zjechała w dół, na moment zwolniła na szczycie pierwszego wzgórza i znikła mi z pola widzenia. Akwarela nagle zastygła w całkowitym bezruchu. Przyszło mi do głowy, że Joanna do tej pory nie zadzwoniła i jak niemiły byłby dźwięk telefonu w tej głuszy rozpiętej po horyzont. Niemiły i niemożliwy. Zasięgu w tych okolicach nie było.

Zgadywałem, że Alicja do Emp nie pojedzie, wybierając jedną z wielu szutrowych dróg wspinających się po zboczach lub ginących w lesie. Spojrzałem w lusterko wsteczne, w którym zamajaczyła potężna bryła klasztoru. Kiedy zwolniłem hamulec, przepadła natychmiast, jakby z tym wszystkim, co wydarzyło się do tej pory.

Za wzgórze promienie słoneczne niemal nie docierały. Samochód Alicji był już tylko punktem świetlnym przesuwanym się po kolejnym zboczu. Nie spieszyła się, ale na krętej wąskiej drodze nie mogłem jej dogonić. Zastanawiałem się, czy umyślnie kluczy między sadzawkami i kępami krzaków, czy też cel podróży jest jeszcze bardziej potajemnym schowkiem niż klinika Krafta. Kiedy honda zbczyła do lasu, wiedziałem, że jest.

Piaszczysta droga wiodła głębokim mrocznym wąwozem. Alicja dobrze ją znała, jechała szybciej ode mnie, co chwila znikając za zakrętem. Coraz częściej odgadywałem kierunek jazdy po śladach opon na piasku. Wreszcie i one zniknęły wraz ze zmierzchem na zasypanej igliwem nawierzchni. Ale już nie było żadnych rozstajów tylko długi prosty odcinek zakończony otwartą bramą zbudowaną z cienkich pni sosen. W świetle księżyca zobaczyłem kontur szerokiego domu przykrytego spadzistym dachem.

Światło rozbłysło najpierw nad wejściem, potem zobaczyłem, jak Alicja przesuwa zasłony i staje w drzwiach.

Była noc. Pachniało lasem.

56.

Poczekala aż odstawię torbę, przytuliła się i badawczo spojrzała mi w oczy.

– Jeszcze nie, nie spiesz się, proszę.

Oparłem usta na jej włosach.

– Dobrze, ale to bardzo trudne.

– Kocham cię za to, że to mówisz – powiedziała.

– To prawda, nie czujesz tego?

– Nawet nie wiesz, jak cudownie jest w to wierzyć. Daj mi się z tym oswoić.

– Szybko oddychasz. Znowu się boisz...

Skinęła głową, ufnie zaciskając usta.

– Ale zaraz ci przejdzie, tak?

– Już przechodzi. – Nadrabiała miną. – Tylko martwię się, że zrobię coś niewłaściwego i wszystko popsuję.

– To niemożliwe. Wystarczy że będziesz sobą.

– Hanni... Zgadnij, co teraz bym chciała?

Spojrzałem na jej usta. Rozchyliła je niepewnie i zatrzymała spojrzenie na moich.

– Skorzystać z toalety?

– Tak. – Wybuchła śmiechem, jak nikt inny nie potrafił. Gdybym był ślepy, miałbym żal do losu, że nie widzę czaru tego zaraźliwego śmiechu.

Rozniósł się po wszystkich zakamarkach domu, zdawało mi się, że wyjaśniało.

– Pozwiedzasz troszkę, a ja zaraz wracam, tak?

– Dobrze...

Wcale nie było dobrze, tylko dziwnie. Nie tego się spodziewałem. Byłem pewien, że zatrzasnę za sobą drzwi i natychmiast będzie gotowa, żarłocznie poszukująca moich ust, poirytowana nadmiarem guzików w koszuli, zniecierpliwiona moją nieporadnością przy odpinaniu biustonosza. Zaskoczyła mnie. Czy za tymi pozorami tremy kryło się opanowanie, chęć odłożenia najlepszego na później i czerpania z tej zwłoki dodatkowej przyjemności? Podejrzewając miłosne wyrafinowanie, mimo woli pomyślałem o wielkim cielsku Artura, który mógł ją mieć, kiedy zechciał. W tym momencie żadne wyobrażenie nie wydawało mi się równie odpychające. Tylko czy chciał? Czy ona chciała? Czy w jakimś stopniu znów nie czuła się jak debiutantka?

W tym zamyśleniu nie od razu zauważyłem, że dom był niezwykle, okrągły, ze stropem wspartym na walcu upozowanym na pień monumentalnego drzewa. W wydrążonej dziupli znajdował się kominek, tuż obok za drzwiami toaleta. Po drugiej stronie odpowiednikiem kominka był telewizor i wieża stereo, natomiast łazienki umieszczona we wnęce kuchni. Naszpikowana elektroniką, ale zamiłowanie do natury rekompensowały meble i sprzęty pokryte wykładziną naśladowującą korę drzewa.

Otworzyłem lodówkę, na co odezwało się głośnie ćwierkanie ptaka.

– Kolację zrobimy razem, poczekaj – Alicja przekrzykiwała strumień wody.

Przestrzeni nie brakowało, choć cały dom był wypełniony użytecznymi stolikami, fotelami i kanapami z mnogością poduch. Na ścianach wisały

obrazy z okolicznymi pagórkami i tanecznie rozkołysanymi postaciami w kwiecistych strojach ludowych. Płócien nie było zbyt wiele, do ścian dosunięto wysokie po sufit, ciężkie regały z politurowanego drewna. Książki nie stanowiły dekoracji. Poustawiane na opak znajdowały się również w małych szafkach na kółkach, leżały na stolikach z wsuniętą zakładką lub na otwartych stronach przyciśnięte metalowymi szkatułkami i puzderkami. Nie było komputera ani gazet. Gdyby nie francuskie napisy niemal na każdym grzbiecie książki, mógłbym tu przyjechać na urlop i przez tydzień nie wychodzić z domu.

– Już jestem. I jak ci się tu podoba? – Alicja zastała mnie przed obrazem wiekowej dziarskiej wieśniaczki podpartej pod biodrami na skocznej potańcówce.

– Jestem zachwycony – powiedziałem, wpatrując się w białą płócienną koszulę Alicji wsuniętą w krótkie spodenki. Była boso.

– Mówię o domu, a ty chyba o Katarzynie.

– O kim?

– Na obrazie jest Katarzyna z Emp. Udany, prawda?

– Wspaniały – powiedziałem, choć nic a nic mnie nie obchodził. – Znajoma?

– Gospośia, była tu dziś. Teraz ty się przebierz. Jeśli nie masz czegoś lekkiego, coś znajdę.

– Mam trochę rzeczy, ale jak chcesz mnie ubrać...

– Dobrze. Jeszcze zobaczę, co jest w lodówce. Powinnaś wcześniej o tym pomyśleć. Zmykaj, szkoda czasu.

Z torby wyjąłem ubranie, w toalecie rozebrałem się i poszedłem prosto pod prysznic. Nieosłonięty brodzik był obszerny, woda ciepła, orzeźwiająca, ale już brakowało mi cierpliwości. Nie obchodziła mnie

fantazja architekta. Irytowała ceramiczna kora na ścianach i umywalka jako otwarty kwiat na grubej zielonej łodydze.

– *Pragniesz mnie?*

– *Tak.*

Pomyślałem, że ojciec zgubił wykrzyknik.

Lubię, jak mnie wszędzie dotykasz, wędrujesz po mnie, jakbyś ciągle na nowo odkrywał.

Pod silnym strumieniem w pośpiechu spłukiwałem mydło, jak ktoś spóźniony i rozdrażniony, pominięty w dokładnie napisanym scenariuszu.

Dotykasz mi ust, a czuję cię tam... Już wtedy jestem wilgotna. Czasami jak tylko na mnie spojrzysz...

Byłem zły. Nic się nie zgadza. Nic!

I nagle poczułem dotyk twardych sutków na plecach.

57.

Alicja przylgnęła do mnie i objęła za brzuch.

– Hanni, chciałam, żeby było inaczej, wyjątkowo... Ale już nie mogłam wytrzymać...

Powoli się obróciłem. Nie zdjęła ubrania, ale wiedziałem, że ma napięte mięśnie. Dostrzegłem w niej bolesne uniesienie i groźną niepewność, jakby za karę chciała mnie ugryźć, gdybym się zawahał.

Marszcząc czoło poskarżyła się:

– Całą drogę i teraz... Cały czas czuję cię, wiesz gdzie...

Zakręciłem kran, przez ułamek sekundy widząc w jej szeroko otwartych oczach obawę, że ta czynność jest trywialna, niewłaściwa, że nie pożądam jej tak, jak to sobie wymarzyła.

Zapadła cisza. Alicja wstrzymała oddech i badawczo patrzyła na dłonie, które ostrożnie ją odsuwały, a potem delikatnie wędrowały po jej czole, brwiach, ustach. Dotknęły jej szyi i zatrzymały się na widocznych pod wilgotną koszulą piersiach. Zaczerpnęła tchu i zadrżała, kiedy odpiąłem jej górny guzik.

Przy następnym zamknęła oczy i wyszeptała:

– A jak ci się nie spodobam?

– To niemożliwe.

Potem znów patrzyła, jak zajmuję się guzikami, przy każdym biorąc głębszy oddech. Nie spieszyłem się, choć wiele mnie to kosztowało.

Guzików było sześć, zdawało mi się, że dwa tuziny. Alicja chyba też tak pomyślała, bo kiedy przesunąłem ustami po jej szyi i delikatnie pocałowałem w usta, już nie chciała celebry.

Była taka, jak to sobie wyobrażałem. Namiętna i niecierpliwa, głodna każdej pieśczoły, żarłocznych pocałunków, uścisków i przypadkowego dotyku. Wszystko było oczekiwane i upragnione, otarcie policzkiem, brodą, nosem. Ucho omiecione językiem i schwywane zębami. Wilgotne ciało i zapach włosów. Wbijała mi paznokcie w ramiona, natychmiast całowała miejsca, które zostały zranione i tuliła się, jakby chciała wtargnąć w głąb mnie i już tam pozostać.

Byłem urzeczony tą zawziętą szamotaniną w ciasno zarzuconej sieci, z której nie można się wyplątać. Symfonią jęków, pomruków i westchnień, w których już nie słyszałem żadnej obawy, tylko ufne nieprzytomne pragnienie.

Tylko na chwilę wyzwoliła się z uścisku, żeby z pilną zachętą spojrzeć na nierozpiętą koszulę i wykrzyknąć radosne „ach!” na zdecydowane szarpnięcie, po którym ostatnie guziki prysnęły o glazurę. Pchnąłem ją na ścianę i dopadłem obfitych, rozkołysanych piersi jak drapieźnik, który ugniata, szczypie, gryzie. Spontanicznie szarpała mnie za włosy, ale wiedziałem, że to ekstaza, nie ból.

W tej miłosnej furii nie dostrzegłem, kiedy guzik przy spodenkach został odpięty, a zamek okazał się naprawdę błyskawiczny. Kiedy mój język dopadł jej pępka, a dłonie silnie zacisnęły się na pośladkach, „ach” było głębokie, niemal płaczliwe. Wędrowałem coraz niżej i niżej, o ułamek sekundy za długo zatrzymując usta przed jedynym nieopalonym miejscem jej skóry. To było tylko mgnienie, które pozwoliło zapamiętać zawieszony na cienkich paseczkach skrawek przezroczystej tkaniny obsypanej połyskującymi kryształkami. Jęknęła boleśnie na tę zwłokę, zacisnęła uda.

Otworzyła je natychmiast, kiedy kryształki rozsypały się na podłodze. Poczułem w ustach lepki smak jej wilgotnego sromu. I drzenie tak raptowne, jakby nagle straciła głos i całym ciałem wyrażała jakąś desperacką komendę.

Wściekle zaspokajałem apetyt, poszukując w rozpalonej głowie celu, nieosiągalnego marzenia, dla którego Alicja była gotowa na wszystko. Dociskała do siebie moją twarz. Byłem pewien, że jej oczy płoną, a otwarte milczące usta chcą wykrzyknąć: Nie chcę rozumieć, pamiętać, myśleć, być. Tylko doznawać. Tylko czuć!

Drżąca i rozpalona pociągnęła mnie na zimną, twardą podłogę. W tym upojeniu zupełnie nie liczyło się, że to nieprzyjazne dla łokci i kolan narzędzie tortur. Rozrzuciła ręce na boki, uniosła kolana i otworzyła się, zamykając oczy jak ofiara gotowa na każdy wybryk napastnika.

Nie pozwoliłem jej czekać. Natarłem całym ciężarem ciała i natychmiast w nią wszedłem. Krzyknęła, jakbym zadał jej ciężką ranę. Za każdym pchnięciem, coraz szybszym i silniejszym, jej krzyk stawał się bardziej rozpaczliwy, rozdzierający serce. Ale już przestałem myśleć, nie mogłem niczego zatrzymać. Uwięziłem Alicję dłońmi twardo zaciśniętymi na jej ramionach i z całych sił starałem się wejść coraz głębiej. Miałem przed sobą jej gorącą twarz, ciasno zsunięte brwi, każdy mięsień, każde ścięgno napięte do granic wytrzymałości. W narzuconym przeze mnie szalonym rytmie jej krzyk był coraz krótszy i piskliwy. Zarzucała głową, coraz szerzej otwierając usta, jakby gdzieś obok było więcej powietrza. Nie było. Ja też chciałem tylko doznawać, tylko czuć. I do utraty tchu wykorzystać ją z fanatyczną zawziętością.

Już nie wiedziałem, czy to jeszcze rozkosz, obłąkanie czy już egzekucja. Alicja nie oddychała, nie krzyczała. Zdawało mi się, że pod moim topornym ciałem stała się jeszcze bardziej krucha i bezbronna, jak

zwierzątko wydające ostatnie tchnienie w ciasnej obręczy wnyków. Kiedy poczułem, jakby ktoś wielkim gumowym młotem okładał mi głowę, wydała z siebie gardłowy urwany jęk, unosząc pode mną biodra z niespodziewaną siłą. Zaskoczony puściłem jej rękę, wspierając się na łokciach. Natychmiast objęła mnie za szyję, napięta, wygięta w łuk. Przylepiony, dopasowany i skrępowany jej ciałem nie potrafiłem rozdzielić mego i jej drżenia, bicia serca, wybuchu jednakowo odmierzonych oddechów. Alicja płonęła jak ja.

Odzyskałem poczucie rzeczywistości wraz ze słuchem, jak ktoś gwałtownie zjeżdżający z wysokiej góry. Szum. Gasnące uderzenia młotem. Oddech coraz płytszy, regularny. Łazienkowe sprzęty stabilne, o wyostrzonych konturach. Podłoga twarda, rozgniatająca kości.

Znów zdawało mi się, że Alicja nie oddycha. Rozgarnąłem jej mokre włosy na czole, delikatnie pocałowałem w usta. Nie oddała pocałunku, ale mocniej objęła mnie za szyję.

– Ukochana...

– Jesteś – wyszeptała. – Jak dobrze, że nie zniknąłeś...

58.

Pocałowała mnie w podrapane ramię, poczekała aż się odwdzięczę pocałunkiem w siniaka na łokciu i wsunęła do ust kanapkę.

Pomyślałem, że gdyby malarz zobaczył, z jakim wdziękiem Alicja opiera się na otomanie i je ogromną, niedbale ukrojoną pajdę chleba, na zawsze porzuciłby myśl o miejscowych pagórkach i przytupujących wieśniaczkach. Byłby jeszcze bardziej zdumiony, gdyby się dowiedział, że przed kwadransiem opuściliśmy łazienkę jak dwoje rozbitków cudem ocalałych z trzęsienia ziemi. Sam byłem pod wrażeniem ludzkich możliwości, które w pewnych okolicznościach są nieodgadnione.

– Lata świetlne nie jadłem wiejskiego smalcu – powiedziałem z pełnymi ustami. – Pycha. I te ogórki małosolne...

– Powinnam sama zrobić zakupy. Katarzyna...

– ...spisała się na medal. Chciałaś czegoś wyszukanego?

– Miało być wyjątkowo, jak nigdy... – Speszyła się.

– Bądź spokojna, dobrze mi.

– Myślałam, że ty zasypiasz na mglistym lotnisku w Casablance, ale budzisz się gotów do działania jak u Hitchcocka... – Wciąż była czujna, badała, czy nie jestem zawiedziony.

– Lubisz Hitchcocka? – zapytałem.

– Bardzo. I Briana De Palmę.

– „Nietykalnych”, „Świadka mimo woli”...

– ...„W przebraniu mordercy”, „Carrie”...

– Kocham cię – powiedziałem.

Odłożyła chleb, otoczyła się moim ramieniem i zamruczała.

– Akceptacja... Jakie to piękne słowo – powiedziała. – Ale tamtego, w takich okolicznościach już nie powtórzymy, słowo.

– Ja bym się tak nie zarzekał...

Chyba lekko się zaczerwieniła, ale może były to tylko rumieńce, które jeszcze nie znikły z jej twarzy.

– Hanni, powiedz...

Pocałowałem ją we włosy.

– Jestem tobą zafascynowany.

– Ale czy rozumiesz, dlaczego tak...

– Przecież nie chcesz o tym rozmawiać...

– Więc rozumiesz... Ale moje małżeństwo nie jest najważniejsze. Naprawdę. Chciałam zapomnieć, wyrwać się z rzeczywistości, jakoś tak... rozpuścić się w kosmosie.

– Udało się?

Skinęła głową i rozpromieniła się.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Pocałowała mnie miękko, niemal musnęła ustami, jak się tego spodziewałem.

– Co byś chciała?

– Herbatka?

Włączyłem czajnik, zasyczał po kilkunastu sekundach. Kiedy Alicja przygotowała kubki, już był wrzątek. Rozlewałem wodę po stole, gapiąc się na nią.

– Hanni, znowu patrzysz na mnie w ten szczególny sposób, proszę.

– Daj się pozachwycać, coś ty taka.

– Fajny jesteś. – Rozczuliła się. – Ale na piersi tak się nie gap. Zaraz się zaczniesz... Nawet nie zapytałeś, czyj to dom.

Rozejrzałem się po ścianach.

– Obrazy namalowała delikatna kobieta, wysoka, bardziej chuda niż szczupła, prawie bez piersi.

– Piersi i piersi... – Pokręciła głową. – Nie udawaj, nie poznałeś po obrazach, tylko po moim t-shircie. Ale z mężczyzną tak łatwo ci nie pójdzie. Ten, który ci dałam, też należy do jego żony.

– Maniakalny mól książkowy. Jest prawnikiem lub kimś w tym rodzaju.

– Notariuszem – poprawiła mnie.

– Niski, gruby, brodaty, raczej brzydki.

– Prawda, piękny nie jest, ale sympatyczny. Nazywa się Jean, jego żona to Dominique. Przemili ludzie.

– Skąd się tu wzięli?

– Ich rodzice pochodzili z tych stron, z dwóch rodzin skłóconych ze sobą na śmierć i życie.

– Jak u Szekspira.

– Prawie. Podobno dochodziło do awantur, bijatyk, a nawet strzelaniny. Więc pewnego dnia o świcie spakowali manatki i uciekli do Val, potem wyjechali do Francji, założyli własne rodziny i zamieszkali w Saint Malo. Tęsknili za Emp, ale nigdy tu nie przyjechali. Uważali się za wyklętych i sami siebie potępiali za ucieczkę z Emp. Dla tutejszych ludzi obyczaj jest bardzo ważny.

Wsluchiwałem się w melodię jej głosu. Kiedy nie zajmowała się sobą, mówiła swobodnie z marzycielską, przyjemną melancholią jak radiowa spikerka prowadząca audycję po północy. Patrzyłem na jej dłoń z baletową lekkością zginającą się w nadgarstku, krótkie niepomalowane paznokcie, smukłe ramiona i długą szyję, która powinna zdradzać wiek. Nie zdradzała.

– Kiedy Jean i Dominique pobrali się, postanowili tu przyjechać w podróż poślubną. Nie mieli uprzedzeń ani szczególnych oczekiwań. Gdyby im się nie spodobało, pojechaliby gdzie indziej. Ale w tych lasach i pagórkach zakochali się bez pamięci. Zwłaszcza Dominique zachwycały tutejsze plenery, malowała jeden obraz za drugim, wszystkie piękne. Jean trochę marudził, że nieruchomość na odludziu to zła inwestycja, ale to on wymyślił, żeby zbudować ten dom. Tylko że najpierw mieli kłopoty finansowe, a potem okazało się, że na odległość się nie da. Mijały lata, prawie o tym zapomnieli, ale kiedy przypadkiem poznaliśmy się w Nig, Jean powiedział o tym Arturowi. Narzekał, że od lat nosi się z zamiarem budowy domu, ale nie ma nikogo zaufanego na miejscu. Artur zaofiarował się z pomocą, zabrał projekt, znalazł firmę i powiedział, żeby się wszystkim zajęli.

– A potem o wszystkim zapomniał...

– Od razu wiedziałam, że tak będzie, bo to nie jego pieniądze, zresztą jak dla niego niewielkie, nie jego interes. Raz tylko odezwał się na ten temat, cieszył się, że już nikt nie zawraca mu głowy. Mamy niedaleko Bai dom letniskowy, zaglądam tam co jakiś czas, więc przy okazji tutaj też. Jean przyjeżdżał raz na parę miesięcy, dzwonił, umawialiśmy się. Pozwoliłam sobie na niewielkie ingerencje w realizację projektu. Widziałam, że jest zdumiony, ale nic nie powiedział. Potem przyjechała Dominique i wzruszyła się. Powiedzieli, że mam dla tego miejsca więcej serca niż oni, że zmiany im się bardzo podobają, mają do mnie zaufanie i mogą tu robić, co chcę. Naturalnie w granicach rozsądku.

– Artur wiedział?

– Nie. Nic mu nie powiedziałam. Nie przyjechałby tu ze mną, ale nie chciałam, żeby mi tego zabraniał, wypytywał, dręczył, znowu był o coś zazdrosny. A ja nie chciałam mu powiedzieć, że ten cudzy dom bardziej mi

odpowiada niż własne, odrestaurowane za miliony więzienie w Val, że tu czuję się sobą, oddycham. Dominique i Jean dali mi wolną rękę, wybierałam kolory farb, zasłony, dywany, meble, projekt kominka. Tylko obrazy namalowała Dominique.

– Zaprzyjaźniliście się.

– Bardzo, ale to taka szczególna znajomość. Od dziesięciu lat pisujemy do siebie maile. Przyjeżdżają tu tylko na wakacje. Spotykamy się nie częściej niż raz w roku i to na krótko.

– Dom stoi na odludziu...

– Codziennie zagląda tu Katarzyna. Przemiała starsza pani. Przyjeżdża taką staroświecką bryczką, sprzęta, wietrzy, podlewa kwiaty. Jest sumienna, serdeczna.

– Ufasz jej?

– Tak, bez zastrzeżeń. Górale z Emp są trochę jak Amisze, nie tak zacofani i zamknięci, ale świat zewnętrzny interesuje ich tylko z praktycznych powodów. Dominique szukała w Emp swoich przodków, krewnych. Już nie znalazła. Jednak tutejsi ludzie byli poruszeni, że ktoś z tak daleka chce się z nimi identyfikować. Katarzyna trochę zaczęła jej matkować, żeby nie była smutna. Z rozpędu mnie też.

– To miejsce jakoś się nazywa?

– Na starej mapie znalazłam nazwę Emplarium. Chyba był tu kiedyś kamienny kromlech, pradawne miejsce kultu. Pytałam o to górali. Powiedzieli, że choć mieszkają tu od wieków, o żadnym Emplarium nigdy nie słyszeli. Ale Dominique uważa, że to nazwa czarodziejskiej szufladki, w której się znika, bo kiedy ona tu przyjeżdża, czuje się tak, jakby spacerowała po własnym przyjemnym śnie, dotykała pięknego złudzenia. To jedyne miejsce na świecie, gdzie człowiekowi jest cały czas dobrze, wystarczy tylko, że tu jest. Ja też tak czuję...

– Dla ciebie to też piękne złudzenie?

– Chyba powinnam tak pomyśleć, bo już nie czuję się winna... I mam ochotę na coś mocniejszego.

– Najmocniejsze, co widziałem, to mleko w kartonie, nie mam odwagi, to aż dwa procent.

Roześmiała się.

– Jean trzyma alkohol w sypialni na piętrze. Ma słabą głowę i pije tylko przed snem, bo w ten sposób nigdy się nie przewraca.

– Może jednak trochę się poprzewracamy?

– Chłopaczku, co to za język, odrobinę szacunku dla pani w średnim wieku – powiedziała z wyniosłą miną.

Podeszła do drzwi wejściowych i oparła palec na przycisku we framudze. Właz w suficie otworzył się natychmiast, ale mechanizm rozsuwający drewniane schody działał powoli jak w dawnym filmie science fiction. Na górze rozbłysło dyskretne światło. Byłem pod wrażeniem wynalazku, ale Alicja domyśliła się, co naprawdę chodzi mi po głowie i znów się roześmiała.

– Ty pierwszy, jestem bez majtek – powiedziała.

– Ja też.

– To nie to samo!

– Dobra, pakuj się na barana.

– No głupi... – Zawahała się, ale wskoczyła mi na plecy.

Poczułem się jak bohater książek ojca, dziecienniejący od uczucia stary koń, który cieszy się, dźwigając słodki ciężar, najmilszy skarb, ukochany cukiereczek itd. Z obawy, że zahaczy głową o sufit, cukiereczek mocno się we mnie wtulił i na górze nie chciał odlepić.

– Hanni, powiedz, robi wrażenie, prawda?

– Aha...

Zamiast walca podtrzymującego strop na środku ustawiono okrągłe łóże. W połowie przedzielone wałkiem dawało możliwość oglądania telewizji na gigantycznym ekranie dopasowanym do geometrii ściany lub z drugiej strony podziwiania gwiazdzistego nieba w wielkim oknie. Okno i ekran miały te same rozmiary i jednakową oprawę. Brakowało mi tylko drugiego pilota na wypadek, gdybym chciał zastąpić niebo innym kanałem.

Dyskretne lampki umieszczone w suficie rzucały słabe światło na dwie półokrągłe szafy dosunięte do ścian.

– Do szaf się wchodzi, mój koniku. Przesuwa drzwi i buszuje. W jednej jest zapas trunków na pół roku, w drugiej ubrania. Jest tam smoking, suknie wieczorowe i kalosze. Fajny zestaw, nie?

Zachichotała i delikatnie pocałowała mnie w ucho. Usiadłem na łóżku, łagodnie uwolniłem się z uścisku i położyłem ją na wznak. Spod zmrużonych powiek patrzyła na mnie w milczeniu z bezbronną ufnością. Czulem, że czyta w moich myślach. Wie, że ją porównuję z Joanną i Rozalią i czeka na werdykt. Była od nich o wiele starsza, doświadczyła tragedii, małżeńskiej tyranii i zaprzepaszczonej kariery. To wszystko zmienia na zawsze, powinno pogłębiać różnice, odbierać świeżość, ograniczać wolę życia, ale to jej spontaniczną młodością byłem oczarowany. Wzięło mnie...

– Hanni, co pomyślałeś? – powiedziała jak przez sen.

– Nie powiem, staniesz się zarozumiała i już mnie nie zechcesz.

– Powiedz, Ala ładnie prosi.

– Odmawiam.

– Nie bądź taki... Daj jakiś znak, co?

Kiedy pochyliłem się nad wzgórkim łonowym, skurczyła się w ramionach, zamknęła oczy i nabrała powietrza jak przed skokiem w głębiny. Odsunąłem koszulkę do pępka. Kołysał się jak splawik na

krótkiej przybrzeżnej fali. Rozchyliła uda, pojękując z cicha w rytm coraz szybszego płytkiego oddechu. Tym razem byliśmy cierpliwi, choć zdawała się być u szczytu ekstazy, zanim ją dotknąłem. Kiedy końcem języka ostrożnie rozsunąłem jej wargi i napotkałem wilgoć, wydała z siebie jęk rozkoszy i westchnienie ulgi. Otworzyła oczy. Od tej pory patrzyła na mnie z bezgranicznym apetytem na pieszczoty, a potem odwzajemniała je z czułą niespieszną radością. Już nie chciała wyrwać się z rzeczywistości, ani z nią walczyć. Chciała w niej pozostać.

59.

Księżyc podświetlał na krawędziach jasną chmurę przepływającą przez zmieniony układ gwiazd. Wyglądała jak dym z papierosa zmieniający się z gęstego kłębu w długą przezroczystą smugę. Żegnana przez sterczące konary drzewa, słabo przesuwana przez wiatr sunęła flegmatycznie od lewej do prawej krawędzi okna.

Obudziłem się z krótkiego snu zaplątany w nagie ciało Alicji. Oddychała miarowo i spokojnie. Nie mogłem się poruszyć, nie budząc jej, więc całowałem ją we włosy i patrzyłem w niebo. Nie mogłem odgadnąć, czy to jeszcze głęboka noc czy już skrada się świt. Nasłuchiwałem ciszy.

– Myślisz, że Artur ma coś wspólnego ze śmiercią Marcela? – Zadała pytanie lekko, jakby chodziło o godzinę odjazdu pociągu, ale zabrzmiało jak nieoczekiwany skrytobójczy strzał.

Zaskoczony zapytałem głupio:

– Nie śpisz?

Przełknęła ślinę.

– Obudziłam się przed chwilą i natychmiast musiałam to powiedzieć. Poczułam dreszcz, kiedy usłyszałam samą siebie.

Naciągnąłem kołdrę z obu stron i przykryłem nas oboje. Ułożyła się wygodniej.

– To podłość powiedzieć coś takiego... – powiedziała cicho. – Ale chyba musiałam to wreszcie usłyszeć, podzielić się z kimś. Jezu... Dusiałam to

w sobie tak długo. Tylko po co? Co ja robię...

– Powiedziałaś kiedyś, że coś się skrada, czai w pobliżu, dotyczy ciebie. To dlatego?

– Bo ja wiem... Co jakiś czas nachodziła mnie myśl, że wyjaśnienie śmierci Marcela mam w zasięgu ręki, jakby wystarczyło wejść po cichu do pomieszczenia za ścianą albo podsłuchać czyjaś rozmowę.

– Artur nie mówi ci wszystkiego?

– Nie, zresztą ...nie wiem, nie w tym rzecz. To trochę chorobliwe... Myślałam, że w moim domu coś jest nie tak, że nawet na to patrzę, ale nie umiem dostrzec albo zrozumieć. To tak jak z zapomnianym słowem do krzyżówki: wiesz, że je znasz, ale za żadne skarby nie potrafisz przywołać i męczysz się. Tylko że to trwało latami, no i trochę bałam się tego...

– Mówiałaś o tym Arturowi?

– Czasami. Tulił mnie, uspokajał, ale coraz mniej mi to pomagało. Zdawało mi się, że się do tego zmusza. Nie chce pomóc, tylko w ten sposób jak najszybciej zamknąć temat. W końcu znalazł sposób, żebym przestała o tym mówić: zaczął mnie wysyłać do lekarza. Nie poszłam, to nie było aż tak poważne. Właściwie nie powinnam ci o tym mówić.

– Twoje pytanie o winę Artura teoretycznie ma sens.

– Daj spokój.

– Teoretycznie. Nie chcę cię gniewać, tylko zadałby je każdy śledczy, gdyby wiedział, że kiedy Marcel zginął, Artur był w tobie zakochany.

– No tak... – Uśmiechnęła się blado. – Na zjeździe dowiedziałam się, że właściwie wszyscy chłopcy w klasie. Ale Artur był tym dobrym, grzecznym, akuratnym chłopcem, najlepszym przyjacielem zawsze gotowym pomóc. Był taki wzorowy. Nie Artur. Każdy, tylko nie on. Zrozum, Artur nie potrafi uderzyć pięścią w stół. Sam by się tego przestraszył.

– Mimo wszystko policja musiałaby wziąć pod uwagę, że wskutek tej tragedii tylko on odniósł jakieś korzyści.

– Hanni, już przestań. Mówiłeś, że zrobili to źli ludzie. – Dała mi odczuć, że rozmowa przybiera niewłaściwy obrót.

– Masz rację. I w końcu to Artur wynajął detektywów.

– Tak...

– Kiedy to było?

– Dziesięć... Dwanaście lat temu Zwrócił się do jakiejś agencji, kiedy wprowadziliśmy się do pałacu. Ale jakoś nie umiem go pochwalić. Długo szukali zabójcy Marcela. Bez skutku. Pytałam Artura, dlaczego ze mną nie porozmawiają, przecież wiedziałam o Marcelu najwięcej. Odpowiadał, że to nie jest konieczne, że mają swoje metody, że nie chce mnie w to wciągać, narażać. Pytałam, co mi grozi, na czym polega ryzyko, przecież nie jestem naocznym świadkiem, nie mam żadnych podejrzeń. Odpowiadał, że skoro tak, tym bardziej nie pomogę. Ale Dawid tłumaczył mi kiedyś, jak z pozoru nieistotne informacje prowadzą wprost do zabójcy. Operował przykładami, dużo wiedział. Artura coraz bardziej to irytowało. Prosił, żebym dała mu spokój, bo jest tym wszystkim zmęczony. Szczerze mówiąc, każdy byłby zmęczony.

– Widziałaś tych detektywów?

– Nie.

– I pomyślałaś, że ich wcale nie ma...

– Nawet powiedziałam to Arturowi. Właściwie wykrzyczałam. Obraził się. Wreszcie przestałam pytać, postanowiłam o wszystkim zapomnieć i wtedy ty się pojawiłeś. Powiedziałeś: „Daj mi rękę” i po chwili wszystko wiedziałeś. Czy to nie dziwne? Lata poszukiwań, a ty wiedziałeś wszystko prawie od razu... Więc pomyślałam, przemknęło mi przez głowę... Boże...

– Mnie to też przemknęło przez głowę, kiedy przeglądałem szkolne zdjęcia. Przed śmiercią Marcela Artur wydawał się pogodny, otwarty, potem jakiś defensywny, bojaźliwy, miał twarz winowajcy.

– Chyba wtedy umarła jego matka. Poza tym nie on jeden miał poczucie winy, jakbyśmy coś przegapili, w porę nie zauważyli czegoś ważnego. Artur przyjaźnił się z Marcelem, przeżył to, płakał. I troszczył się o mnie. Gdyby nie Artur, nie podźwignęłabym się. Nikt nigdy nie okazał mi tyle współczucia i wytrwałej niestrudzonej troski. Byłam wtedy zboląłym, niemądrym dziewczęciem. Teraz już nie jestem pewna, czy naprawdę chciałam się zabić, ale chyba mówiłam o tym zbyt często. Artur mnie pilnował, nachodził, dopytywał, narażał się na docinki kolegów na studiach. Nie znosiłam jego natręctwa, byłam dla niego okropna. Cierpiał coraz mniej, uodpornił się. To mnie dodatkowo denerwowało. Mówiłam, że się zabiję, jak się nie odczepi. Więc pojechał na stypendium do Anglii i nagle zrozumiałam, że bez Artura jakoś tak wszystko się zatrzymało. Nie byłam nieporadna, w niczym mnie nie wyręczał. On mnie od siebie uzależnił, brakowało mi kierunkowskazu, zachęty. Artur stawiał mnie do pionu, popychał do działania. Kiedy go zabrakło, zdarzało mi się beczynnie przesiadywać nad szklanką herbaty i nic nie robić. W końcu zrozumiałam, jak bardzo jest ważny. Czekałam, aż wróci.

– Wygląda na to, że nie z wdzięczności, a z konieczności wyszłaś za niego.

– Z obu powodów. Poza tym zauważyłam pewne drobiazgi. Na przykład, że jest genialny, dobry, opiekuńczy, jest w swoim kochaniu niezmordowany...

– Idealny dla dziewczyny, której życie już tak nie pociąga i myśli, że nigdy nie pokocha.

– Byłam właśnie taką dziewczyną. Artur miał na to własny sposób. Z miesiąca na miesiąc zarabiał coraz więcej pieniędzy. Uważał, że jeśli je pokocham, nabiorę ochoty do życia.

– I jego pokochasz?

– Chyba tak myślał.

– I nie potrafił rozstać się z rolą kierunkowskazu, który decyduje i wszystko wie lepiej, prawda?

– Niestety. Kiedy nabrałam ochoty do życia, on tę ochotę tępił. Najpierw go usprawiedliwiałam, myślałam, że ma dobre intencje, tylko nie wierzy, że się zmieniam, nie wymagam tej natarczywej, niezdolnej troski. Walczyłam z tym latami. Trochę się udało, ale kiedy zabrakło mi sił, stałam się uległą, zrezygnowana. A on nieoczekiwanie bardziej wyrozumiały, jakby z wdzięczności. Za późno. To wystarczy, żeby jakoś ze sobą wytrzymać. Z trudem, bo Artur wciąż patrzy na mnie tak samo, jakbym wciąż miała powody, żeby się zabić.

– I jest gotów oddać za ciebie życie.

– Takie sprawia wrażenie, jak na początku. Wciąż ma w oczach tę gotowość do poświęceń, jakiegoś cierpienia, ciągłego ponoszenia ofiar. Nienawidzę tego, nie rozumiem. Kiedy mi tłumaczy, że w ten sposób najlepiej potrafi okazywać miłość i szacunek, jestem bezsilna, bliska płaczu. Bo to jest niepotrzebne, szkodliwe, trujące. To jakiś kompletny absurd. Wtedy słyszę, że jestem niewdzięczna, bez serca. Obraża się, zamyka. Nie jest sprawiedliwy. Może i ja czasami nie jestem, bo przecież zdarzają się miłe chwile. Ale odczuwam wdzięczność wobec dawnego Artura, który przekonywał i pomagał, a nie wobec lodowatego tyrana, który bezdusznie zarządza moim życiem.

– W stosunku do córek też jest taki?

– Przeciwnie, to kochany tatuś, przyjacielski, pogodny, trochę je rozpuszcza, upewnia, że dostaną od życia wszystko, czego zapragną. W ich wieku byłam wstydliva, odczuwałam respekt wobec dorosłych, bałam się życia. One się nie boją, są odważne, pewne siebie. Ale to dobre dzieci, dziewczynki są pracowite, nie przemądrzałe, rozumieją, że nie każdy dostaje te same szanse. Więc jestem z nich dumna.

– Chciałabyś, żeby Artur był z ciebie dumny...

– Kiedyś... Bardzo. Harowałam, żeby był. Byłam gotowa przepiłować skrzypce na pół, byle docenił mój talent. A on chętnie by je przepiłował, żebym przestała grać. Traktował to jak wybryk, fanaberię, skoro mogę mieć, co chcę, nie ruszając się z kanapy. Nigdy nie mówił, że kobieta powinna tylko leżeć i pachnieć, ale chyba tak uważa. Rzadko przychodził do filharmonii, bo tam musiał mieszać się z tłumem ludzi, rozmawiać z moimi znajomymi i przyjaciółmi. Nie cierpiał tego. Był wściekły, kiedy wyjeżdżałam z orkiestrą. Kiedy dostawałam propozycje grania z najlepszymi, szydził z tego, obrażał wybitnych muzyków. Odkąd nie gram w orkiestrze, jest lepiej, tylko coraz częściej dostrzegam w nim obcego człowieka. Zresztą, czasem potrafi być taki zimny, nieprzenikniony, że mam ochotę go zapytać, czy nie pomylił domów i wskazać mu drogę do wyjścia. Ale to jego dom, wszystko należy do niego, każda rzecz, ja też.

– Nie teraz.

– Fajny jesteś. – Przytuliła się mocniej. – Mogłabym już się stąd nie ruszać. Tylko leżeć, pachnieć i kochać się z tobą, wiesz?

– Podobasz mi się – powiedziałem. – Chyba zacznę z tobą chodzić.

– No tak, leżenie już ci się znudziło. – Zaśmiała się. – Chodźmy do szafy znaleźć coś do picia.

60.

Drzwi były metalowe i grube jak w lodówce. Wystarczyło je dotknąć i rozsuwały się automatycznie. Na moment oślepiło nas światło, potem dokuczał ziąb.

– Dwanaście stopni – powiedziała Alicja i zadygotała, wkraczając z namaszczeniem między drewniane stojaki, w których piętrowo umieszczono dziesiątki butelek. – Gdyby było dużo zimniej, wino dojrzewałoby zbyt wolno, gdyby dużo cieplej, za szybko.

– Pani profesor, czy udana degustacja wymaga umycia nóg? – Kiwnąłem głową w kierunku miski z wodą.

Rozbawiłem ją.

– Dzięki wilgotności korki nie wyschną, mój chłopcze. Jean mnie wyedukował, ale nie będzie wykładu, bo zamarzniemy na kość. Wszystkie wina są znakomite, łapiemy za butelkę i w nogi.

– A skrzypce?

– Co?

Podniosłem futerał oparty o stojak.

– Tyle się głowiłam, gdzie mogłam je zostawić...

Wzięła ode mnie futerał, wyjęła skrzypce i nagle przykryła nimi piersi.

– Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jestem całkiem rozebrana. – Wspaniale wyglądała z instrumentem. Natychmiast wygrzebałem z pamięci

skojarzenie Menuhina o formie skrzypiec naśladowujących kształt kobiecego ciała. Tylko że Menuhin podziwiał skrzypce, ja wyłącznie Alicję.

– Przepraszam – powiedziała. – To takie odruchowe. Nagość zawsze oznaczała dla mnie skrępowanie, zawstydzenie. A teraz jest mi głupio. Nigdy nie czułam się tak swobodnie jak dziś, naprawdę.

– Wiem, czuję to cały czas. Właśnie zrozumiałem, że zawsze chciałem mieć dziewczynę, która ma gęsią skórę i gra na skrzypcach.

– Jak chcesz to poszukam ci kogoś takiego – powiedziała, pospiesznie pakując skrzypce do futerału. Wręczyła mi go i otworzyła szafkę. – Brrr, jak zimno. Uciekamy stąd!

Wybrała kieliszki, potem wino i popychając barek na kółkach wyjechała z szafy. Drzwi zamknęły się. Pomimo półmroku tylko chwilę zajęło Alicji odkorkowanie butelki. Napełniła kieliszki. Kiedy odstawiłem instrument, przyjęła pozę, po której spodziewałem się uroczystego toastu.

– Hanni, rozgrzejmy się pod kołdrą, co?

Zaplątała się we mnie tak jak poprzednio. Cudem nie rozlaliśmy wina. Upiła odrobinę i szybko mnie pocałowała.

– I jak, dobre? – zapytała.

– Nie jestem pewien, daj jeszcze spróbować.

– Lubisz moje buziaki?

– No, nie tylko...

– Wiem, wiem...

– O co ci chodzi? Miałem nadzieję, że zagrasz na skrzypach.

Spojrzała na mnie z pogodną kokieterią, ale w jej głosie usłyszałem żal:

– Artur bardzo długo chorował, więc przestałam grać. No, czasem może trochę poskrzypię.

– Rozumiem. Miałem kiedyś sąsiada, który ćwiczył grę na skrzypcach. Zdawało mi się, że z dnia na dzień okolica się wyludnia. Jedni idą do domu

wariatów, inni skaczą przez okna.

– Mój tato też mnie tym szantażował. – Zmusiła się do śmiechu. – Artur nie wyskoczył, miał wypadek samochodowy, chorował ponad pół roku.

– Nie czytałem o tym, powinienem zauważyć...

– Jerry Walsh pociągnął wszystkie sznurki świata, żeby tego nie upubliczniać. Tak prowadzi interesy Artura. Kilku ludzi wiedziało, co się dzieje, ale nikt nie puścił pary z ust. Lojalni jak w szajce. Dla paru dolarów daliby się obedrzeć ze skóry. Nigdy ich nie zrozumiem.

– A oni zamiłowania do skrzypiec.

– To przez Artura. Mało nie zginął. Było z nim naprawdę źle, strasznie cierpiał, wciąż budził się w nocy, majaczył. Godził się na pobyt w szpitalu tylko tak długo, jak to było konieczne i z dala od Val. Wstydził się stanu, w jakim się znajduje, denerwowało go uzależnienie od obcych. Lekarzy jakoś znosił, ale pielęgniarkę z najwyższym trudem. Byłam z nim cały czas, od rana do wieczora przechodziłam przyspieszony kurs pielęgniarstwa: kroplówka, lekarstwa, zastrzyki, ciśnienie... rozumiesz. To samo z rehabilitacją. Artur jak najszybciej chciał wracać do domu i od razu zapowiedział, że poza lekarzem nikogo nie wpuści. Na szczęście wtedy było już lepiej, nie musiałam bez przerwy siedzieć przy łóżku. Dawał mi spać, choć czasami jego stan się pogarszał, krzyczał przez sen, wzywał ojca. Feliks biegał po Oskara, kawał drogi na marne, bo to wcale nie poprawiało sytuacji.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Wyżywał się na nim, obrażał, klął paskudnie. Nigdy przedtem ani potem nie traktował tak Oskara. Dziwne, bo dba o niego, szanuje.

– Miał mu coś konkretnego do zarzucenia?

– Nie. To były przedziwne spektakle nienawiści człowieka trawionego gorączką. Oskar milczał i czekał razem ze mną, aż Artur opadnie z sił i zaśnie. Najlepiej było wtedy, kiedy spał albo słuchał, jak mu czytam. Zawsze lubiłam czytać, ale wtedy przerobiłam pół biblioteki, same powieści, historyczne, obyczajowe, fantastyczne, kryminały. Wszystkie na głos. Twoje też.

– I co myślałaś?

– Trudno powiedzieć. Czasem tylko, że zgrywus z ciebie, maskujesz się, nie pokazujesz, jaki jesteś naprawdę.

– Przecież nadal uważałaś, że jestem niebezpieczny.

– Przeczucia to nie pewność.

– Lubisz niebezpiecznych facetów, tak?

– Lubię ludzi, nie traktuję ich jak potencjalnych rywali albo wrogów. Ale o tobie tak kiedyś myślałam.

– Matka wspominała mi... Miałaś się wyrazić, że jest coś, o czym lepiej żebym nie wiedział, bo to zaszkodziłoby Arturowi.

– Raczej coś w tym rodzaju. Tobie tak niewiele trzeba... Gdyby Artur usłyszał, co już ci powiedziałam, udusiłby mnie. On musi być w odpowiednim nastroju, żeby otworzyć się na ludzi, robić dobre wrażenie, czasem jest wręcz ujmujący. Ale w codziennej pracy to jakaś konspiracja, najchętniej zakopałby się pod ziemią razem z Walshem i stamtąd wydawaliby polecenia i komunikaty. A wtedy... Nie znasz kontekstu. Chodziło o Shermana.

– Shermana Douglasa?

– Tak. Artur wyświadczył mi wielką łaskę. Nie tylko nie dąsał się, że wychodzę na przyjęcie do Shermana, ale łaskawie zgodził się mi towarzyszyć. To było coś w rodzaju imprezy dobroczynnej, wsparcie dla

niego. Znałam go od lat, miły starszy pan, prawie już wycofał się z interesów, finalizował sprzedaż ostatniego banku.

– Wolał kolekcjonować obrazy, starą broń, chińską ceramikę...

– Widziałeś jego zbiory? Coś wspaniałego.

– Widziałem, rozmawiałem z nim. Bardzo miły.

– No właśnie. Z naszej perspektywy wyglądało to tak, że chciał zrobić komuś niewinną przysługę i nagle z tego powodu został oskarżony o poważne przestępstwa podatkowe.

– Przy tak niejasnych, sprzecznych ze sobą przepisach dobry prawnik powinien uporać się z tym bez kłopotu.

– Ale ty z Shermana zrobiłeś aferzystę, hochsztaplera. Wszyscy uważali, że to podła, nieuprawniona forma nacisku na sąd. A jednak inne gazety przyjęły twój tok rozumowania. To była nagonka. Hanni, on przesiedział dwa lata, teraz to wrak człowieka...

– Miał szczęście.

– Och, nie bądź taki, proszę cię...

– Zanim stał się miłym starszym panem, w opakowaniach po karmie dla psów przemycał broń do Afryki. Kiedy jego wspólnik dowiedział się o tym i na własne oczy zobaczył, jaki użytek zrobiono z tej broni, chciał z tym skończyć. Nie żyje, bo Douglas zapłacił płatnemu zabójcy.

– Chryste... Skąd możesz wiedzieć?

– Sam mi powiedział.

– Tak po prostu?

– Nikt by mu tego nie udowodnił, miałem tylko domniemania, poszlaki i pewną umiejętność...

– ...otwierania czyjegoś sumienia?

– Nie każdy je ma, ale może powiedzieć prawdę, kiedy wie, że ją znam albo pęka, kiedy się na nim skoncentruję.

– Na mnie też mógłbyś to wypróbować?
– Teraz już nie.
– Dlaczego?
– Bo cię kocham.
– Uff, co za ulga. – Znowu się zaśmiała w ten swój czarujący sposób, który rozkładał mnie na łopatki.
Pocałowałem ją w pierś.
– Podobają ci się?
– Są najmiłsze... piękne... dojrzałe... smaczne... rozkoszne...
– Zdajesz sobie sprawę, że Dawid tak by napisał?
– Uważasz, że niesłusznie?
– A tam. – Machnęła ręką. – Nie znasz się.
– Może, ale na literaturze się znam.
– Wtedy miałam przecucie, a teraz wiem na pewno. Ta twoja książkowa poza, ta zdystansowana kreacja to lipa.
– Artur też był tego zdania?
– Nie wiedział, że czytam ciebie. Dużo później mu powiedziałam. Stwierdził tylko, że nie chciałby się dostać w twoje łapy.
– Dlaczego nie od razu?
– Bo... Ach... Ktoś mu zasugerował... Nie mówmy o tym, proszę...
– Dobrze. I tak się domyślam.
– Czego?
– Ktoś Arturowi zasugerował, że masz romans z moim ojcem.
– O rrrany... Wiesz, że Artur jest chorobliwie zazdrosny. To właśnie wtedy miał wypadek. Nie wiem, kto mu to powiedział. Cały w nerwach wybiegł z biura, wsiadł do samochodu, nie wyrobił na zakręcie i z dużą prędkością uderzył w drzewo. Całe szczęście, że w ostatniej chwili dosiadł się Walsh. Zupełnie nic mu się nie stało i szybko wezwał pomoc. Od tamtej

pory na każde, nawet odległe skojarzenie z Dawidem Arturowi puszczały nerwy.

– Co by zrobił, gdyby nie ten wypadek?

– Nie mam pojęcia. Nie jest mściwy, raczej trudny, nieznośny, wprost nie do wytrzymania. Ale w tej sytuacji... Nie wiem.

– A Walsh?

– Co?

– Co on by zrobił?

– Daj spokój. On się zachowuje jak radioodbiornik w muzeum Oskara. Jest i tyle. Odezwie się, jak go włączyć. Stary zasuszony kawaler, chyba już bez płci. Myśli, analizuje, pilnuje interesów. Trochę mi go szkoda, bo wszyscy łącznie z Arturem nabijają się z niego.

– Nie dziwi cię ta symbioza Artura i Walsha?

– Już przestała. Podobno Jerry wie wszystko. Nigdy nie mówi za dużo ani za mało. Dla Artura to nieoceniona umiejętność.

– Żeby wszystko wiedzieć, trzeba znać wielu ludzi.

– Jerry by cię poprawił: trzeba znać właściwych ludzi.

– Pilnowali cię, kiedy Artur chorował?

– On sam nie spuszczał mnie z oka. Czasami nawet jak spał, trzymał mnie za rękę. Nie pozwolił mi iść na pogrzeb Dawida. Wiedziałam, że wtedy te jego boleści były udawane, ale bałam się, że pod moją nieobecność coś sobie zrobi... Ach... Nie mówmy o tym, dobrze? Przecież opowiadałam ci...

– ...o skrzypcach.

– Właśnie. Kiedy spróbowałam znowu grać, byłam załamana utratą sprawności. Czasem warto odłożyć instrument, żeby pożyć. Bo przecież muzyka jest odzwierciedleniem emocji, uczuć, doświadczeń. Tego mi akurat nie brakowało, ale płynność w grze przepadła. Ta długa przerwa był

zabójcza. Próbowałam grać mojego ukochanego Brahmsa, ale to była egzekucja. Więc znów czytałam książki, a potem sama zaczęłam pisać powieść. Po cichu, żeby Artur mnie nie wyśmiał. Lauren Potter przeczytała połowę. Jest oczarowana. Wydam to pod moim panieńskim nazwiskiem. Artur niech się wypcha.

– Romans?

– Pewnie.

– Miłość, rozczarowanie, zauroczenie, zdrada...

– Mniej więcej.

– Literatura jest odzwierciedleniem emocji, uczuć, doświadczeń...

– Mądrała. Nie zabijasz, żeby napisać o zabójstwie.

– Ale warto pokochać, żeby nie szeleściło papierem.

– Nie pomyślałeś... Nie uważasz, że jestem tu z tobą, bo tak mi źle z Arturem, odgrywam się na nim, rewanżuję?

– Jestem na to zbyt zarozumiała.

– Hanni, bądź poważny.

– Gdyby Artur był inny...

– Nie. To bez znaczenia. Ja nawet miałam sny, czekałam na coś takiego. Nawet wtedy, kiedy zdawało mi się, że jestem szczęśliwa, kiedy byłam w ciąży. Śniło mi się to, zapomniałam, znowu się śniło, zapomniałam. Potem czekałam, aż znowu się przyśni. I śniło się. Zawsze po takiej nocy czułam się odmieniona, pełna nadziei, ciekawości.

– Kochamy dla siebie, a nie przeciwko komuś, prawda?

– Tak...

– Zabrzmiało jak cytat...

– Właśnie...

– Czytałaś „Piękne myśli”?

– Naturalnie.

61.

– Kiedy ta książka ukazała się w sprzedaży, byłam zdumiona, poruszona. Nie mogłam uwierzyć... Najpierw zastanawiałam się, skąd się wzięła. Dawid nie mówił, że powstaje coś takiego.

– Byłaś urażona, że pisze w tajemnicy przed tobą?

– Nie miał żadnego obowiązku... No tak, w pierwszej chwili było mi przykro... Właściwie poczułam się zdradzona. Nie zrozum mnie źle. Przecież omawiał ze mną swoje powieści kartka po kartce. Najpierw to była zabawa, potem przyjemność, obowiązek, praca. Pisał o miłości, o kobietach, które o miłości marzą, mówią, myślą. Czasami narratorem była kobieta. Chyba się domyślasz, dlaczego nadawałam się na konsultanta.

– Arturowi to nie przeszkadzało?

– Dawid potrafił zjednywać sobie ludzi. Nigdy nie dał tego po sobie poznać, ale Artura uważał za psychicznego kalekę, współczuł mu, okazywał życzliwość, taką koleżeńską sympatię dla dziwoląga. Nie było tego za wiele, widywali się rzadko, ale wystarczyło, żeby Artur go polubił, nawet mu zaufał. Oczywiście do momentu, gdy ktoś nie wzbudził w nim szalonej zazdrości. Odpocznijmy od Artura, dobrze?

– Więc było ci przykro...

– Tak, ale potem pomyślałam, że to jakiś brudnopis, że Dawid czegoś podobnego nigdy by nie wydał, w tej postaci nawet by mi nie pokazał. Zresztą jak miał pokazać? Na pewno pisał, kiedy Artur był chory. Nie

chciał mi zawracać głowy, to nie w jego stylu. Był w porządku, jak zawsze, a potem zginął.

– Nie podejrzewałaś, że to napisał ktoś inny?

– Nie, to niemożliwe. Chociaż jest tyle znaków zapytania... Nigdy tak nie pisał, tylko zwyczajnie, po kolei, od początku do końca. Ale to na pewno jego praca. Uwierz mi, wiem to lepiej niż ktokolwiek inny, choćby Lauren Potter.

– Byłaś u niej?

– Pewnie. Uważałam, że wyrządziła Dawidowi krzywdę, przedstawiła fałszywy obraz jego metody twórczej. Oszukała czytelników. Wyobraź sobie, że ćwiczę na skrzypcach, nietypowo, bo próbuję czegoś innego, jeszcze bez pewności, czy to ma sens. Ktoś bez mojej wiedzy to nagrywa i wydaje, sugerując, że ja tak gram Prokofiewa. To niedopuszczalne. Lauren postąpiła tak samo. Miałam ochotę nakrzyczeć na nią.

– Nie nakrzyczałaś.

– Nie, to przecież staruszka. Przede mną był u niej taki podejrzany typek. Powiedziała mi, że to jej syn. Gdyby nie wydała książki i nie spłaciła go, źle by skończył. Popłakałyśmy sobie razem z tęsknoty za Dawidem. Ona strasznie go kochała.

– Ty też.

– To było nieuniknione...

62.

- Myślisz o Joannie? – zapytała.
- Nie daje ci to spokoju?
- Okropnie dokucza. Wyobrażam sobie, że ożenisz się z nią, będę was spotykać i okropnie cierpieć. Albo myśleć o tym, co robicie razem i będzie mi żal, że nie robisz tego ze mną.
- A jednak umyślnie zaprosiłaś nas oboje.
- Chciałam sprawdzić, jak silne będzie ukłucie w sercu.
- Jakie było?
- Bardzo silne. W pierwszej chwili zrobiło mi się niedobrze.
- Mnie też.
- Co myślałaś?
- Dobrze wiesz.
- Nie lubisz Artura?
- Nie.
- Nie dałeś tego po sobie poznać.
- Ja nie zauważyłem, że jest ci nieprzyjemnie.
- Artur też nic nie zauważył. Najwyżej dostrzegł moje szczere przekonanie, że idealnie pasujecie do siebie. Jesteście rówieśnikami, oboje piękni, zdolni, odważni... Musiałby się zdarzyć jakiś kataklizm, żebyście to zaprzepaścili...
- Uważasz się za kataklizm?

- Powinnam?
- Patrzyłaś na nią i wyobrażałaś sobie, jaką ma nad tobą przewagę.
- Całkowitą.
- Jak wiele z Joanną mógłbym osiągnąć.
- Właśnie.
- Jakie ładne mielibyśmy dzieci.
- Na pewno byłyby ładne. Nie gniewaj się, męczy mnie ta wyliczanka.
- Mnie też. Tyle w niej zdrowego rozsądku...
- Masz coś przeciwko zdrowemu rozsądkowi?
- Jest nudny.
- Konieczny.
- Czasem zbyt standardowy. Który z bohaterów zasługiwałby na obecność w książkach napisanych przez ojca i ciebie, gdyby posługiwał się wyłącznie zdrowym rozsądkiem?
- To tylko książki.
- A to, że jesteś tu ze mną...
- Tu mnie masz...
- Żałujesz?
- To najcudowniejszy brak rozsądku o jakim można zamarzyć. Hanni... A ty? Wybrałaś kobietę o wiele starszą od ciebie, która już nie umie grać na skrzypcach, do tego matkę dwojga dzieci i żonę potwornego zazdrośnika...
- Ryzykowne, zupełnie nieodpowiedzialne.
- I tylko tyle?
- W zasadzie tak, może z wyjątkiem pewnego drobiazgu.
- Drobiazg... Niech będzie drobiazg.
- Znalazłem się w najpiękniejszym miejscu świata z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.
- Aha... – Rzuciła mi ciepły uśmiech. – Powiedzmy...

– Durna jesteś.

Wytargała mnie za ucho.

– Bo cieszę się jak durna. Nigdy tyle rzeczy naraz nie wprawiało mnie w cudowny nastrój. No popatrz, w łazience złamałam paznokieć. Powinnam syknąć, trochę się wkurzyć, a ja pocałowałam palec. Kochany jest.

– Który?

Wcelowała mi w nos czubkiem kciuka.

– Wiesz, od początku wydawał mi się nadzwyczajny.

– Masz rację, czasem wystarczy pokochać brak zdrowego rozsądku i nagle chce się żyć. Albo spojrzeć ci w oczy... Kiedyś nie byłam pewna, czy to ty zarzuciłeś nimi lasso, skrępowaleś mnie, obezwładniłeś czy to ja sama pragnęłam być uwiedziona. Ale teraz wiem, że pewne rzeczy dzieją się same, tak działa przeznaczenie. Po prostu spojrzałam na ciebie i ta myśl nadeszła bezwiednie: Należę do niego.

– Nastraszyłaś mnie, gdyby tak moja gosposia...

– Hanni...

– Tak?

– Otwórz się trochę, powiedz...

– Nigdy... Nigdy nie spotkałem kobiety, która tak chodzi. W tym jak to robisz jest wrodzona elegancja i taneczny wdzięk. Każdy twój gest to ujmująca lekkość, dotykasz z subtelną starannością i niespotykanym szacunkiem. Mam wrażenie, że w twoich palcach nawet widelec zasługuje na uznanie, staje się wartościowym instrumentem, czuje się wyróżniony i nagrodzony.

– Kpisz sobie ze mnie...

– Jestem olśniony sposobem w jaki poprawiasz włosy, układasz usta do pocałunku...

– Hanni...

– ...jak patrzysz z ciepłym bezbronnym zaufaniem. Wzrusza mnie łagodny kształt twoich ramion. Jestem w rozterce, kiedy widzę twoje piersi, muszę coś zrobić z dzikim pożądaniem, bo zasługujesz na delikatne pieszczoty, a zarazem na jakąś nieprzejednaną boską przemoc, żebyś w tej samej chwili ponad wszystko czuła się upragniona, szczęśliwa i kochana. Kiedy się otwierasz...

– ...chcę należeć do ciebie bez reszty, zapomnieć o sobie, poczuć cię tak, jakbym na zawsze miała żyć tym jednym wspomnieniem. Hanni...

– Kochanie...

– Czułam się tak...

Zmarszczyła czoło, zadrżały jej usta i wpatrywała się we mnie z dotkliwym przecuciem nadchodzącej tęsknoty.

– Nie pozwolę ci na jedno wspomnienie – powiedziałem.

– Sama o to zadbam – odparła.

Odebrała mi kieliszek, odstawiła oba na barek i zanurkowała pod kołdrę.

– Mogę? – zapytała.

63.

– Cześć, ukochany.

– Cześć śliczna.

– Jest już dobrze po południu, wiesz?

Pałace słońce opierało się na górnej krawędzi okna. Musiałem osłonić się dłonią, żeby dobrze zobaczyć strapioną twarz Alicji. Siedziała przy łóżku w czarnym eleganckim żakiecie. Pachnąca i nieskazitelna, ale z torbą na kolanach jak niecierpliwa pasażerka, która czeka na spóźniony autobus. Patrzyła na mnie przez okulary, od czego zdążyłem odwyknąć.

– To pora, kiedy dobre wróżki znikają?

– Niestety tak – odpowiedziała. – Dziewczynki niedługo wrócą z wycieczki. Wolę być przed nimi. Lepiej, żeby nikt mnie nie poszukiwał, nie zastanawiał się, gdzie jestem.

– Artur?

– Będzie później.

– Nie chcesz, żebyśmy wyjechali razem?

– Bardzo chcę, najlepiej w innym kierunku...

– Rozumiem.

– Nie ryzykujmy, dobrze? Kochany... Nie musisz zamykać domu. Katarzyna się tu kręci, przycina krzewy. Nie spiesz się, najpierw coś zjedz.

– Dobrze.

– Zadzwoń... Zobaczymy się najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Daj buziaka, co?

Byłem ostrożny, żeby nie pognieść jej ubrania, ale nie dbała o to.

– Troszkę sobie popłaczę – powiedziała mi na ucho. – Ale to już w samochodzie.

– Popsujesz sobie makijaż.

– Nie mam – powiedziała z zawstydzeniem, jakbym zniecka zdekonspiował jej urzekającą urodę.

– No to sobie popłacz – powiedziałem.

– Kocham cię, Hanni. Na zawsze, wiesz?

– Uwielbiam cię, dobra wróżko – odparłem. – Zmykaj, bo mój makijaż ucierpi.

Wyszła szybkim zdecydowanym krokiem. Czuję, że zmusza się do tego, żeby nie zmienić zdania i wbrew zdrowemu rozsądkowi już się stąd nie ruszyć.

64.

Przed bramą popiskiwały osie staroświeckiej bryczki wleczonej przez konia. Wodził łbem tuż nad ziemią i skubał rzadkie poletka trawy. Wrzuciłem torbę do samochodu i zatrzasnąłem bagażnik. Chyba za głośno, bo z krzaków dobiegł mnie jęk. Z klęczek podniosła się staruszka i patrzyła na mnie z ręką na klatce piersiowej. W drugiej trzymała sekator.

– Przestraszyłem? Przepraszam – powiedziałem.

– O mało serce mi nie wyskoczyło... Aluś powiedziała, że kogoś gości, ale zamyśliłam się przy robocie...

– Pani Katarzyna?

– Aha.

W chuście podwiązanej pod brodą i bez paradnej sukni w niczym nie przypominała dziarskiej wieśniaczki z obrazu Dominique. Krucha kobieta w szarej koszuli i zielonej spódnicy zdawała się ukrywać w zaroślach, jak występujący tylko w tych stronach rzadki gatunek. Przyglądała mi się spłoszonym wzrokiem jelenia zaskoczonego przez łowczych.

– Pięknie dzisiaj – zagadałem.

– Chwalić Boga dzień nienajgorszy – odparła oschle.

– Zaraz wyjeżdżam, może napilibyśmy się herbaty?

– Nie lubię herbaty.

– Szkoda, każdy pretekst jest dobry, żeby tu jeszcze pobyć.

– Masz papierosa?

Podeszła dopiero wtedy, kiedy wyjąłem paczkę. Przy okazji przypomniałem sobie, że już prawie nie palę.

Zaciągnęła się dymem i kiwając głową, spojrzała na dom.

– Taki luksus i stoi pusty. Francuzi raz do roku przyjadą na trochę, Aluś czasem wpadnie i zaraz ucieka, jakby się bała, że dłużej pobyc w tym rajy nie wypada.

Naśladując jej gest, rzuciłem okiem na okolicę, którą stanowił nieprzenikniony sosnowy las.

– Raj?

– Raj.

– Do Emp jest niedaleko, dlaczego nikt inny nie osiedlił się tutaj?

– Miałam dwóch mężów, obu namawiałam. Nie pili, nie palili, wcześniej szli spać, wcześniej wstawali, porządni byli i pracowici. Ale bali się, martwili, oszczędzali, pilnowali dobytku. Ciągłe mówili: „Co to będzie”. A śnieg, a deszcz, a susza. Wszystko szkodliwe, niebezpieczne. Mieszkać w tym rajy też źle, bo zagarnąć dla siebie tyle dobrego, to zachłanność, grzech. A jak ktoś ma same zgryzoty, to zawsze coś się go czepia, wrzód się jakiś przyplącze. No i młodo pomarli. Aluś też ma ciężkie życie. Chyba bogata, ale jakaś zmartwiona, markotna. Śmieje się pięknie, ale ja swoje wiem.

– Niczym się nie przejmować... Jak to zrobić?

– Całkiem głupi to się niczym nie przejmuje. Jeden plunie na wszystko i schodzi na psy, drugi lata jak kot z pęcherzem, sam nie wie, kiedy przeputa najlepsze lata. Ja jedna z Emp pobylałm trochę w mieście, to swoje wiem. Jak który magistrem chce zostać, samochód kupić, urządzić się, to dobrze. Ale niech żadnej nie przepuści, zanim się nie ożeni. Niech wypije, jak stawiają, bawi się, śmieje. Serce mi się kraje, jak widzę te zasuszone

stare panny, co tylko lecą do pracy i z pracy albo chłopaków co dla kariery sobie wszystkiego odmawiają. Co to za życie, jak tego życia się nie kocha?

– W życiu liczą się różne rzeczy. Niektórych praca cieszy bardziej niż hulanki.

– Ja nie wiem wszystkiego, nie jestem uczona. Ale tak myślę, że jak ktoś pracuje, bo musi, a potem jeszcze pracuje, bo lubi, to już chyba nic innego nie robi. Jaki z niego pożytek ma rodzina? Czy można mieć przyjemność, jak inni ludzie przeszkadzają? Nie trzeba pić, żeby dobry kawał opowiedzieć, pożartować, potańczyć albo pójść na grzyby i razem je usmażyć na fajerkach. Ja jeszcze takiego koguta nie widziałam, żeby za kurami nie latał. Chyba że to nie kogut.

Spojrzała na mnie wprawnym okiem znawcy drobiu.

– To dobrze, że przyjechałaś. Aluś zrobiła się całkiem inna. Nigdy jej takiej nie widziałam. Seks jest w porządku.

Zaskoczyła mnie, ale nie dałem tego po sobie poznać.

– I tak wiem, co myślisz. Że co ta stara wygaduje. A ja lubię to słowo. Jak myślę, że coś jest bezbożne, to nie sąsiadek, tylko Boga pytam. Czasem odpowie. Do kościoła za często nie chodzę. Mam trochę za daleko. Ale z Bogiem rozmawiam, tak po swojemu. Idę do lasu, widzę go w drzewach albo jak ptak przeleci. On jest gdzieś tutaj. Jesteśmy razem i nigdy nie jestem samotna. Nawet wspólnie żartujemy. Dobry jest.

– Dlatego to miejsce jest rajem?

– Tutaj człowiek staje się lepszy, myśli się rozjaśniają, jak tu jesteś, wiesz, dokąd masz iść i co zrobić. Nie czujesz tego?

– Nie wiem...

– Czego ja się spodziewałam... Mieszczuch. Myśli sobie: dziwny dom, kawałek lasu, ładne rośliny, i to wszystko?

– Coś w tym rodzaju.

– Przynajmniej nie kłamie. Chodź, pokażę ci coś.

Zaprowadziła mnie za dom krętą ścieżką wzdłuż zadbanych kwiatowych rabat i kwitnących krzewów. Powinienem się domyślić, że nie ma tam lasu, bo przez okno widziałem tylko wierzchołki kilku drzew. Brzozy otaczały niewielką polankę zarośniętą dzikimi kwiatami. Tuż za nią tkwiły w ziemi osobliwe skały przypominające ludzi w obszernych pelerynach łopocących na wietrze. Za nimi nagle kończyło się Emplarium. Była tylko zapierająca dech kosmiczna przestrzeń unosząca się nad spadzistym, niemal pionowym urwiskiem schodzącym wprost do ogromnego jeziora. Nad nim nurkowały i wzbijały się pod niebo miliony ptaków. Oszłamiający pejzaż wypełniony górami i dolinami dosłownie rozpętał się przede mną. Stałem na krawędzi i zachwiałem się, kiedy nagle przemknęło mi przed nosem hałaśliwe stado dzikich gęsi.

Staruszka mocno chwyciła mnie za rękaw.

– Nie mówiłam? To On!

65.

Kiedy zobaczyłem Chat, odezwał się telefon z powiadomieniem o połączeniach nieodebranych. Matka dzwoniła dwa razy, kilkakrotnie Joanna i ktoś niezidentyfikowany, choć zdawało mi się, że ten numer już kiedyś się wyświetlił.

Raj powinien mi rozjaśnić myśli. Nie rozjaśnił. Nie wiedziałem, gdzie powinienem pojechać. Nie chciało mi się rozmawiać. Matka zapewne próbowała mi przypomnieć o rocznicy i mogła mieć pewność, że przypomniła. Kiedy zastanawiałem się, co powiedzieć Joannie, nadszedł SMS od Alicji.

„Kocham cię, kochanie moje”.

Należało wracać do Val. Jednak nie wiedziałem, kiedy się spotkamy, a wydawało mi się, że nic innego nie mam tam do roboty. Mieć ją w zasięgu ręki i nie zobaczyć... Pomyślałem, że będzie mnie trochę nosiło. Może nie tylko trochę... Artur... Wolałem inną przeszkodę, byle jaką, ale skuteczną i mniej dokuczliwą.

Zatrzymałem auto na poboczu drogi przed skrzyżowaniem. W prawo do Val, w lewo do Nig, prosto do Bai. Każdy kierunek był zły. Postanowiłem pojechać za pierwszym nadjeżdżającym samochodem. Nadjechała ciężarówka.

Znów jechałem do Nig. Nie wiadomo po co, bez pośpiechu. Coś mi chodziło po głowie, jakiś inspirujący szczegół, coś, co powiedziała Alicja,

może Katarzyna... Nie potrafiłem wyłowić tego z pamięci, skupić się na czymkolwiek. Czułem, że do niczego się nie nadaję.

Tuż przed centrum Nig wydarzył się wypadek, utknąłem w korku. Byłem w złym nastroju, choć ani tempo, ani kierunek jazdy nie miały znaczenia. Z prawej strony mignęła światłami i pomachała do mnie uśmiechnięta brunetka za kierownicą jeepa. Chciała się włączyć do ruchu. Ustąpiłem jej miejsca i sam skręciłem w prawo, parkując pod marketem, którego dolne piętro stanowił bar McDonalda. Dopiero teraz przypomniałem sobie radę Alicji, żeby przed wyjazdem coś zjeść. Byłem potwornie głodny.

W barze kotłowała się gromada młodych ludzi w przepoconych t-shirtach i ciężkich traperach z wyłożonymi na spodnie grubymi skarpetami. Płaskie aseksualne dziewczyny i chłopcy z zadatkami na alfonsów pili, jedli i przekrzykiwali się. Działali mi na nerwy. Z trudem przeciskałem się między porozrzucanymi plecakami, zastanawiając się, co się ze mną dzieje. Czy można mieć przyjemność, jak inni ludzie przeszkadzają? Katarzyna miała rację. Zamówiłem picie, megaburgera na wynos i poszedłem do samochodu.

Znajoma twarz taksówkarza, który przywiózł pod bar dwie zakonnice, podsunęła mi prosty plan działania. W markecie kupiłem lornetkę i pojechałem do Pal.

Taksówkarz poszukujący ukrytej kliniki pomylił się raz, ja dwa razy. Kiedy już wiedziałem, że jadę w dobrym kierunku, w lusterku wstecznym dostrzegłem mężczyznę w rozpiętej koszuli niezdarnie wybiegającego z lasu wprost na drogę. Rzucił torbę na pobocze i rozglądał się na wszystkie strony. Jego sylwetka wydała mi się znajoma. Zatrzymałem samochód. Był za daleko, żeby go rozpoznać. Sięgnąłem po lornetkę, ale widok zasłoniła przejeżdżająca furgonetka. Mężczyzna wybiegł na środek drogi i zaczął machać rękami przed hamującym pojazdem. Zamienił z kierowcą najwyżej

dwa zdania, otworzył drzwi i wrzucił bagaż do środka. Kiedy wsiadał, udało mi się nastawić ostrość. Ruszyłem za furgonetką.

Na pustej drodze nie chciałem jechać zbyt blisko, ale zauważyłem, że biały mercedes sprinter ma numery rejestracyjne z Val. Kierowca nie spieszył się. Kiedy skręcił do Nig, postanowiłem je ominąć, jadąc dłuższą, ale mniej uczęszczaną drogą do Bai. Stamtąd miałem nadzieję dotrzeć przed mercedesem na skrzyżowanie. To samo, na którym zastanawiałem się, co zrobić z resztą dnia.

Zważywszy na niezliczone zakręty, ślamazarne stado krów, a potem tłum leniwie przechadzający się po ulicach Bai, wybór nie był najlepszy. Trochę nastraszyłem rozbawione towarzystwo warkotem silnika i slalomem między samochodami obok głównej promenady uzdrowiska. Ludzie z wraskiem uskakiwali przed karoserią, wyrażając mi zaciśniętymi pięściami. Pędziłem na złamanie karku, nasłuchując policyjnej syreny. Nikt mnie nie ścigał. Tłum zamknął się za mną jak nałożone na siebie fale za motorówką.

Do skrzyżowania podjechałem powoli, rozglądając się jak znudzony turysta. Zatrzymałem samochód pod drzewami i zapaliłem papierosa. Pod zachmurzonym niebem zerwał się silny wiatr. Przez drogę z okolicznych pól przeleciała chmura piachu. Z oddali sprinter wyprzedzany przez wszystkie samochody zdawał się stać w miejscu. Jednak nie poruszał się zbyt wolno. To inni na szerokiej szosie pędzili jak szaleni. Z przeciwnej strony mignął mi przed oczami szary ford transit. Zbyt dobrze znałem ten pojazd, żeby się nie domyślić, czego tu szuka.

Kierowca mógł nie zauważyć pasażera mercedesa i pognać dalej. W pierwszej chwili wydawało mi się, że tak się stanie. Pojazdy minęły się z dużą prędkością. Jednak kierowca transita nagle wyhamował, przepuścił nadjeżdżające auto i zamierzał zawrócić. Kiedy zaczął zakręcać, z całych sił

skoncentrowałem się na lewym przednim kole transita. Pojechał zbyt szerokim łukiem i zderzakiem zarył w rowie.

Piłowanie silnika na wstecznym nie pomogło. Ford ledwie się zakołysał. Z samochodu wyskoczyło dwóch ludzi. Próbowali wypchnąć pojazd na szosę. Szło im nieco lepiej, mimo to raz po raz zniechęcały ich klaksony przejeżdżających aut. Wreszcie jeden z mężczyzn machnął ręką i zaczął się przechadzać poboczem z telefonem komórkowym przy uchu.

Pojechałem za mercedesem.

Nie musiałem długo się zastanawiać, czy przygodny pasażer wie, że został spostrzeżony przez dwóch ludzi z forda. Rozważny do tej pory kierowca mercedesa brawurowo ścigał się z innymi samochodami. Dopiero na stromym długim podejździe nie mógł rozwinąć dużej prędkości. Kiedy wtoczył się na górę, nieoczekiwanie skręcił w lewo. Tą drogą mógł dojechać tylko do autostrady, a stamtąd do Ost lub Val, ale z kierunku, z którego nikt się go nie spodziewał.

Wybrał Val. Zapadał zmierzch, kiedy mercedes zatrzymał się nieopodal centrum. Oskar Kraft całkiem żwawo jak na starca opuścił samochód i szybkim krokiem udał się do „Café Douglas”. Po kilku minutach był z powrotem. Zapłacił kierowcy gotówką, odebrał bagaż i machnął mu na pożegnanie. Kiedy ten odjechał, stary założył wygrzebaną z torby marynarkę i znów skierował się do lokalu. Najwyraźniej przypomniał sobie, ile ma lat, bo teraz już człapał, jedną ręką niemal wlokąc torbę po chodniku, drugą daremnie poprawiając czuprynę siwych włosów, z którymi wiatr robił, co chciał.

Odczekałem kwadrans na sąsiednim parkingu. Ze schowka obok kierownicy wziąłem dyktafon i poszedłem za Oskarem.

66.

„Café Douglas” była dużą drogą knajpą tonącą w półmroku i poszatowaną intymnymi gabinetami, do których kelnerzy nie wchodziłi bez pukania. Jeśli ktoś miał zamiar pozwolić sobie na więcej, wynajmował pokój na piętrze. Jeśli chciał wyjść z ukrycia, miał do dyspozycji kasyno w luksusowej piwnicy lub stoliki obok parkietu. Co kilka dni kilkusobowy zespół przygrywał do tańca. W założeniu był to idealny lokal dla ludzi, którzy nie chcieli być przyłapani na potajemnej schadzce. Ale właścicielka przedobrzyła z pomysłem oczywistym jak flaga narodowa. Kochankowie obawiali się dekonspiracji, a gracze etykietki bywalców burdelu. Lokal należący do Janet Douglas cieszył się niewielkim powodzeniem jeszcze zanim odczuła skutki reputacji ojca, któremu ułatwiłem pobyt w więzieniu.

Wszedłem do środka tuż za trzema dziewczynami. Nie były zbyt atrakcyjne, ale skąpy ubiór i odważny makijaż dość jednoznacznie wskazywały, na co mają ochotę. Kiedy w otwartym gabinecie zobaczyłem starego Krafta, niby to przypadkiem potrąciłem jedną z dziewczyn. Na podłogę upadła otwarta torebka. W innych okolicznościach przeprosiny i zbieranie damskich drobiazgów mogło być początkiem miłego wieczoru, ale miałem tylko nadzieję, że Kraft to zobaczy. Podniósł głowę znad talerza, przestał przeżuwać i przez grube szkła gapił się na wypięty tyłek podnoszącej szminkę blondyny. Natknął się na moje spojrzenie, wydał usta i wyciągniętym kciukiem pogratulował mi towarzystwa. Kiedy dziewczyny

zniknęły z jego pola widzenia i odwróciły się, pożegnałem je mrugnięciem oka i ruchem dłoni, po którym mógł się domyślić, że na mnie poczekają.

Oskar najwyraźniej miał nadzieję, że nie zostawię go samego. Wstał, jak to on zakłósał się na ugiętych kolanach i przywitał ze mną mocnym uściskiem dłoni.

– Co za niespodzianka! Zapraszałem pana do siebie, ale nie przypuszczałem, że okazja nadarzy się tak prędko. Proszę ze mną usiąść. – Wskazał mi miejsce przy stoliku. – Kobiety przecież nie uciekną, mam rację?

– Niekoniecznie...

– Zdawało mi się... – Był zawiedziony.

– Nie jestem do nich przywiązany. Jeśli nie te, będą inne. – Czułem, że ten tok rozumowania najbardziej mu odpowiada.

– O to chodzi, o to chodzi. – powiedział z entuzjazmem. Zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle, jakby zamierzał siłować się ze mną na rękę – Nigdy nie widziałem pana u Janet. Zagląda pan tu czasami?

– Nie, dziewczyny uparły się na ten lokal.

– Błąd! Proszę spróbować pstrąga z grzybami. Świetny. No i koniecznie musimy się napić.

– Nie odmówię ryby, ale prowadzę. Wypiję tylko piwo – odparłem.

– Rozumiem... – Posłał mi porozumiewawcze spojrzenie. – Zanim do czegoś dojdzie, towarki lubią się powłóczyć po mieście. – Zaklaskał w dłonie. – Napiję się wódki. Nie będzie to panu przeszkadzało?

– Jeśli po alkoholu nie będzie się pan do mnie dobierał...

Zaryczał ze śmiechu.

W stół wbudowany był mikrofon. Oskar włączył go za pomocą pokrętki. Wcześniej próbował zjeść obfitą porcję mięsa z frytkami, ale zagadał się ze mną i prawie wszystko wystygło. Zamówił dwa pstrągi,

zestaw sałatek, piwo i butelkę wódki. Po namyśle dorzucił jeszcze chipsy i orzeszki. Niebawem pojawił się kelner z alkoholem. Chciał napełnić kieliszek, ale Oskar sam się tym zajął. Wypił, nabrał powietrza i chuchnął.

– No, to gdzie pan zgarnął te cielęcinki?

– Same się przylepiły – powiedziałem, sięgając po kufel.

– Ha! Jak ja panu zazdrozczę. Wieku, wolności, możliwości. Żeby tylko tego... – Oskar rzucił okiem pod stół i zmarszczył brwi.

– Wiedziałem, że moje nowe skarpetki zrobią furorę – powiedziałem.

– Pożycz mi pan? – Kraft znowu zaczął rechotać tym swoim zaraźliwym śmiechem przechodzącym w kaszel. – Błagam!

Wystawił nogi spod stołu i podniósł nogawki. Ucieczka z kliniki musiała być spontaniczna, bo na skarpety zabrakło mu czasu.

– Zapomniał pan nawiercić dziurki w trzewikach, byłyby bardziej przewiewne – powiedziałem.

Kraft wył ze śmiechu.

– Racja, cholernie uwierają! Ale za tę wentylację musi mnie pan pochwalić.

Podniósł rękę do góry. Koszula pod pachą była mocno rozerwana.

– Salwował się pan ucieczką... – zgadywałem.

– Tak! – Oskar trzepnął dłonią w stół.

– Ogrodzenie?...

– Ciepło, ciepło... – Kraft znów nalał sobie wódki i szybko wypił, z wytrzeszczem wyczekując dalszego ciągu.

– Metalowe ze szpikulcami...

– Zgadza się!

– Zaraz, zaraz...

– No no...

– Czy jakiś pies nie próbował odgryźć panu tyłka?

– Jezusie nazareński! To niemożliwe, skąd to panu wskakuje do głowy?!

– Kraft poczerwieniał jak burak. – Jaka rasa?

– Czy ja wiem... Doberman?

– Rottweiler!!! – Moja pomyłka uszczęśliwiła go. – Jezusie, już myślałem, że mam do czynienia z samym Lucyferem! Ale Hanussen miałby przy panu kompleksy. I jeszcze zżarłaby go zazdrość. Wie pan, kogo mam na myśli.

– Nie bardzo.

– Ale udaje! No, jak jej tam...

– Niech pan wypije za nas obu, bo ja też nie pamiętam...

Kraft jeszcze napuchł ze śmiechu.

– Po co babom imiona, nie wystarczyłyby numery?

– Na przykład szkaradna, S pięćdziesiąt cztery?...

–...albo upiorna, U trzysta dwadzieścia pięć...

– Z drewnianą nogą, ZDN czterdzieści dwa. Psiakrew... – Kraft wciąż próbował odzyskać pamięć. – Wcale nas to nie posuwa do przodu.

– Nic dziwnego, na drewnianej nodze?

Znów zarzuciło go spazmatycznym śmiechem. Nalał sobie, stuknął kieliszkiem w kufel i wypił.

– Joasia! – wykrzyknął.

– Bingo!

– Jezusie nazareński... – Kraft spojrział na butelkę z namiętą wdzięcznością. – Kiedy patrzyłem na tę pańską... jak jej tam...

– Joasię.

– Właśnie... Co ja to chciałem powiedzieć... Nie zaszkodziłoby jej troszkę podkarmić, ale jaka to ozdoba dla mężczyzny... – Zachwycił się. – Błyszczący jak diament. Na dodatek jaka grzeczna, uprzejma, domyta, jak

pachnie... – Przymknął oczy, pokręcił głową i nabrał powietrza przez nos. –
Szczęściarz z pana.

– Chciał pan powiedzieć: szczęściarz, który łajdaczy się z panienkami
w „Café Douglas”?

Kraft spojrział na mnie z dezaprobatą.

– Tak by powiedziała pierwsza z brzegu sekutnica albo jakiś
zdurnowaciały pantofel. Nie ja! I nie mów mi per pan, to mnie postarza!

– Dobra, ale Oskar to głupie imię.

– Zupełnie jak twoje! – wykrzyknął. – No powiedz, co nas różni poza
wiekiem?

– Chyba nic – odparłem.

– Gdzie się podziewałeś, chłopcze? – Rozłożył ręce. – W Val wszyscy
powinni cię zapraszać, zamiast trząść się ze strachu! Co za idiotyczne
miasto...

67.

Zadziwiał mnie niestrudzoną żywotnością. Wstawał, siadał, machał rękami, skubał się za włosy. Sprawiał wrażenie psa, który zerwał się z łańcucha i wyłazi ze skóry, żeby nacieszyć się nagle odzyskaną wolnością. Alkohol tego nie ułatwiał. Pił jednego za drugim. Tryskał humorem i błyskawicznie dojrzewał jak krwistoczerwony pomidor gotów w każdej chwili eksplodować.

Gadał jak najęty. Kiedy kelner przyniósł jedzenie, odsunął się od stołu, robiąc miejsce na talerz i trzymał otwartą dłoń tak długo, aż mógł ją zacisnąć na widelcu. Jadł mechanicznie, jakby nieświadom tej czynności. Gadał, gadał i gadał. Zajęty sobą nie zauważył, że odstawiam kelnerowi na tacę niedopitą butelkę wódki i zamawiam kawę.

Stary Kraft snuł opowieści o własnych miłosnych przygodach. Przynajmniej kilka z nich nadawało się na zgrabne dowcipne nowele. Wszystkie uzasadniały postawioną przez niego tezę, że przy jednej dziurze kot zdechnie. Mimo wszystko był bardziej dosadny niż wulgarny i szczerze uradowany, że znalazł cierpliwego, wiernego słuchacza.

W rzeczywistości nudziłem się i czekałem, aż osłabnie, jego entuzjazm zacznie dogasać, a przemęczony organizm dopominać się lekarstw i snu.

– Czarna była, jak Włoszka, trochę jak ta zmysłowa dojrzała piękność... Jak jej tam... Monica Bellucci. Szalenie atrakcyjna, ale przecież nie

chciałem jej zatrzymać na zawsze. Nigdy takich rzeczy nie obiecuję, nie daję gwarancji. To przecież uczciwe, nie uważasz?

– Jasne – odparłem.

– Po jakimś czasie, jak zwykle poszedłem swoją drogą. Powinna zrobić to samo, ale nie zamierzała. Fakt, nie musiała szczególnie się wysilać, żeby znowu zaciągnąć mnie do łóżka. Ale było tyle sygnałów, że coś kombinuje. Teraz bym wiedział, ty byś wiedział. Wtedy nie wiedziałem, a ona zaszła. Wkroczyła rodzina. Zareagowali modelowo: chłopak jeszcze musi się wyszaleć, dziewczyna dostanie dobre pieniądze, niech usunie. A ona w bek, że za żadne skarby! No to mówię: „Dobra, ożenię się”. Przecież to nie powód, żeby zmieniać przyzwyczajenia. Zresztą, jak jej się nie spodoba, też może robić, co chce albo mnie rzucić. Lubię proste rozwiązania. Nie miałem pojęcia, że jest taka nietypowa.

Nie od razu zauważyłem, że arsenał anegdot został wyczerpany. Kraft jeszcze był trzeźwy, mówił składnie, ale coraz wolniej. Dziobał widelcem sałatki, obracał w rękach filiżankę, patrzył na fusy i stawał się kimś innym. Nie był już rozbrykanym, dziarskim facecjonistą, bardziej gawędziarzem poszukującym pouczającej puenty.

– Najpierw urodził się Artur, zaraz potem Max. To były jeszcze maluchy, a już bez przerwy gderała, że źle się prowadzę i daję zły przykład chłopcom. Powiedziałem, że pieniędzy jej nie zabraknie i może wychowywać dzieci z dala od grzesznego ojca. Odpowiedziała, że to niemożliwe, bo gdyby odeszła, sama dałaby im zły przykład. Rozumiesz, nic niepojmującym brzdącom chciała udowodnić wyższość wartości nad moralnym bezhołowiem. Naturalnie moim moralnym bezhołowiem. I wiesz, czego ich nauczyła?

– Niczego.

– Oczywiście. Max jest taki jak ja, ale na publicznym stanowisku, więc bardziej dyskretny. Artur taki jak matka. Dramat. Po prostu nie umie żyć.

Zamówiłem zimne napoje. Nie zauważył tego.

– Mówiłem jej: „Nie chcę twojej wierności, nie bierz mnie pod uwagę, już mnie nie pociągasz, nie interesujesz. Będziesz szczęśliwa beze mnie”. I wiesz, co odpowiadała? Że jest szczęśliwa! Wielkie nieba! Co byś zrobił z taką kobietą?

– Nie mam doświadczenia. – Wzruszyłem ramionami.

– A ja tak. Dwadzieścia lat... Ona cały czas była mi wierna. Wierność, wierność... – Skrzywił się jak po setce spirytusu. – Dźgała mnie tą wiernością jak widłami. Napastowała tym swoim oddaniem, terroryzowała dobrocią. Niebywały egzemplarz...

– Była w tobie zakochana.

– Zgłupiałeś? – Zachnął się. – Nie we mnie, tylko w swoich niezłomnych zasadach. Byłem jej potrzebny, żeby mogła je pielęgnować, szlifować w cierpieniu. Dawać przykład, jak święta. W końcu zrozumiałem: im ja byłem gorszy, tym ona lepsza. Więc... jak ty to mówisz... łajdaczyłem się. Czasem całymi miesiącami, nie widząc jej ani jednego dnia... Co ja ci chciałem powiedzieć... Aha... Miałem w życiu mnóstwo kobiet, z żoną najmniej przyjemności, a jednak ją pamiętam najlepiej. Nie chodzi o te dwadzieścia lat. Nie, nie widywaliśmy się zbyt często. Dawno umarła, potem były inne. Ale ona naprawdę umarła szczęśliwa. I tak wyglądała po śmierci, jakaś taka rozanielona, wniebowzięta, chociaż sztywna i zimna. Nawet parę zdziwaczałych bab padło na kolana i modliło się nad trumną...

– Patrzył gdzieś w dal, jakby wciąż był pod wrażeniem tego wydarzenia. – Mój przyjacielu, jeśli koniecznie chcesz się ożenić, dobrze poznaj teściową. We właściwym momencie nikt mi tego nie powiedział, a to był dokładnie ten sam podgatunek. No i mam za swoje. Do tej pory...

Podsunałem mu szklankę z sokiem pomarańczowym. Automatycznie zacisnął na niej palce i duszkiem wypił wszystko.

– Minotaur... – wymamrotał.

– Co?

– Podśledzałem kiedyś służbę. Tak mnie nazywają. Wyobraź sobie, kmiotki mają pojęcie o mitologii. I niegłupio kombinują. Artur dał mi do dyspozycji większą część pałacu. Mam swój labirynt z zabawkami i spory, dobrze utrzymany wybieg. Sam widziałeś.

– Nie znam nikogo, kto miałby do dyspozycji coś podobnego.

– Chcesz powiedzieć, że jestem rozpuszczonym starym dziadem?

– Jak najbardziej, w dodatku dziadem w nienajlepszej kondycji i chyba trochę nieodpowiedzialnym.

– Taaak... Wszystko mi wysiada, zatyka się, skrzypi, pęka. – Cofnął się na oparcie krzesła i zamknął oczy. – Może wykorokuję za godzinę, może za rok, ale nie w szpitalu. Mowy nie ma, wołę rynsztok. Jak całkiem ze mną źle, umieszczają mnie w takim zacisznym miłym zakątku. To żaden labirynt tylko komfortowy pensjonat wysokiej klasy z całodobową opieką medyczną. Do tego wysokie ogrodzenie, psy, kamery i muskularni pielęgniarze lubujący się w zastrzykach. Artur o mnie dba.

Przez jego przywiedłłą twarz przemknął sarkastyczny uśmiezek.

– Podobno sam dla siebie jestem niebezpieczny. Przepoczwarzam się z poczciwego staruszka w agresywnego wariata. W każdym razie są na to papiery. – Kraft z trudem podniósł powieki. – Chyba nie przypuszczasz, że lekarz zaordynował mi więzienie na próchnicę zębów.

– Więźniowie mogą liczyć na przepustki.

– O, tak. Jak zjem garść leków i Artur jest w dobrym nastroju, daje mi wychodne razem z Feliksem, a i to pod warunkiem, że ten dureń pozwoli się przebrać za człowieka.

– Wydawało mi się, że Artur troszczy się o ciebie.

– Pewnie. Nie chce, żebym umarł, bo musiałby iść z gromadą ludzi na pogrzeb, a tego nie cierpi.

– Przesadzasz.

– Trochę. Matka wpoila mu szacunek dla ojca, nawet jak jest godnym potępienia draniem. Ale nie sądzę, żeby teraz triumfowała z za grobu.

– Artur nie jest szczęśliwy z Alicją?

– Ludzie widzą tylko fasadę, więc dają się nabrać. Syn i synowa nieźle udają, że są pogodną żyjącą w harmonii parą. – Westchnął. – Artur ukrzyżował Alicję tą samobójczą matczyną wiernością i szarpią się razem jak ryby w sieci. W nagrodę w królestwie niebieskim dostaną ciasny pokój z kuchnią bez drzwi wyjściowych, żeby bez przerwy mogli się torturować. Może nawet Bóg da Arturowi odwagę i wreszcie przykuje Alicję do kaloryfera.

Zdjął okulary i powłóczył po ścianach przekrwionymi oczyma.

– Uważasz, że Artur jest niewdzięczny – powiedziałem.

– Nie uważam, żebym na jego wdzięczność zasługiwał. O co ci chodzi, mój chłopcze?

– Nie zrobił właściwego użytku z szansy, jaką mu dałeś.

Spojrzał mi w oczy spod opadających powiek i zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał nad czymś niezrozumiałym albo odległym do tego stopnia, że nikt nie powinien o tym pamiętać.

– Co?

– Pan Ktoś to ty – powiedziałem.

Z twarzy Oskara odpłynęła krew.

68.

Kiedy wywijał mi przed oczami muzealną zdobyczą, nawet nie przeszło mi przez myśl, że ma świadomość znaczenia strzykawki. Nie bawił się narzędziem zbrodni, tylko cennym dla niego eksponatem. Miałem nadzieję, że to Artura zdemaskuje drżenie rąk lub choćby mrugnięcie powieki, jednak Oskara nie spuszczałem z oka. Całą swoją osobą wyrażał wesołą, bez troskę dziwaka zbierającego bibeloty. Zabójstwo tego rodzaju, z udziałem dwóch młodocianych opryszków zupełnie do niego nie pasowało. Wtedy był dorosłym, dobrze sytuowanym mężczyzną. Nieodpowiedzialnym, lekkomyślnym, ale nazbyt przyzwyczajonym do wygód, żeby zniżyć się do drastycznych metod półświatka i desperacko ryzykować. Mimo wszystko powtórzyłem z naciskiem:

– Pan Ktoś, to ty.

– Nie rozumiem... – Kraft rozglądał się po gabinecie jak po pułapce, która nagle się zatrzasnęła.

– Rozumiesz.

– Łamigłówka... To jakaś łamigłówka, tak? Ja mam ją rozwiązać? – zapytał z niepewną miną, jakby chodziło o kolejną zabawę.

– Ona sama się rozwiązuje – powiedziałem. – Dość na ciebie spojrzeć, Oskar.

– To dobrze, że rozwiązuje się sama... Jestem potwornie zmęczony... – Wyglądał na wybudzonego ze śpiączki, który zaczyna odkrywać świat na

nowo i coraz mniej mu się podoba.

– Czy to nie pora na lekarstwa? Odwiozę cię do domu, dobrze?

– Skorzystam z taksówki! – powiedział podniesionym głosem.

– Jak uważasz.

Wstałem i rzuciłem na stół dwa banknoty.

– Nikt nigdy za mnie nie płacił! – warknął z wściekłością.

– Ależ płacił. Najwyższą cenę za twoje upodobanie do prostych rozwiązań.

– Genialny chłystek z mózgowym defektem! – Całkiem tracił panowanie nad sobą. – Twoje umiejętności to zwykła biologia. Nadęty pyszałek... Napinasz się jak mędrzec, a jesteś tylko sprawną maszynką do diagnozowania wysypki. Nic, ale to nic nie rozumiesz!

– W czym mogę pomóc? – Kelner wsunął głowę przez uchylone drzwi, na co Oskar wstał na równe nogi i zawył:

– Wszedłeś bez pukania, chamie! Wypierdalaj!!!

Po natychmiastowej ucieczce kelnera z Krafta uszło powietrze. Opadł na krzesło jak worek kartofli i oparł się na łokciach. Wyglądał na kogoś z nagłą potraconego przez ciężarówkę. Otworzył usta jak do wygłoszenia ostatniej woli, ale tylko zasapał i opuścił głowę. Odniosłem wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Nałożyłem mu okulary, otworzyłem gabinet i pomogłem wstać. Nie był w stanie zareagować. Musiał być wyjątkowo cennym gościem, bo zbesztany kelner czekał w pobliżu. Bez szemrania ubrał go w marynarkę, podniósł torbę i pomógł zaprowadzić do auta. Nieproszony zapiął mu pasy i ostrożnie zamknął drzwi.

W ciemną noc wyjechałem na ulicę wciąż pełną samochodów, hałasu klaksonów i migotania reklam. Stary przekrzywił głowę jak manekin z pękniętą szyją. Nadal sapał jak astmatyk, był trupioblady. Opuściłem

szybę po stronie pasażera. Zdawało mi się, że zaczerpnął tchu i zasnął. Nie spieszyłem się, zamierzałem starego docisnąć. Bałem się tylko, że do pałacu zawiozę trupa.

Zamamrotał. Nie od razu go usłyszałem.

– ...wystarczy że wiesz. Nie chcesz zrozumieć – powtórzył. Nie zmienił pozycji. Otworzył oczy i patrzył w głąb samego siebie. Zatrzymałem samochód.

– Przecież ty wszystko zapomniałeś.

– Zapomniałem. Naprawdę o tym zapomniałem... Wierzysz mi? – powiedział to tak, jakby nagle wytrzeźwiał.

– Wierzę.

– Gdybym nie zapomniał, oszalałbym, skoczył z mostu albo rzucił się pod samochód. Najpierw każdej nocy czekałem, że po mnie przyjdą, że mnie powieszą. Dusilem się. Wierzgałem we śnie z zaciśniętą pętlą na szyi. Modliłem się do żony, żeby przyszła, uratowała mnie. Ale umarła, zanim zaczęła mi być potrzebna. To czekanie... Czasem pragnąłem, żeby już przyszli i powiesili. Wiedziałem, jak będę się czuł, myślałem, że jestem już gotów. Wstrzymywałem oddech i sprawdzałem, jak długo wytrzymam...

– Widziałeś coś takiego...

– Może dlatego nie byłem gotów. Użalałem się nad sobą, myślałem o tym, co już się nie zdarzy, jak wiele dobrego przepadnie na zawsze. Wciąż trzymałem się nadziei, że szczęście mnie jednak nie opuści. Tylu przestępcom się upiekło, dlaczego nie mnie? Bałem się dopytywać, zwracać na siebie uwagę, ale się odważyłem. Szukali wśród nieletnich rzezimieszków. Pomyślałem, że tym dwóm nikt nie uwierzy. Tylko ta strzykawka... Nie zabrałem jej, parzyła mi ręce... Dlaczego tego nie dopilnowałem? Boże, jaka potworna głupota... Patrzyłem w telewizor, słuchałem radia, gorączkowo przeglądałem gazety. Każde słowo

o śledztwie przyprawiało mnie o potworny ból brzucha. Ten ciągły strach... Jak to paraliżuje, cały czas w człowieku siedzi... Zasypiałem z błaganiem na ustach, żeby wreszcie wszyscy o tym zapomnieli. Przecież tylu ludzi ginie... Kiedy nagle zapadła cisza, pomyślałem, że to zły znak, że teraz coś się zdarzy. Znienacka. Nie zdarzyło się. Z radości miałem ochotę skoczyć pod sufit. Zapytałem sam siebie: „Oskar, co to za pierdoły, co masz z tym wspólnego?”. Odpowiedziałem: „Pojęcia nie mam, przecież nie używam narkotyków, nawet nie wiem, gdzie są jakieś bunkry. Co mnie to obchodzi? Jestem utalentowanym finansistą”. Było lato, świeciło słońce, poszedłem byle gdzie. Na targowisku jakaś paniienka oglądała majtki na wieszakach. Powiedziałem, które są ładne. Ona się zawstydzila, a mnie przestał boleć brzuch, poczułem ulgę. I tak już zostało. Jeszcze nasłuchiwałem własnego organizmu. Czuję, że to się we mnie tli i tli, ale coraz słabiej i słabiej. Tyle lat minęło, naprawdę zapomniałem...

– Wierzgałeś we śnie z zaciśniętą piętą na szyi...

– Aha... Artur próbował się powiesić...

Znowu powiedział to tak, jakby właśnie sobie o tym przypomniał. Nie byłem pewien, czy jeszcze się odezwie. Coś go zabolalo. Jęknął i zamrugął oczami.

– Mnie to się śniło, zdawało. Jemu nie. Poszedł na strych, przerzucił sznur przez belkę i stanął na plastikowym wiadrze. Kiedy wszedłem na górę, poszukując wędek, akurat patrzył w dół i chciał to wiadro kopnąć. Nie rozumiałem, co robi, a on nie zwrócił na mnie uwagi, potraktował jak powietrze, ani chwili nie wahał się. Prawie natychmiast złapałem go za nogi, ale ułamek sekundy wystarczył, żeby zobaczyć i fizycznie poczuć to przerażające wierzganie powieszzonego. Krzyknąłem: „Mój synu!” Jezusie... Jak to zabrzmiało... Fałszywie! Było tak nieprawdziwe, jakbym zamiast mówić, zaczął szczekać. Zobaczyłem w sobie wybryk natury

niezdolny do naturalnych, oczywistych dla każdego odruchów, zakałę rodzaju ludzkiego. Bo ja nie ratowałem życia Arturowi, tylko osobisty luksus świętego spokoju, ignorowania innych ludzi. Za to „mój synu” całe Val powinno mnie potępiać, wytykać palcami. Kompletnie zgłupiałem. Miałem straszliwy szum w głowie. Do tej pory wszystko przychodziło mi łatwo, a wtedy nie mogłem rozstrzygnąć, która ręka jest prawa, która lewa. Pomyślałem, żeby uciec. Ale przed sobą samym? Pomóc. Jak? Nie umiałem pomagać, nigdy z Arturem poważnie nie rozmawiałem, nie odzywał się do mnie. Nie znałem go. A czasu nie było. Ten gówniarz w każdej chwili mógł znowu spróbować się zabić, a ja wiedziałem tylko tyle, że cierpi po stracie matki. Nie mogłem jej ożywić ani zastąpić. Tylko pilnować chłopaka. Nie spuszczałem go z oka przez noc i większość dnia. Nie potrafiłem pocieszyć, namówić, żeby coś powiedział. Panicznie bałem się, że mi narobi kłopotów. Leżał na łóżku zwinięty w kłębek, nie jadł, płakał, zaciskał pięści na poduszce i wciąż powtarzał: „Chcę umrzeć”. Powinienem poprosić kogoś o pomoc, a ja siedziałem przy nim, bałem się, że mnie za to wszystko obwinia i trząsałem się ze strachu. Max gdzieś fruwał, potem i tak go nie obchodziło, co się dzieje, ale w końcu się zainteresował. Nie powiedziałem mu, co się stało. Przyszedł, spojrzał na brata i spokojnie mi wytłumaczył, że to wszystko przez Alicję, bo postanowiła, że po maturze wyjdzie za jakiegoś Marcela. Boże, na tym gruncie poczułem się trochę lepiej. Artur jęczał, a my długo rozmawialiśmy. Dowiedziałem się, że mam utalentowanych synów, którzy z łatwością poradzą sobie w życiu bez mojej pomocy. Gdyby nie ten Marcel... Max opowiadał o szkole, nauczycielach, o dziewczynach, które mu się podobają i chłopakach, których nie znosi. Wtedy usłyszałem o tych dwóch jednakowych zdemoralizowanych gnojkach. Powiedziałem Maxowi, żeby nie odstępował brata na krok, bo ja muszę odpocząć. Starczyło mi sprytu, żeby pójść do szopy w ogrodzie,

przebrać się w stare łachy i odszukać Hahnów. Wiedziałem, na którym podwórku przesiadują. Poczekalem, aż będą sami, podszedłem i powiedziałem wprost, że dostaną okrągła sumkę, jeśli Marcel rzuci Alicję, że ma się z nią rozstać na amen, nie na niby. Pętaki... Chwilę się naradzili i powiedzieli, że mam być z pieniędzmi za dwie godziny, że będą czekali w bunkrze. Wy tłumaczyli, gdzie to jest. Nie zgodziłem się, chciałem zapłacić tylko po wykonaniu zadania. Odpowiedzieli jak stare wygi, że będą mieli koszty, że jak mi się nie podoba, to trudno. Po zdarzeniu na strychu, po tylu godzinach pilnowania Artura i nerwach, umierałem ze zmęczenia, drżały mi ręce, młotki waliły mi w głowie. Nie wiedziałem, co ci dwaj zrobią, czy mnie nie nabierają, nie zwieją z pieniędzmi. Ale pomyślałem, że to przecież tylko chłopcy. Może tego Marcela nastraszą, skopią mu tyłek i to wystarczy? Dla takich urwisów to betka. Dlaczego mieliby mnie zrobić w konia? Chciałem od ręki kupić Arturowi chęć do życia. Ci dwaj powiedzieli: „Spoko szefie, my nie nawalamy” i już biegłem po pieniądze jak aportujący pies. Potem miałem trudności z odnalezieniem tego bunkra. Martwiłem się, że jestem spóźniony i nic z tego nie będzie. Kiedy wszedłem do środka, zaświecili mi latarką w oczy. Najpierw zobaczyłem, że są w rękawiczkach. Potem tego chłopca. Był posiniaczony, miał rozcięte czoło, klęczał na jakimś śmierdzącym materacu, choć wydawało mi się, że jest prawie nieprzytomny. Nogi się pode mną ugięły. Krzyknąłem: „Co wy robicie!”. Jeden z tamtych odkrzyknął: „Co pan, nie miało być na amen?!”. Przeszedł mnie zimny dreszcz, chciałem uciekać. Wtedy ten chłopiec otworzył oczy, przekrzywił głowę, patrzył i patrzył. Chyba mnie już kiedyś widział, coś sobie przypominał. To mnie sparaliżowało. Tamci wyjęli mi pieniądze z kieszeni, podniecali się. Któryś wrzasnął: „On pana poznaje!” i dał mi do ręki jakiś przedmiot. Drugi podwinął chłopcu rękaw i przyświecił na zgięcie ręki. Dopiero wtedy

zrozumiałem, że mam w dłoni strzykawkę. Patrzyłem to na strzykawkę, to na chłopca. A on przyglądał mi się i przyglądał, coraz bardziej uporczywie dziurawił mnie wzrokiem, wreszcie rozchylił usta, jakby chciał wypowiedzieć moje nazwisko! Nie mogłem do tego dopuścić. Tamci nie mogli tego usłyszeć, on nie mógł wyjść z bunkra na ulicę...

69.

– Dlaczego zacząłem mówić o żonie, a potem to wszystko... Akurat tobie... Jezusie nazareński...

– To tylko biologia – odparłem.

Oskar skulił się, jakby czekał na egzekucję.

– Kiedy ostatnio widziałeś Hahnów?

– Nigdy... – wyszeptał. – Na szczęście nigdy więcej...

– Spójrz na mnie – rozkazałem.

Odwrócił się jak konające, zaszczute zwierzę.

– Nie wiesz, co u nich słyhać? – zapytałem.

– Nie, naprawdę. – Pokręcił głową jak dzieciak.

– Nie wiesz, że ktoś ich zabił.

– Ty? Mnie też zabijesz? Do więzienia nie pójde, jestem wariatem.

Zdawało mi się, że zaraz straci przytomność jak po wyłączeniu wtyczki z kontaktu, a mimo to w jego głosie usłyszałem wyraźnie pozbawioną lęku ciekawość pomyleńca.

– Zawiozę cię do domu, musisz wziąć te cholerne lekarstwa.

– Widzisz. Jesteś taki jak ja, nie chcesz kłopotów.

Strażnik otworzył bramę ze słuchawką przy uchu. Jechałem powoli z nadzieją, że zaraz ktoś wyjdzie i zajmie się starym Kraftem. Nie miałem ochoty taszczyć go do pałacu. Rozbłysło światło. Feliks zdążył dobiec do nieczynnej fontanny. Stał tam oparty o wózek jak sanitariusz gotów

przetransportować pacjenta prosto do łóżka. Pomogłem przesadzić bezwładne ciało Oskara. Spał nieświadom niczego, co się dzieje.

Feliks pośpiesznie potoczył wózek. Zamierzałem wsiąść do samochodu i jechać prosto do domu. Nie wiedziałem, co gorsze, wysłuchiwać podziękowań Artura czy zobaczyć go razem z Alicją. Zresztą i tak miałem już dość. Niespodziewanie nadbiegła sama, w szlafroku i pantoflach. Pomachała mi ręką i ukryła się za murem, gdzie nie dochodziło światło. Śledzony przez kamerę, udawałem, że wybieram się na mały spacer, żeby poprzeciągać kości. Alicja objęła mnie w ciemnościach, ciepła i pachnąca. Rozplątałem pasek i wsunąłem ręce pod szlafrok.

– Ale jesteś odważny. – Zachichotała, tylko na chwilę odrywając się od moich ust.

– Ty też. Nie ma Artura?

– Wyjechał w interesach, nie myślałam, że na tak długo. Dzwonił, że zaraz będzie.

– Aluś, chyba lepiej, żebym się już ulotnił.

– Aluś... Bardzo miłe. Poczekaj, proszę. To cud, że znalazłeś Oskara. Gdzie on się podziewał?

– Był w „Café Douglas”, jadł obiad.

– Tak długo?

– Zaprosił mnie na małą bibkę.

– Coś takiego. Wieczny chłopiec. Jest chory na wszystko, no i czasem brak mu piątej klepki.

– Nie odniosłem takiego wrażenia.

– Jak dla mnie jest tylko trochę szurnięty, ale lekarze twierdzą coś innego. Odkąd pamiętam, Artur ciągle ma go na oku. Całe szczęście, że go przywiozłeś. Jak się czuje?

– Jest wyczerpany. Za szybko pije, trudno go upilnować.

– O rany. – Zasycała przez zaciśnięte zęby. – Nie powinien. Przedwczoraj czuł się strasznie. Musiałam zawieźć go do kliniki, a ten stary rozrabiaka zwiął. Trzeba się nim zająć. I to zaraz.

– Trudno, biegnij, kochanie.

– A puścisz mi pośladki?

– Fajne, chłodne.

– Zmykaj łobuzie. – Zaśmiała się. – Ale cię Kocham.

Strażnik chyba chciał coś powiedzieć, ale pozwolił sobie tylko na ukłon i zdjęcie czapki. Jednak brama otworzyła się przede mną jakoś majestatycznie, bardziej uroczyście, choć mogło mi się to tylko wydawać. Wprawdzie krótka chwila z Alicją dodała mi nieco sił, byłem jednak bardzo zmęczony.

Myślałem o Alicji. Musiała poznać prawdę. Tylko jak to powiedzieć, nie demolując jej życia? Nie było sposobu. Nikt nie jest przygotowany na wiadomość, że pod jednym dachem żyje z mordercą.

70.

Na skrzyżowaniu opuściłem szybę i oparty na łokciu czekałem na zmianę świateł. Czerwone miałem przed sobą i takie samo regularnie migające na niebie, bezszelestnie mknące gdzieś na północ. W lusterku wstecznym zobaczyłem kilka aut, po przeciwnej stronie skrzyżowania ciężarówkę. Ruszyłem gwałtownie, biorąc ostry zakręt przed nosem osłupiałego kierowcy, i popędziłem w przeciwnym kierunku. Zwolniłem dopiero na ciasnej, źle oświetlonej ulicy, parkując z dala od latarni z dogasającą żarówką.

Światła w oknach kilkupiętrowych kamienic były już pogaszone. W budynku obok okien nie było w ogóle. Zamurowano je, drzwi w ciemnej wnęce zabito deskami. Zauważyłem blaszaną masywną skrzynkę pocztową. Mały dyktafon bez trudu zmieścił się w szparze na listy, zabrzączał na dnie skrzynki jak upuszczona moneta. Rozejrzałem się. Nikt nie nadchodził, nie jechał. Wsiadłem do samochodu i spod opadających powiek patrzyłem na popychane przez wiatr papiery z przewróconego kontenera. Frunęły do latarni na skrzyżowaniu, za którym w małym domku ktoś jeszcze oglądał telewizję. Domek wydał mi się jeszcze skromniejszy, kiedy obok zatrzymała się limuzyna. Szofer żwawo wyskoczył z potężnego auta, ale zatrzymał go władczym gestem wysiadający tylnymi drzwiami pokaźnej postury mężczyzna. Kierowca oparł się o maskę i tylko patrzył, jak tamten okrąży wóz i wypuszcza młodą kobietę w szerokim kapeluszu.

Dzieliła nas niewielka odległość. Zauważyłem, że Artur Kraft pozwolił się ubrać w szykowny garnitur. Pocałował Joannę w rękę, ona jego w policzek, zamienili jeszcze kilka słów i limuzyna odjechała.

Joanna otworzyła torebkę przewieszoną przez ramię i wyjęła telefon. Namyślała się, czy zadzwonić. Rozglądała się po okolicy, na dłużej zatrzymując wzrok na moim samochodzie. W ciemnościach nie mogła go rozpoznać, ale zapewne nieobca była jej myśl, że wiem więcej, niż mi powiedziała. Z oddali dochodziły odgłosy walki kotów i przeciągłe miauczenie. Joanna spojrzała gdzieś w bok i przytrzymując kapelusz, wystudiowanym krokiem poszła do domu.

71.

Po omacku sięgnąłem po słuchawkę i natychmiast usłyszałem głos Alicji.

– Dzień dobry, Kocham cię – wyszeptała.

– Cześć, ukochana. Jak się masz? – powiedziałem niemal przez sen.

– Obudziłam cię, przepraszam. Wiem, że jest wcześnie, ale nie mogę przestać o tobie myśleć. – Mówiła szybko z czułą radością. – Próbowałam czytać książkę. Strasznie smutna, o kilku pokoleniach kobiet, właściwie nie bardzo smutna, ale tak im wszystkim współczułam. Wiesz czego? Że nie kochają. A gdyby nawet kochały, to przecież nie ciebie. Żal mi każdej, bo nie mają tego, co ja. Tak bardzo tęsknię. Kilka razy budziłam się w nocy i... No wiesz... Hanni...

– Aluś?

– Jesteś we mnie zakochany?

– To mało powiedziane.

– Muszę cię dzisiaj zobaczyć. Koniecznie. Co będziesz dzisiaj robił?

– Czekał na ciebie.

– Obudź się już. Chcę cię posłuchać. Co zaraz zrobisz...

– Za chwilę zadzwoni Walsh.

– No coś ty, po co ten truteń... O rrrany, ktoś idzie. Muszę zmykać.

Kocham cię. Pa, pa.

Tyle jej było. Po chwili znów zabręczał telefon. Walsh powiedział „dzień dobry”, podziękował za odstawienie Oskara do domu i zapytał, czy

nie zechciałbym się z nim spotkać. Byłem ciekaw w jakiej sprawie, na co odpowiedział wykrętnie, że to mi się opłaci. Chociaż udawał uprzejmość, flegmatyczna pewność siebie i protekcyjnalny ton nazbyt weszły mu w krew.

– Jak się czuje Oskar? – zapytałem.

– Jest wyczerpany, ale biorąc pod uwagę jego ogólny stan, nienajgorzej. Lekarz stwierdził nawet, że nastąpiła nieznaczną poprawa, jakby pacjent pozbył się jakiegoś nieznośnego ciężaru.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Co z naszym spotkaniem? Może za godzinę...

– Wybacz pan, nie mam czasu – powiedziałem.

W słuchawce odezwał się niejasny pomruk.

– Panie Hannibalu, brak czasu podczas urlopu?

– Skąd pan wie o moim urlopie?

– Przekomarza się pan ze mną. Zapewniam, że to spotkanie leży w pańskim żywotnym interesie. Jestem człowiekiem konkretnym, nie zajmę zbyt wiele czasu.

– Panie Walsh, na jakiej podstawie wyrobił pan sobie pogląd, co jest dla mnie dobre?

– Co ja takiego...

– Mam wrażenie, że próbuje mnie pan skorumpować – powiedziałem, naśladowując jego ślamazarną gadaninę.

– Nie rozumiem pańskiego podejścia. – Mówił szybciej, zdradzając nutkę irytacji. – Przepraszam, jeśli poczuł się pan urażony. Pan Kraft prowadzi interesy z pańską narzeczoną. Branża jest szczególna, wymaga omówienia pewnych kwestii wizerunkowych...

– Nie widzę problemu – odparłem. – Porozmawiam na ten temat z Joanną.

– Naturalnie, ale nie wszystkie sprawy leżą w gestii pani Joanny.

– Panie Walsh, nie wiedziałem, że jest pan specjalistą w dziedzinie *public relations*.

– Ależ skąd, nie jestem. To nie ma...

– Po jaką cholere miałbym rozmawiać z ignorantem?

Założyłbym się, że ostro spoliczkowany tym ignorantem Walsh szczerze żałował, że w porę nie kazał mnie zabić. Jednak trzymał nerwy na wodzy.

– Bardzo pana proszę.

– Dobra, będę o czternastej w pensjonacie „Gregory”.

Odłożyłem słuchawkę.

Matka napisała do mnie SMS-a, że jestem jej ulubionym synem i podała termin imprezy w Hali Tysiąclecia. Jutro o dziewiętnastej. Alicja, że kocha mocno i jak tylko uda jej się wyrwać z domu, da znać. Nie wiedziałem, czy mogę odpisać, nie ryzykując, że jej telefon nie wpadnie przypadkiem w niepowołane ręce.

Zjadłem śniadanie i wyszedłem na balkon. Spojrzałem na miasto i pomyślałem o pragnieniu, które miałem od czasu do czasu: pożyć tak jak większość ludzi, dla których poważnym dramatem była skrzypiąca szafa albo zapchany odpływ w umywalce. Postanowiłem spotkać się z kimś takim. W książce telefonicznej znalazłem adres i pojechałem.

72.

Czteropiętrowe budynki zanim stały się brudne i jednakowe, cieszyły około pastelowymi kolorami i w czasach głodu mieszkaniowego były przedmiotem powszechnej zazdrości. Zbudowano je dla hutników uważających się wówczas za wybrańców losu. Jednak rychło nadszedł kryzys i wielu z nich musiało pożegnać się z hutą i służbowym mieszkaniem. Z czasem zaczęto je wynajmować ludziom różnych profesji, ale zaniedbaną okolicą nadal nikt się nie przejmował. Zachwaszczony teren przecinały piaszczyste ścieżki pośród zwałów gruzu, bezużytecznych wykopów i bunkrów z czasów wojny. Rozebrano tylko jeden, bo źle się kojarzył.

Domofon był rozbebeszony, ale działał. Amelia Arnold zapytała: „Kto tam?“, na co odpowiedziałem: „Listonosz”. Sposób był banalny, ale niezawodny: każdy otwierał. Rozległo się donośne bzyczenie. Pchnąłem drzwi. Po zapachu z piwnicy i wysokich schodach domyśliłem się, że Amelię bolą nogi od noszenia wiader z węglem. Zapamiętałem, że jest wdową.

– A to ci niespodzianka! Zapraszam. – Ucieszyła się na mój widok i speszyła własnym, workowatym dressem. – Nie zamierzałam dzisiaj w ogóle wychodzić z domu.

– To dobrze, przyjechałbym na próżno.

Posadziła mnie przy dużym stole pokrytym koronkowym obrusem z widokiem na telewizor i ślubne zdjęcie w złożonych drewnianych ramach. Czuję, że to krzesło zwykle zajmuje sama i w ten sposób chce pokazać, że jestem wyjątkowym gościem. Zaczęła przebierać nogami.

– Proszę się nie fatygować – powiedziałem.

– Jak to? A co ja chciałam zrobić?

– Coś do picia.

– No tak, cóżby innego.

Chyba ją trochę rozczarowałem. Spodziewała się bardziej wyrafinowanych domysłów.

– Często opiera się pani plecami o piec.

Spojrzałem na pokrytego ornamentami kafłowego olbrzymia.

– Wszyscy tak robią – odparła, siadając obok mnie.

– I patrzy pani tam.

Podszedłem do okna. Nie było za nim nic do zobaczenia poza bliźniaczym budynkiem po drugiej stronie podwórka.

– Zbyt długo nie patrzę. Bolą mnie nogi i robi mi się przykro. Ciągle widzę sznurek przeciągnięty na kołowrotekach między oknami. Rodziców Ali i Marcela zapędzających tych dwoje do nauki. Jak tu było wesoło popołudniami, ile beztroski i małych figli. Oni wszyscy tacy młodzi... I jacy piękni... Po morderstwie rodzice Ali wyprowadzili się, nigdy już ich nie widziałam. Ona tu nigdy nie zagląda, rozumiem, ma straszne wspomnienia. Matka Marcela po kilku miesiącach umarła z rozpacz. Został tylko jego ojciec z córką.

– Dlaczego się nie wynieśli?

– Bo chyba rozumieją, że to nic nie pomoże. Od siebie nie da się uciec. Spotkałam kiedyś Alę na mieście. Powiedziała mi, że chciała zapomnieć, ale wciąż ma to wszystko przed oczami. A tych dwoje wierzyło, póki żyła

matka Marcela, że on wróci. Po prostu przyjdzie ze szkoły, wrzuci teczkę do swojego pokoju i zapyta, co jest na obiad. Bałam się, że skończą w wariatkowie, ale jakoś im przeszło. Ojciec szybko się zestarzał, przygarbił. Wystarczyło kilka lat, a znajomi go nie poznawali. Pytali mnie, czy ten stary dziad to Piotr Buster. Źle wygląda, to prawda, ale całkiem nieźle się trzyma. Często przesiaduje nad rzeką i łowi ryby. Milena, siostra Marcela, wygląda prawie jak siostra własnego ojca. Ciągle choruje. Lekarz jej powiedział, że powinna wyjechać do ciepłych krajów i zamieszkać tam na stałe. Takie głupie gadanie do biednych ludzi.

– O ile pamiętam, często ich pani odwiedza – powiedziałem, siadając przy stole.

– Tak. Jestem jedyną przyjaciółką Mileny. Mamy ulubione programy w telewizji, upichcimy coś, czasem pogramy w karty i uczymy się francuskiego. Jak czuje się gorzej, robię zakupy, płacę rachunki.

– Jak pani płaci?

– Przez Internet. Nie myśl sobie, że jestem taka zacofana.

– Od razu wiedziałem. Jak ktoś tak wywija na parkiecie, nie może być zacofany.

– Komediant! – Rozczochrała mi włosy, jak niesfornemu chłopcu w szkolnej ławce.

– No i ten francuski...

– Nie śmieć się z tego. Jej dziadek był nauczycielem francuskiego, Piotr całkiem nieźle sobie radzi. Jeśli Milena się uczy, to wciąż ma to swoje marzenie o Prowansji. Beznadziejne, ale to znaczy, że w tej dziewczynie kołacze się jeszcze jakaś nadzieja.

– Gdyby zdarzył się cud, pojechałaby?

– Ho ho... Jestem pewna, że najpierw by ożyła, a potem spakowała siebie, ojca i mnie.

– Proszę mi zapisać adres i numer konta Busterów.
– Wariat! Jesteś taki bogaty?
– Znam bogatych ludzi, którzy byliby skłonni pomóc.
– Filantropia w Val?... Jeśli to nie jest poważne, za chwilę stanie się bardzo przykre.

Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, jakby była świadkiem niestosownego wygłupu.

– Myślałam, że szukasz sprawcy...
– Znalazłem.
– Matko Boska... Matko Boska... – powtarzała z zamkniętymi oczami. – To niemożliwe...

– Niestety, jest już poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości – powiedziałem, spoglądając na sufit.

– Nie żyje... – domyśliła się. – Ale kto to?!

Westchnąłem.

– Powiedz mi... – Była nieustępliwa, jednak bardziej przygnębiona niż ciekawa. – Przecież i tak o tym napiszesz...

– Nie napiszę.

– Dlaczego?

– Bo to szczególny przypadek, kiedy sprawcy ukarać już nie można. Ukarana będzie tylko rodzina, która do zabójstwa nie przyłożyła ręki.

– Rozumiem. Rozumiem lepiej, niż ci się wydaje. Ale nie możesz chociaż...

– Lepiej nie.

– No dobrze... Patrzę na cierpienie rodziny od ćwierć wieku. Cierpienie innych na pewno nie przyniesie im ulgi... Nie myślałam, że będziesz miał takie skrupuły. Poczekaj.

Poszła do sąsiedniego pokoju. Po chwili usłyszałem charakterystyczny szum wentylatora w starym komputerze. Spacerowała po pokoju, otwierała szuflady. Przypuszczałem, że nie może znaleźć okularów. Potem dobiegły mnie odgłosy klawiatury i klikanie myszy. Przyszła z małą karteczką zapisaną drobnym starannym pismem.

– I to wszystko? – zapytała.

Dałem jej wizytówkę z numerem telefonu.

– Milena jest w domu?

– Tak.

– To proszę ją odwiedzić między osiemnastą a dwudziestą.

– Mam jej coś powiedzieć? O tym, że tu byłeś...

– O tym ani słowa. Będziecie miały gościa. Kiedy wyjdzie, proszę iść do domu, włączyć komputer i natychmiast do mnie zadzwonić. Proszę powtórzyć.

– Nie jestem idiotką. Iść, włączyć, zadzwonić.

– Co jeszcze?

– Aha, natychmiast. A jak nikt nie przyjdzie?

– W takiej sytuacji proszę zadzwonić punktualnie o dwudziestej.

Wstałem i pocałowałem ją w rękę.

– Już mi się kręci w głowie – powiedziała.

– Pani Amelio, chyba już się nie zobaczymy.

– Wyjeżdżasz?

– Przeciwnie, nie wybieram się do Prowansji.

Wychodząc z bramy zobaczyłem starego człowieka z siatką pełną zakupów. Ukłoniłem mu się z lekka, odgadując, że za przywiedłą twarzą kryje się Piotr Buster. Nie zareagował. Szedł na pamięć, kierując myśli w sobie tylko znanym kierunku.

73.

– Umówiłeś się w mojej knajpie z niejakim Walshem? – zapytał Gregory.

– Już przyszedł?

– Jego nie ma, za to przylazło dwóch drabów w garniturach. Mają chyba po pięć metrów wzrostu i ważą dwie tony. Popatrzyli na wszystkich, jakby mieli wyrzucać ludzi przez okno. Teraz łażą po gabinecie, tym samym, gdzie byłeś ostatnio ze swoim bóstwem. Zaglądają pod stół. Chyba zaraz zaczną odrywać nogi, bo deski z podłogi już próbowali.

– Ochrona Walsh. Upewniają się, czy nie ma podsłuchu.

– Jakie to sympatyczne. Dzięki, że mnie uspokoiłeś. Jedziesz tu?

– Zaraz będę.

Gregory wyłączył komórkę. Był wściekły. Nie pomyślałem, że umawiając się z Walshem, narażę go na kłopoty. Niebawem sam nie czułem się najlepiej. Wszedłem do lokalu i tych dwóch natychmiast zatrzymało mnie przy wypchanym jeleniu. Wyglądali na posłusznych debili, którzy bez namysłu wybijają zęby i robią z człowieka wiatrak pod sufitem. Nie odezwali się ani słowem, obmacując mnie od stóp do głów. Brakowało tylko kopniaka na pożegnanie, ale poczekali, aż wejdem do gabinetu i cichutko zasunęli za mną drzwi.

Walsh siedział na końcu stołu. Wsparty na łokciach ze splecionymi palcami patrzył na mnie plastikowymi oczami rekina. W towarzystwie innych osób nie zwracał na siebie uwagi, więc dopiero teraz lepiej mu się

przyjrzałem. Ani w rysach jego twarzy, ani ubiorze nie było nic wyrazistego. Siwowłosy facet w szarym garniturze mógł być w wieku Krafta lub dobrze zakonserwowanym rówieśnikiem jego ojca. Właściwie nie miał rysopisu. Gdyby napadał na banki, nikt nie zapamiętałby sprawcy.

– Przykro mi, że naraziłem pana na dyskomfort, ale życie nauczyło mnie ostrożności – powiedział oschle.

– Nie jest panu przykro – odpowiedziałem. – Dyskomfort innych ludzi za grosz pana nie obchodzi.

– Proszę usiąść, panie Smoke. Przekona się pan, że jest inaczej.

Posłuchałem go i usiadłem, naśladowując jego pozę.

– Obiecałem, że nie zajmę panu zbyt dużo czasu, więc przystąpię do rzeczy. – Walsh znów mówił powoli tym szczególnym tonem wszechwiedzącego, któremu najlepiej bić pokłony i nie przerywać. – Pani Joanna niebawem zacznie bywać w towarzystwie, stanie się postacią powszechnie znaną, popularną, wszystko, co jej dotyczy będzie komentowane w mediach. Takie są wymogi rynku, nie ma na to rady. Dlatego uważamy, że nie powinien pan funkcjonować jak do tej pory. Chcę być dobrze zrozumiany: nie zamierzam ingerować w pański ubiór, mieszkanie i tak dalej. Natomiast trudno się z tym pogodzić, że partner pani Joanny ugania się za rzezimieszkami po zakamarkach Val i w każdej chwili może zarobić guza.

– Jakoś nie widzę szczególnej różnicy między tymi rzezimieszkami i panem, panie Walsh.

– Jak widać, miałem płonną nadzieję, że nie będzie pan podnosił temperatury rozmowy. Jest pan jeszcze taki młody, zapalczywy... Mogę to zrozumieć, ale chyba już najwyższy czas dorosnąć i zrobić użytek z talentu i umiejętności. Chcę, żeby pan wiedział, że my je doceniamy. Naszym

zdaniem bardziej odpowiednia byłaby dla pana posada redaktora naczelnego.

– Gdzie?

– W gazecie, której jest pan filarem.

– Co pan zrobi z obecnym naczelnym, podłoży pan bombę pod jego samochód?

– To nie jest konieczne. – Westchnął z politowaniem. – Od wczoraj gazeta należy do Pana Krafta.

Nieprzyjemnie mnie zaskoczył. Już nie patrzył jak zastygły jaszczur. Był ciekaw mojej reakcji.

– I co jeszcze pan Kraft zechce mi podarować?

– Mniejszościowy, ale istotny pakiet udziałów. – Walsh zdawał się odpowiadać na pytania, jakby je znał, zanim zostały postawione.

– W jakim stopniu istotny?

– Pracuje pan w dobrej gazecie. Myślę, że na koniec tego roku dywidenda opiewałaby na kilkanaście milionów.

– Z tego...

– Z tego pan mógłby liczyć na jakieś pięć. To zresztą zależy, jak pan sobie poradzi.

– Czy pan Kraft nie miałby nic przeciwko temu, żebym otrzymał te pieniądze wcześniej?

Kamienną twarz Walsh'a rozświetlił blady, ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Cóż...

– Na przykład dzisiaj.

Walsh wydał z siebie dziwne beknięcie. Uznałem, że to coś w rodzaju rozbawienia i żalu, że wcześniej nie zdecydował się na rozmowę o pieniądzach.

– Cieszę się, że nie owija pan w bawełnę – powiedział. – Myślę, że to jest możliwe.

– Świetnie. Proszę zrobić przelew. – Podałem mu karteczkę z kontem bankowym.

Nie od razu rozczytał się w małych literkach. Nazwisko Buster powinno zrobić na nim wrażenie. Nie zrobiło.

– Jest pan niemożliwy, panie Smoke – powiedział flegmatycznie. – Mógłbym wszystkiego się spodziewać, ale szantaż?

Zacząłem go podziwiać. Nic nie mogło wyprowadzić go z równowagi.

– O czym pan mówi? – powiedziałem. – Czy ja próbuję pana zastraszyć?

– Ma pan słuszność. Żeby zastraszyć, trzeba mieć czym.

Sięgnął do kieszeni i rzucił na stół mój dyktafon.

74.

– Wiem, co pan myśli. Czuje się pan zdradzony, bezsilny, wymanewrowany przez silniejszego przeciwnika. Urażona ambicja to poważna dolegliwość, jednak da się to wyleczyć. – Walsh wyglądał niemal na strapionego moim niepowodzeniem. – Ludziom przytrafiają się gorsze rzeczy.

– Na przykład nie żyją – powiedziałem.

– Nie to miałem na myśli. Na przykład dowiadują się, że najbliższy im człowiek jest nieprzewidywalnym lekkomyślnym szaleńcem, który z łatwością może zrujnować to wszystko, co z takim trudem budowało się przez dwadzieścia lat.

– Od kiedy Artur wie o Oskarze?

– Pani Kraft nie mogła się uporać ze wspomnieniami z przeszłości, nalegała, więc dwanaście lat temu wynajęliśmy agencję, żeby znalazła zabójcę tego chłopaka. Niczego nie potrafili udowodnić, ale powiedzieli nam, kto, ich zdaniem, mógł to zrobić. Na tej liście były różne osoby, między innymi Hahnowie i Oskar Kraft. Oburzyliśmy się, ale trudno było zaprzeczyć: nie miał alibi, miał szczególny motyw. Dyskretnie podjęliśmy ten temat. Oskar był zaskoczony, nie miał pojęcia o byłym narzeczonym swojej synowej, nie pamiętał nazwiska Buster, nie wiedział, o czym mówimy. Był nieprawdopodobnie wiarygodny, przekonujący, więc odetchnęliśmy z ulgą i zostawiliśmy go w spokoju. Nie jestem

psychologiem, nie potrafię zrozumieć, jak można tak skutecznie opróżnić pamięć. Wtedy jednak nikt takiej możliwości nie brał pod uwagę.

– Co pobudziło pamięć Hahnów?

– Nie zakończyliśmy współpracy z agencją. Mieli obserwować wszystkich potencjalnych podejrzanych. Co miesiąc dostawaliśmy raporty. To trwało tyle lat, że nawet nie chciało nam się tego czytać. Wszyscy zapomnieli, że taka inwigilacja wiąże się z pewnym ryzykiem.

– Hahnowie połapali się, że są śledzeni i zainteresowali się, na czyje polecenie. Zobaczyli Oskara?

– Podobno w telewizji. Potem przypomnieli sobie o strzykawce w blaszanym pudełku. Nie do wiary, była schowana w tapczanie ponad dwadzieścia lat. Zachowali ją sobie na pamiątkę. Potem ukryli gdzie indziej i zaczęli szukać Krafta. Było im obojętne, którego. Byle miał pieniądze.

– A sekretarka nawykowo łączy z panem, panie Walsh.

– Nie prosiłem się o tę znajomość. Co innego pan, panie Smoke. Uratował pan Hahnów od stryczka. Ciekawe, czy ktokolwiek chciałby za to podziękować. Na szczęście tylko raz miałem do czynienia z tymi pluskwami. Byli doskonałą egzemplifikacją podłości i najniższych instynktów. Zresztą... Po co miałbym uszczęśliwiać pana wiedzą, którą i tak pan posiada?

– Coś mi mówi, że ta sama agencja szukała zabójcy młodego Bustera, a potem przeniosła Hahnów na tamten świat.

– Proszę zrozumieć... Pracuję dla pana Krafta od wielu lat. Poświęciłem życie biznesowi. Dzięki nam dziesiątki tysięcy ludzi ma dobrze płatną pracę, utrzymują rodziny, korzystają z życia. Czy to nie zasługuje na szacunek? Co mieliśmy zrobić? Paktować z bandziorami? Wybaczy pan, na tym się nie znamy. Agencja wykazała się brakiem profesjonalizmu, narobiła nam paskudnych kłopotów. To kto miałby nas z tych kłopotów wyciągnąć?

Nawet nie wiedziałem, że tamci zginą. Przeczytałem o tym w gazecie. Interesowało nas jedynie optymalne rozwiązanie. Nic więcej. Może pan wierzyć lub nie, ale tamto wydarzenie wciąż napawa mnie obrzydzeniem.

– Co za ulga, panie Walsh, a już podejrzewałem, że nie jest pan dżentelmenem.

– Wiem, jak cynicznie to zabrzmiało. Nie jestem dżentelmenem. Nie próbuję pana przekonać, że mam czyste ręce i namówić na współczucie. Jestem szczery. Znam się na biznesie i mam świadomość, że pańskie nagranie jest szokujące. Wiem, że za taki materiał uzyskałby pan rekordowe wynagrodzenie. Powiedzmy, że chcę je od pana odkupić.

– Jak pan skalkulował to optymalne rozwiązanie?

– Moglibyśmy nic nie robić, ale przykład Shermana Douglasa poucza, że samymi aluzjami, bez żadnych istotnych dowodów potrafi pan spowodować publiczną nagonkę i zrujnować człowieka.

– O wiele łatwiej schować głowę w piasek i pozostawić sprawy w rękach agencji.

– Naprawdę warto snuć takie spekulacje?

– Skoro jest pan szczery...

– Przecież wiadomo, z czym to się wiąże. Jest pan zbyt znany. Media zsumowałyby tę popularność ze sławą pańskiego ojca... Policja i dziennikarze z całego kraju prześledziliby każdy pański krok. Zakładam, że szereg osób ma pojęcie, czym pan się ostatnio zajmował. Zbyt wiele tropów prowadzi do rodziny Kraftów. Co ja panu tłumaczę...

– Przy waszym zamiłowaniu do konspiracji byłaby to wyjątkowa niedogodność, prawda?

– Jaka konspiracja... Po prostu szanujemy swoją prywatność, lubimy spokój. Nasi kontrahenci wysoko cenią minimalne ryzyko naszych przedsięwzięć. Musimy być odpowiedzialni, bo wszyscy mamy zbyt dużo

do stracenia. Chcemy, żeby był pan jednym z nas, zachował dyskrecję i wiódł ciekawe życie z panią Joanną. Zdaje mi się, że ona myśli o pańskiej karierze więcej niż pan. Proszę zrozumieć, nie jesteśmy gangsterami, brzydzimy się przemocą. Chcemy tylko spokojnie prowadzić uczciwy biznes.

– Kto panu zagwarantuje, że będę rozsądny?

– A kto da panu pewność, że jest pan nietykalny? Że któregoś dnia nie poślizgnie się pan na skórcie od banana, nie potknie, przechodząc przez most? Zapewniam, że tego rodzaju rozważania są dla mnie odrażające. Jeśli nie możesz kogoś pokonać, to się przyłącz. Stara niegłupia zasada. Radzę skorzystać. Zresztą sporo o panu wiemy, panie Smoke. Przecież nie jest pan wcale taki pryncypialny, dla dobra sprawy potrafi pan przymknąć oko. Mylę się? Zdaje się, że właściciel tego lokalu miałby na ten temat coś do powiedzenia... A za Hahnami już nikt nie zapłaci. Nawet gdyby był pan w posiadaniu nagrań, żaden sąd nie wsadzi Oskara za kratki. Jest o co kruszyć kopie?

Wbrew swoim zamiarom Walsh się rozgadał. Cały czas dawał mi sposobność obserwowania nieruchomych oczu i niemrawo opadających powiek. Nieznacznie otwierał zaschnięte usta, czasem w ślimaczym tempie unosił krzaczaste brwi. Było w nim coś z przygniecionej ciśnieniem ryby głębinowej, która miesiącami cierpliwie czeka na posiłek i reaguje tylko na jeden bodziec: zysk. Wcale nie czuł obrzydzenia z powodu śmierci Hahnów, tylko żal, że w ogóle miał do czynienia z takim podgatunkiem i nie posiada pamięciowego komfortu Oskara.

Miałem ochotę przycisnąć go, trochę pomęczyć. Jednak nie potrzebowiałem potwierdzenia, że kłamie. Artur niemal od początku wiedział, że to Oskar zabił Marcela. Cóż innego miały znaczyć słowa Alicji: „Odkąd pamiętam, Artur ciągle ma go na oku”? Walsh rozumiał, że

to najpilniej strzeżona tajemnica Krafta. Przejął się tym tak bardzo, że kiedy przyszedł do Gregory'ego, od razu miał to wypisane na twarzy.

– Znał pan mojego ojca? – zapytałem.

Walsh otworzył usta, nie od razu się odezwał.

– Słabo... Pan Dawid utrzymywał ożywione stosunki z panią Alicją. Pan Kraft darzył go dużą sympatią...

Zdradził się. Zaskoczony zdradził się, że z zazdrości o tę sympatię mógł się zrewanżować donosem o romansie Alicji i ojca. Wypadek Krafta, który był tego następstwem, musiał przeżyć nie mniej niż jego pan. Ten jednak nie odwdzieczył się zaufaniem za pnią wierność. O kulisach śmiertelnego wypadku ojca Walsh nie miał pojęcia. Kompletnie nic nie wiedział.

75.

– Chyba najwyższy czas, żebyśmy się dogadali – Walsh wydawał się mieć nieskończoną cierpliwość, ale bardzo mu zależało, żeby ta rozmowa dobiegła końca. – Proszę wziąć magnetofon, to nie moja własność.

– Wczoraj w nocy odegrał już swoją rolę, nie jest mi potrzebny – odparłem. – Jak pan chce, może go pan oddać Joannie.

– Co? – Zmusił mimikę twarzy do wysiłku i zmarszczył czoło. – Co pan sugeruje?

– Ona będzie wiedziała.

– Nie może pan sam...

– Nie.

– Chce pan powiedzieć, że podrzucił... Niebywałe... Chciał pan sprawdzić... Nagranie od początku nie miało dla pana znaczenia?

– Przejdźmy do rzeczy, panie Walsh.

– Dobrze, jak pan sobie życzy.

– Słyszał pan o człowieku przedstawiającym się jako Jarvis?

– Nie.

– Ogromny, szpetny zabijaka. Trudno o nim zapomnieć. Pracuje dla pana.

– Nie sądzę.

– Udaje ziomala ze starego miasta.

– Co mnie to obchodzi? – Walsh wzruszył ramionami.

- Powinno obchodzić, bo źle to robi.
- Jakie to ciekawe... – ironizował. – Po czym pan poznał?
- Gdyby prawdziwy ziomal naciągał pana na pieniądze, nazwałby pana frajerem, nie sponsorem.
- Aha. I co z tego?
- Tylko tyle, że dobrowolnie nie zasugerowałbym pańskiemu człowiekowi, gdzie znajduje się autentyczny dowód rzeczowy, na którym są odciski palców zabójcy i krew ofiary z łatwym do identyfikacji DNA.
- To niemożliwe... – Walsh znieruchomiał.
- Kilka dni temu poprosiłem Jarvisa, żeby podwiózł mnie na dworzec. Znajduje się tam urząd pocztowy. W skrytce umieściłem blaszaną skrzynkę ze strzykawką, która jakimś cudem błyskawicznie wzbogaciła zbiory Oskara Krafta.
- Walsh milczał. Środkiem czoła spłynęła mu kropla potu i zawisła na czubku nosa.
- Pięć milionów ma się znaleźć na koncie nie później niż do godziny osiemnastej – powiedziałem. – Rozumie pan, panie Walsh?
- Po raz pierwszy poruszył głową jak normalny człowiek i rozplótł palce.
- Godzinę później pod adresem wskazanym na kartce pojawi się Artur Kraft i powiadomi rodzinę Busterów o swoim prezencie. Jasne?
- Walsh siedział jak posąg.
- Jasne?
- Tak – wykrztusił.
- I jeszcze jedno... Pani Kraft chyba nadal nie może uporać się ze wspomnieniami z przeszłości. Najwyższy czas, żeby Artur powiedział jej prawdę. Ma to zrobić jeszcze dziś. Jutro spotkam się z panią Alicją i sam ocenię, czy to, co usłyszała, jest prawdą.

– To niemożliwe. – Walsh gorączkowo próbował to sobie wyobrazić. –
Niemożliwe...

– Ma pan mało czasu, panie Walsh.

Kiedy wychodził, wyglądał jak brat bliźniak Piotra Bustera.

76.

Zjadłem obiad i poszedłem na miasto. Przed siebie, donikąd. Przez chwilę chciałem pobyć z dala od spraw związanych z Walshem, Kraftem i zabójstwem Marcela. Nie udało się.

Nie wiedziałem, co robi Artur. Mógł przypuszczać, że się zabezpieczyłem. Gdyby coś mi się stało, dowód rzeczowy wraz z jednoznaczną informacją wpadłby w ręce kogoś, kto natychmiast rozpętałby aferę. I już nie Oskar, tylko on, jako główny podejrzany skupiłby na sobie uwagę. Jednak równie dobrze mógł pomyśleć, że przez wiele lat strzykawka nie była żadnym dowodem, tylko szpargałem rzuconym byle gdzie, być może od razu linie papilarne zostały zatarte i dowód zbrodni jego ojca nigdy nie istniał. Nie był w stanie tego sprawdzić. Mógł zaryzykować...

Walsh był łatwiejszym do rozszyfrowania przeciwnikiem. Chyba uwierzył, że magnetofonu nie schowałem, tylko go podrzuciłem, sprawdzając lojalność Joanny. Test wypadł negatywnie. Koronkowe przedstawienie, które miało mnie przekonać, że Joanna jest biznesowym zakładnikiem Krafta, okazało się niepotrzebne.

W rzeczywistości żałowałem utraty nagrania. W tę ciemną noc, kiedy została sama po odjeździe Krafta, chciała do mnie zadzwonić. Powiedzieć, że wyjechała do Stanów z Kraftem dla dobra moich i jej interesów. Jednak przemilczała jego obecność dla dobra sprawy, bo tak jak Walsh uważała, że

wie lepiej, co jest dla mnie dobre. Nie widziała mnie, kiedy ją obserwowałem pod domem, ale nie wziąłem pod uwagę, że kiedy będę odjeżdżał, ona może patrzeć na ulicę i zadzwonić do Krafta.

Szybko doszedłem do wniosku, że spacer po ogromnych terenach parkingowych dzielnicy biznesowej nie jest relaksujący. Bez zdziwienia zauważyłem, że nikt inny nie wpadł na ten pomysł. Nie było tu chodników ani zieleni, tylko betonowe jezdnie, krawężniki i setki samochodów ustawionych jak w grze planszowej. Garniturowcy raz za razem trzaskali drzwiami domytnych aut i z czarnymi teczkami szybkim krokiem zasuwali do szklanych wieżowców.

Ani razu nie pomyślałem, gdzie Kraft ma biuro. Połyskujące bryły budynków były anonimowe, pozbawione tradycyjnych okien, pocięte aluminiowymi prostokątami. Najwyższy miał siedemdziesiąt pięter i taras widokowy na szczycie. Został zamknięty dla zwiedzających, odkąd stał się ulubioną skocznią samobójców. Być może interweniował sam Kraft, jeśli wrzask spadających ludzi rozpraszał go podczas analizy giełdowych notowań. Natomiast bez wątpienia za poszkodowanych uważali się właściciele samochodów zgniecionych przez ludzkie szczątki. Choć taras był nieczynny od kilku lat, w miejscu, skąd zabierano zwłoki, nikt nie parkował.

Jednak tym razem było inaczej. Szary ford transit niedbale przecinał białe linie, jakby wobec pośpiechu i pilnej potrzeby przesady okazały się nieistotne. Wokół furgonetki było pusto. Nieopodal, choć za „strefą śmieci”, stał range rover, którym parę dni temu Walsh odjeżdżał spod kliniki w Pal.

77.

Zadzwoiłem na numer, z którego w ostatnich dniach ktoś kilkakrotnie usiłował skontaktować się ze mną. Odezwał się męski mrukliwy głos.

– Malouf, słucham.

– Poszukiwał mnie pan – powiedziałem, zastanawiając się, skąd znam to nazwisko.

– Nie sądzę, to raczej mnie poszukują – zarechotał.

– Kilkakrotnie dzwonił pan, więc to chyba nie przypadek.

Namyślał się.

– Chyba że oddał pan telefon do naprawy.

– Owszem.

– A, to co innego. Proszę koniecznie przyjechać.

– Teraz?

– Tak.

– To takie pilne?

– Gdyby na tym świecie tylko telefony były problemem, nie fatygowałbym pana. Piętro nad giełdą, będę czekał.

Miałem niedaleko i żadnych planów na popołudnie, nie licząc wyczekiwania na Alicję i wiadomości od Amelii Arnold. Giełda była nieczynna, hall wysprzątnany i pusty, zaalarmowany echem kroków na kamiennej posadzce z dyżurki wyszedł czujny strażnik.

– Gdzie znajdę pana Maloufa? – zapytałem.

Zmrużył oczy. Zdawało mi się, że na wypadek zeznań stara się mnie zapamiętać.

– Czwarte piętro, na wprost windy.

Malouf... Malouf... *I tylko Malouf się ucieszy.* Już wiedziałem.

Na drzwiach znajdowała się niewielka tabliczka z napisem „Malouf Ltd”. Były to jedyne drzwi na całym piętrze, jakby pracownicy firmy unikali przypadkowych spotkań na korytarzu i korzystali wyłącznie z pomieszczeń przechodnich. Wszedłem bez pukania.

Zdawało mi się, że w obszernym sekretariacie nie ma nikogo, dopóki nie usłyszałem szelestu papierów za otwartymi drzwiami metalowej szafy. Usiadłem przy uprzątniętym biurku i poczęstowałem się orzeszkami, które stały na środku w ciężkiej kryształowej misie.

– Odprawiłem już sekretarkę... Mam nadzieję, że lubi pan orzeszki. Nie tuczą, ograniczają ryzyko chorób układu krążenia.

Zanim Malouf usiadł po drugiej stronie biurka, rozwinął się jeszcze na temat właściwości nienasyconych kwasów tłuszczowych, magnezu i kwasu foliowego. Był nieogolony i chudy jak patyk.

– Chyba nie zaprosił mnie pan tutaj dla poratowania zdrowia – powiedziałem.

– Nie prowadzę sanatorium, ale jest pan na właściwym tropie, panie Hannibalu.

– Znamy się?

– Osobiście nie, ale pisał pan kiedyś o Shermanie Douglassie.

– Kolega po fachu...

Malouf skrzywił się, jakby orzeszki przestały mu smakować.

– Za byle głupstwo zajeździł go pan jak łysą kobyłę. Czytałem o procesie i czekałem na wzmiankę o handlu bronią i zabójstwie współnika. Na to Sherman miał żelazne alibi, przyłapałby pana na kłamstwie, pozwał,

podważył wiarygodność. A tu ani słowa, jedynie ta mała wzmianka po wyroku, że tylko Malouf się ucieszy. I ci co mieli zrozumieć, połapali się, o co naprawdę chodzi. Majstersztyk.

– Wsadziłem do pudła pańskiego konkurenta.

– Nie przeczę, sprawił mi pan dużo radości, ale nie tylko z tego powodu. Sherman miał opinię dżentelmena i kolekcjonera sztuki, dbał o wizerunek, otaczał się ekskluzywnym towarzystwem. Uchodził za człowieka o miłej powierzchowności, a był gnidą jakich mało. Nawet w handlu bronią obowiązują pewne zasady. Sherman łamał wszystkie. Szczerze go nie znosiłem.

– To poczucie wdzięczności nie czyni mnie jeszcze pana sojusznikiem.

– Ba, ale za jednym zamachem wyświadczył mi pan dwie przysługi. Po pierwsze Sherman, po drugie przekonał mnie pan, że mogę być następny. Od tej pory jestem ostrożniejszy, bardziej staranny. Nikt mnie nie przyłapie z opuszczonymi gaciami.

– Jest pan dość wylewny. Może akurat pana nagrywam.

– Ha, w tym pomieszczeniu to niemożliwe. – Roześmiał się. – I to też pańska zasługa.

– No dobra, przystąpmy do rzeczy.

– Powiem tak: niczego sobie nie obiecuję, ale przysługa za przysługę, jestem to panu winien.

– Skąd pan wie, że telefon należy do mnie?

– Chłopcy w serwisie pana rozpoznali. Naprawili telefon i przynieśli do mnie. Powiedzieli, że jest dziwny.

– Może jaśniej?

– Widzi pan, umiejscowienie tego serwisu na giełdzie nie jest przypadkowe. To nie tylko wielka lewizna, także wymiana informacji, elektronicznych nowinek i skupisko superinteligentnych maniaków, którzy

chcą dowiedzieć się wszystkiego. Miał pan szczęście, że pański telefon trafił w ręce kogoś takiego. Telefon został naprawiony natychmiast, ale komputer znalazł w nim to wszystko, co być powinno i coś, czego jeszcze tu nikt nie widział: quietusa zero cztery.

– Co to takiego?

– Program pełniący rolę modulatora częstotliwości fal elektromagnetycznych. Rozumie pan?

– Ani trochę.

– Tego nie zrobiła fabryka ani jakiś majsterkowicz. To zaawansowana tajna technologia. Broń psychotroniczna.

– Co takiego?

– Z grubsza biorąc, chodzi o ingerencję w system nerwowy człowieka.

– Jak działa taka broń?

– Za pomocą stymulacji elektronicznej można kontrolować ludzkie umysły, manipulować zachowaniem, reakcjami emocjonalnymi, funkcjami ciała.

– A konkretnie?

– Konkretnie to z człowiekiem można zrobić wszystko, wywołać ból, halucynacje, doprowadzić do utraty przytomności, oszołomienia, zawału serca, ślepoty, śmierci... Dosłownie wszystko...

– Niedawno powiesił się były minister rolnictwa...

Malouf nie dał mi dokończyć.

– O tym samym pomyślałem. Facet się nie powiesił, kiedy był na finansowym dnie, miał w perspektywie odsiadkę. Zrobił to, kiedy nawiązał świetne kontakty biznesowe i wyrok został uchylony. W dobrym nastroju umówił się ze znajomymi na grilla i sięgnął po sznur.

– Myśli pan...

– Pojęcia nie mam, ale tak to może wyglądać w praktyce.

– Wyobraźmy sobie, że to pan chce mnie doprowadzić do zawału serca. Mam przy sobie telefon z modulatorem. Co pan zrobi, panie Malouf?

– Musiałbym mieć drugi telefon z wyzwalaczem fal elektromagnetycznych. Uruchomiłbym go, zadzwonił do pana i modulator zacząłby działać.

– To by wystarczyło?

– Tak.

– Zarejestrowane połączenie jednoznacznie identyfikowałoby sprawcę.

– Pod warunkiem, że stróżom prawa przyszedłoby do głowy, że narzędziem zbrodni może być telefon. Gwarantuję, że w całym Val nie ma takiego policjanta. Jesteśmy na to zbyt zafocani.

– Ale są ludzie, którzy wiedzą, że to możliwe.

– Nie szkodzi. Modulator nie musi zadziałać natychmiast, można go nastawić jak budzik. Zadzwoniłbym dziś, a zawał nastąpiłby jutro albo za tydzień. Nikt by o mnie nie pomyślał. Naturalnie zniszczyłbym własny telefon albo usunął z niego wyzwalacz. To zbrodnia doskonała.

– Nie. Ktoś musiałby najpierw wprowadzić program do telefonu ofiary. Tego nie da się zrobić z bezpiecznej odległości.

– No tak... – Malouf zgodził się ze mną. – Ma pan rację... Można to jednak zrobić na długo przed użyciem modulatora. To nie jest narzędzie dla oszalałego historyka, który morduje w afekcie. Raczej starannie planuje. Nie uważa pan? Zresztą rozmawiamy czysto teoretycznie. Quietus to projekt brytyjski, testowany i zarzucony, bo nie jest doskonały.

– To znaczy?

– Raczej nikt nie chciał pana zabić, tylko nieźle nastraszyć, może chwilowo unieszkodliwić. Nie wiem... Ten program powoduje krótkotrwałe zatrzymanie akcji serca i ślepotę. Objawy ustępują bez śladu,

są niewykrywalne. Taka dziwna zabawka, choć w pewnych okolicznościach może być groźna.

– Komu pan to sprzedał?

Malouf zatrząsł się ze śmiechu.

– To pytanie proszę zadać naszemu wspólnemu znajomemu. Coś mi mówi, że quietusa Sherman Douglas zachował dla siebie.

Kiedy zabierałem się do wyjścia, misa z orzeszkami była już pusta. Malouf życzył mi powodzenia i zachęcał, żebym wpadł do niego, kiedy będę w pobliżu. Na pożegnanie wręczył mi ulotkę swojej firmy. Przejrzałem ją, czekając na windę. Była tam oferta sprzedaży francuskich basenów kąpielowych, doradztwa, montażu i konserwacji. Malouf polecał także zadaszenia, które umożliwiały rozkosz kąpieli przez cały rok.

78.

Broń psychotroniczna...

Ojciec ofiarą broni psychotronicznej...

Nie pasowało mi to do niego, jego środowiska, zajęcia, do Val... Do nikogo i niczego, z czym kiedykolwiek się zetknąłem. Chyba tylko do CIA i Saddama Husseina, który uskarżał się, że Amerykanie usiłują kontrolować jego umysł za pomocą biokomunikacji.

Dopóki chodziło o przedawkowanie narkotyków i samochód pułapkę, wszystko było znajome, namacalne, niemal swojskie, jakbym wychował się wśród dilerów i speców od podkładania ładunków wybuchowych. Broń psychotroniczna...

Zajrzałem do Internetu, znajdując to wszystko, o czym mówił Malouf. Technologie psychotroniczne rzeczywiście były tajne, ale ich istnienie i zasady działania znane od dziesięcioleci, podobnie jak lęk przed ich użyciem. Jednak dotyczyło to przede wszystkim wielkich mocarstw, wyścigu zbrojeń, międzynarodowego terroryzmu lub walki z tłumem. Było poważne, groźne i solidnie uzasadnione w przeciwieństwie do relacji rzekomych ofiar ataków psychotronicznych. Brzmiały nieprawdziwie, jak objawy zwykłej paranoi. Tym bardziej kuszące mogło się wydawać użycie broni wobec całkowicie bezbronnego osamotnionego człowieka, który nie wiedział, z czym ma do czynienia. Jeśli ginął, sprawcy nie poszukiwano, bo nikt nie miał pojęcia, że popełniono przestępstwo.

Już niemal pogodziłem się z myślą, że moje przypuszczenia co do śmierci ojca są wytworem nadmiernej podejrzliwości. Miałem nadzieję, że zwyczajnie, po ludzku zagapił się i zginął w wypadku samochodowym. Przecież w Val to nic nadzwyczajnego, a na drodze z Nig w szczególności.

Wprawdzie nie mogłem się upewnić, czy zabójcze telefony naprawdę zostały użyte, ale przecież istniały!

Malouf nie dociekał, czyj telefon trafił do serwisu. Uważał mnie za potencjalną ofiarę. Dla kogo celem mógł być ojciec?

Dla Douglasa? W telefonie nie było jego numeru. Zważywszy na przyzwyczajenia ojca, mogłem spokojnie założyć, że się nie znali, może nawet nigdy nie spotkali.

Potencjalnym sprawcą był ktoś, kto ojca znał, miał motyw i narzędzie zbrodni.

Kiedy Artur Kraft usłyszał o romansie swojej żony, pałał żądzą odwetu na kochanku. Powstrzymał go wypadek samochodowy. Czy pierwszą myślą po odzyskaniu przytomności nie było dokonanie adekwatnej zemsty? Czy nie uciął sobie pogawędki ze starym znajomym, który zajmował się szmugłem bronią? Dla Maloufa quietus był zabawką, która może nastraszyć. Ciężko ranny w wypadku Kraft miał więcej wyobraźni. Doskonale wiedział, czym grozi zatrzymanie akcji serca i utrata wzroku na niebezpiecznym zakręcie.

Ojciec pojechał na zjazd do Nig. Alicja z chorym ojcem do kliniki. Szpicle mogli donieść Arturowi, że tych dwoje spotkało się w Pal. Czy wtedy się zdecydował?

To proste rozwiązanie nadal nie tłumaczyło, skąd w telefonie ojca znalazły się numery Hahnów. Może jednak zadzwonił ktoś, o kim nie miałem pojęcia? A może nikt?

Leżałem na kanapie, patrzyłem na niebezpieczny telefon ustawiony na najwyższej półce z książkami i czułem, że nie mam szans. Sprawca był nieosiągalny.

Gdyby wziąć pod uwagę ostatnie zachowane połączenia przed śmiercią ojca, sam wraz z kilkoma osobami znalazłbym się w kręgu podejrzanych. Ale ojciec całą drogę z Nig prowadził jedną ręką, bo bez przerwy ktoś dzwonił. Staranne śledztwo poszerzyłoby ten krąg o znacznie więcej osób. Dziesiątki, może setki ludzi, z których teoretycznie każdy mógł mieć wyzwalacz, nastawić budzik na dowolny termin, a potem bez śladu zniszczyć własny aparat.

Do tej pory sądziłem, że ostatnie połączenie telefoniczne z ojcem było pomyłką. Niekoniecznie. Tych kilka sekund wystarczyłoby przecież, żeby modulator zadziałał. Wyszukałem numer w telefonie ojca i zadzwoniłem z własnego aparatu. Momentalnie zatrzeszczały głośniki przy komputerze, monitor zamigotał i zgasł...

79.

Drgnąłem jak rażony prądem, choć to tylko zasilanie nagle zawiodło.

– Dzień dobry, jestem Kasia, a ty? – odezwał się sympatyczny głos rezolutnej dziewczynki.

– Cześć, Kasiu, jestem Hannibal. Tatuś pozwolił ci odbierać telefon?

– Nie mam tatusia – odparła ze smutkiem. – Mamusia poszła do sklepu i długo nie wraca.

– Pewnie sklep jest duży i długa kolejka przy kasie.

– Chyba tak, w Ost wszystkie sklepy są duże, mają ruchome schody. Mamusia obiecała, że kupi mi lalkę.

– Nie martw się, na pewno chce wybrać najładniejszą.

– Powiedziałam, którą chcę, ale już mi się nudzi...

Miłe dziecko, które potwierdziło oczywiste przypuszczenia. Wyzwalacz umieszczono w anonimowym, aktywowanym kartą telefonie. Zapewne został wykorzystany tylko raz i zniszczony. Numer należał już do kogoś innego...

80.

Cały czas spodziewałem się telefonu od Alicji. Kiedy zadzwoniła Joanna, byłem gotów odruchowo powiedzieć „kochanie”, ale odezwała się pierwsza. Jej głos zabrzmiał nutą fałszywej niewinności i chęci zbadania, w jakim jestem nastroju.

– Hanni... Gniewasz się?

– Nie.

– Och, gniewasz się, bo w nocy widziałeś mnie z Arturem. Właściwie... Zdawało mi się, że ktoś mnie obserwuje... Chciałam do ciebie zadzwonić, ale tyle razy nie odbierałeś, więc zadzwoniłam do Artura. Potem przyjechali jacyś ludzie. Powiedzieli, że są z ochrony. Wypytywali... To takie ważne? Zrozum, przecież z Arturem łączą mnie tylko interesy...

– Niestety...

– Aż tak ci to przeszkadza?

– Niestety, już nie łączą.

– Rozmawiałeś z Walshem? Bo moich telefonów nie odbiera, Artur...

– Przykro mi, chcieli cię wykorzystać.

– Przestań. Myślałam, że już jesteś inny, nie taki przeczulony... – Nagle jej głos przybrał ton pełnej urazy połajanki. – Przepraszam. Gdybym wiedziała, poprosiłabym cię o zgodę na wyjazd z Arturem. Proszę, nie bądź taki...

– Rozmawiałem z Walshem.

Dotarło. Zamilkła na dłuższą chwilę.

– Jezu...

– Przykro mi.

– Wszystko na nic... Jezu... – wyszeptała. – Byłam dla nich... A ty?...

Nawet nie chcesz moich usprawiedliwień...

Pomyślałem, że nigdy nie zapytała, czego chcę. Widziała we mnie tylko partnera w zaprzęgu, w którym zrealizuje własne marzenia. Nawet w chwilach oczarowania podświadomie czułem, jak na szyi zaciska mi obrożę, wlecze za sobą nadmiarem ambicji. Czy nie powinienem skorygować jej naiwnego planu, który nie uwzględniał minionych dziesięciu lat? Nie zrobiłem tego. Wszedłem w rolę wytęsknionego kochanka. Tylko na chwilę, ale już nie mogłem się wykręcić... To było zobowiązanie.

– Joasiu... Nie powinnaś się tłumaczyć. To wszystko moja wina. Przepraszam...

– Myślisz, że gdyby nie Kraft, nie przyjechałabym? Powiedz mi... Ty naprawdę na mnie czekałeś? Wciąż się zastanawiam...

– Czekałem...

– Boże... Znowu raz na rok będziemy milczeć przez telefon? Nie chcę tak, zobacz się ze mną. Przytul mnie.

– Dobrze.

– Ty wszystko wiesz. Powiedz, co widzisz oczami wyobraźni?

– Jestem rozkojarzony... Ty mnie zobaczysz, ale ja ciebie nie...

Sam nie wiedziałem, co to znaczy.

81.

Alicja nie dzwoniła, Amelia też. Zastanawiałem się, czy nie sprawdzić, co się dzieje, zaparkować z dala od osiedla i pójść na przełaj między wykopami i bunkrami. Wystarczyło w sąsiednim budynku zająć dogodną pozycję na klatce schodowej i przez lornetkę zobaczyć, czy ktoś przyszedł do Busterów.

Nie zdecydowałem się. Zacząłem to sobie wyobrażać. Ciemności na schodach, zapach piwnicy i oświetlone staroświeckim żyrandolem nieruchome sylwetki za firanką. Amelię tyłem do okna, anemiczne postaci Mileny i Piotra Busterów. Potem nieprzeniknioną, zwalistą postać Krafta. Czy zniżył się do nędznej czynszówki, żeby pod przymusem odgrywać rolę świętego Mikołaja?

Telefon milczał. Nie wiedząc, co naprawdę się wydarzyło, poszedłem spać. Przyśnił mi się boski pejzaż widziany z urwiska w Emplarium, a potem mroczne zakamarki centrum Val.

82.

Po śniadaniu odszukałem garnitur i powiesiłem na kluczu wetkniętym w zamek szafy. Był w nienagannym stanie, przymierzyłem, ciągle pasował. Miałem tuzin marynarek i ten jeden garnitur zakładany na szczególne okazje, czyli prawie nigdy. Przydał się na pogrzeb ojca, na rocznicę jego śmierci też wydawał się odpowiedni. Hala widowiskowa podobnie jak cmentarz po brzegi miała być wypełniona tysiącami miłośników książek ojca. Pogrzeb był horrorem, rocznica miała wzruszać wspomnieniami i projekcją kolejnej powieściowej ekranizacji.

Nie przygotowałem żadnej mowy. Gdyby nie matka, nie poszedłbym. Wiedziała, że nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać achów i ochów, jaki to ja jestem do ojca podobny i cichych pomruków, że szkoda, bo tylko fizycznie. Chciała mnie tam zobaczyć mimo obaw, że powiem coś nieodpowiedniego i oburzę egzaltowane babsztyle, które czytają romanse bezkrytycznie jak książeczkę do nabożeństwa. Jeśli byłem do ojca podobny, to w niechęci do tego typu ograniczonych idiotek. Tyle że dla niego były przede wszystkim klientkami, dla mnie wyłącznie idiotkami.

Jakoś od rana niemal wszystkie myśli koncentrowałem na ojcu.

Pisał w zastępstwie tego, co chciał pisać naprawdę. Był związany z matką, choć pragnął innej. Przynajmniej w jakimś stopniu powinien uważać się za przegranego, ale nigdy, ani przez moment nie sprawiał takiego wrażenia. Należało oczekiwać, że będzie się męczył, dusił, irytował

z niejasnych powodów. Nic takiego się nie zdarzyło, nie miał złych dni, niezrozumiałych fochów. Czasem się wkurzał, bywało, że wraz ze mną, ale zawsze z konkretnej przyczyny. Kiedy dorosłem, z dala od matki rzucaliśmy mięchem, żeby się wyładować. Metoda była niezawodna, zawsze poprawiała nastrój. Fajny był ten mój stary, wyjątkowy gość...

Może miał niezwykłą łatwość akceptowania rzeczywistości? Czerpał zadowolenie z wpływu, jaki ma na ludzi, niezależnie od tego, jakimi środkami to osiągał? I potrafił to, co dla mnie było nieosiągalne: nie dokonywać wyboru, kiedy chcesz mieć wszystko i po prostu kochać dwie kobiety...

Zadzwoił telefon.

– Panie Hannibalu, to ja, Albert, pamięta mnie pan?

– Nie.

– Ze stacji benzynowej.

– Aha.

– Zostawił mi pan wizytówkę i takie niewyraźne zdjęcie z jakąś babką.

– Owszem.

– Magiczne to zdjęcie. Nie miałem pojęcia, kto na nim jest, ale sto razy na nie patrzyłem i jak ta babka podjechała zatankować, od razu wiedziałem, że to ta. Nie wiem skąd, ale wiedziałem. Niech się pan pospieszy.

– Żebym zdążył, musiałyby tankować cysternę. Zanotuj numery samochodu, to wystarczy.

– Cholera, szkoda. Już zatankowała. Stoi na parkingu, bo wóz nie pali. Obiecałem, że zaraz naprawię.

Gnojek uszkodził samochód, a mówiłem wyraźnie, że chcę ją odszukać, nie dorwać. Wahalem się. Jaki pożytek z tej wycieczki?

– Jakim samochodem przyjechała?

– Czarną mazdą. Niech się pan pospieszy – rzucił Albert. – Ona jest cholernie stanowcza i nieufna. Muszę iść.

83.

Przypomniałem sobie podwójną linię namalowaną na jezdni przed stacją. Jeśli kobieta nie złamała przepisów, nadjechała tam od strony centrum miasta i nie mogła zawrócić. Zatrzymałem samochód przecznicę za stacją i zadzwoniłem do Alberta.

– Naprawiłeś?

– Już kończę – przekrzykiwał warkot silnika.

– Widzę wyjazd ze stacji. Daj znać w odpowiednim momencie.

– Dobrze, jak pan sobie życzy.

– Dzięki, Albert.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzucił rutyniarsko, ale i tak wiedziałem, że pociąga go ta konspira dla ubogich.

Opuściłem szybę, zapaliłem papierosa i gapiłem się na dziada popychającego skrzypiący wózek ze złomem. Zatrzymał się i poprosił o papierosa. Poczęstowałem go. Skinął głową i potoczył swój dobytek, zasłaniając mi wyjazd ze stacji. Na domiar złego pomyliłem się w rachubach. Kiedy zadzwonił Albert, kobieta bez najmniejszych wahań przejechała przez podwójną linię i zawróciła do centrum. Musiałem przepuścić kilka aut, zanim ruszyłem w pogoń. Kątem oka dostrzegłem Alberta, wyszedł na chodnik z kciukiem uniesionym ku górze.

Na światłach mazda zatrzymała się na początku, ja na końcu łańcucha samochodów. Nie mogłem dostrzec, kto prowadzi wóz ani zauważyć

numerów. Kiedy zapaliło się zielone, kobieta po prostu odjechała. Miałem ochotę się poddać, ale nieoczekiwanie skręciła w lewo w ślepią ulicę, gdzie znajdowało się targowisko i zakłady usługowe, niewielkie, ale z długimi tradycjami.

W zaułku Minklera można było znaleźć ślusarza, szklarza, szewca, a nawet kaletnika i parasolnika, o czym powiadały niemal jednakowe zardzewiałe szyldy. Tamtejszy bruk pamiętał czasy, kiedy jedynym środkiem lokomocji były wozy konne, a śmieci wyrzucano przez okna wprost na głowy przechodniów. Zresztą do dziś dało się wyczuć zapach pomyj pomieszanych z końskim nawozem. Stare kamienice były brudne i krzywe, podobnie jak latarnie, krawężniki i kramy, gdzie spod lady sprzedawano towar z przemytu. Ale nie każdy kupował lub naprawiał, niektórzy w zaułku Minklera chcieli zapalić smrodliwego skręta i poczuć atmosferę dawnego Val, kiedy było prowincjonalnym zadupiem.

Ulica kończyła się rondem, gdzie można było zawrócić, nigdzie jednak nie mogłem zaparkować. Co chwila zatrzymywałem się, ustępując miejsca przechodniom. Czuję się idiotycznie. Zamiast hondy mazda. Po co szukam tej kobiety? Co jej powiem, kiedy ją odnajdę? „Dzień dobry, jestem taki a taki... Kiedyś widziałem, jak wygląda pani ze swego samochodu”... I co dalej? Miałem zaproponować, że kupię od niej ten samochód? Nie przychodził mi do głowy żaden sensowny pomysł. Byłem zły.

Amelia nie dzwoniła, Alicja też, nie wiedziałem, gdzie jest czarna mazda. Zawróciłem na rondzie i nadal się rozglądałem. Nie mogła zniknąć jak kamfora. Na targowisku kłębiło się od ludzi, mieszkańców nieodległych kamienic i przyjezdnych, którzy przytomnie pozostawili auta na parkingu pod dworcem lub dojechali komunikacją miejską. W zaułku Minklera samochody dostawcze stały niemal zderzak w zderzak, a jednak gdzieś się wcisnęła...

Co było powodem, żeby zawracać z drogi, łamiąc przepisy? Zepsuty parasol, urwany obcas?... Coś innego...

Albert zastosował jakąś tanią sztuczkę, żeby samochód nie zapalił, może nawet wetknął szmatę do rury wydechowej. Zapewne zirytował kobietę przywiązaną do niezawodności japońskiego auta, więc postanowiła sprawdzić wóz. A gdzie miałyby to zrobić, jak nie u starego Ebera? Kiedy za demontaż kradzionego auta szedł na rok odsiadki, nawet dziennikarze nad tym biadali. Jego czarny od smaru warsztat był niemal legendarny. Wszystko można tu było naprawić, ożywić spisane na straty najgorszego rzęcha i pośmiać się co niemiara, bo właściciel sypał kawałami jak z rękawa. Kilkakrotnie przejechałem przed uświnionym płotem z napisem „Nie zastawiać” i w końcu doczekałem się. Sam Eber wyszedł na chodnik, żeby skórzaną cyklistówką pomachać za mazdą.

Dopiero teraz pojechała w kierunku, którego się po niej spodziewałem. Nie spieszyła się, opuściła szyby, dzwoniła do kogoś. Natężenie ruchu słabło, więc zwiększyłem dzielącą nas odległość. Kiedy zatrzymała się przy sklepie ogrodniczym, zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, wszedłem do salonu z motocyklami i patrzyłem przez szybę.

Nie zwróciła uwagi na rośliny, poszła wprost do kasy. Mogłem tylko zgadywać, że coś zamawia i płaci. Ktoś się z nią przywitał, po czym nastąpiła wymiana zdawkowych uśmiechów. Wyszła z torbą przewieszoną przez ramię, w dżinsach i granatowym żakiecie z połyskującymi w słońcu złotymi guzikami. Długonoga, dystyngowana, jak zawsze nienaganna. Mimo ciemnych okularów poznałem ją od razu. Z różą w ręku wydawała się ciepła i delikatna, nie taka, jaką znałem...

84.

Pojechała do marketu, przed którym stały setki samochodów. Był wystarczająco duży, nie musiałem tkwić na parkingu. Z bezpiecznej odległości patrzyłem, jak wrzuca do kosza pieczywo, sery, wędliny zapakowane w folię. Na stoisku z chemią czytała opisy kremów, wąchała dezodoranty, ale wzięła tylko płyn do kąpieli. Nie spieszyła się. Zamiast się zniecierpliwic, przyglądałem się, jak przykłada do ramion t-shirty. W białym nie wyglądała najlepiej, w czerwonym bardzo dobrze, ale wszystko przebijał turkus. Rozejrzała się, jakby dosłyszała moją radę, i umieściła w koszu turkusową koszulkę. Postanowiłem poczekać w aucie i dyskretnie ulotniłem się ze sklepu.

Telefon pozostawiony w aucie powiadomił mnie, że kilkakrotnie dzwoniła Amelia.

– Przepraszam – powiedziała, pokonując napad kaszlu. – Bardzo cię przepraszam, mój drogi chłopcze. Miałam zadzwonić od razu... Ale po takim wydarzeniu nie mogliśmy dojść do siebie. Zrozum, grzechem byłoby nie skosztować nalewki mojego nieboszczyka męża...

– Mam nadzieję, że było co uczcić.

– Mój Boże, było. Pięć milionów! Pięć milionów!!! Na zmianę liczyliśmy zera. Gdybym chciała tyle zarobić, musiałabym pracować dwieście lat. Spodziewaliśmy się jakiejś zapomogi, a zobaczyliśmy na koncie astronomiczne pieniądze! Myślałam, że Milena mi wykituje na

kanapie. Wiesz, jaka ona blada, a jeszcze pobladła. Słowa nie mogliśmy z siebie wykrztusić, taka cisza zapadła, taki niesamowity bezruch, że słyszałam jak sprężyny w tapczanie skrzypią u sąsiada, jak serce tłoczy mi krew. Sama musiałam usiąść, żeby się nie przewrócić. Piotr powiedział, żebym go uszczypnęła, ale uszczypnęłam Milenę, bo bałam się, że już nie dycha. Nalewka trochę postawiła ją na nogi, ale po godzinie położyła się. Płakała, my razem z nią. Mówiła, że zaraz jej się przyśni Lazurowe Wybrzeże... Ile poszło tej nalewki... Nigdy w życiu tyle nie wypiałam. Piotr niedawno obudził Milenę i poszli, a ja od razu zadzwoniłam do ciebie. Powinnam jeszcze odszukać numer do Artura i Alicji, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

Artura i Alicji... Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

– Głowa mi pęka. Już nie wiem, czy to alkohol czy nadmiar wrażeń. Oni tacy... – Amelia miała problem z doborem słów. – Nigdy mi do siebie nie pasowali. Rozumiesz... Niedźwiedź i motyl... Boże, co ja plotę... To najlepsi ludzie, jakich w życiu spotkałam. Niezwykła para. Bo przecież on ją tak kocha, ona tak bardzo go podziwia... Ma za co! Przyszedł i po prostu powiedział, że postanowił pomóc. Piotr i Milena nie uwierzyli. Przecież nie jest im nic winien. Przecież jest tylu ludzi, którym wiedzie się gorzej. A on na to, że nie zapomniał, gdzie się wychował, z kim przyjaźnił. Powiedział, że pamięć o Marcelu wciąż jest dla niego ważna. Byliśmy wzruszeni, ale nadal zaskoczeni. Minęło tyle lat... Wytłumaczył, że odniósł sukces, zgromadził majątek, ale w życiu przychodzi moment, kiedy pomnażanie fortuny już nie daje takiej radości, jak dzielenie się z innymi. Więc to dzielenie się chce zacząć od rodziny Marcela. Piotr i Milena podziękowali, bo im się nic nie należy, niczego przyjąć nie mogą. Więc prosił, żeby nie odmawiali, że to zadośćuczynienie, bo los nie każdemu daje te same szanse, zwłaszcza dla nich nie był łaskawy. Jemu sprzyjał, więc niech to potraktują,

jak szczęśliwe zrządzenie losu. Niech nie odmawiają, nie dziękują, tylko zrobią z pomocy dobry użytek. Ile to trwało... W końcu zapytali, co to za pomoc, bo gdyby nie leczenie, niczego by im nie brakowało. Powiedział, że na lekarstwa wystarczy, że już przelał na ich konto pewną sumę pieniędzy. Nie wytrzymałam, wyciąłowałam go, bo to przecież zawsze był taki dobry chłopiec. Piotr wziął go za rękę, Milena objęła za szyję...

Straciłem cierpliwość.

– Pani Amelio, przepraszam, muszę kończyć.

– No coś ty, mam tyle do opowiedzenia...

85.

Mazda przejechała nieopodal, przepuściłem autobus, paru przechodniów i ruszyłam jej śladem. Amelia zadzwoniła ponownie, nie odebrałem. Wolałem podążyć za kobietą, która miała w bagażniku turkusową koszulkę i płyn do kąpieli. Spodziewałem się, że teraz pojedzie do domu. Dowiem się, gdzie mieszka i na tym zakończę tę przejażdżkę. Kiedy autobus zjechał do zatoki, żeby zabrać pasażerów, zorientowałem się, że już nikogo nie szpieguję. Mazda zniknęła.

Zawróciłem, rozglądając się po bezbarwnych kamienicach. Jakoś mi do niej nie pasowały. Market budowlany, zajezdnia autobusów, hurtownia sprzętu grzewczego, cmentarz. Zobaczyłem, jak z różą w ręku przechodzi przez ozdobną metalową bramę, omija grupę ludzi i znów gdzieś przepada między drzewami...

Wychodzący z cmentarza szli do autobusu, tworząc bezładną rozgadaną gromadę. Wyglądali na zmęczonych i zawiedzionych. Najwyraźniej wycieczka się nie udała, bo wyżywali się na mężczyźnie, który gęsto się tłumaczył i bezradnie rozkładał ręce. Nie chciało mi się tego słuchać.

Szedłem główną aleją, na krótko zapuszczając się w boczne, do złudzenia do siebie podobne. Z podrzędnych alei rozchodziły się kolejne, z tych następne. Stali bywalcy ze stoickim spokojem krzatali się przy grobach, inni wałęsali się to tu, to tam lub kręcili głowami przy tablicach ze skomplikowanym planem sytuacyjnym ogromnej nekropolii.

Dołączyłem do chłopca, który krokami liczył odległość między pniami drzew. Za każdym razem była jednakowa. Malec w krótkich portkach i z poobijanymi kolanami sadził susy, żeby zrównać ze mną krok, tak jak ja wsadził ręce w kieszenie i spod długiej grzywki łobuzersko mi się przyglądał. Podałem mu rękę. Zaczerwienił się i przywitał.

– Przed chwilą szła tu ładna pani z różą w ręce. Widziałeś ją?

– Ta pani zawsze tam idzie. – Pokazał palcem bliżej nieokreślone miejsce.

– Zawsze?

– Tak. Ja z babcią często przychodzę na grób dziadka.

– Poszukamy jej razem?

Pobiegł przodem, skręcił w prawą alejkę i naśladowując warkot samochodu, kluczył między grobami. Poszedłem za nim. Po chwili zawrócił.

– Jest.

– To chodźmy, ale po cichu, żeby nas nie zauważyła – powiedziałem konspiracyjnie.

– Tędy.

Przyłożył się do zadania. Zgarbiony skradał się i oglądał za siebie. Sprawdzał, czy jestem dość blisko. Nudne musiały być te cmentarne wyprawy z babcią. Zatrzymał się przy żywopłocie i oparł palec na ustach.

Wyjrzałem zza gęstwiny przyciętych jałowców.

Siedziała tyłem do mnie kilkanaście metrów dalej. Podałem chłopcu rękę. Bystrzak zrozumiał, że chcę zostać sam i chyłkiem się wycofał.

W bezruchu z lekko pochyloną głową patrzyła na świeży jeszcze grób zarzucony kopcem kwiatów i wieńców. Zmarły nie dożył pięćdziesiątki. Nazywał się Mark Landaker. Nie miałem pojęcia, kto to taki. I bez przerwy zastanawiałem się, co tu robię. Gdyby się obróciła, zdążyłbym się ukryć, ale niezręczność tej sytuacji była nieznośna.

Landaker... Patrzyłem na drewniany krzyż i nie budziło się we mnie żadne skojarzenie. Słaby wiatr poruszył szarfami na wieńcach. Zakołysały się gałęzie, kiedy ptak przeskoczył z drzewa na drzewo. Z oddali usłyszałem brzęk stłuczonego szkła i podniesione głosy, z innej strony strumień wody nalewanej do wiadra. Ktokolwiek tu przyszedł, miał jakiś istotny powód. Ja żadnego. Należało po prostu odejść.

Może nie od razu, bo przecież gdzieś tu pochowany był ojciec. Pomyślałem, żeby wreszcie odnaleźć jego grób, kupić kwiaty. W trzecią rocznicę śmierci chociaż tyle mogłem dla niego zrobić. Tylko tyle...

Mansbridge... Zatrzymało mnie nazwisko człowieka pochowanego obok Landakera...

Mansbridge...

Poczułem, że brakuje mi powietrza.

Mansbridge... Uporczywie wpatrywałem się w to nazwisko podczas ceremonii pogrzebowej. Czytałem je od lewej do prawej i na odwrót, czekając, aż będzie po wszystkim. Dziesiątki, setki razy. Zmarły tragicznie ośmiolatek z aniołem na postumencie. To ten Mansbridge, żaden inny.

Tu nie powinno być żadnego Landakera.

Grób ojca zniknął.

86.

Położyła różę na grobie Landakera. Kwiatów było tyle, że ten jeden nie robił żadnej różnicy. Założyła ciemne okulary i powoli odeszła, nie oglądając się za siebie.

Ta pani zawsze tam idzie...

Chłopiec nie powiedziałby tak, gdyby chodziło o świeży grób Landakera...

Już nie troszczyłem się o to, czy mnie zobaczy. Odniosłem wrażenie, że idzie naprzód, ale cel tej wędrówki stracił dla niej znaczenie. W jej ruchach było poczucie osamotnienia i kapitulacji. Jakby w każdej chwili mogła się zatrzymać i czekać na skradającą się starość.

Zachwiała się. Zacząłem się obawiać, że zemdleje. Ona chyba też. Sięgnęła do torby przewieszanej przez ramię, wyjęła małą plastikową butelkę z wodą mineralną, upiła kilka łyków i z nieco większą ochotą poszła na parking. Usiadła za kierownicą i znów przeszukiwała torbę. Nie spojrzała w moją stronę. Wsiadłem do samochodu i patrzyłem na nią w lusterku wstecznym. Umalowała usta i wyjechała na ulicę.

Minęła market budowlany, zajezdnię autobusów, hurtownię, kilka kamienic... Kiedy zobaczyłem małe ładne domki, wiedziałem, że gdzieś tu mieszka. Skręciła w głąb osiedla i zatrzymała się przy żółtym z brązowym cokołem i gankiem gęsto porośniętym winobluszczem. Zaparkowałem tuż za nią. Nie wysiadała.

Podszedłem do jej samochodu. Opuściła szybę, zdjęła okulary i patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

– Jechał pan za mną?

– Zauważyłem panią na cmentarzu...

– I to pana upoważnia, żeby mnie inwigilować?

Znów była taka jak zwykle, skoncentrowana i stanowcza.

– Nie, ale... zdarza się bardzo rzadko okoliczność doskonała, kiedy dwie osoby przekazują sobie cząstki duszy jednakowej wielkości...

– Nie rozumiem... – Odwróciła głowę.

– I choćby tych dwoje było od siebie oddalonych o tysiące mil...

– ...potajemna łączność wymienionych cząstek dusz nigdy nie słabnie...

– Głos uwiązał jej w gardle.

– Kiedy?

– Siedem... Przed miesiącem upłynęło siedem lat... – wyszeptała.

87.

Posadziła mnie w salonie i poszła do kuchni. Przedtem powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszałem: „Zrobię kawę. Wejdiesz?”.

Wejdiesz? Nigdy sobie nie wyobrażałem, że prokurator Katrina Lange z jakimkolwiek dziennikarzem przechodzi na „ty”. Siedem lat... Tak długo ją znałem. Kontakty były zdawkowe, wyłącznie zawodowe. Zwykle traktowała mnie z oziębłą ostrożnością. Nigdy swobodnie nie pogadaliśmy, ograniczając się do koniecznej wymiany zdań i jednoznacznych zwięzłych komunikatów. Ostatnim razem było nieco inaczej, jakby zabrakło jej czasu na przygotowanie surowego wizerunku. Gdybym tak bardzo nie był zajęty sobą... Nie... Niczego bym nie podejrzewał. Nie interesowała mnie bardziej niż wiele innych kobiet. Czy nie na tym najbardziej jej zależało?

Tylko te orzechowe oczy... Może raz czy dwa przemknęło mi przez myśl, że nie pasują do oficjalnego zawodowego opakowania. Ojca olśniły.

Zdarzało się, że mijałem ją na ulicy. Raz się ukloniłem, innym razem chyba nie. Już po kwadransie ojciec mógł ją obejmować. Byłem tym poruszony. Zastanawiałem się, czy bardziej mi to przeszkadza czy odpowiada, że nie dotyczy Alicji.

Kiedy nadeszła z kawą, zapytałem:

- Co byś powiedziała, gdybym został na obiedzie?
- Zrobię, dobrze – odpowiedziała natychmiast. Była w tym pilna sumienność, niemal popłoch.

– Zrobisz, co każe, bo czujesz się winna? Nie oskarżam cię. – Miałem nadzieję, że zabrzmiało to dość życzliwie.

– Przepraszam... – Pokręciła głową.

– Za co?

– Nie wiem... – Nie przestawała szeptać. – Nie wiem, jak się zachować... Tyle razy bałam się, że ktoś nas zobaczy. Układałam sobie w myślach, co powiem, jak się wytłumaczę. To miało być jakieś wiarygodne kłamstwo...

– Też jestem spięty... Może napijmy się kawy...

Oboje sięgnęliśmy po cukier. Wycofała się.

– Ile łyżeczek? – zapytałem.

– Dwie.

Patrzyła, jak sypię cukier do filiżanki.

– Jak się dowiedziałeś?

– Na cmentarzu spotkałem chłopca, może sześciolatka. Powiedział, że zawsze przychodzisz w to samo miejsce.

– Chłopiec... Nigdy nie obawialiśmy się dzieci, rozglądaliśmy się za dorosłymi... Chłopiec... Gdybym nadal udawała, uwierzyłbyś...

– Nie.

– Chłopiec... Na grobie Dawida zawsze było mnóstwo kwiatów. Przychodziło wielu ludzi. Nawet wycieczki z przewodnikiem opowiadającym o jego twórczości, studenci recytujący wiersze miłosne, całujące się pary... Ostatnio już nie tak wielu, ale rozumiem Bea... twoją mamę. Trudno się z tym pogodzić, kiedy nie można być sam na sam ze swoim najpiękniejszym wspomnieniem...

– Nadal tęsknisz...

– Straszliwie... To nie do opisania... – Na ułamek sekundy zadrżał jej podbródek. Zamknęła oczy, zaczerpnęła tchu i opanowała się. – Dlaczego

pomyślałaś, że Dawid...

– Nie wiem.

– Powiedział mi, że kiedy mówisz „nie wiem”, zaczyna się coś dziać. Ludzie robią i mówią coś, czego nigdy by nie zrobili i nie powiedzieli.

– Nie uwierzyłaś.

– Nie wiedziałam, jak to jest... Teraz wiem. Przecież mogłaś pomyśleć, że po prostu lubię jego książki. Czytałaś „Piękne myśli”?

– Tak.

– Nikt nie powinien tego czytać... Nikt.

– Ojciec nigdy nie napisał czegoś równie prawdziwego.

– Dawid tego nie napisał, tylko zanotował, chciał ocalić, nie wydrukować. Przecież to takie intymne, sekretne, nieliterackie... Miał niesamowitą pamięć. Jak ty... Mówił, że nasze rozmowy to pejzaż, po którym spacerujemy tylko we dwoje. Jest nieograniczony, ale dostępny tylko dla nas.

– Przeżyłaś wstrząs...

– Zobaczyłam tę książkę w księgarni. Przekartkowałam i straciłam przytomność. Rozchorowałam się. Dopiero po tygodniu odważyłam się i zaczęłam czytać. Powinnam po raz drugi przeżywać te wszystkie cudowne chwile, kiedy byliśmy razem. Ale nie były cudowne. Za każdym razem drżałam, trafiając na szczegóły, które mogły nasuwać przypuszczenie, że ta historia jest prawdziwa i sugerować, że chodzi o mnie. Zamiast wspominać, czułam się naga, zbrukana, śledzona. Najbardziej bałam się ciebie.

– Dwie córki, zazdrosny mąż, altana pod domem... Tysiące jest takich kobiet.

– Może nie tysiące, może nie każdy szczegół pasował, ale o Alicji Kraft pewnie pomyślałaś.

– Owszem.

– Jest taka śliczna, ma tyle wdzięku, przez chwilę zdawało mi się, że Dawid...

– Czytałem.

– No tak... Teraz mam do „Pięknych myśli” o wiele więcej dystansu. Detali, które prowadziły do mnie, z roku na rok ubywa. Ale na początku tylko one się liczyły.

– Na przykład fragment o materiałach wybuchowych.

– Na przykład. Mąż prowadził różne interesy. Wtedy zaangażował się w przemysł wydobywczy i stąd te materiały. On sam chyba już o tym zapomniał.

– Nie ma go.

– Już nie widuję go zbyt często... Córki poszły na studia... Kiedy przeczytałeś książkę?

– Jeszcze nie skończyłem.

– Poza mną chyba nikt jej nie doczytał. Wtedy mijały miesiące, czytałam recenzje, fora internetowe. I powoli się uspokajałam. Wielu ludzi kupiło tę książkę, ale to nie był wielki sukces czytelniczy. W końcu uwierzyłam, że tylko ja ją rozumiem, że tylko dla mnie te myśli są piękne. Myślałam, że już nic się nie wydarzy... Gdyby nie ten chłopiec...

– Gdyby nie on, nie pomyślałbym o tobie. Byłoby inaczej, gdybym wykorzystał wszystkie dostępne metody i źródła.

– Miałeś na uwadze dobrą pamięć o ojcu... Nie mogłeś sobie pozwolić na rozgłos, ostentacyjne śledzenie Dawida...

– Coś w tym rodzaju.

– To po prostu szacunek – powiedziała. – Nie jesteś mściwy. Co naprawdę chcesz wiedzieć?

– Może chciałbym kochać jak on?...

Zaczerwieniła się. Ile mogła mieć lat?

– Ile masz lat? – zapytałem.

– Nie twoja sprawa – odparła z bojaźliwym uśmiechem.

– Spodziewałem się raczej: „To bezczelna ingerencja w moją prywatność. Co pana do tego upoważnia?” – powiedziałem, naśladując jej wyniosłe prokuratorskie odzywki.

– Dobrze, że przyszedłeś. – Rozpromieniła się i spojrzała na mnie w szczególny, znajomy sposób. Była w tym nieskrywana przyjemność, jakby moje podobieństwo do ojca pozwalało jej odczuć namiastkę jego obecności.

Tyle o niej przeczytałem, ale nadal stanowiła dla mnie zagadkę. Czułem, że tak powinno pozostać, choć miała nade mną przewagę. Nie licząc matki, nikt inny więcej o mnie nie wiedział.

– Niewiele brakowało, a zostałąbyś moją macochą.

– Wiem, o co ci chodzi... Brakowało bardzo wiele... Dawid bardzo kochał Beatę. Nigdy by jej nie skrzywdził, nie porzucił. Gdyby nawet tego nie powiedział, wiedziałabym...

– Ale oszukiwał...

– Tak... Chciałabym, żeby mój mąż choć przez jeden dzień tak mnie oszukiwał. Wszyscy chcielibyśmy, żeby nasze życie potoczyło się inaczej... Gdyby Dawid zdążył, powiedziałaby ci, żebyś nie osądzał ludzi zbyt surowo, nie miał zbyt wygórowanych oczekiwań. Jesteśmy słabi. Kto myśli, że jest twardy, jeszcze nie napotkał na swej drodze okoliczności, w których naprawdę mógłby to sprawdzić.

– Czy możesz pokazać mi miejsce, gdzie pracujesz?

– U córek. Odkąd wyjechały, w ten sposób mniej mi ich brakuje.

Podniosła się i zaprowadziła mnie do dużego pokoju pełnego książek i plakatów popularnych piosenkarzy na ścianach. Laptop stał na biurku przed oknem, za którym rozciągał się widok na altanę i wspaniale

utrzymany ogród z kamiennym źródłem, małym stawem i czarującymi rabatami na wypieszczonych pagórkach.

– Niezwykłe – powiedziałem.

– Dziękuję. Mam wrażenie, że jeszcze coś sprawdzasz...

– Obok komputera ojca wisi mała ramka ze zdjęciem okolic Isy...

– Przepiękna dolina. Odkryłam ją. Pokazałam Dawidowi urwisko. Potem kilka razy wybraliśmy się nad rzekę. Chcieliśmy częściej, ale przychodzili tam inni ludzie, ostatnim razem cała wycieczka... Powiedz mi... Czy twoje domysły związane z jego śmiercią...

– Nie. – Pokręciłem głową. – Już przestałem się nad tym zastanawiać.

– I co teraz zrobisz?

– Odszukam go.

Odprowadziła mnie do drzwi. Pocałowałam ją w rękę. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale skrzyżowaliśmy spojrzenia. Wyraziły wszystko.

88.

Kiedy wszedłem do domu przez taras, pomagier matki zerwał się na równe nogi. Przedtem leżał na kanapie, zjadał chipsy i oglądał telewizję.

– Cholernie mnie przestraszyłeś. Beaty nie ma, od rana jest zajęta...

– Wiem, czym jest zajęta. Zapomniałem, jak się nazywasz.

– Robert. Robert Frito.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest pochowany mój ojciec?

Zawahał się. Wbiłem w niego spojrzenie.

– Przekładem wiem. – Nie taki miał zamiar, ale wyszło ironicznie.

W pośpiechu założył kapcie. – Chodźmy.

Zgrabnie przecisnął się między wyciętymi sekatorem dziewczynami w bufiastych sukienkach i poszedł w głąb ogrodu. Sporych rozmiarów głąz stał ukryty za rzędem świeżo nasadzonych cyprysów. Była na nim metalowa tabliczka z nazwiskiem, data urodzin i śmierci. Na niewielkim kamiennym postumencie płonął znicz.

– Kiedy była ekshumacja?

– Niedawno...

– Dlaczego?

– Beata nie mogła znieść... Najpierw jej się podobało, że tyle osób tam przychodzi, palą świece, modlą się przy grobie Dawida. Mówiła, że wszyscy są mili, serdeczni i w ogóle. Ale potem zrobiła się z tego turystyka, prawie komercja. I jeszcze nowożeńcy... Niedaleko jest kościół.

Brali ślub i szli na cmentarz, dotknąć grobu na szczęście. Kiedyś Beata przyniosła kwiaty i chciała się pomodlić. Jacyś młodzi robili sobie zdjęcie, ktoś ją popchnął i powiedział, że przeszkadza. Strasznie to przecierpiała. Płakała cały dzień. Dlatego.

– Wszystko wiesz...

– Nie, tylko trochę pomagałem. Kiedy okazało się, że w Val zgoda wdowy wystarczy, biła się z myślami, czy ci powiedzieć...

– Co stało na przeszkodzie?

– Mówiła, że po pogrzebie bardzo się o nią troszczyłeś, martwiłeś, że oszaleje z rozpaczy, zrobi się z niej dewotka, dziwaczka. A potem... Potem było jak kiedyś. Przestałeś ją odwiedzać, interesować się... Mówiła, że cię to chyba nie obejdzie, bo byłeś w konflikcie z ojcem, ale tak naprawdę bała się twojej reakcji, że się wystraszysz, że znowu ma obsesję, wariuje... Przepraszam, że tak mówię...

– Miała żal...

Skinął głową.

– Beata wie, że źle zrobiła. Okropnie się z tym czuje. Z dnia na dzień odkładała, żeby to powiedzieć...

– Dziennikarze nie nękają matki?

– Były już telefony. Odsyłam wszystkich na uroczystość. Wymyśliła, że dziś musi się z tym uporać, najpierw chciała powiedzieć tobie, potem publicznie i niech się dzieje, co chce.

– Jesteś jej powiernikiem, kimś bardzo ważnym...

– Nie myśl, że próbuję cię zastąpić...

– To ci nie grozi. Na twoim miejscu obawiałbym się raczej samouwielbienia.

– Przepraszam... Ja tylko staram się pomóc... – Robertowi zaczęła drżeć powieka, pocierał palcami o spodnie.

– Matka ci ufa. Postanowiła, że o wszystkim powie mi sama, a ty wszystko wypaplałeś. Może nie zasługujesz na zaufanie?

– Dlaczego to robisz? – Zacisnął usta i oderwał ode mnie wzrok. – Dlaczego każdym spojrzeniem dajesz mi odczuć, że uważasz mnie za przybłędę? Mam dobre intencje, jestem tu na zaproszenie Beaty, na każde jej skinienie. Dlaczego na twój widok jestem cały w nerwach? To nie jest w porządku!

Wykrzyczał swoje i poszedł do domu.

Przy kamieniu nagrobnym zgasł znicz, pochyliłem się nad nim z zapalniczką i pomyślałem, że Robert ma rację. Rozzłościło mnie to: „Nie myśl, że próbuję cię zastąpić”, ale nie był tylko ekspertem do przycinania żywopłotu. Był czymś więcej: moją osobistą porażką w relacjach z matką.

„Dlaczego każdym spojrzeniem dajesz mi odczuć, że uważasz mnie za przybłędę?” Trafnie to ujął. Zaciekawiał mnie i zacząłem się zastanawiać, dlaczego reaguję na faceta jak pies obszczekujący nieznanego. Pod jego obecność w domu rodzinnym nie czułem się swobodnie. Niechęć obudziło we mnie czyste wody lizusostwo, z jakim wkuwał książki ojca i pozwalał się wypytywać na wyrywki. Irytowały mnie jego starannie zatemperowane paznokcie, a nawet przedziałek w gęstych czarnych włosach odmierzony jak pod mikroskopem. Miałem dość problemów, a chyba sam dla siebie stałem się kolejnym.

89.

Zastałem go w kuchni nad patelnią.

– Robert, zapalimy fajkę pokoju?

– Nie palę – odparł zimno. – Odgrzewam bigos, chcesz?

Usiedliśmy przy stole. Pochwaliłem jedzenie, ale komplement się nie udał. Powiedział, że gotowaniem zajmowała się Beata, a on tylko smażył cebulę. Rozwinął się na ten temat z ostrożnym entuzjazmem. Zostałem poinstruowany, że cebula nie może być surowa ani przypalona. To dlatego należało ją drobno pokroić i często mieszać na średnim ogniu. Ze wszystkich stron przybierała wówczas złocisty kolor. Chyba chciał mnie uśpić tym monologiem, bo spostrzegł, że mu się przyglądam.

Nie chciałem mu dokuczać. Zainteresowałem się zdjęciami obok kominka. Najlepsze było to, które już wcześniej zwróciło moją uwagę. Zrobione przed domem w ciepły letni wieczór z liczną grupą znajomych do łez rozśmieszonych kiepskim dowcipem ojca. On jeden zachował powagę. Może ta powaga była najzabawniejsza? A może z każdego powodu byli gotowi się śmiać do utraty sił? Ktoś klęczał, trzymając się za brzuch, ktoś inny ścisnął sobie głowę, jakby zaczęła pękać. Wymachiwali rękami, szczerzyli zęby, przewracali się jeden na drugiego.

Robert zabrał mi sprzed nosa pusty talerz i zaproponował kawę. Skinąłem głową, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

Kojarzyłem twarze, rzadziej nazwiska. Tylko Alicji wtedy jeszcze nie znałem. Oparta o uchylone drzwi auta, piękniejsza, weselsza, jaśniejsza od wszystkich, egzotyczny ptak z innej bajki... I jeszcze ktoś, kogo wcześniej nie zauważyłem. Poruszona, nieosiągalna dla lampy błyskowej postać. Mężczyzna, który w ostatniej chwili odwrócił głowę i cofnął się za plecy Alicji.

Kiedy postawił filiżanki, zapytałem:

– Robert, znasz znajomych matki?

– No skąd, przecież z nią nie wychodzę. Znam tylko kilka osób, które przypadkiem spotkałem tutaj.

– Wiesz, kto to jest? – Pokazałem mu postać niemal całkowicie ukrytą w ciemnościach.

Podszedł do zdjęcia i uważnie na nie spojrział.

– Nic nie widzę. – Wzruszył ramionami. – To stare zdjęcie, co ja mogę wiedzieć. Pewnie wtedy nawet nie pracowałem u Beaty.

– Rozwiążmy tę zagadkę. Popatrz tu. – Dotknąłem palcem miejsca nad ramieniem Alicji, gdzie dotarło światło flesza – Czy to nie czapka?

– Aha, może i czapka...

– Czapka z daszkiem. I jeszcze to...

– Co? – Nie zrozumiał, co pokazuję.

– Facet stoi bokiem z czapką w rękę, dociska ją do klatki piersiowej...

Widzisz?

– Widzę...

– To wybrzuszenie powyżej...

– Aha... – Robert zmarszczył czoło i w skupieniu nad zdjęciem wysunął dolną wargę. – Coś tam ma, ale pod szyją? Krawat?

– Brawo, krawat – pochwaliłem go.

– Może to krawat, może nie. Co z tego? – Bagatelizował sprawę, ale widać było, że zabawa go wciąga.

– To ważne, bo właściwie wiadomo, kto to jest.

– Jaja sobie robisz... – Spod zmrużonych powiek spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– Zastanów się. Facet w czapce i pod krawatem, a tu szeroko otwarte okna, lato w pełni, towarzystwo lekko ubrane, rozgrzane alkoholem...

– Chyba nie byli pijani.

– Nie zakładam, że byli. W gruncie rzeczy to poważni ludzie. Nie wróciliby do domu, siadając za kierownicą.

– Na piechotę, taksówką, autobusem, o to ci chodzi?

– Owszem, ale z jednym wyjątkiem. Słyszałeś o Alicji Kraft?

– Od Beaty wiem, kto to jest.

– Właśnie, jej mąż nie pozwoliłby, żeby wracała do domu taksówką albo autobusem. Więc kto to może być?

– Wysłał po nią limuzynę... Szofer!

– Zgadza się, szofer – powiedziałem.

– Pod warunkiem, że to na pewno czapka z daszkiem i krawat, że to nie sąsiad, który przypadkiem...

– Nie ma mowy o przypadku.

– W porządku, szofer nie szofer... Kawa stygnie.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Patrzyłem, jak słodzi, powoli miesza kawę, zastanawia się.

– Wybierasz się na uroczystość? – zapytałem.

– Lubię książki Dawida, ale chyba nie pójdę. Wszyscy tam będą odstawieni. Nie bardzo mam w co się ubrać.

– Oddałeś ubranie służbowe?

– Co?

– Jeśli nie oddałeś, przyda się, może z wyjątkiem czapki.

– Strugałeś ze mnie wariata z tym zdjęciem. – Spojrzał na mnie badawczo. – Beata ci powiedziała, tak? A tak prosiłem...

– Nie powiedziała, ale samo zdjęcie to chyba za mało. Od początku wydawałeś mi się zbyt gładki jak na ogrodnika. Coś mi mówiło, że roboczy kombinezon zastąpił dobrze odprasowane spodnie i lakierki.

– Właściwie to fajnie... – Westchnął. – Fajnie na żywo zobaczyć te twoje kalkulacje. Tylko szkoda, że wciąż nie mogę się odczepić od poprzedniego etapu życia i już nigdy do tego nie wracać.

– Posada szofera Alicji Kraft to taki dyshonor?

– Nie, nic do niej nie mam. Czasem zawoziłem ją do Beaty, trochę częściej odwoziłem do pałacu i tyle. Pracowałem na okrągło dla tego bydlaka Krafta.

90.

– Źle płacił?

– Płacił bardzo dobrze. Jako szofer nigdzie nie zarobiłbym więcej.

– Nie traktował cię dobrze?

– Raczej jak powietrze. Kilka razy zapytał, jak mam na imię. Potem zapominał, zwracał się do mnie bezosobowo, znowu pytał, potem przestał. Byłem dla niego przydatnym przedmiotem. Jak szuflada, szafa. Po co nadawać imię szafie? Kiedyś jeden raz spotkałem go na ulicy przed hotelem. Ukłoniłem się, a on spojrzął na mnie i nie odezwał się. Chyba mnie nie poznał, a może było to poniżej jego godności...

– Tak ci to przeszkadzało?

– Że byłem dla niego nikim? Może trochę. Bardziej szept, milknące rozmowy, ciągła ostrożność, podejrzliwość. Tego nie wolno, tamtego nie wolno. Inni się dostosowali i było ok. Mnie te chore emocje dobijały, bałem się, że przypadkiem dowiem się czegoś niewłaściwego i mnie załatwią.

– Zabili kogoś?

– Pojęcia nie mam. Chyba nie... Po prostu nie mogłem tego wytrzymać, dusiłem się. Bez problemu odchodził ten, co Krafta na oczy nie widział. Pozostali zwykle dostawali podwyżkę i pracowali nadal. A ja chciałem naprawdę rzucić tę robotę. Dopiero wtedy Kraft jedyny raz powiedział do mnie „panie Robercie”, wysilił się, o rodzinę zapytał. Jestem sierotą z domu dziecka, więc wyglądał na niezadowolonego, jakby nie mógł wziąć

zakładników. Walsh poświęcił mi cały kwadrans, był ciekaw, czego mi trzeba, w czym może pomóc. Nic od niego nie chciałem. Potem paru koleś zapraszało mnie na wódkę. Nie piję, ale raz dałem się namówić, wypłem kilka kieliszków i udawałem pijanego. Najpierw mnie podpuszczali, wygadywali o Krafcie najgorsze świństwa i czekali, co powiem. Potem maglowali do upadłego. Co widziałem, co słyszałem, gdzie byłem, kogo znam. Nic ode mnie nie wyciągnęli, więc mi powiedziano, że tylko agencja mnie przefiltruje i droga wolna. Agencja... Nikt nie wie, co ci ludzie robią, ale wiadomo, że pracują bezpośrednio dla Krafta. Nie nachodzą, nie straszą, nie grożą, ale musisz uwierzyć, że jak przestaniesz im się podobać, to po tobie. Cały czas zdawało mi się, że ktoś mnie obserwuje, sąsiedzi spłoszeni, bo jakieś oprychy o mnie wypytują, za ścianą włamanie, piętro niżej pies otruty. Słyszysz syrenę i pędzisz sprawdzić, czy to nie w twoim domu się pali. Tak to działa. Cudem uniknąłem śmierci za kierownicą, nagle zakręciło mi się w głowie, prawie straciłem przytomność.

– Byłeś u lekarza?

– No pewnie. Zrobiłem komplet badań. Byłem zdrowym jak koń kłębkim nerwów.

– Więc może przesadzasz?

– Odkąd jestem ogrodnikiem, w moim życiu wszystko jest normalne. Nikt nie powie, że mam urojenia.

– Woziałeś Krafta?

– Woziałem różnych ludzi, jego rzadko. Od lat ma osobistego szofera. Proszę, dajmy temu spokój. Ja naprawdę nic nie wiem i nie chcę wiedzieć o firmie Krafta. A szoferka to naprawdę nuda. Ma tylko jedną zaletę: jak nie jeździsz, możesz czytać do oporu, uczyć się. Pokochałem ogrodnictwo, zanim zacząłem grzebać w ziemi. Czasami, kiedy przywoziłem Alicję i z twoim tatą analizowała nową powieść, szedłem do ogrodu i pomagałem

Beacie. Któregoś razu Dawid zadzwonił, powiedział, żebym zabrał Beatę do ogrodu, bo bez przerwy kręci się po domu i nie daje mu pisać. Fajny był. A my dłubaliśmy sobie z Beatą w ogrodzie, kosiłem, grabiłem. Wszystko mi pokazała. Już wtedy mówiła, że w ziemi jest więcej duszy niż w wiolonczeli...

– Zafascynowała cię...

– Nikt nie okazał mi tyle serca. Znasz kogoś miłszego? No powiedz...

– Przez chwilę pomyślałem, że się do niej przystawiasz.

Robert szczerze się roześmiał, a potem powiedział z całą powagą:

– Po pierwsze to najlepsza kobieta pod słońcem. Szacunek. Rozumiesz, co to jest szacunek? Przenigdy bym jej nie obraził. Kupiła firmę ogrodniczą, w której pracowałem. Polubiła mnie, zaufała. Czym mogłem się odwdziaczyć? Wsparciem i pomocą, kiedy już nie mogła liczyć na ciebie. Powinieneś być mi wdzięczny.

– A po drugie?

– Po drugie to... Kręci się koło niej jakiś typ. Facet mi się nie podoba, ale Beata chyba ma w związku z nim jakieś plany...

91.

– Fajnie było pogadać, ale impreza ci przypadnie – powiedział Robert, spoglądając na zegarek, a potem przez okno. – Zanim się ściemni, muszę...

– Lepiej nie – powiedziałem. – Musisz od tego odwyknąć, najlepiej zaraz. Jeśli matka ma kogoś, nie możesz tu pomieszkiwać. Jest za delikatna, żeby ci to zasugerować, a ty zbyt inteligentny, żeby tego nie rozumieć.

– Od Beaty mógłbyś się trochę poduczyć tej subtelności, ale dzięki za szczerość – powiedział bez urazy. – Myślałem, że najpierw...

– ...pogadasz ze swoim szefem?

Robert zmarszczył brwi, ale nie poruszył się.

– Siedzisz tu jak pies na smyczy. Przyzwyczajony, zadomowiony. Prawie uwierzyłeś, że jesteś tylko ogrodnikiem, bo Kraft nie mógł cię schować w mojej lodówce. Trudno stamtąd podsłuchiwać, prawda?

– Aha... – Przyjął to z ciekawością, jakby znów chodziło o niewinną szaradę.

– Nie ma dalszego ciągu – powiedziałem. – Twoje zadanie definitywnie dobiegło końca.

– Hannibal, bądź poważny. – Westchnął, sapiąc przez nos. – Przecież ty tu prawie wcale nie przychodziłeś. Po jaką cholerę miałbym latami na ciebie czekać?

– Źle ci tu nie było. Nie sączyłeś Kraftowi jadu do ucha? Nie podniecało cię, że się boi?

– Jasne... – Pokiwał głową. – Jakiej zbrodni miałby się dopuścić, żeby tak się bać? I dlaczego akurat ciebie? Hannibal, ośmieszasz się. Chcesz się z nim pojedynkować? Jesteś na Krafta za krótki. To Goliat, który nie musi się bać Dawida. – Powiedział to niemal jak życzliwy sojusznik.

– Nie ma słabych punktów?

– Ma, jak każdy. Okradniesz go – dostanie białej gorączki. Zabierzesz mu żonę – będzie trupem. Ale zabije cię, zanim ją tkniesz.

– Tobie prawie się udało. Puszczona w obieg plotka, że Alicja ma romans z moim ojcem, niemal go wykończyła.

– Biedaku... Może to nie plotka? Z jakiego powodu miałbym tak ryzykować?

– Bo ty naprawdę szczerze go nienawidzisz. Na tym zbudowałeś swoją wiarygodność. Prawie ci uwierzyłem. Byłeś świetny, bo szczerzy.

– Dzięki. I co, teraz ty będziesz zabijał plotkami? – Rozluźnił się. Był bliski rozbawienia.

– Ciekawe czy Kraft będzie uradowany, kiedy się dowie, jak jego zaufany szpicel zaopiekował się telefonem mojego ojca. Zachodziłem w głowę, jakim cudem mój stary miał coś wspólnego z gangsterami. Ale twoje rachuby były inne, prawda? Zapisalesz w telefonie numery Hahnów, żeby mnie doprowadzić do Krafta.

– I co? Zabił ich? Masz dowody? Cholera... Zamknęli go?

Już myślałem, że jest nieprzemakalny. Niemal go podziwiałem. Ale znów pocierał palcami o spodnie. Pytał w nerwowym rytmie, za szybko, jakby miał jakieś inne, pilne zajęcie.

– Jak ty to powiedzialesz... – Namyslałem się. – „Okradniesz go – dostanie białej gorączki”...

– Zapłacił ci... – Zadrżała mu powieka i rzucił spojrzenie w bok, jakby poszukiwał ciężkiego narzędzia.

Kiedy tuż przed nosem zobaczył moją otwartą dłoń i policzył palce, uwierzyłem, że był kiedyś kłębkim nerwów.

– Twój wybryk kosztował go pięć milionów – powiedziałem.

92.

Kiedy wybiegał, nie mogłem sobie odmówić drobnej złośliwości. Skoncentrowałem wzrok na jego nogach. Zaplątał się w nie i wyrznął głową w barierkę na ganku. Oszołomiony powłókł się po schodach, potem przyspieszył kroku. Jednak zanim wszedł do białego bmw i pognął przed siebie, jeszcze rzucił okiem na przycięty z fantazją żywopłot, jakby żegnał się z jego widokiem. Znałem paru takich uciekinierów. Nigdzie nie mogli zagrać miejsca. Każde ciekawskie spojrzenie budziło ich niepokój, każdy nieznamy szmer obawę przed egzekucją i pragnienie ucieczki.

Klucze znalazłem pod wycieraczką. Zamknąłem dom, zapaliłem papierosa i pojechałem do Hali Tysiąclecia.

Przed wejściem stali ci sami bileterzy, którzy wpuszczali publiczność na mecze koszykówki i koncerty rockowe. Zajęci rozmową z ochroniarzami w czarnych uniformach i wysokich skórzanych butach nie zwracali na mnie uwagi. Kiedy minąłem ich bez słowa, któryś powiedział:

- Przepraszam, wpuszczamy tylko za zaproszeniem.
- Dużo ludzi przyszło? – zapytałem.
- Nie ma gdzie usiąść, hala trzeszczy w szwach.
- I wszyscy są zaproszeni?
- Najpierw trzeba było się zapisać. Nie widział pan w telewizji tasiemcowych kolejek?
- Nie mam zaproszenia.

– Ani plakietki... Sorry... Chyba że jest pan z rodziny.

– Jestem.

Roześmiali się.

– Dobra, niech pan wejdzie. Połowę imprezy mamy za sobą, jeszcze tylko film.

Podziękowałem i wszedłem do hallu. Kręcili się tam ludzie z obsługi i kilka osób wychodzących z toalety. Z głośników rozmieszczonych w różnych punktach hali dobiegał wyraźny głos konferansjera, komentarze rzucane z widowni i oklaski. Ojciec przyglądał mi się z ogromnych czarno-białych fotografii rozmieszczonych po obu stronach schodów prowadzących na widownię. Z jego twarzy emanował spokój, życzliwa pobłażliwość i coś jeszcze. Pierwszy raz pomyślałem, że jest podobny do Gregory'ego Pecka. Obaj spoglądali w obiektyw z ledwie dostrzegalną kokieterią. Jakby zadawali to samo pytanie: „To naprawdę takie istotne, że jestem przystojny?”. I tak jak Peck w „Rzymskich wakacjach” ojciec dawał do zrozumienia, że czasem jedno dyskretne spojrzenie wyraża więcej, niż to wszystko, co zostało powiedziane.

Na schodach zatrzymał mnie głos matki.

– Moi kochani, zanim wspólnie obejrzymy film, pozwolę sobie jeszcze na małą dygresję... Dobrze?

Aprobata wyraziły zgodne oklaski.

– Dziękuję. Otóż... Kiedy Dawid odszedł, wiele o nim napisano. Nie wszystko było zgodne z prawdą. Na przykład...

Tłum wydał niezyczliwy pomruk. Ktoś gwizdnął.

– Proszę... Nie mówię „Niestety”. Uwierzcie mi, nie było mi przykro, nie chcę się wam poskarżyć... Wtedy wszyscy pisali ze szczerego żalu, ciepło i z sympatią. Gdybym wówczas była w nieco lepszej kondycji, jak najszybciej doceniłabym to przejmujące, serdeczne pożegnanie. Dziś mam

dość sił, żeby wam wszystkim podziękować najpiękniej, jak potrafię. I dość odwagi, żeby sobie pozwolić na małe dementi. Może zmartwię obecnego tu z nami zacnego księdza proboszcza z mojej parafii...

Pomyślałem, że teraz ksiądz wstanie, ukłoni się. Po chwili widownię przebiegła fala oklasków.

– Może tylko odrobinę zmartwię ojca... Przecież sam wie najlepiej, że Dawid nie był zbyt religijny. Nie był, jak go całkiem serio przedstawiano, bożym wysłannikiem miłości. Nie pisał owładnięty poczuciem misji, nie starał się naprawiać świata ani nawet literatury. Dawid po prostu uwielbiał zmyślać i opisywać zajmujące historie. Tak zarabiał na życie. Wiem, to nie za bardzo koresponduje z podniosłą atmosferą... Może ktoś uzna...

Stałem za ostatnim rzędem, spoglądając na nią ponad tysiącami głów. Za daleko, żeby mogła mnie dostrzec. Wspaniale wyglądała w czarnej sukience i jedwabnym błękitnym szalu. Nieco zagubiona i onieśmielona szeptami, rozpostarła rękę na mównicy, jakby na kartce z przemówieniem, którego nie było.

– Kochani... Dawid miał zwyczajny stosunek do pisania. Naprawdę cieszył się, że różne fikcyjne epizody znalazły potwierdzenie w rzeczywistości, ale uważał to za zbieg okoliczności. Był zaskoczony, że odnajdujecie w jego książkach nieodpartą, cudowną moc, magię. On sam w tę książkową magię wcale nie wierzył. A nawet...

Na wielu twarzach pojawił się grymas niedowierzania. Ktoś nieopodal mnie burknął coś o „niepotrzebnych herezjach”.

– Dawid byłby niepokieszony, gdyby wiedział, że młodzi ludzie, którzy zawarli związek małżeński, idą na cmentarz, żeby dotknąć płyty jego grobu i w ten sposób zapewnić sobie szczęście... – Zawahała się. Przedtem była speszona zniecierpliwieniem słuchaczy, teraz nadmiarem ciszy, w której wyczuwała oczekiwanie na potknięcie, jakąś rażącą wpadkę. – Wybaczcie

mi proszę, nie mam daru, nie mam talentu Dawida, nie potrafię mówić tak sugestywnie i chyba wcale nie chcę was oczarować. Tylko... Poznają twarze wielu z was, wielu znam osobiście. Wiem, że dla niektórych książki Dawida są prawdziwym schronieniem. Bo widzą w nich własne tęsknoty, marzenia, świat, którego nie ma. I na tym poprzestają, to im wystarcza. Nie wolno wam... Dawid nie był tak zachłanny i samolubny, nie chciałby tego. Gdyby tu był, powiedziałby, że takie schronienie to pułapka. Że wierzy w magię, ale jest nią życie, którym rządzi przypadek. Przypadek daje nam znaki, które warto zauważyć, zostawia za sobą ślady, którymi warto podążać, rzuca pod nogi kamienie, o które czasem warto się potknąć. Każdego dnia przypadek pyta o naszą ciekawość i daje nam niezliczone szanse. Żeby zobaczyć coś, co wyzwoli w nas drzemiący talent, spotkać człowieka, który okaże się mądrym przyjacielem albo tak jak my idzie w tym samym kierunku i już na zawsze pozostanie dla nas kimś upragnionym...

Odpowiedzieli ostrożnymi oklaskami. Chyba jeszcze nie rozumieli, ale byli ciekawi, co jeszcze powie.

– Tak naprawdę to od razu chciałam powiedzieć o truskawkach... Bo nie jakiś cudowny talizman, nie natchniona wskazówka, tylko upodobanie do truskawek sprawiło, że spotkałam Dawida. W przeciwnym wypadku zatrzymałby się kilkanaście kroków dalej i nigdy nie podszedł, nie poznałabym ani jego, ani was. Kiedy uderzyłam się w łokieć i pocałował mnie, żeby przestało boleć, to już nie był przypadek, tylko magia. Boleć nie przestało, ale uświadomiłam sobie... już nie mogłam sobie wyobrazić, że mógłby to robić ktoś inny...

Intuicja nie zawiodła kamerzystów. Skierowali się w stronę publiczności. Najpierw wstało kilka kobiet siedzących naprzeciw matki, potem niemal wszyscy. Oklaski nabierały na sile, pojedyncze okrzyki zastąpiła wrzawa.

Matka miała coś jeszcze do powiedzenia, ale niespodziewanie z głośników ryknęły fanfary. „Kochani, pięknie dziękuję” zniknęło w entuzjastycznym zgiełku i kwiatach, którymi zasypały ją bojaźliwe dziewczynki.

Pomimo owacji światła zaczęły z wolna przygasać. Za rozsuwającą się kotarą pokazał się ekran, a potem pierwsze kadry, po których poznałem, że to „Lato w Nig” z nową obsadą. Matką już nikt się nie przejmował z wyjątkiem mężczyzny, który odebrał kwiaty i posłusznie pomaszerował za nią wzdłuż pierwszego rzędu. Wyszli do hallu. Poszedłem za obojgiem, nasłuchując pierwszych filmowych dialogów, które zdawały się być następstwem wypowiedzi z widowni. Ludzie półgłosem wyprzedzali aktorów i sprawdzali, czy scenariusz jest wierny książce. Był wierny.

93.

Zagadnąłem dziewczynę z plakietką. Powiedziała, że organizatorom spotkania udostępniono biura na drugim piętrze, matce jako gościowi honorowemu klucze do swego gabinetu osobiście wręczył dyrektor. Wsiadłem do windy. W lustrze zobaczyłem się odstawionego jak na ślub, ale z entuzjazmem świeżej daty wdowca.

Na korytarzu już buszowały sprzątaczkę, ciągnąc za sobą hałaśliwe odkurzacze. Mimo to zza uchylonych drzwi usłyszałem biadanie matki:

– Zapomniałam zabrać kartki, wszystko mi się poplątało...

– Co ty opowiadasz – głosem poczciwego niedźwiedzia powiedział mężczyzna. – Jeśli z dzisiejszego dnia coś zapamiętają, to tylko twoje słowa...

– A tam. Wyszło źle, pomyśleli, że ich pouczam. Miałam tylko wytłumaczyć, dlaczego przeniosłam grób Dawida.

– To o truskawkach było o wiele ciekawsze – powiedziałem, popychając drzwi.

– Hanni...

Pocałowałem ją w czoło.

– Ty wiesz... Przepraszam, powinnam cię zapytać, od razu powiedzieć, ale nie miałam odwagi. Nie gniewasz się?

– Robert mi to wytłumaczył. Nie martw się.

– Myślałam, że ci się nie spodoba...

– Podoba mi się.

– No widzisz? – Mężczyzna spojrzał na matkę i podał mi dłoń. Był w jej wieku, o głowę wyższy, brodaty i ostrzyżony niemal na zero. – Nazywam się Donald Long.

– Stomatolog?

– No widzisz? – Teraz spojrzenie matki triumfująco powędrowało na Donalda. – A nie wierzyłeś w zdolności Hanniego.

– Uwierzę bez zastrzeżeń, kiedy precyzyjnie określi pan mój stosunek do Beaty – Donald powiedział to tak, jakbym miał oświadczyć się za niego.

– Mamusia nie lubi, kiedy jestem zbyt bezpośredni – odparłem.

– Dobrze wychowany chłopiec – pochwaliła mnie matka, bezsilna wobec lekkiego rumieńca, który wymalował się na jej twarzy. – Powiedz mi... Widziałeś się z Robertem, nie przyszedł z tobą?

– Nie. Chyba chciał uniknąć rzewnego pożegnania. Prosił, żebym to zrobił w jego imieniu.

– Pożegnania? Mówisz, jakby wyjechał.

– Bo wyjechał.

– Ach tak...

Zdawało mi się, że usłyszałem w tym nutę ulgi.

– To tęsknota czy się przesłyszałem?

– Hanni, nie myśl, że to jakaś czarna niewdzięczność... Robert był pomocny, uprzejmy, ale trochę... męczący, natrętny.

– Trochę. – Zaśmiał się Donald.

– Och, nie ma o czym mówić. – Matka klasnęła w dłonie. – Hanni, idziemy, zapraszam cię na kolację.

– Nie dziś. Jestem umówiony.

– W takim razie przyjdź jutro na obiad. Przygotuję coś specjalnego.

– W niedzielę są żeberka – powiedział Donald i szturchnięty przez matkę pięścią w brzuch udawał, że nie może złapać tchu.

Zapadał zmierzch. Odprowadziłem ich na parking i zawróciłem. Wiedziałem, że Alicja gdzieś tu jest. Szuka mnie. Była na widowni, potem w biurze, zjechała windą, doszła do końca hallu i teraz powinna wyjść główną bramą. Zobaczyłem ją w świetle latarni. Przekrzywiła głowę i mrużąc oczy, czekała, aż podejść. Z daleka w rozpiętym żakiecie, ciasnych dżinsach i butach sportowych sprawiała wrażenie atrakcyjnej, wyluzowanej studentki z torebką przewieszoną przez ramię. Kiedy podszedłem, studentka znikła.

94.

Z podpuchniętymi oczami i bez makijażu wyglądała na chorą, która z gorączką wyszła na pospieszne zakupy, żeby zaraz wrócić do łóżka.

– Hanni, przytul mnie – powiedziała.

– Tutaj?

Wsunęła mi ręce pod marynarkę i mocno do mnie przyłgnęła. Przez dłuższą chwilę staliśmy w objęciach, nie zwracając uwagi na przechodniów.

– Duszno mi, zimno – powiedziała. – Nadal wozisz w aucie ten duży sweter?

Skinałem głową.

– Zawieziesz mnie gdzieś?

– Dokąd?

– Wszystko jedno, byle było tam więcej powietrza.

Nie odzywała się przez całą drogę, apatycznie patrząc przed siebie i kołysząc się całym ciałem podczas hamowania. Kilka razy zerknęła na mnie, łagodnie przymykając powieki. Ale nawet nie pomyślałem, żeby poza tą namiastką czułości domagać się więcej. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, nie poruszyła się.

– Aluś...

– Tak?

– Isy.

– Aha.

– Płakałaś...

– Rano... Nie mogę...

– Nie musisz. Odpocznij.

– Rano Artur powiedział dziewczynkom, że to dobry dzień na wyprawę w góry... Nie miały ochoty, ale uparł się, żeby Feliks z nimi pojechał. On się do tego nie nadaje, więc nalegałam, żeby z dziećmi pojechał ktoś inny. Okazało się, że z wyjątkiem Oskara nikogo nie ma, ani w pałacu, ani w ogrodach. Artur wszystkich odesłał. Usiadł ze mną przy stole i krok po kroku wszystko opowiedział. O Marcelu, Oskarze, tych braciach bandytach, jak go szantażowali, potem zginęli... O tym, że chciał zabić Dawida, że tego nie zrobił, ale ja mu nie wierzę! Boże... – Rozpłakała się. – Nie ogarniam tego, nie pojmuję... Wszyscy kłamali. Tyle lat...

– Już nikt cię nie okłamie.

– Ty też nie? Kiedy przywiozłeś Oskara, o Marcelu wiedziałeś już wszystko.

– Nie uwierzyłabyś.

– Ale przynajmniej tę jedną noc nie opiekowałabym się mordercą! Kolejnej nocy nie spędziłabym pod jednym dachem z jego współnikiem, który także okazał się mordercą! Jak mogłeś...

– Bałem się, że mnie znienawidzisz...

– Nie przygotowałeś mnie na to wszystko. Myślałam, że oszaleję z przerażenia. Kiedy Artur skończył, uciekłam. Cały czas siedziałam zamknięta w pokoju. Patrzyłam na drzwi, na klamkę. Bałam się straszliwie. Modliłam, żeby nie pukał, nic nie mówił. Jeszcze jedno słowo więcej i popadłabym w obłąd. Jaki to ból słuchać tego, rozmawiać, myśleć... Dlaczego to wszystko jest takie nagłe? Jakby mnie ktoś z furią zaatakował, dźgnął, uderzył bez ostrzeżenia.

Odsunęła się ode mnie i badawczo spojrzała mi w oczy.

– Nie wiem, co sprawiło, że po tylu latach Artur nagle wszystko z siebie wyrzucił. Nie wiem, czy czuję się wyzwolona, bo usłyszałam prawdę. Dlaczego tej prawdy jest tak dużo? To jakaś lawina! Może lepiej żebym się nie urodziła? Wszystkim byłoby lżej. Marcel by żył, Dawid...

Przyciągnąłem ja do siebie, przytuliłem.

– Hanni... Beata tak ładnie mówiła dziś o przypadku... Że pozostawia ślady, daje znaki, szanse. Jaki znak przeoczyłam, że moje życie to takie zgliszcza? Który kamień obeszłam z daleka, zamiast się o niego potknąć? Powiedz mi.

Milczałem.

– Jak to było... "Dawid chciałby, żebym podomykał za nim drzwi, sprawdził, jak mają się ludzie, na których mu zależało"... Tak powiedziałaś, jakby on sam zwracał się do mnie...

Objęła mnie za szyję i przez łzy szepnęła do ucha:

– Powiedz mu, że już nie gram na skrzypcach, nie mogę dokończyć powieści, nic mi się nie udaje...

95.

– Chociaż przez chwilę o tym nie myśl. Pójdziemy popatrzeć na dolinę?

Wyszedłem z samochodu, otworzyłem jej drzwi i czekałem, aż wytrze oczy. Podała mi rękę i pozwoliła się pociągnąć na krawędź urwiska. Zatrzymała się, odchyliła głowę do tyłu i zaczerpnęła powietrza.

– Ten księżyc... – Powiodła po niebie mętym spojrzeniem. – Wczoraj był taki sam. Jeszcze wczoraj byłam szczęśliwie podekscytowana, błogo zmęczona. Przyśniłeś mi się... Nie wiedzieć czemu, pomyślałam, że Artur już rozumie, że nie należymy do siebie, że ludzie są ważniejsi od pieniędzy, wolność lepsza od posiadania. Wydawało mi się, że czuje nadciągającą zmianę, poszukuje nowej tożsamości. To było takie naiwne, piękne urojenie. Kiedy nie wiesz, jaka jest prawda, wciąż możesz wierzyć, że jest inna. Rozumiesz?

– Tak, ale mimo wszystko chcesz się dowiedzieć.

– Ale są krótkie chwile, które musisz zatrzymać, bo myślisz, że akurat świat stał się lepszy. Nie chcesz prawdy, tylko złudzenia... Kiedy wczoraj powiedział, że chce odwiedzić Busterów, byłam tak zadziwiona, że nie spytałam, dlaczego. Nie poszłabym tam sama, ta dzielnica wciąż budzi we mnie dreszcz. Ale czułam, że z Arturem nie będę się bała. Nie chciałam kolejnego wieczoru w tym naszym mrocznym zamczysku. Pomyślałam, że zobaczę ojca Marcela, Milenę. Oni zawsze byli tacy serdeczni...

– Nie zauważyłaś Mileny na balu w szkole?

– Jaki wstyd... Wtedy jej nie poznałam, a ona nie miała odwagi podejść. Tak bardzo się zmieniła. Ojciec Marcela to już staruszek... I pani Amelia przyszła. Wyczuwałam się z nimi. Tyle wzruszenia... A potem ta niespodzianka... Artur... Jaki inny, skromny, grzeczny. Zupełnie jak kiedyś, jak ten fajny bojaźliwy grubas ze szkoły. Prawie się jąkał, tłumaczył, że dopiero teraz o tym pomyślał i zaofiarował się z pomocą. Przestraszyłam się, że będą urażeni, bo są biedni, ale mają tyle godności. Jak on się starał, jaki był cierpliwy, ciepły, taktowny... Przeklęty... Zimny jak lód, cyniczny komediant! Jeszcze w domu chciał mi zaimponować, w Internecie pokazywał przelew. Urabiał mnie tymi milionami, rozmiękczał, próbował kupić wybaczenie. Z kim żyłam tyle lat?!

– Zabił mojego ojca. Nie oszczędzaj mi tego...

– Nie wiem, jak. Nie zrozumiałam. Byłam taka roztrzęsiona... Artur po wypadku wciąż nie wstawał z łóżka. Zdawało mi się, że ta bezsensowna zazdrość o Dawida już go opuszcza. Myślałam, że Sherman Douglas odwiedza go z czystej życzliwości i chce się pożegnać, bo wkrótce potem poszedł do więzienia. Ale oni coś wymyślili. Coś strasznego. Nie wiem, co to takiego. Miałeś rację, co do Shermana. Hanni... – Zacisnęła usta. – Przepraszam... Nie pomyślałam...

– Douglas pałał nienawiścią do mnie, nie do ojca. Pytasz czy mam poczucie winy? Mam.

Oparła mi głowę na ramieniu. Niemal słaniała się na nogach. Mocno przycisnąłem ją do siebie.

– To moja wina – wyszeptała. – Gdybym nie była tak blisko Dawida, nie byłoby plotek, zazdrości...

– To Robert Frito był autorem tej pogłoski...

– Szofer, szpieg Artura. Jezu... Jeszcze jeden wilk w obcej skórze. Czy to się nigdy nie skończy? Jestem taka wyczerpana...

– Przepraszam – powiedziałem. – Już nie będziemy o tym rozmawiać.
Zaopiekuję się tobą.

– Hanni, zabierzesz mnie do siebie? Nie mogłabym ani chwili pod jednym dachem...

– Tak.

– Położysz mnie do łóżka. Zanim zasnę, opowiesz o czymś miłym...

– Opowiem.

– A dostanę szklankę ciepłego mleka?

Skinąłem głową i ostrożnie pocałowałem ją w usta.

Opadały jej powieki. Mimo to zdobyła się na uśmiech. Nawet tak zdawkowy wystarczał, żeby miała mnie w garści.

96.

Spojrzała na okolicę, a potem z głową opartą na dłoni gotowa do drzemki rzuciła spod opuszczonych powiek:

– Te same obłoki, skały, księżyc, szum wodospadu, ale... Hanni, do Isy już nie będziemy przyjeżdżać, dobrze?

– Dobrze.

Księżyc znikł za chmurą, całą okolicę spowiła ciemność. Włączyłem motor. W świetle reflektorów miałem przed sobą tylko wyboistą drogę, zakręt za zakrętem. Niespodziewanie zaczął padać deszcz. Ogrzewanie, wycieraczki i jednostajny pomruk silnika działały jak środek nasenny.

Przed wjazdem na autostradę ktoś nadjeżdżał z naprzeciwka. Oślepił mnie tylko na moment, to jednak wystarczyło. Rozbolały mnie oczy, poczułem zmęczenie. Zatrzymałem samochód na parkingu przed stacją benzynową.

Nasłuchiwałem ciszy i odległych niejasnych odgłosów. Przy dystrybutorach było pusto. W przestronnym sklepie za kontuarem zobaczyłem kogoś z obsługi. Z długopisem w ręku siedział pochylony nad krzyżówką. Spojrzałem na śpiącą Alicję. Przydługi, zbyt obszerny był ten mój wypchany na łokciach sweter. Jednak jej we wszystkim było dobrze.

Ruszyłem na autostradę. W sobotni wieczór nie było z kim się ścigać, na peryferiach miasta nikt oprócz mnie nie zatrzymywał się na światłach. Kiedy ruch zaczął gęstnieć, reflektory aut i rozedrgane światła neonów

wydały mi się zbyt dokuczliwe. Skrzyłem w boczną ulicę, pokonując sobie tylko znane zakamarki, zwalniając przed umykającym kotem i parą staruszków ukrytych pod jednym parasolem. Kiedy dotarłem do celu, pomyślałem o wskazówce Roberta: „Zabierzesz mu żonę – będzie trupem”.

97.

– Mówiłaś, że jestem do ojca taki podobny...

Zdawało mi się, że nie dosłyszała.

– Aluś...

– Wciąż o tym myślisz...

– Tak.

– Na początku tak myślałam. Masz te same oczy, usta, głos. Ale to podobieństwo bardzo powierzchowne...

– Kochałaś go...

– Jak nikogo na świecie. Ale to nie to samo. Ciebie kocham naprawdę. Tylko teraz mam tak mało sił...

– Odpocznij. Obiecałem ci coś opowiedzieć. Posłuchasz?

– Opowiedz.

– Od pewnego czasu podejrzewałem, że ojciec miał romans.

– Hanni...

– Na początku zupełnie bezpodstawnie. Nie miałem żadnej istotnej poszlaki, właściwie poza jedną: słabo go znałem. Uświadomiłem sobie, jak mało mnie obchodziło, czego naprawdę chce. Całe życie widziałem go szczęśliwego z żoną. Jakby po to się urodził, a potem był już tylko spełniony i zadowolony. Nigdy bym nie zapytał, czy gdyby mógł, dokonałby jeszcze raz tego samego wyboru. Bo było oczywiste, że bez namysłu wybrałby matkę. A przecież nie miałem żadnej pewności, że

małżeństwo bez reszty zaspokoilo jego oczekiwania. Przyszlo mi do glowy, ze kazdy staly zwiazek jest czymś w rodzaju kapitulacji, jezli juz nie wierzysz, ze doczekasz tego, na czym najbardziej ci zalezy.

– To prawda...

– Teraz jestem pewien, ze ojca to nie dotyczylo. Dokonal wlasciwego wyboru, na nic nie czekal, niczego nie prowokowal...

– Ale snul samospeoniajace sie przepowiednie, opisywal magiczne chwile: zanim powiesz „nie”, bedzie juz za pozno...

– I pewnego dnia sam wpadl w taka pulapke. Jednak nie zastanawial sie, jak jedna kobieta zastapic druga. Nie chcial ich skrzywdzic, ani stracic. Obie szczerze kochal. Gdyby bylo inaczej, gdyby sie zawahal, udawal, matka wiedzialaby, ja bym wiedzial. Byl na swój sposob doskonały, jakby szczerosc wykluczala oszustwo. Lapałem sie na tym, ze wcale go nie potępiam i cały czas próbowalem sobie wyobrazic rywalkę matki. Podświadomie sam siebie przekonałem, ze moje podobienstwo do ojca jednak nie jest tylko powierzchowne, ze w odpowiednich okolicznosciach bedę wiedzial. A potem zobaczylem cie na szkolnym balu. Oczarowalas mnie tak bardzo, ze wlasciwie natychmiast zakonczylem poszukiwania. Stalas sie kobieta z „Pięknych mysli”.

– Nie jestem wytworem fantazji, jestem prawdziwa.

– Ale bylo tyle znakow, tyle sygnalow, ze to ty. I byly inne, ktorych nie powinienem pominac. Przyjezdzalas samotnie do waszej rezydencji w Bai, on byl w domku letniskowym Lauren Potter. Emplarium jest niedaleko. Gdybym uwazniej sluchal Katarzyny, wiedzialbym od razu, ze ojca tam nigdy nie bylo. Czy jest do pomyslenia, zebyście ani razu nie skorzystali z tej wymarzonej, urzekajacej kryjowki?

– Bylam tam tylko z toba. Calę zycie czekalam na ciebie...

– Nad biurkiem ojca wisi obrazek z doliną w Isy. Bez żadnej okazji podarowałaś mu go na spotkaniu w wydawnictwie.

– Zachwycał się Isy. Chciałam mu zrobić przyjemność.

– Nigdy nie przesadzał z alkoholem, ale do domu wrócił podpity. Był zły, obrazek szurnął do kąta.

– To przykre... Nie wiem, kto go zezłościł...

Zmieniła pozycję. Gotowość do drzemki i wyczerpanie zastąpił żal. Patrzyła na mnie ze smutkiem, jakbym wymyślił zabawę, która zamiast ukojenia, przynosi niepokój.

98.

– Ja też nie wiedziałem, tłumacząc wszystko na twoją korzyść. Najtrudniej było zrozumieć, dlaczego spotkałaś się z ojcem w Pal, tuż przed jego śmiercią. Pod okiem szpicli Artura, który leżał w domu chory, zawzięty, gotów do zemsty. Dlaczego namówiłaś ojca do tego szaleństwa.

– Hanni... Wtedy przywiozłam Oskara do Pal. Był w okropnym stanie, szalał. Doprowadził mnie do rozpacz. Chciałam żeby mnie ktoś pocieszył, uspokoił. W pobliżu jedyną bliską mi osobą był Dawid... Była noc. Wiem... Myślałam tylko... Nosisz w sobie tyle urazy...

– Nie chciałaś zrobić ojcu przyjemności widoczkiem z Isy. Nie dałaś mu prezentu, tylko przekazałaś wiadomość: wiem, z kim się tam spotykasz. I w Pal postawiłaś mu ultimatum: albo ona, albo ja.

– Dobry Boże, Hannibal! Opamiętaj się! Przecież to postać fikcyjna, ona nie istnieje!

– Istnieje.

Znów była bliska płaczu. Patrzyła na mnie z poczuciem niezasłużonej krzywdy i z niemym błaganiem, żebym przestał.

– Nikogo nie śledziłem w drodze do Isy. Nie patrzyłem przez lornetkę ze skraju urwiska. Tak jak ty nie robiłem zdjęć ojcu i tej kobiecie. Zaprosiła mnie do domu, rozmawiała ze mną.

– Nie wierzę ci! Tak bardzo chcesz mnie ukarać, bo w Pal naraziłam Dawida na niebezpieczeństwo?!

– Powiedział ci tam, że nie ugnie się przed szantażem, że cię nie chce, że więcej go nie zobaczysz.

– Hanni, to absurd, nie brnij w to... – wyszeptała z narastającym przerażeniem. – Dlaczego stajesz się taki szorstki, zły. Dlaczego mi nie pomagasz? Zamiast otrząsnąć się z jednego koszmaru... Przecież to Artur...

– Artur miał nieograniczone możliwości, żeby pozbyć się jedyne dowodu w tej sprawie. Alicja, on nic nie zrobił, bo nic nie wiedział. Śmiercionośną broń Sherman Douglas dał tobie!

– Oszalałeś! Jaką broń?! – krzyknęła.

– Taką – powiedziałem, wciskając jej do ręki telefon ojca.

Wydała z siebie paniczny jęk i odrzuciła go, jak rozpalony do białości kawałek żelaza.

– Odwiozłaś ojca z Pal do Nig. Wiedziałaś, gdzie nocuje. Rano jechałaś za nim i zadzwoniłaś. W odpowiednim momencie przed zakrętem wykonałaś wyrok jak zimny zabójca. Zawał serca, ślepotę i śmierć w wypadku. Czy mój ojciec na to zasłużył?!

– Tak, tak, tak!!! – wykrzyczała to z całych sił. – Po stokroć zasłużył! Mój jedyny, upragniony mężczyzna, który okazywał względy każdej, tylko nie mnie!!!

99.

Ogłuszony wrzaskiem patrzyłem na w pół żywą Alicję opartą apatycznie o drzwi samochodu i nadal nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to najpiękniejsza kobieta, jaką znam. I przywoływałem tłumaczenie, które słyszałem tyle razy: „To niemożliwe, ten człowiek nie byłby do tego zdolny”, a potem okazywało się, że „ten człowiek” w odpowiednich okolicznościach jest zdolny do wszystkiego. To też są magiczne chwile, kiedy ktoś wie, że drzemiąca bestia właśnie się w nim budzi i nie może tego zatrzymać.

Ciszę zakłócały młotki tłukące się w mojej głowie i ciężki oddech Alicji. Otworzyła oczy i spojrzała na księżyc usiłujący wydostać się zza krawędzi chmur.

– Ty zawsze wszystko musisz doprowadzić do końca, prawda? – zapytała chrapliwym głosem, jakby należał do kogoś innego. – A początek był taki miły. Pamiętasz, jak mnie nazwałeś?

– Pięknym ptakiem, który nigdy nie przestaje wymykać się z klatki.

– Nie po to przyszedłeś, żeby mnie wypuścić?

– Jesteś wolna.

Z niedowierzaniem spojrzała na mnie, potem w mrok za szybami i szybko wyszła z auta. Trzask zamykanych drzwi zagłuszył rozpaczliwy okrzyk Alicji na widok tonącego w ciemnościach pałacu. Spowity mgłą

wyglądał jak opuszczona upiorna forteca. Ale na piętrze zabłysło światło.
Po chwili okno wypełniła ciężka sylwetka Artura Krafta.

Kiedy wyjeżdżałem, brama była szeroko otwarta. Padał deszcz.

EPILOG

Walsh powiadomił Joannę, że pan Kraft postanowił realizować inne plany biznesowe i przeprasza, że zajął jej cenny czas. Jednak nie zniechęcił jej do realizacji planu rezerwowego. Postanowiła uporządkować resztę spraw w Argentynie i na stałe osiąść w Val. Obiecałem, że odprowadzę ją na lotnisko i tam spełniła się początkowo niezrozumiała przepowiednia, że tylko ona będzie mnie widzieć. Spóźniłem się i z tarasu dla odprowadzających mogłem zobaczyć już tylko podnoszący się do lotu, znikający w oddali samolot.

Definitywnie zarzuciłem pomysł napisania wspomnień o ojcu. Na biografii zbiłbym majątek, zadając śmiertelny cios jednemu czytelnikowi, któremu chciałbym zrobić przyjemność. Żaden powód nie był tego wart. Zwłaszcza że u boku Donalda matka zdawała się bezpowrotnie zapominać o dawnych strapieniach.

Jednak przyjąłem ofertę pracy w największej gazecie w Ost i końcówkę urlopu zdecydowałem się spędzić na poznawaniu miasta. W drodze zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby kupić plan i przewodnik. Kręciło się tam wiele osób, ale wysoka szatynka w okularach pochylona nad otwartą książką wydała mi się znajoma. Kiedy zauważyłem, że nosi zegarek na prawej ręce, umyślnie stanąłem obok i przeglądałem atlas samochodowy.

– Znowu mnie pan nie dostrzega – powiedziała, nie podnosząc oczu znad lektury.

– Przeciwnie. Mam wrażenie, że wciąż gdzieś panią widuję. Kiedyś w Val zatrzymała się pani na światłach, spojrzała w moją stronę przez opuszczoną szybę samochodu. Zauważyłem panią z restauracji, zrobiłem zdjęcie.

– A jednak... I co to zdjęcie panu powiedziało?

– *Pan ma piękne myśli, tylko nikt ich nie spotyka.*

– No tak... Pański ojciec wierzył, że kategoryczne opinie jego syna są tylko gniewną powłoką, pod którą ukrywa się ktoś inny. Miał nadzieję szczerze porozmawiać z tym drugim.

– Nie pyta pani, czy się udało?

– To sprawy rodzinne, nie wypada. – Z uśmiechem podała mi rękę. – Do widzenia. Powodzenia w Ost.

Spojrzałem na atlas samochodowy. Był otwarty na stronie, po której nie mogła się domyślić, dokąd jadę.

Kiedy wyszedłem na parking, już jej nie było. Autostradą w różnych kierunkach pędziły setki aut. Przez chwilę pomyślałem, czy nie zawrócić do Val. Nie zawróciłem.

K O N I E C

HANNIBAL SMOKE

Publiczna autorska strona na facebooku

Hannibal Smoke: Emplarium www.facebook.com/HanniSmoke

Publiczny kanał filmowy na You Tube

Hannibal Smoke www.youtube.com/user/hannibalsmok